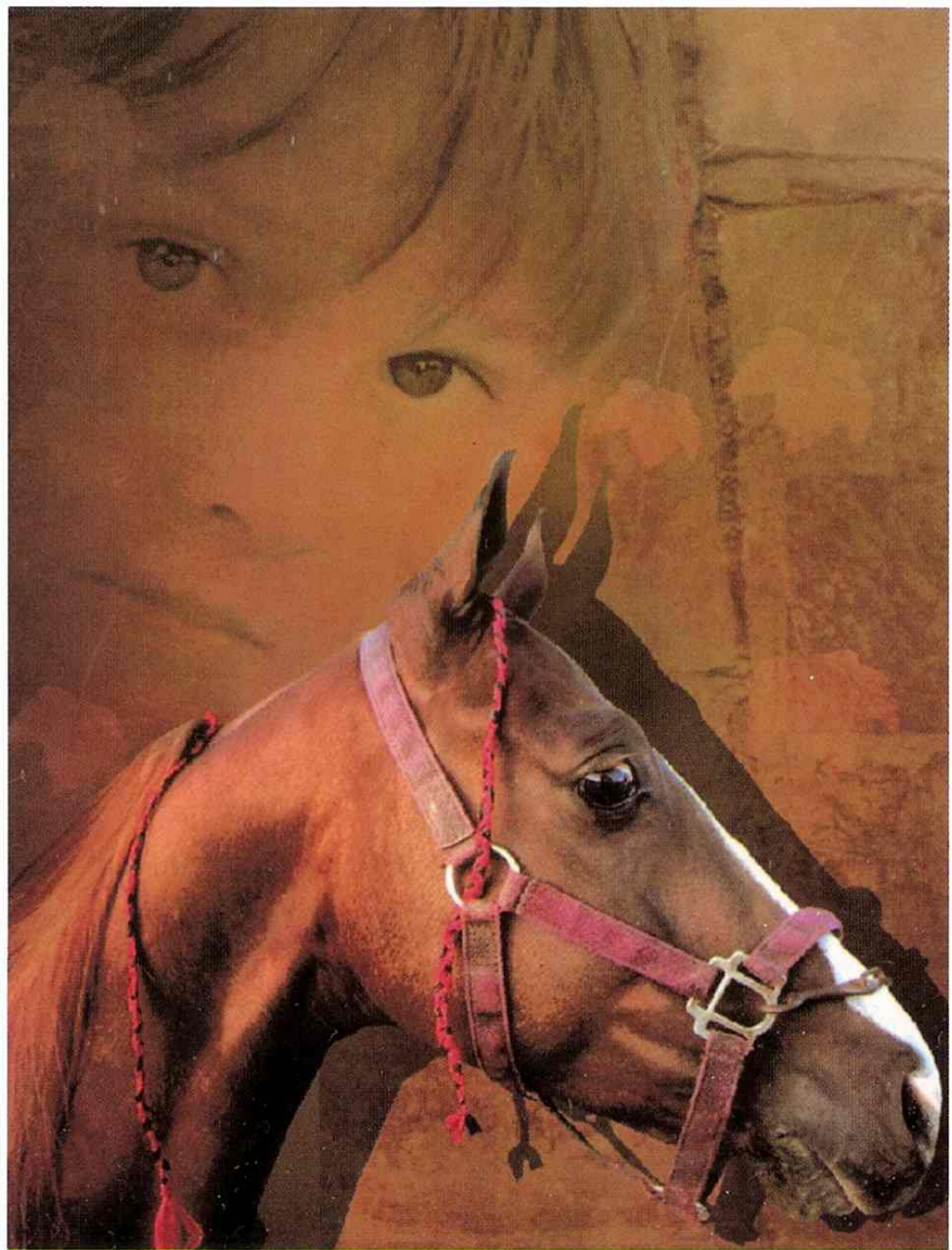


BB

WILLIAM

FAULKNER

Koniokrady



BB

WILLIAM
FAULKNER

Koniokrady
wspomnienie

Przełożyła

**ANNA PRZEDPEŁSKA-
-TRZECIAKOWSKA**



Dziadek mówił:

– Taki, widzisz, był Boon Hogganbeck. Gdyby to powiesić na ścianie, mogłoby służyć za jego epitafium, rysopis policyjny czy list gończy; nie wgłębiając się nawet w treść, każdy policjant w północnej części stanu Missisipi rozpoznałby go w każdym tłumie i aresztował.

Była sobota rano, gdzieś około dziesiątej. My – to znaczy twój pradziadek i ja – tkwiliśmy w kantorze. Ojciec siedział za biurkiem, wyjmował pieniądze z płóciennego woreczka i układał je wedle listy rachunków przewozowych, które właśnie przyniosłem z Rynku. Ja, na krześle pod ścianą, czekałem południa, kiedy to otrzymam sobotnie (tygodniowe) pobory w wysokości dziesięciu centów i udam się wspólnie z ojcem do domu na obiad, po którym będę mógł wreszcie przyłączyć się (był wówczas maj) do baseballa rozgrywanego beze mnie już od śniadania, chodziło bowiem o to (pomysł był nie mój, tylko twojego pradziadka), że nawet jedenastoletni człowiek powinien już od roku płacić, ponosić odpowiedzialność za przestrzeń, jaką okupuje, miejsce, jakie zajmuje w światowej (a w każdym razie jeffersońskiej, w stanie Missisipi) gospodarce. W każdą sobotę wychodziłem z ojcem z domu natychmiast po śniadaniu, akurat wtedy, gdy wszyscy inni chłopcy zbroili się w piłki, kije i rękawice do baseballa – nie mówiąc już o moich trzech braciach, którzy jako młodszy i przez to mniejszy ode mnie mieli więcej szczęścia, rozumowanie bowiem czy przesłanki ojca były następujące: ponieważ każdy dorosły mężczyzna wart swego chleba może sprostać materialnie potrzebom czworga dzieci, każde z tych dzieci, a w każdym

razie najstarsze, zdolne jest wziąć na swoje barki ciężar odpowiednich ekonomicznych inicjatyw; w wyniku tego to rozumowania dokonywałem co sobota rano obchodu dłużników firmy z rachunkami za paki i skrzynie, przywiezione w ciągu tygodnia przez naszych czarnych woźniców ze stacji kolejowej pod tylne drzwi sklepu kolonialnego, sklepu z towarami żelaznymi i składu farmerskiego, i przynosiłem z powrotem do kantoru naszej stajni płócienny woreczek, by ojciec przeliczył pieniądze i skontrolował je wedle rachunków, potem zaś siedziałem w kantorze przez resztę przedpołudnia, rzekomo, by odbierać telefony, a to wszystko za sumę dziesięciu centów tygodniowo, za które, jak zakładano, mógłbym ów tydzień przeżyć.

Takim to oddawaliśmy się zajęciom w chwili, kiedy Boon wskoczył przez drzwi. Naprawdę. Wskoczył. Bo z korytarza do kantoru stopień nie był taki wysoki nawet dla jedenastolatka (choć John Powell, masztalerz, kazał Sonowi Thomasowi, najmłodszemu woźnicy, zrobić dla mnie stopień pośredni i Son znalazł, pożyczył, ściągnął czy też zwędził skądś w tym celu drewniany kłoc), więc Boon mógł jak zwykle znaleźć się w kantorze jednym olbrzymim krokiem. Ale nie dziś; dziś wskoczył do kantoru. Twarz jego nigdy nie była szczególnie łagodna czy spokojna, lecz teraz zdawało się, że za chwilę wybuchnie mu spomiędzy ramion, z podniecenia, niecierpliwości i czego tam jeszcze; skoczył na środek kantoru, do biurka, i od progu zaczął wrzeszczeć na ojca: – Niech pan uważa, z drogi! – i gwałtownym ruchem sięgał przed nosem ojca ku niższej szufladzie, w której spoczywał stajenny pistolet. Nie umiem powiedzieć, czy to Boon sięgając do szuflady przewrócił krzesło, czy też ojciec odepchnął krzesło, by zrobić sobie miejsce i kopnąć wyciągniętą rękę Boona; w każdym razie równiutkie kolumnienki monet rozsypały się po biurku na wszystkie strony i ojciec teraz też krzyczał i wciąż kopał albo w szufladę, albo w rękę Boona, a może w jedno i drugie.

– Wynoś się, do licha!

– Zastrzelę Ludusa! – wrzeszczał Boon. – Teraz już zwiął na pewno gdzieś na Rynek! Niech pan się odsunie, panie Maury!

– Ani myślę! – krzyczał ojciec. – Wynoś się!

– Nie da mi go pan? – wołał Boon.

– Nie dam, do licha!

– No to dobrze – odpowiedział Boon, skacząc z powrotem do drzwi i na korytarz. Ale ojciec siedział, ani się ruszył. Zauważyłeś na pewno, jacy ograniczeni są na ogół ludzie po trzydziestce czy czterdziestce. Nie chodzi mi o to, że zapominają. Łatwo, zbyt łatwo, i niesłusznie jest twierdzić: *Och, ojciec* – (albo dziadek) *czy matka* (albo babka) – *jest po prostu stary, zapomniiał*. Istnieją przecież pewne rzeczy, twarde realia życia, których się nie zapomina, bez względu na wiek. Na przykład dół, rozpadlina, nad którą jako chłopiec przechodziłeś po kładce. Mając trzydzieści pięć czy czterdzieści lat, przywlekasz się, przypełzasz na to miejsce, a tu nie ma kładki; mogłeś nawet o niej zapomnieć, ale tak czy inaczej nie dajesz przecież kroku w ziejącą otchłań, nad którą była kiedyś przerzucona. No więc ojciec był wtedy taki właśnie ograniczony. Boon wskoczył bez ostrzeżenia do kantoru, niemal przewrócił krzesło ojca sięgając do szuflady, w której leżał pistolet, aż ojciec kopaniem, deptaniem czy czym tam jeszcze zmusił go do cofnięcia ręki, wtedy Boon odwrócił się i wyskoczył z kantoru, a ojciec najwidoczniej doszedł do wniosku, że to już koniec, że sprawa została załatwiona. Nawet przestał kląć, dla zasady, jakby już nie było żadnej konieczności; ustawił krzesło z powrotem przy biurku, zobaczył te wszystkie rozsypane pieniądze, które teraz należało jeszcze raz zliczyć, i zaczął znowu kląć Boona, nawet nie za ten pistolet, tylko po prostu za to, że jest Boonem Hogganbeckiem, aż wreszcie mu powiedziałem:

– Poszedł pożyczyć ten drugi, Johna Powella.

– Co? – zapytał ojciec. A potem i on skoczył, skoczyliśmy razem, przez kantor i na korytarz, i przez korytarz, i na dwór, na podwórze za stajnię, gdzie John Powell i Luster pomagali kowalowi Gabe kuć trzy muły i jednego konia zaprzęgowego, a ojciec teraz nie miał już nawet czasu na przeklinanie, tylko krzyczał co trzy kroki: – John! Boon! John! Boon!

Ale i tym razem się spóźnił, bo Boon już go – nas – przechytrzył. Pistolet Johna Powella bowiem nie stanowił problemu jedynie moralnego, lecz był również problemem emocjonalnym w naszej stajni. Był to staroświecki kaliber 41, z zadartą lufą, stary, ale w doskonałym stanie, bo John pielęgnował go troskliwie, odkąd odkupił go od swojego ojca w dwudziestą pierwszą rocznicę urodzin. Tylko zakładało się, że on go nie ma mieć, to znaczy oficjalnie ten pistolet nie istniał. Zarządzenie równie stare jak stajnia głosiło, że jedyny znajdujący się tu pistolet to ten, który spoczywa w kantorze, w prawej szufladzie biurka, i istniała dżentelmeńska umowa, że nikt z pracowników firmy nigdy nie będzie posiadał broni palnej od chwili, kiedy zaczyna robotę, do chwili powrotu do domu, a już nie do pomyślenia było, żeby przyniósł broń do pracy. A jednak John wytłumaczył to nam wszystkim i zdobył nasze zrozumienie i współczucie tak wielkie, że stanęlibyśmy zwartym i silnym frontem przeciwko całemu światu i nawet przeciwko ojcu, gdyby kiedykolwiek miał powstać ten nieprawdopodobny kryzys, który nigdy by nie powstał, gdyby nie szaleństwo Boona Hogganbecka... Otóż John opowiedział nam, jak zarabiał na ten pistolet pracując dodatkowo, bo jego główne zajęcie polegało na pomaganiu ojcu na farmie; zarabiał dodatkowo, zamiast jeść i spać, aż wreszcie na swe dwudzieste pierwsze urodziny spłacił ojcu ostatniego centa i otrzymał pistolet; mówił nam, że jest to żywy symbol jego męskiej dojrzałości, niezaprzeczalny dowód, że skończył już dwadzieścia jeden lat i stał się mężczyzną; mówił, że nie

ma najmniejszego zamiaru, że nawet nie potrafi sobie wyobrazić sytuacji, w której mógłby pociągnąć za cyngiel, celując do jakiegoś człowieka, ale musi mieć ten pistolet przy sobie; nie zostawiłby go w domu, idąc do pracy, tak samo jak nie zostawiłby swej dojrzałości męskiej w jakiejś tam szafie czy szufladzie; powiedział nam (a my mu uwierzyliśmy całkowicie), że gdyby kiedykolwiek przyszła chwila, w której musiałyby wybierać pomiędzy trzymaniem pistoletu w domu i porzuceniem pracy, pozostawałaby mu tylko jedna możliwość.

Wobec tego żona przyszyła mu najpierw zgrabną, mocną kieszeń na pistolet od wewnątrz kombinezonu, na piersi, ale sam John od razu pojął, że to jest do niczego. Nie żeby pistolet miał mu wypaść w jakimś krytycznym momencie, ale że poprzez materiał rysował się wyraźnie jego kształt – nie mogło być najmniejszych wątpliwości, co to jest. Nie chodziło tu o nas – dobrze wiedzieliśmy, co tam jest, wszyscy, począwszy od pana Ballotta, białego masztalerza, poprzez Boona, jego pomocnika (który miał pracę nocną, wobec czego powinien był siedzieć teraz w domu i spać), aż do murzyńskich woźniców i stajennych, do ostatniego marnego sprzątacza, nawet do mnie, tego, co to tylko przynosił w soboty rachunki za przewóz i odbierał telefony. Albo nawet do starego Dana Grinnupa, brudasa, z brodą całą w tytoniu, który nigdy nie był pijany tak kompletnie i ze szczeniem i który nie zajmował żadnej oficjalnej pozycji w stajni, częściowo z powodu whisky, a naprawdę to z powodu nazwiska, które wcale nie brzmiało Grinnup tylko Grenier: jedno z najstarszych nazwisk w okręgu, tylko że rodzina teraz podupadła – bo Louis Grenier, hugenot, po rewolucji przeszedł przez góry aż z Wirginii i Karoliny, i w dziewięćdziesiątych latach osiemnastego wieku przywędrował do Missisipi i założył Jefferson i dał mu nazwę – no więc on (stary Dan) nigdzie nie mieszkał (i nie miał żadnej rodziny z wyjątkiem zidiociałego siostrzeńca czy kuzyna, czy kogoś tam, kto wciąż jeszcze żył w namiocie w

zaroślach nad rzeką powyżej Sadyby Francuza, która kiedyś była częścią plantacji Grenierów), tylko pojawiał się w stajni, nigdy nie na tyle pijany, by nie móc powozić, brał powóz, jechał na stację na pociągi 9 – wieczorem i 4 – rano i zawoził komiwojażerów do hotelu, albo jeździł całą noc, kiedy był bal albo Czarni Minstrele^[1], albo przedstawienie w teatrze (czasami, gdy alkohol wprawił go w nastrój chłodny i pogardliwy, zwykł mówić, że niegdyś Grenierowie przewodzili towarzystwu Yoknapatawpha, teraz Grinnupowie je przewożą) i nie tracił pracy dlatego, jak sądzili niektórzy, że pierwsza żona pana Ballotta byk jego córka; my jednak wszyscy w stajni przypuszczaliśmy, iż to dlatego, że kiedy ojciec był chłopcem, to polował na lisy z ojcem starego Dana tam, w Sadybie Francuza.

Nie chodziło tu (wracając do pistoletu) tylko o nas, ale i o samego ojca. Bo ojciec również wiedział. Musiał wiedzieć; przedsiębiorstwo było zbyt małe, o zbyt mocnych, zbyt skomplikowanych powiązaniach. Tak więc problem moralny ojca był dokładnie taki sam, jak Johna Powella; obaj wiedzieli i obaj traktowali sprawę jak dżentelmenom przystało: gdyby ojciec kiedykolwiek został zmuszony do stwierdzenia, że John ma pistolet, musiałyby mu powiedzieć, żeby albo zostawił go następnego dnia w domu, albo więcej nie przychodził do pracy. I John wiedział o tym i będąc dżentelmenem za nic w świecie nie postawiłby ojca w sytuacji, w której musiałyby stwierdzić, iż pistolet istnieje. Wobec tego, zamiast na piersi kombinezonu, żona Johna wszyła kieszeń pod lewą pachę bluzy; pistolet był niewidoczny (a w każdym razie nie rzucał się w oczy), kiedy John miał bluzę na sobie; w ciepłe dni zaś (takie jak dzisiaj) bluza wisiała na gwoździu Johna w komórce z uprzężą. Tak oto przedstawiała się sytuacja z pistoletem, kiedy Boon – któremu płacono i który w pewnym

[1] Czarni Minstrele – widowisko komediowo-muzyczne, w którym biali aktorzy byli zwykle ucharakteryzowani na Murzynów (przypisy tłumacza).

sensie dał słowo, że o tej porze będzie się znajdował w domu i w łóżku, zamiast włóczyć się po Rynku, gdzie mogło go spotkać to, co go pchnęło do stajni – wskoczył przez drzwi do kantoru minutę temu i uczynił kłamką i ojca, i Johna Powella.

Bo ojciec znowu się spóźnił. Boon przechytrył go... właściwie nas. Boon bowiem też wiedział o gwoździu w komórce z uprzężą. A był sprytny, za sprytny, żeby wracać przez korytarz i mijać drzwi do kantoru; kiedy znaleźliśmy się na podwórzu, John, Luster i Gabe (jak również trzy muły i koń) wciąż wpatrywali się w rozkołysaną furtkę, za którą przed chwilą zniknął Boon z pistoletem w ręku. John i ojciec spoglądali na siebie przez dziesięć sekund, podczas gdy cała budowla polegająca na *entendre-de-noblesse* rozsypywała się w proch. Ale *noblesse* i *oblige* pozostały.

– To był mój – powiedział John.

– Wiem – odparł ojciec. – Spotkał Ludusa na Rynku.

– Złapię go – oświadczył John. – I odbiorę. Proszę tylko powiedzieć słowo.

– Niech ktoś leci i łapie Ludusa – radził Gabe. Był to mężczyzna niski, ale ogromny, większy niż Boon, z nogą straszliwie koślawą, wskutek wypadku, jaki mu się zdarzył dawno temu przy pracy; potrafił unieruchomić zadnie kopyto konia czy muła pod tym zwichrowanym kolanem (jeśli tylko miał się czego trzymać, słupa czy czegokolwiek) – a koń lub muł mógł się najwyżej przewrócić, ale nic więcej, nie był zdolny wyrwać kopyta ani złapać równowagi na tyle, żeby go kopnąć drugą nogą. – Hej, ty, Luster, skocz no i złap...

– Nie ma się co martwić o Ludusa – przerwał mu John.

– Ludusowi włos z głowy nie spadnie. Widziałem, jak Boon Hogganbeck – nie powiedział „pan”, choć przecież wiedział, że ojciec go słyszy; nigdy by o tym nie zapomniał w obecności białego człowieka, którego uważał za równego sobie, ponieważ John był dżentelmenem. Ale

i mój ojciec wiedział, co to *noblesse*: pistolet był sprawą niewybaczalną i ojciec zdawał sobie z tego sprawę – kiedyś strzelał. Niech pan tylko rozkaże, panie Maury.

– Nie – odparł ojciec. – Biegnij do kancelarii i dzwoń do pana Hamptona (tak, tak, człowiek nazwiskiem Hampton był i wówczas szeryfem). – Powiedz mu, że proszę, by jak najszybciej złapał pana Boona – i ruszył w kierunku furtki.

– Idź z nim – powiedział Gabe do Lustera. – Może będzie potrzebował kogoś na posyłkę. I zarygluj tę furtkę!

Poszliśmy więc we trójkę drogą do Rynku; ja kłusowałem teraz, chcąc dotrzymać im kroku, właściwie nie po to, aby dogonić Boona, tylko raczej, aby znaleźć się pomiędzy Boonem z pistoletem i Johnem Powellem. Bo, jak to już John powiedział, nikt nie powinien się martwić o Ludusa; wszyscy znaliśmy celność Boona i jeśli Boon będzie strzelał do Ludusa, to Ludusowi nic nie grozi. On (to znaczy Ludus) był jednym z naszych woźniców do zeszłego wtorku rano. Oto wypadki poprzednich dni, zrekonstruowane na podstawie opowiadań Boona, pana Ballotta, Johna Powella i po części samego Ludusa. Tydzień czy dwa tygodnie przed owym wtorkiem Ludus znalazł sobie nową dziewczynę, (córkę czy żonę – to nie było jasne) pewnego dzierżawcy farmy leżącej o sześć mil za miastem. W poniedziałek wieczór, kiedy Boon przyszedł na nocną pracę zwalnając pana Ballotta, w stajni znajdowały się wszystkie zaprzęgi, konie i woźnice z wyjątkiem Ludusa. Pan Ballott powiedział Boonowi, żeby do niego zadzwonił, jak Ludus wróci, po czym poszedł do domu. Tyle mówiło świadectwo pana Ballotta. A teraz opowiadanie Boona potwierdzone częściowo przez Johna Powella (bo ojciec już wcześniej poszedł do domu): otóż ledwo pan Ballott opuścił stajnię, tylnym wejściem wszedł Ludus, który wrócił piechotą. Ludus powiedział Boonowi, że obłuźniła mu się obręcz na jednym kole i że zatrzymał się przy naszym

domu i rozmawiał z ojcem, który kazał mu wprowadzić wóz do stawu na łąkach, gdzie rozeschnięte drewno koła rozpęcznieje i znowu wpasuje się w obręcz, i zostawić, i nakarmić muły tam, u nas, a rano po nie przyjąć. Trudno było przypuścić, że nawet Boon w to uwierzy, John Powell zaś nie wierzył ani przez chwilę, każdy bowiem, kto znał ojca, wiedział, że bez względu na to, jakie wydałby rozporządzenia co do wozu na noc, kazałby na pewno Ludusowi odprowadzić muły na miejsce do stajni, oczyścić je i nakarmić jak należy. Ale Boon mówił, że tak mu powiedziano, więc nie przerywał panu Ballottowi kolacji i nie zawiadamiał go o wszystkim, ponieważ ojciec wie, gdzie są muły i wóz, a ostatecznie to ojciec jest ich właścicielem, a nie pan Ballott.

A teraz zeznanie Johna Powella, ale wymuszone; najchętniej nic by nie mówił, ale Boon sprawił, że przemilczenie prawdy przez niego (Johna) byłoby większym problemem moralnym niż lojalność wobec własnej rasy. Kiedy zobaczył Ludusa wchodzącego do stajni chyłkiem przez tylne drzwi w tej samej chwili, w której pan Ballott wychodził głównym wyjściem, pozostawiając tylko Boona na straży, John nawet nie słuchał bajeczki przygotowanej przez Ludusa, tylko wyszedł przez korytarz i podwórze na drogę za stajniami i tam, na rogu, po prostu stanął koło wozu i czekał, aż Ludus wróci. Na wozie leżał teraz worek mąki, galonowy dzban nafty i (zdaniem Johna) torebka miętowych cukierków za pięć centów. Na terenie stajni jego słowo dotyczące każdego konia czy muła było niewzruszonym prawem, silniejszym nawet niż słowo Boona, niemal takim, jak słowo pana Ballotta czy samego ojca, lecz tu, poza stajnią, na ziemi niczyjej, John był tylko jednym spośród najemnych ludzi z powozowni Maurycego Priesta, o czym dobrze wiedział i on, i Ludus. Być może, chociaż wątpię, Ludus nawet przypomniał mu o tym. Wystarczyłoby, gdyby na przykład powiedział: – Jeśli pan Maury dowie się, w jaki sposób pożyczyłem dzisiaj ten wóz i zaprzęg, to pewno się i

dowie, co tamnosisz zaszytego w tej swojej bluzie.

Ale myślę, że i tego nie zrobił, bo przecież wiedzieli o tym obaj, i John, i Ludus, i wiedzieli również, że Ludus musiałby czekać w nieskończoność, nim John doniósłby ojcu, jak to Ludus „pożyczył” jego zaprzęg i wóz, John zaś musiałby czekać w nieskończoność, by Ludus (lub jakikolwiek inny Murzyn z naszej stajni czy z całego Jefferson) powiedział ojcu o pistolecie. Tak więc Ludus zapewne nie odezwał się ani słowem, a John oświadczył tylko: – No, dobra, ale jeśli te muły nie będą na swoich miejscach bez kropli potu czy śladu po bacie na dobrą godzinę przed przyjściem pana Ballotta jutro rano (zauważyłeś pewno, że obaj całkowicie wykreślili ze sprawy Boona, ani Ludus nie powiedział: „Przecież pan Boon wie, że muły nie będą nocować w stajni – a on jest tu szefem, jak pana Ballotta nie ma” – ani John nie powiedział: „Nikt, kto uwierzył w tę twoją dzisiejszą bajeczkę o mułach, nie nadaje się na szefa. Ja nawet nie mam pewności, czy on się nazywa Boon Hogganbeck”), to pan Maury dowie się nie tylko, gdzie zaprzęgu nie było tej nocy, ale również, gdzie był.

John jednak nic nikomu nie doniósł. Ale choć muły Ludusa stały w boksach na dobrą godzinę przed świtem, w piętnaście minut po przyjściu pana Ballotta do stajni o szóstej rano następnego dnia Ludus został wezwany i usłyszał, że jest zwolniony z pracy. – Pan Boon wiedział, że mój zaprzęg jest na dworze – tłumaczył się Ludus.

– Sam mnie posłał po galon whisky. Przywiozłem mu ją nad ranem, koło czwartej.

– Nigdzie cię nie posyłałem – zaprzeczył Boon. – Jak tutaj przyszedł wczoraj wieczorem z tą wyssaną z palca historyjką, że muły są na posesji pana Maurycego, to go wcale nie słuchałem. Nawet nie pytałem, gdzie wóz jest naprawdę ani dlaczego tak mu kaducznie potrzebny. Powiedziałem tylko, że jak będzie wracał wozem rano, to na pewno będzie przejeżdżał

koło Macka Winbusha, wobec tego niech mi przywiezie galon whisky wuja Cala Bookwrighta. Dałem mu na to pieniądze... dwa dolary.

– I ja przywiozłem panu whisky – powiedział Ludus. – Nie mam pojęcia, co pan z nią zrobił.

– Przywiozłeś mi pół galona jakiegoś świństwa, ługu mieszanego z czerwonym pieprzem – odparł Boon. – Nie wiem, co z tobą zrobi pan Maury za to, żeś całą noc trzymał muły na dworze, ale wiem dobrze, co z tobą zrobi Calvin Bookwright, jak mu pokażę tę whisky i powiem, że ty to nazywasz whisky jęgo roboty.

– Pan Winbush mieszka o dobrych osiem mil za miastem – powiedział Ludus. – Byłaby już blisko północ, nimbym zdążył wrócić do... – tu przerwał.

– Więc na to potrzebny ci był wóz i muły! – krzyknął Boon. – Naromansowałeś się już z całym miastem i teraz musisz latać po okolicy, żeby sobie znaleźć jakieś następne kuchenne okno do swoich zakazanych flirtów. No cóż, będziesz miał teraz na to masę czasu, kłopot tylko w tym, że zaczniesz chodzić piechotą.

– Kazał mi pan przywieźć galon whisky – pośępnie upierał się Ludus. – Przywiozłem panu galon...

– Nawet i pół galona nie było – przerwał mu Boon. A potem zwrócił się do pana Ballotta: – Prawda, nie potrzebuje mu pan nawet wypłacać tygodniówki. (Tygodniówka woźnicy wynosiła wtedy dwa dolary; pamiętaj, że to był rok 1905). Przecież jest mi ją winien za tę whisky. Na co pan czeka? Na pana Maury'ego, żeby przyszedł i sam go wyrzucił?

Ale gdyby pan Ballott (i ojciec) istotnie chcieli zwolnić Ludusa na dobre, to na pewno wypłaciliby mu jego tygodniówkę. Sam fakt, że mu jej nie wypłacili, znaczył (o czym Ludus dobrze wiedział), że po prostu pozbawia go się pełnej tygodniówki za to, że przetrzymał wóz i muły na dworze bez uprzedniego zezwolenia. W najbliższy poniedziałek

rano Ludus przyszedłby o tej samej co zwykle porze razem z innymi woźnicami, a John Powell, jak zawsze, miałby dla niego przygotowany zaprzęg. Tylko że Los, Pogłoska, Plotka... musiały się w to wmieszać.

Tak więc szliśmy – ojciec, Luster i ja – spieszenie drogą na Rynek, z tym że ja już nawet biegłem, a jednak się spóźniliśmy. Nim znaleźliśmy się na miejscu, doszły nas strzały, wszystkie pięć – ot, tak: paf, paf, paf, paf! – a potem już staliśmy na rynku, no i tam (całkiem blisko, na samym rogu, dokładnie naprzeciwko składu towarów żelaznych kuzyna Izaaka McCaslina) zobaczyliśmy wszystko. Ludzi tłoczyło się mnóstwo – naprawdę Boon wybrał sobie dobry dzień na świadków, wtedy również pierwsze soboty miesiąca były dniami handlowymi, nawet w maju, kiedy, zdawałoby się, ludzie powinni mieć aż nadto roboty na plantacjach. Ale nie w okręgu Yoknapatawpha. Zebrali się wszyscy – czarni i biali; jedna gromada tłoczyła się wokół pana Hamptona (dziadka tego małego Huba, który jest dzisiaj szeryfem albo znowu będzie szeryfem w przyszłym roku), gdzie kilku przechodniów szamotało się z Boonem, druga gromada stała o dwadzieścia stóp dalej, tam gdzie zastępca szeryfa trzymał Ludusa wciąż w znieruchomiałej pozie biegu czy też w pozie znieruchomiłego biegu, jak tam się powinno mówić, i trzecia gromada otaczała okno wystawowe kuzyna Ike'a, bo jedna z kul Boona (nigdy nie stwierdzono, gdzie się podziały pozostałe cztery) roztrzaskała szybę, przejechawszy się uprzednio po pośladku młodej Murzynki, która leżała teraz na chodniku i wrzeszczała, aż sam wujek Ike wyskoczył ze sklepu i zagłuszył ją, krzyżąc ze złości na Boona nie za to, że mu stłukł szybę wystawową, ale za to (bo kuzyn Ike, chociaż młody, był już wtedy najlepszym traperem i myśliwym, jaki kiedykolwiek mieszkał w naszym okręgu), że nie potrafił ani jednym z pięciu strzałów trafić do celu odległego zaledwie o dwadzieścia stóp.

Sprawy potoczyły się szybko. Gabinet doktora Peabody znajdował

się tuż, po przeciwnej stronie ulicy, nad drugstorem Christiana. Pan Hampton niósł pistolet Johna Powella i prowadził; dalej Luster i jakiś drugi Murzyn wnosili po schodach zranioną Murzynkę, która wciąż wrzeszczała i krwawiła jak zarzynana świnia, za nimi ojciec z Boonem, potem ja i zastępca szeryfa z Ludusem, a za nami tyłu, ilu tylko zdołało się wtłoczyć na schody, aż wreszcie pan Hampton stanął, odwrócił się i ryknął, żeby się wynosili. Biuro sędziego Stevensa znajdowało się na tym samym korytarzu, zaraz za gabinetem doktora Peabody, i wchodząc na górę widzieliśmy sędziego, który stał na podeście schodów i czekał na nas. Wobec tego my – to znaczy ojciec i ja, i Boon, i Ludus, i zastępca szeryfa – weszliśmy do środka i czekaliśmy, aż pan Hampton wróci z gabinetu doktora Peabody. Nie trwało to długo.

– Wszystko w porządku – stwierdził pan Hampton.

– Ledwo ją drasnęło. Trzeba jej kupić nową sukienkę (nie miała nic pod spodem), torebkę cukierków i dać dziesięć dolarów jej ojcu. To załatwi sprawę między nią i Boonem. Nie zdecydowałem jeszcze, co załatwi sprawę między Boonem a mną. – Przez chwilę dyszał z wściekłości. Był to ogromny mężczyzna o twardych, małych, szarych oczach, właściwie tak ogromny jak Boon, chociaż nieco niższy. – Gadaj! – zwrócił się do Boona.

– On mnie obraził – oświadczył Boon. – Powiedział Sonowi Thomasowi, że jestem skurwysyn z tępym zadkiem.

Teraz pan Hampton spojrzał na Ludusa:

– Co ty na to? – zapytał.

– Nigdy nie mówiłem, że ma tępy zadek – zaprzeczył Ludus. – Mówiłem, że ma tępy łeb.

– Co? – zapytał Boon.

– To jeszcze gorzej – powiedział sędzia Stevens.

– Oczywiście, że gorzej! – wrzasnął Boon. – Nie widzi pan? A ja nic na

to nie mogę poradzić! Ja, biały człowiek, muszę tu stać i wysłuchiwać, jak jakiś przeklęty czarnuch, poganiacz mułów, albo krytykuje moje własne, osobiste siedzenie, albo ogłasza publicznie w obecności pięciu świadków, że nie mam oleju w głowie. Nie widzi pan? Przecież nie można tu niczego wycofać, niczego. I me można nawet niczego sprostować, bo nie ma nic do sprostowania. – Boon płakał niemal, a jego wielka, brzydka, rumiana, twarda jak orzech i krzepka jak orzech twarz wykrzywiona była teraz jak u dziecka. – Nawet gdyby mi się udało zdobyć gdzieś drugi pistolet, żeby zastrzelić Sona Thomasa, to i tak bym na pewno nie trafił.

Ojciec wstał szybko i sprężyście. Był jedyną osobą, która usiadła; nawet sędzia Stevens, rozstawiwszy szeroko nogi, stał przed pustym kominkiem, wsunąwszy ręce pod poły surduta, jakby to była zima i na palenisku huczał ogień. – Muszę wracać do roboty – oświadczył ojciec. – Jest takie stare przysłowie o tych, co próżnują.

– Nie zwracał się do nikogo specjalnie. – Chcę, żeby ci dwaj, Boon i ten chłopak, zostali zobowiązani pod gwarancją do zachowania spokoju. Powiedzmy po sto dolarów każdy. Ja podpiszę tę gwarancję. Tylko że chcę mieć jeszcze dwa dwustronne wzajemne zobowiązania. Chcę mieć dwa gwarantowane zobowiązania, które – obydwie – będą podlegać płatności z chwilą, gdyby jeden z nich zrobił coś, co... co...

– Co nie odpowiadałoby panu – podsunął sędzia Stevens.

– Wielce zobowiązany – powiedział ojciec. – Z chwilą gdyby jeden z nich naruszył spokój. Nie wiem, czy to jest zgodne z prawem, czy nie.

– Ja również nie wiem – odparł sędzia Stevens. – Możemy spróbować. Jeśli takie zobowiązanie za kaucją nie jest zgodne z prawem, to powinno być.

– Dziękuję najuprzejmiej – powiedział ojciec. Po czym ruszyliśmy – ojciec, ja i Boon – ku drzwiom.

– Mógłbym wrócić zaraz, nie czekać do poniedziałku – powiedział

Ludus. – Jeśliby pan mnie potrzebował...

– Nie – oznajmił ojciec. Zeszliśmy w dół, po schodach, na ulicę, ojciec, ja i Boon. Była wciąż pierwsza sobota miesiąca i dzień handlowy, ale już tylko zwykła sobota i nic ponadto, dopóki jakiś inny Boon Hogganbeck nie dorwie się do następnego pistoletu. Ruszyliśmy z powrotem ulicą w kierunku stajni – ojciec, ja i Boon; Boon mówił teraz ponad moją głowę do pleców ojca.

– Dwieście dolarów, jeśli będziemy odkładać po dolarze tygodniowo każdy, to wypada rok i czterdzieści osiem tygodni. Ta szyba wystawowa u Ike'a będzie kosztowała jakie dziesięć albo piętnaście dolarów, a jeszcze za tę dziewczynę, co mi stanęła na drodze... Powiedzmy dwa lata i trzy miesiące. Mam około czterdziestu dolarów gotówką. Ale pewno nawet gdybym je dał panu jako zaliczkę, to nie wsadziłby pan mnie, Ludusa i Sona Thomasa do jednego pustego boksu i nie zamknął za nami drzwi na dziesięć minut, co?

– Nie – odparł ojciec.

II

To była sobota. W poniedziałek Ludus wrócił do pracy. W następny piątek mój dziadek – ten drugi, ojciec matki, twój prapradziadek – umarł w Bay St. Louis.

Boon właściwie nie należał do nas. To znaczy nie należał wyłącznie do nas, Priestów. A raczej mam tu na myśli McCaslinów i Edmondsów, których my, Priestowie, byliśmy, rzec można, młodszą odnogą. Boon miał trzech właścicieli, nie tylko nas, reprezentowanych przez dziadka i ojca, i kuzyna Ike'a McCaslina, i drugiego naszego kuzyna, Zachariasza Edmondsa (na korzyść jego ojca, McCaslina Edmondsa, kuzyn Ike zrzekł się plantacji bawełny McCaslin, kiedy skończył dwadzieścia jeden lat) – Boon należał nie tylko do nas, ale do majora de Spain i do generała Compsona, póki żył. Boon był spółką akcyjną, holdingiem, za który każdy z naszej trójki – McCaslinowie, de Spain i generał Compson – ponosił odpowiedzialność w stopniu równym, ale całkowicie nieokreślonym, a jednym i jedynym prawem spółki było, że ten, kto znajdował się w chwili kryzysu najbliżej, skakał natychmiast ku owemu wyłomowi, którego Boon dokonał czy w którym utkwiał albo po prostu w który wpadł dziedzicznie; był on (Boon) wzajemnym dobrowolnym stowarzyszeniem dla korzyści i ochrony, przy czym wszelkie korzyści miał Boon, do nas zaś należały wzajemność, dobrowolność i ochrona.

Babka jego była córką jednego ze starych Chickasawów Issetibbehy, która wyszła za mąż za białego handlarza whisky; zależnie od ilości kieliszków Boon raz twierdził, że jest co najmniej w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach Chickasawem, a jeśli chodzi o ścisłość – w prostej

linii potomkiem królewskim samego starego Issetibbehy, to znowu gotów był do bitki z każdym, kto śmiałby sugerować, iż Boon ma w sobie choć kroplę indiańskiej krwi.

Był to człowiek twardy, wierny, odważny i zupełnie nieodpowiedzialny; Wążył dwieście czterdzieści funtów, miał wzrostu sześć stóp i cztery cale i umysłowość dziecka. Mniej więcej od roku ojciec mówił, że lada chwila będę od niego bardziej dorosły.

Co prawda, chociaż był całkowicie normalnym tworem biologicznym z krwi i kości (patrz owe momenty nad kieliszkiem, kiedy nie tylko był gotów, ale nawet skory do bitki z każdym i z wszystkimi, którzy opowiedzieli się za albo przeciw niemu, zależnie od tego, jak go alkohol nastawił do własnej genealogii) i musiał gdzieś się podziwiać przez pierwsze dziewięć czy dziesięć, czy też jedenaście lat, wydawało się, że został stworzony cały i od razu w wieku dziewięciu czy dziesięciu, czy jedenastu lat przez naszą trójkę, McCaslinde Spain-Compson, jako rozwiązanie dylematu, który zaistniał pewnego dnia w obozie myśliwskim majora de Spaina.

Tak, tak, to ten sam obóz, który prawdopodobnie będziesz nazywał obozem McCaslina przez kilka lat po śmierci kuzyna Ike'a, tak samo jak my – twoi dziadkowie – nazywaliśmy go przez lata po śmierci majora de Spaina w dalszym ciągu obozem de Spaina. Ale w czasach moich ojców, kiedy major de Spain kupił, wypożyczył czy wydzierżawił te grunty (jak to tam ludzie zdobywali wiążące tytuły prawne do ziemi w Missisipi w latach 1865-1870) i zbudował domek myśliwski i stajnie, i psiarnię – był to jego obóz myśliwski; on wybierał i dobierał ludzi, których uznał za godnych polowania na zwierzynę przez niego do odstrzału przeznaczoną; w ten sposób posiadał prawa niejako do samych polujących, nie tylko do terenu łowieckiego i myśliwskiej zdobyczy – o niecałe dwadzieścia mil od Jefferson trafiały się w owych latach niedźwiedzie, sarny, wilki i jaguary

– na tych czterech czy pięciu odcinkach leżącej w dolinie rzeki puszczy, która stanowiła część przeogromnego, królewskiego marzenia starego Tomasza Sutpena, marzenia, co w końcu zniszczyło nie tylko siebie, ale i Sutpena; w owych czasach teren ten był jakby wschodnią bramą do wciąż jeszcze dziewiczych puszczy i mokradła rozciągających się na zachód od gór ku miastom i plantacjom wzdłuż Missisipi.

Głusza ta odległa była wówczas zaledwie o dwadzieścia mil od miasta; nasi ojcowie mogli wyjechać piętnastego listopada o północy z Jefferson brykami i wozami i znaleźć się na stanowisku na kozła czy niedźwiedzia przed świtem (konno jeszcze szybciej). W 1905 roku puszcza cofnęła się zaledwie o dwadzieścia mil – wozy ze strzelbami, jedzeniem i pościelą musiały wyjeżdżać o zachodzie; północna kompania budulca drzewnego zbudowała wtedy dla transportu bali bocznice, która łączyła się z główną linią kolejową i przebiegała o milę od nowego obozu majora de Spaina, no i owa kompania zrobiła tam grzecznościowo przystanek dla majora de Spaina i jego gości, a na przystanku czekały już na myśliwych wozy, które wyjechały z domu poprzedniego wieczora. Ale w 1925 roku zarysował się początek końca. Major de Spain i reszta starej gwardii przeniosła się już na tamten świat, z wyjątkiem twojego kuzyna Ike'a i Boona, no i (od Jefferson do przystanku majora de Spaina wiodła teraz żwirowana droga) ich spadkobiercy gasili teraz silniki samochodowe przy akompaniamencie dźwięku pił i huku toporów tam, gdzie jeszcze rok temu słyszało się tylko granie ogarów. Sęk w tym, że Manfred de Spain był bankierem, a nie myśliwym, jak jego ojciec; sprzedał dzierżawę, ziemię i drzewo i około roku 1940 (był to już teraz obóz McCaslina) musieli – musieliśmy – ładować co trzeba na półciężarówkę i jechać dwieście mil asfaltową autostradą, aby znaleźć skrawek głuszy wystarczający na rozbicie namiotu; chociaż w 1980 roku samochód wjeżdżający do lasu będzie równie rzadkością, jak las i głusza – unicestwione przez nie co

innego jak samochód. Ale może oni... wy... znajdziecie jeszcze głuszę po tamtej stronie Marsa czy Księżyca i może jeszcze jakiego kozła czy niedźwiedzia do strzału.

Ale wówczas, tego dnia, kiedy Boon zmaterializował się w obozie w pełnym rynsztunku oraz od razu w wieku dziesięciu, jedenastu czy dwunastu lat, major de Spain i generał Compson, i McCaslin Edmonds, i Walter Ewell, i stary Bob Legate, i kilku innych, którzy tam przyjeżdżali, mieli tylko dwadzieścia mil podróży do celu. Lecz chociaż generał Compson dowodził – i to znakomicie – jako pułkownik pod Shiloh i później – również znakomicie – jako brygadier podczas odwrotu Johnstona pod Atlantę, mimo to nie bardzo orientował się w terenie, topografii i gubił się w dziesięć minut po opuszczeniu obozu (muł, na którym lubił jeździć, przyniósłby go natychmiast z powrotem, ale generał, będąc nie tylko zaprzysiężonym konfederatem, ale również i Compsonem, kategorycznie odrzucał ewentualność przyjęcia rady od muła). Wobec tego, kiedy ostatni myśliwy wracał z rannej nagonki, natychmiast zaczynaliśmy dąć w róg na zmianę, wszyscy po kolei, dopóki generał Compson nie znalazł się wreszcie wśród nas. To wystarczało, a w każdym razie załatwiało sprawę, dopóki i słuch nie zaczął generała zawodzić. Wreszcie pewnego popołudnia Walter Ewell i Sam Fathers – pół Murzyn, a pół Indianin z plemienia Chickasawów – musieli go tropić w lesie i spędzić tam z nim całą noc, co postawiło przed majorem de Spainem konieczność wyboru pomiędzy zakazaniem generałowi opuszczania namiotu a wykluczeniem go z klubu. I wtedy właśnie, ni stąd, ni zowąd, pojawił się Boon Hogganbeck, już wtedy olbrzym, bo w wieku dziesięciu czy jedenastu lat był wyższy od generała Compsona, którego stał się niańką. Podrzutek, który nic nie miał i nic nie wiedział, znał tylko własne nazwisko – nawet kuzyn Ike nie może stwierdzić na pewno, czy to McCaslin Edmonds, czy major de Spain pierwszy znalazł Boona tam, gdzie go porzuciła jego

rodzicielka. Ike wie – pamięta – tylko to, że Boon, od razu dwunastoletni, po prostu był tam, na wsi, na terenach należących do starego Carothera McCaslina, gdzie McCaslin Edmonds chował już Ike'a jak własne dziecko, a następnie, bez chwili namysłu, wziął również Boona, jakby i on był jego dzieckiem, chociaż w owym czasie McCaslin Edmonds miał sam zaledwie trzydzieści lat.

Tak czy inaczej, w chwili kiedy major de Spain zrozumiał, że musi albo wykluczyć generała Compsona z klubu, co byłoby trudne, albo zabronić mu opuszczania obozu, co byłoby niemożliwe, i w związku z tym musi go wyposażać w coś na kształt Boona Hogganbecka, zjawiał się w krytycznym momencie ten właśnie Boon Hogganbeck we własnej osobie, sprokurowany albo przez McCaslina Edmondsa, albo może przez obydwo – Edmondsa i samego majora de Spaina. Ike pamięta takie rzeczy jak ładowanie pościeli, broni i jedzenia na wóz czternastego listopada razem z Tennie Jimem (dziadkiem tego Bobo Beauchampa, o którym zaraz ci opowiem) i Samem Fathersem, i Boonem (on, Ike, miał wtedy tylko pięć czy sześć lat, brak mu było jeszcze czterech czy pięciu, by mógł, jako dziesięciolatek, dołączyć do tamtych), i McCaslina, jadącego przodem konno do obozu, gdzie co dzień rano Boon ruszał za generałem Compsonem na drugim mule i jechał dopóty, dopóki zapewne siłą (ponieważ jako dwunastolatek był już wyższy od swego podopiecznego) nie zmusił w porę generała do obrania właściwego kierunku i powrotu do obozu przed zmrokiem. W ten to sposób generał Compson uczynił z Boona wytrawnego trapera, wiedziony zwykłym instynktem samozachowawczym, choć można powiedzieć, wbrew samemu sobie. Lecz nawet siadanie za jednym stołem i wspólne przemierzanie lasów i spanie na deszczu z samym Walterem Ewellem nie uczyniło z Boona dobrego strzelca; jedną z ulubionych gawęd obozowych była o tym, jak to Boon strzelał; Walter Ewell opowiadał, jak to tkwił na swoim stanowisku

ustawiwszy uprzednio Boona (bo stary generał Compson poszedł wreszcie do swych przodków czy też na ten biwak, na który pewno chcieli iść starzy żołnierze z owej wojny, i ci w szarych, i ci w granatowych mundurach, ponieważ nie mogło im zapewne odpowiadać nic, co by przypominało stałe miejsce zamieszkania i Boon był teraz normalnym myśliwym), jak usłyszał szczekanie psów i zrozumiał, że jelenie idzie prosto na stanowisko Boona, jak potem usłyszał pięć strzałów ze starej strzelby repetierowej (zapisał mu ją generał Compson; była w nie najlepszym stanie jeszcze za czasów generała i Walter powiadał, że ogromnie się zdziwił, iż wypaliła dwa razy, a co dopiero mówić o pięciu) i jak usłyszał głos Boona poprzez dzielące ich drzewa: – Psia kość! Ucieka! Łapaj go! Łapaj! – I tak to on, Walter, pobiegł na przełaj do stanowiska Boona i znalazł na ziemi pięć łusek od naboju, a o niecałe dziesięć kroków ślady biegnącego jelenia, którego Boon nawet nie drasnął.

Potem dziadek kupił ten samochód i Boon znalazł cel swego życia. W owym czasie był już oficjalnie (za wspólną zgodą McCaslinów-Edmondsów-Priestów, nawet bowiem McCaslin Edmonds dał za wygraną, czy też przejrzał wreszcie, kiedy Boon znowu nie przeszedł z trzeciej do czwartej klasy, a może przejrzał wówczas, kiedy zrozumiał, że choćby Boon siedział nie wiem jak długo na farmie, to i tak nigdy nie nauczy się pracy na roli) zatrudniony w naszych stajniach. Z początku wykonywał tylko grubsze roboty, karmił konie i muły, czyścił uprzęż i powozy. Ale mówiłem ci, że miał smykałkę do koni i mułów i wkrótce zaczął regularnie powozić naszymi zaprzęgami, były to powozy i breki, które wyjeżdżały na dzienne pociągi, oraz bryczki, wolanty i lekkie wózki, na których komiwojażerowie objeżdżali okoliczne sklepy wiejskie. Mieszkał teraz w mieście i tylko w te noce, kiedy i McCaslin, i Zachary wyjeżdżali, Boon spał w domu jako obrońca kobiet i dzieci. Mieszkał, powiadam, w Jefferson. To znaczy, on naprawdę miał dom – jeden

wynajęty pokój w hotelu, który za czasów mojego dziadka nazywał się Hotelem Handlowym, założonym w optymistycznym zamiarze, ale bez najmniejszych sukcesów, rywalizowania z hotelem Holston House. Był to całkiem przyzwoity hotel, w czasie sesji sądowych tam właśnie lokowano i karmiono przybyłych sędziów, tam również procesujące się strony i handlarze koni i mułów czuli się swobodniej niż po drugiej stronie miasta wśród dywanów, miedzianych spluwaczek, skórą wyściełanych krzeseł i płóciennych obrusów; za moich czasów nazywał się Hotelem Snopesa – oba esy wymalowane ręcznie od góry do dołu – gdyż pan Flem Snopes (to ten bankier zamordowany kilkanaście lat temu przez nienormalnego kuzyna, który być może nie wierzył, że Flem zamknął go w domu dla obłąkanych, ale był przekonany, że mógłby go stamtąd wyciągnąć, a w każdym razie coś w tym kierunku zrobić), otóż pan Flem Snopes zaczął wyprowadzać swoje plemię z dziczy za Sadybą Francuza i wprowadzać do miasta. Potem, w latach trzydziestych, hotel był przez krótki okres dzierżawiony przez pewną rudowłosą damę, która przybyła tu znikąd i równie nagle wróciła tam, skąd przybyła, i znany był twojemu ojcu i policji pod nazwą Małe Chicago; a teraz, kiedy okres jego świetności pozostał tylko wspomnieniem, znasz go jako pensjonat pani Rouncewell. Lecz w owych czasach był to jeszcze Hotel Handlowy – i Boon w przerwach między sypianiem na kuchennej podłodze u któregoś Compsona czy Edmondsa, czy Priesta mieszkał tam, gdy mój dziadek kupił automobil.

Dziadek wcale nie chciał automobilu – został zmuszony do jego kupna. Był bankierem, prezesem starszego Banku Jefferson, pierwszego banku w okręgu Yoknapatawpha, i wierzył zarówno wówczas, jak i do samej śmierci – do samej śmierci, powiadam, kiedy to już wszyscy inni, nawet w okręgu Yoknapatawpha, zorientowali się, że samochód jest wynalazkiem, który się utrzyma – że pojazd mechaniczny jest zjawiskiem skazanym na zagładę, podobnie jak wczorajszy muchomor i tak samo jak

grzyb zniknie z jutrzejszym słońcem. Lecz pułkownik Sartoris, prezes młodszego, grzybiastego Banku Kupców i Rolników, zmusił go do kupna. A raczej sprawił to inny niewypłacalny dłużnik, krótkowzroczny, niebieskooki geniusz od mechaniki nazwiskiem Buffaloe. Bo widzisz, samochód mojego dziadka wcale nie był pierwszy w Jefferson. (Nie liczę tu czerwonego wyścigowca E.M.F. Manfreda de Spaina, bo chociaż de Spain miał go i jeździł nim co dzień po ulicach Jefferson przez kilka lat, to ów samochód nie liczył się w naszej przyzwoitej cnotliwej społeczności bardziej niż sam Manfred, obydwaj bowiem byli niepoprawni i kawalerscy, nie miasteczkowi, ale miastowi i w ogóle nic dobrego, jak nie kończący się sobotni wieczór, i nawet kiedy Manfred został już burmistrzem Jefferson, to ten czerwony kolor stanowił nie tyle pogardliwe wyzwanie dla miasta, ile raczej bez troskie świadectwo wyrzeczenia się go).

Samochód dziadka nie był więc pierwszym, który oglądał Jefferson czy vice versa. Nie był nawet pierwszym, który się zadowił w Jefferson. Przed dwoma laty pewien samochód przyjechał tu aż z Memphis, przebywszy osiemdziesiąt mil w niecałe trzy dni. Potem zaczęło padać i samochód stał w Jefferson przez dwa tygodnie, w którym to okresie nie mieliśmy prawie wcale elektryczności, a gdyby funkcjonowanie wozowni zależało tylko od Bo ona, stanąłby również cały transport. Bo właśnie pan Buffaloe był tym jedynym człowiekiem, który się znał na obsłudze elektrowni wodnej i który nią zawiadywał, a od chwili, kiedy automobil uparł się, że dalej nie pojedzie, przynajmniej tego dnia, pan Buffaloe i Boon nie odstępowali go niczym dwa cienie, jeden duży, drugi mały – niezdarne olbrzym, pachnący amoniakiem i smarem do uprzęży, i drobny, umazany człowieczek o skórze koloru sadzy i oczach jak dwa niebieskie piórka raszki, co upadły na nieduży kawałek węgla, człowieczek, który wraz z wszystkimi swymi (i całego miasta) narzędziami w kieszeni nie ważyłby chyba stu funtów; jeden nieruchomo, z nie dowierzającą

pożądliwością, niby skamieniały byk, wpatrywał się w automobil, drugi stał nad nim tkliwie rozmarzony, dotykał go miękko, po kobiecemu, usmarowaną ręką głąskał, pieścił, a potem wsuwał się aż po biodra pod podniesioną budę.

Deszcz padał przez całą tę noc i następnego dnia również. Właściciela samochodu poinformowano i zapewniono – okazało się, że zrobił to pan Buffaloe, co było dość dziwne, zważywszy, że nikt go jeszcze nie widział na tyle daleko od elektrowni czy małego warsztatu na podwórku, by mógł znać drogi i co więcej przepowiadać ich stan – otóż poinformowano właściciela, iż drogi będą nieprzejezdne przez co najmniej tydzień, a może i dziesięć dni. Wobec tego wrócił on do Memphis pociągiem, pozostawiwszy samochód w czymś, co na każdym innym podwórku, z wyjątkiem podwórka pana Buffaloe, nazywałoby się stodołą. Nie mogliśmy też sobie wyobrazić, w jaki sposób pan Buffaloe, łagodny, cichy człowieczek, zawsze milczący, pogrążony w stanie oderwanego od życia umazanego smarem somnambulizmu – w jaki sposób, dzięki jakim hipnotycznym, dotychczas jemu samemu nie znanym umiejętnościom, namówił człowieka zupełnie obcego, by pozostawił swą kosztowną zabawkę pod jego opieką.

Ale jednak go namówił i właściciel automobilu wrócił do Memphis; od tej chwili, gdy ktoś w Jefferson miał kłopoty z elektrycznością, musiał iść albo jechać konno czy na rowerze do domu pana Buffaloe na krańcu miasta, a wówczas pan Buffaloe ukazywał mu się zza węgła, półprzytomny, rozmarzony, i wycierając ręce szedł z wolna ku niemu. A na trzeci dzień ojciec wykrył wreszcie, gdzie jest (i gdzie się dotąd podziewał) Boon w czasie, w którym powinien był pracować w naszych stajniach. Bo właśnie tego dnia sam Boon wydał tajemnicę, wygadał się gwałtownie, z namiętą wściekłością. Pomiędzy nim a panem Buffaloe doszło do zatargu, który przerodziłby się w bójkę, gdyby pan Buffaloe

– to, jak się okazało, niewyczerpane źródło niespodzianek i możliwości
– nie wyciągnął na przeciwnika pistoletu okopconego i całego w smarze,
lecz zupełnie sprawnego.

Oto, jak sprawa wyglądała według słów Boona: od samego początku akcji prowadzącej do przekazania panu Buffaloe samochodu oraz pozbycia się z miasta jego właściciela obaj konspiratorzy działali zgodnie. Boon uważał za rzecz oczywistą, iż pan Buffaloe szybko rozwikła tajemnicę kierowania samochodem, a wówczas wymkną się razem po zmroku i będą nim jeździć. Lecz ku nieprzytomnemu zdumieniu i wściekłości Boona pan Buffaloe chciał się tylko dowiedzieć, dlaczego samochód jedzie. – Zepsuł go! – mówił Boon. – Rozebrał go na kawałki, żeby zobaczyć, co jest w środku! Nigdy w życiu nie złoży go z powrotem!

Ale pan Buffaloe złożył samochód. W dwa tygodnie później właściciel samochodu wrócił, zapuścił motor i odjechał, pan Buffaloe zaś stał łagodny, upaprany smarem, rozmarzony. A w rok później zrobił swój własny samochód – wmontował silnik, biegi i wszystko, co trzeba, w dwuosobowy powozik na gumowych kołach! Tego popołudnia, zatruwając z hałasem powietrze, jechał statecznie i wcale niespiesznie przez Rynek i wystraszył parę cugowych koni pułkownika Sartorisa, które stanęły dęba i niemal doszczętnie rozwaliły powóz, na szczęście pusty. Już następnego popołudnia wpisano oficjalnie do rejestrów miasta Jefferson zarządzenie, zabraniające prowadzenia w obrębie granic miasta jakichkolwiek pojazdów napędzanych mechanicznie. Tak więc, jako prezes starszego, najstarszego banku w okręgu Yoknapatawpha, dziadek mój został zmuszony do kupna samochodu, bo inaczej prezes młodszego banku narzuciłby mu swą wolę. Rozumiesz, o co mi chodzi? Nie młodszy i starszy w towarzyskiej hierarchii miasta, a już na pewno nie rywalizujący ze sobą o pozycję, lecz bankierzy, zaprzysiężeni kapłani nieprzeniknionych i nieuniknionych tajemnic Finansów. Zdawać by się

mogło, że wbrew temu, iż dziadek przez całe życie twardo i nieugięcie przeciwstawiał się, więcej, nie chciał uznać wieku mechanizacji, było mu jednak dane u progu tej epoki ujrzeć coś, co wydało mu się koszmarem sennym: wizję wielkiej, nieogarniętej przyszłości naszego narodu, w której podstawowym elementem gospodarki i powodzenia będzie masowa produkcja pudełek na czterech kółkach z motorem w środku.

Kupił więc automobil, a Boon znalazł swą wielką namiętność, dziewiczą miłość swego prostego i niewinnego serca. Był to Winton Flyer (pierwszy, jaki on, a właściwie my, mieliśmy do czasu, kiedy dziadek wymienił go na White Steamera, bo po dwóch latach babcia zdecydowała ostatecznie, że nie znosi zapachu benzyny). Zapuszczało się motor ręcznie, stojąc przed samochodem, ryzykując najwyżej skomplikowane złamanie ręki, jeśli się nie zapomniało wyłączyć uprzednio biegów. Miał naftowe latarnie do nocnej jazdy, a kiedy zaczynało padać, pięciu lub sześciu ludzi mogło w kwadrans naciągnąć budę i boczne zasłony. Dziadek sam wyposażył go dodatkowo w naftową lampę, nową siekierkę i niewielki zwój drutu wraz z lekkim blokiem na wyjazdy poza granice miasta. Tak wyekwipowany samochód mógł jechać aż do samego Memphis (i rzeczywiście, dojechał, o czym zaraz opowiem). Poza tym my wszyscy, dziadkowie, rodzice, ciotki, kuzyni i dzieci, mieliśmy specjalne ubiory na wyjazdy samochodem, składające się z zasłon, kapuz, gogli, rękawic z mankietami oraz długich, bezkształtnych, zapiętych pod szyję szat koloru nijakiego, zwanych prochowcami, o których będę jeszcze mówił.

Pan Buffaloe dawno już nauczył Boona prowadzić ten samochód własnej roboty. Oczywiście, nie mogli korzystać w tym celu z ulic miasta Jefferson – prawdę mówiąc, nigdy już nie wyjechali za frontową bramę pana Buffaloe, natomiast z tyłu za domem leżał szmat otwartej przestrzeni, który pan Buffaloe i Boon ubili po pewnym czasie na coś, co można było nazwać gładkim (względnie) motodromem. Tak więc

w chwili, kiedy Boon z panem Wordwinem, kasjerem z dziadkowego banku (był to jeden z najbardziej wziętych kawalerów w mieście: w ciągu dziesięciu lat trzynastokrotnie proszono go na drużbę), pojechali do Memphis pociągiem i sprowadzili ten samochód (w niecałe dwa dni – rekord), Boon miał już wszelkie kwalifikacje na prezesa jeffersońskiego automobilklubu.

I wtedy – przynajmniej jeśli chodzi o marzenia Boona – dziadek unicestwił ten samochód. Kupił go, zapłacił za niego – jak to określił Boon – furę gotówki, przyjrzał mu się dokładnie niezgłębnym wzrokiem, a potem wyłączył z obiegu. Oczywiście, dziadek nie mógł go wyłączyć radykalnie – pozostawało przecież aroganckie rozporządzenie pułkownika Sartorisa, na którego tolerowanie dziadek – będąc seniorem – nie mógł sobie pozwolić, bez względu na własną opinię o pojazdach mechanicznych. Prawdę mówiąc, opinie dziadka i pułkownika były jednakowe; aż do śmierci (kiedy to cały okręg Yoknapatawpha cuchnął w dzień wyziewami benzynowymi, a w nocie – zwłaszcza sobotnie – rozbrzmiewał łoskotem uderzających o siebie zderzaków i piskiem hamulców) zarówno jeden, jak i drugi nie pożycząby centa nikomu, kogo by podejrzewał o zamiar kupienia za to automobila. Zbrodnia pułkownika Sartorisa polegała na tym, iż wziął krok przed swym seniorem, czyniąc to, czemu obydwaj przyklaskiwali – oficjalnie skazując automobile z Jefferson na banicję, nim się tam w ogóle znalazły. Rozumiesz? Dziadek nie kupił tego samochodu, by się sprzeciwić rozporządzeniu pułkownika Sartorisa. Chodziło mu po prostu o spokojne i rozmyślane zniesienie zarządzenia, choćby tylko drogą cotygodniowej symbolicznej manifestacji.

Jeszcze przed rozporządzeniem pułkownika Sartorisa dziadek przeniósł swój powóz i konie z własnej stajni za domem do powozowni, skąd babcia mogła łatwiej je sprowadzić telefonicznie, niż wołając z góry,

z okna pokoju od podwórza, ponieważ w stajniach przedsiębiorstwa ktoś zawsze odbierał telefon, Ned zaś nie zawsze odpowiadał z kuchni czy stajni, czy też z miejsca, gdzie się akurat znajdował (lub też powinien się znajdować, kiedy go babcia potrzebowała). A prawdę mówiąc, najczęściej nie było go w zasięgu żadnego głosu z babcinego domu, ponieważ jeden z nich należał do jego żony. Teraz dochodzimy do Neda. Był stangretem dziadka. Żona Neda (jego ówczesna żona, bo w ogóle miał ich cztery), Delfina, była kucharką babci. W tym okresie tylko matka nazywała go „wujkiem Nedom”. To znaczy, ona jedna żądała, byśmy my wszyscy – dzieci, to znaczy trójka, bo Aleksander nie mógł jeszcze do nikogo się zwracać żadnym imieniem – mówili do niego: wujku Ned. Nikt inny nie zwracał sobie tym głowy, nawet babcia, która przecież była również z McCaslinów, a już z pewnością nie sam Ned, który nie zasłużył na to ani powagą wieku, ani srebrem – nie żądam już bieli – resztek włosów otaczających jego łysą czaszkę (nigdy się to nie stało – to znaczy, nigdy mu włosy nie zbielały ani nawet nie posiwiały).

Kiedy umierał, mając siedemdziesiąt cztery lata, był wciąż taki sam, tyle że miał za sobą pożyte z czterema żonami). Może nawet wcale nie chciał, żeby go nazywano wujem? A więc nikt inny z wyjątkiem mamy, która przecież nie miała w sobie McCaslinowskiej krwi, nie nalegał na to. A sęk w tym, że Ned był McCaslinem, urodzonym na McCaslinowskim podwórzu w 1860 roku. Stanowił naszą tajemnicę rodzinną; odziedziczyliśmy go wraz z legendą (a nie było gorętszego tej legendy zwolennika niż sam Ned), że matka jego była naturalną córką samego starego Luciusa Quintusa Carothersa i murzyńskiej niewolnicy; Ned nigdy nie pozwolił żadnemu z nas zapomnieć, że on i kuzyn Izaak są w prostej linii wnukami starego, sławnego Lancastera, podczas gdy my, biedni Edmondsowie i Priestowie, jesteśmy tylko odrostami i odgałęzieniami wielkiego pnia – chociaż trzech z nas: ty, ja i mój dziadek,

nosi po nim imię.

Tak więc, kiedy Boon i pan Wordwin przyjechali, szopa na automobil była już gotowa – z nową podłogą i drzwiami i nowiuieńką kłódką, którą dziadek trzymał teraz w ręku obchodząc wolno samochód naokoło i oglądając go dokładnie tak samo, jak oglądał pług czy żniwiarkę, czy wóz, który kandydat na klienta banku oferował pod zastaw (klienta oglądał również). Potem skinął na Boona, żeby wprowadził automobil do garażu (och, tak, tak, wiedzieliśmy już, że tak się nazywa szopa na samochód, nawet wtedy, w 1904 roku, nawet w Missisipi).

– Co? – spytał Boon.

– Wprowadź go do środka – powiedział dziadek.

– Czy pan się nim nie przejedzie? – spytał Boon.

– Nie – odparł dziadek. Boon wjechał do garażu i (już sam) wyszedł z powrotem. Na twarzy jego malowało się zdumienie, teraz – wstrząs, wysiłek, by się domyślić przyczyny, niemal strach. – Czy jest do niego jakiś klucz? – spytał dziadek.

– Co? – zawołał Boon.

– Jakaś szpilka. Haczyk. Coś, czym się zapala motor. Boon powolnym ruchem wyciągnął coś z kieszeni i włożył dziadkowi do ręki. – Zamknij drzwi! – rozkazał dziadek i sam podszedł, i zatrzasnął nową kłódkę na skoblu, a klucz od niej również włożył do kieszeni. Boon teraz toczył ze sobą walkę. Przeżywał kryzys, sprawa wyglądała rozpaczliwie. Ja, cała nasza gromadka, pan Wordwin, babcia, Ned, Delfina i wszyscy pozostali, czarni i biali, którzy się akurat znaleźli na ulicy, gdy podjechał samochód, patrzyliśmy, jak ją będzie wygrywał, a przynajmniej jak stoczy wstępną walkę.

– Wrócę po obiedzie, żeby panna Sara (to babcia) mogła się przejechać. Koło pierwszej. Mogę przyjść wcześniej, jeśli o pierwszej będzie za późno.

– Poślę wiadomość do stajni – odparł dziadek. Teraz już zaczynała się akcja na dużą skalę, nie żadne tam drobne potyczki zwiadowców. Mogła przynieść albo wygraną, albo klęskę; trzeba się było znać na organizacji tyłów i zaopatrzenia, na topografii, umieć manewrować, zadawać i odparowywać ciosy, wyprowadzać przeciwnika w pole. Przede wszystkim jednak trzeba było mieć cierpliwość i zdolność przewidywania. Trwało to przez następne trzy dni aż do soboty. Boon wrócił do powozowni, przez całe popołudnie trzymał się w pobliżu telefonu, choć nie robił tego ostentacyjnie, no i oczywiście niczego po sobie nie okazywał; wykonywał nawet swoją robotę – tak przynajmniej sądzono, dopóki ojciec nie stwierdził, że Boon wysłał w swoim zastępstwie Lustera z końmi na popołudniowy pociąg, którego przyjazd (chyba że się spóźnił) zawsze wypadał w momencie, gdy dziadek wychodził już z banku. Lecz choć walka wciąż trwała, wymagając, i to bezapelacyjnie, stałej czujności i napięcia, nie był to bowiem pociąg, który może iść siłą rozpędu, Boon wciąż miał nadzieję, wciąż wierzył w wygraną. – Tak, tak, wysłałem Lustera. To miasto tak się rozrasta, że niedługo będziemy musieli wysyłać dwa powozy na pociąg, a ja już od dłuższego czasu planuję Lustera na drugiego stangreta. Niech się pan nie martwi, dopilnuję go.

Ale nie było telefonu. Koło szóstej nawet Boon uznał, że już na dzisiaj nie ma nadziei. Lecz walka trwała, jeszcze nic straconego; w ciemnościach mógł nawet przegrupować siły. Następnego ranka około dziesiątej Boon wszedł... weszliśmy do banku, ot, tak, jakby przypadkiem. – Niech mi pan da klucze – powiedział do dziadka. – Przecież on ma pod brzuchem wszystkie kurz i błoto Missisipi i Tennessee. Wezmę ze sobą szlauch ze stajni na wypadek, gdyby Ned zapodział gdzieś pański.

Dziadek patrzył na Boona, tylko na niego, przyglądał mu się bez pośpiechu, jakby Boon był w rzeczywistości kimś, kto przyjechał z wozem czy belą siana w zastaw za piętnaście dolarów. – Nie chcę, żeby

mi garaż zamókł w środku – powiedział dziadek. Lecz Boon sprostował mu, równie obojętny i niezaangażowany, może nawet bardziej niż dziadek powolny i niespieszny.

– To przecież jasne. Niech pan pamięta, co tamten jegomość powiadał, że motor powinien codziennie chodzić. Nie żeby gdzieś jeździć – tyle żeby świece i magneto nie zardzewiały, bo nowe by pana kosztowały dwadzieścia albo dwadzieścia pięć dolarów i trzeba by je sprowadzać taki kawał z Memphis albo skądś tam, może nawet z samej fabryki. Ja tam panu nie wytykam, wiem tylko to, co tamten mówił, i myślę, że trzeba mu wierzyć. Ale pan może sobie pozwolić na wyrzucanie pieniędzy. Pan jest właścicielem samochodu. Jak pan chce, żeby zardzewiał, to pańska sprawa, nie moja. Z koniem byłoby inaczej. Nawet jakby pan dał za konia mniej niż sto dolarów, toby mi pan kazał wyprowadzać go za dnia ze stajni i lonżować, żeby mu bebechy nie zapleśniały. – Bo dziadek był dobrym bankierem i Boon zdawał sobie z tego sprawę, że dziadek nie tylko wie, kiedy z miejsca odrzucić propozycję, ale też kiedy pójść na ugodę, a nawet się wycofać. Wsunął rękę do kieszeni i wręczył Boonowi dwa klucze – jeden od kłódki, a drugi od samochodu. – Chodźmy – rzekł Boon zawracając z miejsca.

Kiedy jeszcze szliśmy ulicą, słyszeliśmy, jak babcia krzyczy na Neda z górnego okna od podwórza, ale nim doszliśmy do bramy, umilkła. Kiedy przechodziliśmy przez podwórze, żeby wziąć szlauch, Delfina wyjrzała z kuchni. – Gdzie Ned? – spytała. – Wołamy go całe rano. Czy jest tam u was w powozowni?

– Na pewno – odparł Boon. – Powiem mu. Ale radzę ci, nie spodziewaj się, że przyjdzie. – Ned był tam, oczywiście. On i moi dwaj bracia wyglądali jak trzy schodki, gdy tak stali, próbując zajrzeć do garażu przez szpary w drzwiach. Myślę, że gdyby Aleksander potrafił chodzić, to i on byłby przy garażu. Nie wiem, dlaczego ciotka Callie dotychczas o tym nie

pomyślała. No i w następnej chwili zjawił się Aleksander. Matka wyszła z naszego domu po przeciwnej stronie ulicy, niosąc go w ramionach. Więc pewno ciotka Callie jeszcze pierze pieluszki. – Dzień dobry, pani Alison – powiedział Boon. – Dzień dobry, pani Saro – ponieważ teraz pojawiła się i babcia, a za nią Delfina. Po chwili ukazały się jeszcze dwie inne damy, sąsiadki, w porannych czepeczkach. Bo widzisz, chociaż Boon nie był bankierem ani nawet dobrym kupcem, dowiódł teraz, że znakomicie potrafi prowadzić wojnę podjazdową. Podeszedł do drzwi garażu i otworzył je. Ned pierwszy znalazł się wewnątrz.

– Hej, ty! – zawołał Boon. – Siedzisz tu od świtu i zaglądasz przez szparę. Co o nim myślisz?

– Nic o nim nie myślę – odparł Ned. – Sześć mógłby kupić za tę kupę pieniędzy, za te dwieście dolarów, najlepszego konia w okręgu Yoknapatawpha.

– Nie ma w okręgu Yoknapatawpha koni po dwieście dolarów – odparł Boon – a gdyby były, to można by ich kupić dziesięć za ten automobil. Idź i przymocuj szlauch.

– Idź, Lucius, i przymocuj szlauch – powiedział do mnie Ned; nawet się nie obrócił. Podeszedł do drzwiczek automobilu i otworzył je. Były to drzwiczki do tylnych siedzeń, w owych czasach przednie siedzenia nie miały drzwi – po prostu wchodziło się na stopień i do środka.

– Niech pani wsiada, pani Saro i pani Alison – zwrócił się do mamy i babci. – Delfina może zaczekać z dziećmi na następną przejażdżkę.

– Idź i przymocuj ten szlauch, jak ci powiedziałem – powtórzył Boon. – Muszę najpierw wyprowadzić samochód, dopiero potem będzie się można nim rozporządzać.

– Ale nie będzie go pan wypychał rękami, co? Chyba taki kawałek mogę podjechać. Widzi mi się, że to ja będę musiał nim powozić, więc im wcześniej zacznę, tym szybciej się nauczę. – Potem powiedział: – Hi,

hi, hi!

– a później: – Proszę wsiadać, pani Saro.

– Boon, czy można? – spytała babcia.

– Można, proszę pani – odparł Boon. Babcia z mamą wsiadły. Nim Boon zdążył zamknąć drzwiczki, Ned znalazł się już na przednim siedzeniu.

– Wynoś się stąd – powiedział Boon.

– Niech pan robi, co trzeba, i zajmuje się tym, co do pana należy, jeśli pan umie – odparł Ned. – Nie będę niczego dotykał, póki się nie nauczę, a przez to, że tu siedzę, jeszcze mi nic do głowy nie wlezie. No dalej, niech pan tam mu przykręci, co trzeba.

Boon podszedł do siedzenia kierowcy, ustawił biegi, przekręcił włączniki, podszedł do przodu samochodu i zakręcił korbą. Za trzecim obrotem motor zaryczał.

– Boon! – krzyknęła babcia.

– Wszystko w porządku, proszę pani! – Boon przekrzykiwał hałas motoru, biegnąc do koła sterowniczego.

– Co z tego! Wsiadaj szybko! Ja się już denerwuję! – Boon wsiadł, uciszył motor i przesunął dźwignię; w następnej chwili automobil ruszył cicho i powoli do tyłu, wysuwając się z szopy na trawę, po czym stanął.

– Hi, hi, hi! – powiedział Ned.

– Uważaj, Boon – mówiła babcia. Widzę jeszcze jej dłoń zaciśniętą mocno na górnym poprzecznym drążku, na którym rozpięto się budę.

– Dobrze, proszę pani – odparł Boon. Automobil ruszył znowu do tyłu, zaczynając skręcać. Potem ruszył do przodu, skręcając w dalszym ciągu; ręka babci zaciskała się wciąż na drążku. Twarz mamy była jak twarz małej dziewczynki. Wolno i spokojnie samochód przejechał przez cały teren powozowni, aż wreszcie dojechał do bramy prowadzącej na drogę, w świat; tam się zatrzymał. A Boon nie odezwał się ani słowem; siedział

tylko za kierownicą, motor zaś pracował spokojnie i gładko. Głowę zwrócił lekko ku babci, by mogła widzieć jego twarz. Och, zapewne nie był jak dziadek mędrcelem w sprawach bankowych, a żył w Jefferson ludzie, którzy powiedzieliby, że w ogóle niczym nie był, lecz jeśli idzie o tę potyczkę, okazał się szermierzem nieprzeciętnie zdolnym i zręcznym. Babcia siedziała tak może z pół minuty. Potem wciągnęła głęboko oddech i odepchnęła od siebie pokusę.

– Nie – powiedziała. – Musimy poczekać na pana Priestę.

Może to nie było zwycięstwo, ale w każdym razie nasze siły – to znaczy Boon – nie tylko odkryły słaby punkt w nieprzyjacielskim (dziadkowym) froncie, lecz przy kolacji tego samego dnia sam nieprzyjaciel również go dostrzegł.

Dostrzegł, że przeciwnik zaszedł go z flanki. Następnego dnia po południu (w sobotę) po zamknięciu banku i każdego następnego sobotniego popołudnia, a potem, kiedy nadeszło lato, każdego popołudnia z wyjątkiem, kiedy lało, dziadek siadał z przodu przy Boonie, a reszta, my wszyscy po kolei: babcia, mama, ja i moi trzej bracia, i ciotka Callie, która nas wszystkich wyniańczyła, ojciec i Delfina, i nasi najrozmaitsi znajomi i sąsiedzi, i najbliższe przyjaciółki babci – w niezmiennym i zawsze tym samym ekwipunku: płóciennych prochowcach i goglach – jechaliśmy ulicami Jefferson i po okolicznych drogach. Ciotka Callie i Delfina jechały, kiedy przysła na nie kolej, ale nie Ned. Ten jechał samochodem tylko raz – przez tę jedną minutę, kiedy wyjeżdżał powoli tyłem z garażu i przez te dwie minuty, kiedy powoli zakręcał i przejeżdżał przez całą parcelę, aż wreszcie babcia nie wytrzymała i powiedziała „nie” wobec otwartej bramy i dalekiego świata. Ten jeden raz. Do następnej soboty zrozumiał, uznał – a w każdym razie przyjął za pewnik, że nawet gdyby dziadek chciał kiedykolwiek uczynić go oficjalnym opiekunem i kierowcą samochodu, on mógłby doń wsiąść tylko po trupie Boona. Ned zatem

nie uznawał oficjalnie faktu, iż samochód znajduje się na naszym terenie, znalazł jednak wspólnie z dziadkiem jakąś nieokreśloną dżentelmeńską płaszczyznę w tej sprawie; Ned nigdy nie mówił z pogardą czy drwiną o posiadaniu samochodu czy jego istnieniu, dziadek zaś nigdy nie polecał Nedowi myć i pucować samochodu tak jak powozu. Zarówno dziadek, jak i Ned wiedzieli, że Ned odmówiłby wykonania tego rozkazu, nawet gdyby mu Boon pozwolił umyć samochód. W ten sposób dziadek nałożył na Neda jedyną karę za jego odszczepieństwo: nie dał mu publicznej okazji odmowy umycia samochodu, zanim Boon zdążyłby mu tego publicznie zabronić.

Bo właśnie wtedy Boon przeniósł się – został przeniesiony za obopólną i natychmiastową zgodą – z dziennej zmiany w powozowni na nocną. Gdyby nie ta zmiana, firma nie oglądałaby go wcale. Ta część naszej miejscowej klasy niepracującej, przyjaciele i znajomi ojca, a może po prostu przyjaciele koni, którzy mogliby podawać naszą firmę jako stały adres urzędowania (gdyby prowadzili jakiekolwiek interesy czy oczekiwali jakiegokolwiek poczty), częściej się tu pojawiała niż Boon. Jeśli Boon był potrzebny, to znaczy, jeśli ojciec go potrzebował, posyłał mnie do dziadków, gdzie Boon mył albo wycierał do glansu samochód; robił to nawet przez owe pierwsze tygodnie, kiedy auto nie wyjeżdżało poza bramę od ostatniej soboty i nie miało wyjechać przed następną sobotą. Wyprowadzał co rano samochód tyłem z garażu i mył go najczulej, pochłonięty tym zajęciem – zmywał najdrobniejszą nakrętkę i każdą szprychę – a potem siadał przy nim i pilnował, aż wyschnie.

– Zmyje z niego całą farbę – powiedział pan Ballott. – Czy Szeff wie, że on polewa ten samochód wodą ze szlauchu przez cztery czy pięć godzin dziennie?

– Cóż z tego, że się dowie – odparł ojciec. – Boon i tak będzie siedział przy samochodzie cały dzień i gapił się weń jak sroka w gnata.

– Niech pan go przeniesie na nocną zmianę – poradził pan Ballott.
– Wtedy będzie mógł robić, co tylko zechce, przez cały dzień, a John Powell, dla odmiany, będzie mógł wracać wieczorem do domu i spać we własnym łóżku.

– Właśnie go przeniosłem – odparł ojciec. – Tylko żebym mógł znaleźć kogoś, kto pójdzie i mu to powie.

W składzie z uprzężą był materac wypchany suchymi liśćmi kukurydzy, na którym dotychczas sypiał John Powell albo jeden z podległych mu woźniców czy stajennych, głównie na wypadek pożaru. Ojciec kazał teraz wstawić pryczę z materacem do kantoru, gdzie Boon mógł się trochę przespać, czego bardzo potrzebował, bo wolno mu już było bezkarnie spędzać całe dnie u dziadka, gdzie albo mył automobil, albo też po prostu wpatrywał się w ścianę.

Tak więc teraz każdego popołudnia upychało się nas po kolei tyle, ile się mogło pomieścić na tylnym siedzeniu, i jechaliśmy przez Rynek i za miasto. Dziadek zainstalował już dodatkowy hamulec, który stał się równie nieodłączną częścią wyposażenia automobilu jak motor, który go poruszał.

Ale zawsze najpierw na Rynek. Myślałbyś pewno, że zakupiwszy automobil dziadek zrobi to, co ty byś zrobił zakupiwszy w tym celu automobil: zaczął się na pułkownika Sartorisa i jego powóz, a potem wyskoczy na niego i da mu porządną nauczkę za wydawanie zarządzeń ograniczających cudze prawa i przywileje bez uprzedniego naradzenia się z ludźmi wyżej postawionymi. Ale dziadek nie uczynił nic podobnego. Zrozumieliśmy wreszcie, że bynajmniej nie interesuje się pułkownikiem Sartorisem; interesuje się pojazdami, zaprzęgami. Bo mówiłem ci już, że był to człowiek o szerokich horyzontach, człowiek, który umiał przewidywać. Babcia siedziała sztywna i napięta, ściskając poprzeczny drążek, i nawet nie mówiła do dziadka: panie Priest, jak zawsze, odkąd

możliśmy sięgnąć pamięcią, ale zwracała się doń po imieniu, jakby nie należała do rodziny; potem woźnica pojazdu, do którego się zbliżaliśmy, zaczynał ściągać konie, a one czasem przysiadły na zadach i babcia mówiła: – Lucius! Lucius! – a dziadek (jeśli konie prowadził mężczyzna i w bryczce czy na wozie nie było kobiet ani dzieci) zwracał się spokojnie do Boona:

– Nie zatrzymuj się. Jedź. Ale powoli. – A jeśli kobieta powoziła, kazał Boonowi stawać, wysiadał z samochodu, przemawiał cicho i spokojnie do wystraszonych koni, aż wreszcie mógł je ująć przy pysku i przeprowadzić koło samochodu, a potem zdejmował kapelusz i kłaniał się damom w powoziku i wracał, i siadał znowu na siedzeniu z przodu i dopiero wtedy odpowiadał babci: – Musimy ich do tego przyzwyczaić. Kto wie? W ciągu najbliższych dziesięciu czy piętnastu lat może się pojawić drugi samochód w Jefferson.

W rzeczy samej owo cudo domowej roboty, które pan Buffaloe stworzył przed dwoma laty własnymi rękoma na własnym podwórzu, niemal wyleczyło dziadka z przyzwyczajenia, jakie miał od dziewiętnastego roku życia. Mianowicie żuł tytoń. Kiedy po raz pierwszy obrócił głowę, by splunąć w jadącym samochodzie, my tam, na tylnym siedzeniu, nie zdawaliśmy sobie sprawy, co się za chwilę stanie, a potem było już za późno. Bo też skąd mogliśmy to wiedzieć. Nikt z nas nigdy jeszcze w życiu nie jechał automobilem dalej niż od garażu do bramy (była to nasza pierwsza wyprawa), nie mówiąc już o poruszaniu się z szybkością piętnastu mil na godzinę (bo, widzisz, tu znowu jest coś jeszcze: kiedy robiliśmy dziesięć mil na godzinę, Boon twierdził, że robimy dwadzieścia; przy dwudziestu mówił, że to czterdzieści; wynaleźliśmy za miastem prosty odcinek drogi, mniej więcej półmilowy, gdzie automobil osiągał dwadzieścia pięć mil na godzinę; słyszałem, jak Boon opowiadał później kilku mężczyznom na Rynku, że jechaliśmy tam z szybkością

sześćdziesięciu mil na godzinę; było to, zanim jeszcze stwierdził, że my wiemy, iż to coś na desce rozdzielczej, co przypomina manometr, to jest szybkościomierz), więc skądże mogliśmy wiedzieć? Zresztą dla reszty z nas był to naprawdę drobiazg bez znaczenia. Mieliśmy na sobie gogle, prochowce i chustki, i chociaż prochowce były nowe, cóż tam znaczą na nich jakieś brązowe plamy i plamki, a poza tym, choć nazywają się prochowce, mogą nas chyba chronić nie tylko przed kurzem. Może stało się to dlatego, że babcia siedziała z lewej strony (w owych czasach kierowało się samochodem siedząc po prawej stronie, tak jak w powozie; nawet Henry Ford, człowiek równie przewidujący jak dziadek, nie przeczuł jeszcze, że kierownica znajdzie się po lewej stronie), tuż za dziadkiem. Powiedziała natychmiast do Boona: – Zatrzymaj automobil – i siedziała bez ruchu, nie tyle wściekła, ile zimno, nieprzejednanie oburzona i wstrząśnięta. Miała wtedy pięćdziesiąt lat (skończyła piętnaście, kiedy wyszła za męża za dziadka) i przez całe te pięćdziesiąt lat tak samo nie mogła sobie wyobrazić, by jakkolwiek mężczyzna, nie mówiąc już o jej mężu, plunął jej w twarz, jak, na przykład, by Boon zbliżył się do zakrętu nie zatrąbiwszy uprzednio. Powiedziała w powietrze, do nikogo – nie podniosła nawet ręki, by otrzeć ślinę.

– Proszę mnie zabrać do domu.

– Ależ Saro! – mówił dziadek. – Ależ Saro! – Wyrzucił prymkę i wyciągnął czystą chusteczkę z drugiej kieszeni, lecz babcia nie chciała jej nawet tknąć. Boon zaczął już wyłazić z samochodu, żeby iść do pobliskiego domu i przynieść miskę wody, mydło i ręcznik, lecz babcia i tego nie chciała.

– Proszę mnie nie dotykać – powiedziała. – Jedź dalej. Pojechaliśmy więc dalej, babcia z wysychającą długą brązową plamą przez jeden okular i wzdłuż policzka, mimo iż matka ustawicznie proponowała, że napluje na swoją chusteczkę i obetrze jej twarz. – Zostaw mnie w spokoju, Alison

– brzmiała odpowiedź.

Ale matka była inna. Nie przejmowała się prymką, w każdym razie nie w samochodzie. Może dlatego właśnie? Dość, że coraz częściej i częściej tego lata na tylnym siedzeniu jechała tylko matka i my, i ciotka Callie, i jedno czy dwoje dzieci sąsiadów. Mama miała twarz zarumienioną, rozjaśnioną, ożywioną, jak mała dziewczynka. Bo mama wymyśliła coś w rodzaju osłony na rączce – przypominało to wielki rozłożony wachlarz, na tyle lekki, że zdążyła go podnosić przed nami z tą samą szybkością, z jaką dziadek obracał głowę. Mógł więc teraz żuć, bo matka zawsze była czujna i gotowa, a i my zrobiliśmy się bardzo zwrotni, tak iż zanim jeszcze dziadkowi przyszła ochota obrócić głowę na lewo i splunąć, podnosiła się osłona, a my wszyscy na tylnym siedzeniu przechylaliśmy się w prawo, jak pociągnięci za sznurek, a wszystko to jadąc – naprawdę – z szybkością dwudziestu i dwudziestu pięciu mil na godzinę, bo tego lata pojawiły się w Jefferson jeszcze dwa samochody; same automobile wyrównywały i ubijały drogi, póki reprezentowany przez nie kapitał nie zaczął wymagać gładszych gościńców.

– Za dwadzieścia pięć lat nie będzie w tym kraju drogi, po której nie mogłabyś przejechać samochodem w każdą pogodę – powiedział dziadek.

– A czy to nie będzie wymagać wielkich pieniędzy, proszę ojca? – spytała matka.

– Ogromnych pieniędzy – odparł dziadek. – Budowniczości dróg zaczynają wystawiać obligacje. Bank będzie je kupował.

– Nasz bank? – spytała matka. – Będzie kupował obligacje samochodowe?

– Tak – odparł dziadek. – Będziemy je kupowali.

– Ale co z nami? To znaczy... co z Maurym?

– Będzie w dalszym ciągu prowadził powozownie – odparł dziadek.

– Tylko pod zmienioną nazwą. Może: Garaże Priesta albo Kompania

Samochodowa Priesta. Ludzie zapłacą każdą cenę za ruch. Będą się na to zapracowywać. Popatrz na rowery. Spójrz na Boona. Trudno to zrozumieć.

Potem przyszedł następny maj i mój drugi dziadek, ojciec matki, umarł w Bay St. Louis.

III

Była znowu sobota. Dokładnie mówiąc, następna; Ludus miał znowu otrzymywać pensję co sobota wieczór; może już nawet przestał pożyczać muły. Dochodziła ósma – nie zdążyłem jeszcze obejść połowy Rynku z rachunkami za przewóz i płóciennym woreczkiem, w którym nosiłem pieniądze. Właśnie załatwiałem Skład Farmerski, kiedy Boon wszedł szybkim krokiem, o wiele, jak na niego, za szybkim. Powinienem był od razu zacząć coś podejrzewać. Więcej: powinienem był się od razu domyślić, znając Boona od najwcześniejszego dzieciństwa, a poza tym patrząc przez ostatni rok, co on wyrabia z tym samochodem. Wyciągnął rękę po worek z pieniędzmi i zabrał mi go z ręki, nim zdążyłem zacisnąć dłoń.

– Zostaw to wszystko – powiedział – i chodź.

– Zaczekaj – protestowałem. – Przecież dopiero zacząłem.

– Powiedziałem: zostaw to. Szybko! Spiesz się. Muszą zdążyć na dwudziesty trzeci – mówił zawracając na pięcie. Zignorował całkowicie niezapłacone rachunki za przewóz. To były tylko papiery – kompania kolejowa miała takich bez liku. Ale w woreczku były pieniądze.

– Kto musi zdążyć na dwudziesty trzeci? – spytałem. Dwudziesty trzeci to numer przedpołudniowego pociągu jadącego rano na Południe. O, tak, Jefferson miało już wówczas pociągi pasażerskie i to tyle, że musieliśmy je ponumerować, by wiedzieć, o którym mowa, – Psiakość – zaklął Boon – jakże ja mam cię o tym delikatnie zawiadomić, kiedy ty nawet nie chcesz słuchać? Wczoraj wieczór umarł twój dziadek. Musimy się spieszyć.

– Nieprawda! – powiedziałem, krzyknąłem. – Stał na ganku od frontu, kiedy przechodziliśmy rano. – Nie kłamałem. Widzieliśmy go obaj – ojciec i ja; czytał gazetę albo stał czy też po prostu siedział, tak jak to robił co rano, czekając, aż przyjdzie pora ruszać do banku.

– A kto, u licha, mówi o Szefie? – zaperzył się Boon. – Umarł twój drugi dziadek, ojciec twojej matki, z Jackson czy Mobile, czy skądś tam.

– Och! Nie widzisz nawet różnicy między Bay St. Louis i Mobile? – zgorszyłem się. Bo to już było w porządku. To było co innego. Bay St. Louis znajdowało się o trzysta mil, a ja niemal nie znałem dziadka Lessepa, widziałem go zaledwie dwa razy na Boże Narodzenie w Jefferson i trzy razy, kiedy pojechaliliśmy tam, do nich, w lecie. A poza tym – dziadek był już od dawna chory.

Odwiedziliśmy go, to znaczy my i mama, w zeszłym roku w lecie akurat wtedy, kiedy kładł się do łóżka, z którego miał się już nigdy nie podnieść, chociaż wówczas nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy (mama z ciotką Callie, bo twój wujeczny dziadek Aleksander urodził się miesiąc przedtem, pojechały jeszcze do dziadka zeszłej zimy, kiedy już sądzono, że umiera). Mówię „nie zdawaliśmy sobie sprawy”, mając na myśli matkę – bo dla dziecka starsza osoba, która zaczyna chorować, automatycznie rozstaje się z życiem; konkretna śmierć oczyszcza tylko, że tak powiem, atmosferę, lecz nie jest zdolna zmienić czegoś, co już się dokonało.

– No dobra, dobra – mówił Boon. – Ale już chodź. Mniejsza o to, Jackson, Mobile czy New Orleans, wiem tylko, że to gdzieś w tamtym kierunku, zresztą gdziekolwiek by było, oni muszą zdążyć na pociąg. I ta nazwa – New Orleans – nie tyle rzucona niedbale, ile ukryta w kontekście, powinna mi była powiedzieć wszystko, ukazać nieczne marzenie Boona, jego zamiar, postanowienie; późniejsze przemyślane machinacje, by mnie dla swego planu pozyskać, powinny je tylko potwierdzić. Lecz może przychodziłem do siebie po wstrząsie; poza tym w owej chwili nie

miałem jeszcze tylu danych, ile miał Boon. Wobec tego szliśmy naprzód, ja podbiegając truchtem, by dotrzymać Boonowi kroku, i najkrótszą drogą na skos przez Rynek doszliśmy do domu.

Ogromne tam panowało zamieszanie. Pociąg odchodził już za dwie godziny i matka zbyt była zajęta, by mieć czas na rozpacz i żalobę; sprawnie szykowała wszystko do wyjazdu, skupiona i blada. I dopiero teraz dowiedziałem się tego, co Boon powtarzał mi już dwukrotnie w drodze – że dziadek i babcia również jadą na pogrzeb dziadka Lessepa. Obaj moi dziadkowie dzielili wspólną sypialnię, studiując na tym samym roku na uniwersytecie, potem byli sobie nawzajem družbami na weselach, co, być może, miało niejaki wpływ na fakt, że mama i ojciec wybrali się nawzajem spośród wszystkich innych ludzi na świecie, by sobie do końca życia patrzeć w oczy (zdaje się, że ty to teraz nazywasz chodzeniem ze sobą); babcia zaś i babcia Lessep wystarczająco długo mieszkały z dala od siebie, by zawsze okazywać uprzejmość, a nawet życzliwość drugiej matce swego jedynego dziecka. Poza tym ludzie w owych czasach traktowali pogrzeby bardzo poważnie. Nie śmierć; śmierć była rzeczą, zwykłą i powszednią: nie znałeś rodziny, której kroniki nie byłyby poznaczone kamieniami nagrobnymi, upamiętniającymi tych, co okres ziemskiej dzierżawy mieli tak krótki, że nie zdążyli nawet otrzymać imienia – chyba, oczywiście, że i matka spała w tym wspólnym grobie, co zdarzało się tak często, że aż żal myśleć. A nie mówię już o mężach, wujach i ciotkach zmarłych w dwudziestych, trzydziestych czy czterdziestych latach życia, i dziadkach, i bezdziejnych stryjecznych dziadkach i babkach, którzy w owych czasach umierali w domu, w tych samych pokojach i łózkach, w jakich się rodzili, nie w żadnych tam klitkach o eufemistycznych nazwach wywodzących się od zachodu słońca. Ale pogrzeby, rytualne ceremonie pochówku, miały subtelne, lecz mocne jak stal powiązania, które sięgać mogły jeszcze dalej i ważyć jeszcze więcej niż odległość

między Jefferson i Zatoką Meksykańską.

A więc dziadek i babcia jechali również na pogrzeb. Oznaczało to przypadkowo, że my – ja i moi trzej bracia, i ciotka Callie – nie mając żadnej rodziny w Jefferson, zostaniemy z konieczności wysłani na farmę kuzyna Zachariasza Edmonsa, siedemnaście mil za miasto, dopóki ojciec i matka nie wrócą; oznaczało to – również przypadkowo – że ojciec i matka wyjeżdżają na cztery dni. A w rzeczywistości oznaczało to jeszcze, że dziadek z babcią nie wrócą nawet po czterech dniach. Zawsze kiedy dziadek wyjeżdżał z Jefferson, choćby tylko do Memphis, spędzał po drodze kilka dni w swoim ukochanym New Orleans. Tym razem wracając z Bay St. Louis może nawet zabiorą tam ze sobą matkę i ojca. Znaczyło to, jednym słowem – Boon powtórzył mi to już dwa razy w pełnym uniesienia i niedowierzania oszołomieniu – że właściciel samochodu oraz wszyscy inni, którzy mają do niego prawa czy też do nich pretendują, będą przebywać o trzysta mil stąd przez cztery dni do tygodnia. Tak więc wszystkie jego niezdarne machinacje, by mnie nakłonić do złego i skorumpować, były tylko konsekwencją, nie żadnym bakszyszem czy reklamowym podarkiem. Przecież mógłby wziąć samochód sam, gdybym się okazał nieprzekupny, i wzięłyby go niewątpliwie, wiedząc doskonale, że pewnego dnia musi nim przyjechać z powrotem czy też sam wrócić i ponieść karę; mniejszą, gdyby sam wrócił, niż wówczas, gdyby schwytała go wysłana przez dziadka policja. Gdyż Boon tak czy tak musiał wrócić. Gdzież mógłby pójść on, który nie miał innego miejsca na świecie, on, dla którego słowa: Jefferson, McCaslin, de Spain, Compson – nie oznaczały tylko domu, lecz po prostu matkę i ojca razem? Lecz jakiś strzęp, łachman rozsądku, embrionalny promyk prostej a dziewiczej roztropności i rozważli nakazały mu zmierzyć się najpierw ze mną, by mnie zdobyć jako coś w rodzaju zakładnika. I nie musiał mnie wcale poddawać z początku jakiejś próbie, badać. Kiedy ludzie dorośli mówią o niewinności dzieci, nie mają

pojęcia, o czym mówią. Jak ich przycisnąć, powiadają: no dobrze, więc niech będzie nieświadomość. Ani jedno, ani drugie. Nie istnieje zbrodnia, jakiej by od dawna nie imaginował sobie jedenastoletni chłopiec. Cała jego niewinność polega na tym, że nie doszedł jeszcze odpowiedniego wieku, by pożądać owoców tej zbrodni, a to nie jest niewinność, lecz brak apetytu; nieświadomość jego polega na tym, że nie wie, jak ją popełnić, a to nie jest nieświadomość, lecz brak fizycznych możliwości.

Boon jednak nie wiedział o tym. Musiał mnie nakłonić do złego – a miał tak mało czasu: od odjazdu pociągu do zmroku. Mógłby spokojnie rozpocząć grę jutro, pojutrze lub każdego innego dnia aż do środy. Lecz dzisiejszy dzień był najlepszy – całe Jefferson będzie oglądać samochód w ruchu, jako nieodzowny element wyjazdu. Jakby sami bogowie zsyłali mu te pełne, krągłe godziny pomiędzy jedenastą minut dwie i zmrokiem – nie mógł nimi wzgardzić, nie mógł ich odrzucić na swoją własną zgubę. Samochód zajechał – dziadek i babcia siedzieli już w środku z pudłem od butów pełnym pieczonych kurczaków i jajek na twardo, i ciasta na obiad, bo wagon restauracyjny mieli dopiero po przesiadce na pociąg z miejscówkami o pierwszej, a zarówno matka, jak i babcia zbyt dobrze znały dziadka i ojca, by nie wiedzieć, że ci dwaj nie będą czekać na obiad do pierwszej, choćby nie wiem kto umarł. Zresztą i babcia też by nie czekała, gdyby ta śmierć dotknęła kogokolwiek innego niż mamę. Nie, to nie tak; babcia liczyłaby się nie tylko z własną synową; chyba wystarczyło, że mama była kobietą. To nie mężczyźni dają sobie radę ze śmiercią; oni się tylko opierają, próbują kontratakować i w rezultacie padają z roztrzaskaną głową, podczas gdy kobiety szybko ją otaczają i omotują, tworząc z nią miękkie, ustępliwy sojusz, niby kłęb waty czy pajęczyny, wyjądlony i unieszkodliwiony, nie tylko zredukowany co do wielkości, ale używalny lub wręcz przydatny, jak znajomość z ubogim kawalerem czy starą panną, których zawsze można zaprosić, by zapełnili

wolne miejsce przy stole, czy sprowadzić na obiad, kiedy inny gość zawiódł. Walizki dziadków już przytroczono do błotników, Son Thomas wynosił bagaże matki i ojca na ulicę, a my wszyscy szliśmy za nim: matka w czarnym welonie i ojciec z czarną opaską na rękawie, dalej my, dzieci, i ciotka Callie niosąca na rękach Aleksandra. – Do widzenia – powiedziała matka – do widzenia – i całowała nas przez ten welon, pachnąc tak, jak zawsze pachniała, ale w tym zapachu było coś czarnego, może to ta cienka czarna zasłona, która właściwie nic nie ukrywała, jakby coś więcej niż mechaniczne zawiadomienie przywędrowało do nas trzystą mil z St. Louis Bay po miedzianym drucie; och, tak, czułem ten zapach, kiedy mówiła, całując mnie: – Jesteś dużym chłopcem, najstarszym teraz mężczyzną. Musisz pomóc ciotce Callie, żeby nie męczyli kuzynki Luizy – i wchodziła szybko do samochodu, aby usiąść koło babci, kiedy odezwał się Boon:

– Muszę napełnić bak benzyną na drogę do McCaslin po obiedzie. Może Lucius mógłby teraz pojechać z nami i pomóc mi w powrotnej drodze ze stacji? – Widzisz, jak to się wszystko łatwo zapowiadało? Za łatwo, aż człowiekowi było trochę wstyd. Tak, karty prawości i rzetelności rozdane zostały przeciwko dziadkowi i babci, ojcu i matce. No, dobrze, dobrze, więc i przeciwko mnie. Nawet fakt, że samochody istniały w Jefferson zaledwie od kilku lat, ułatwiał przestępstwo Boona... no dobrze, nasze. Pan Rouncewell, przedstawiciel Kompanii Produktów Naftowych, który zaopatrywał wszystkie sklepy w okręgu Yoknapatawpha ze swoich zbiorników stojących na bocznym torze na stacji, miał od dwóch lat specjalny tank z benzyną, zaopatrzony w pompę, i Murzyna, który ją obsługiwał. Boon, czy ktokolwiek inny, kto potrzebował benzyny, musiał tylko podjechać, zatrzymać się i wysiąść, a Murzyn podnosił przednie siedzenie i mierzył specjalnie znaczoną kijem bak, potem napełniał go i brał pieniądze lub też (w przypadku, kiedy pana Rouncewella nie było)

pozwalają, byś sam wpisał swoje nazwisko i liczbę pobranych galonów w załuszczonej księdze. Choć dziadek miał samochód już od roku, nikt z rodziny – ani dziadek, ani babcia, ojciec czy matka – nie wiedział, jak się z samochodem obchodzić i teraz nie miał śmiałości (lub też może ochoty), by się zastanawiać nad propozycją Boona czy też ją zakwestionować.

Stałem więc z nim na peronie, a matka powiewała nam przez okno chusteczką, kiedy pociąg odjeżdżał. Następny ruch należał do niego. Powinien był coś powiedzieć, jakoś zacząć. Udało mu się przygotować wszystko do akcji, miał mnie w rękę, przynajmniej do chwili, kiedy ciotka Callie zaczęła się zastanawiać, gdzie się podziałem i dlaczego nie siadam do obiadu. Bo, widzisz, Boon nie wiedział, że nie potrzebuje mi nic mówić, z wyjątkiem może tego, dokąd pojedziemy, chociaż i to – cel podróży – nie miało właściwie znaczenia. Niczego się jeszcze nie nauczył o ludziach, a musiał chyba zapomnieć o tym, czego się kiedyś nauczył o chłopcach.

Więc Boon nie bardzo wiedział, jak zacząć. Modlił się o szczęśliwy traf i natychmiast, można powiedzieć, odwrotną pocztą, otrzymał tak wiele, że teraz nie wiedział, co z tym począć. Mówiono ci zapewne, że Fortuna to zmienny babsztyl, który nigdy nie chowa niczego w zanadru, tylko wszystko rozdaje, dobre czy złe: i to więcej dobrego, niż ci się w twoim (pewno słusznym) przekonaniu należy, i złego więcej, niż zdołasz wytrzymać. Tak właśnie było z Boonem. Więc powiedział tylko: – No!

A ja mu nie pomagałem; w ten sposób się mściłem. No dobrze, ale na kim się mściłem? Nie na Boonie przecież; na sobie samym, za swoją hańbę; może na matce i ojcu, którzy wydali mnie na tę hańbę; może na dziadku, bo to przez ten jego samochód spadła na mnie ta hańba; kto wie? Może na samym panu Buffaloe – ekstatycznym somnambuliku, który przeżył objawienie, człowieka, który to wszystko zainicjował dwa lata temu? Ale żał mi było Boona, bo miał tak mało czasu. Minęła już jedenasta; ciotka

Callie oczekuje mojego powrotu lada chwila nie dlatego, że usłyszała, jak dwudziesty trzeci gwizdże na skrzyżowaniu, i wie, że powrót ze stacji do domu może mi zabrać najwyżej dziesięć minut, ale dlatego, że jest już pewno w przedwyjazdowej gorączce i chce nas jak najszybciej nakarmić i ruszyć w drogę do McCaslin; urodziła się na wsi i zawsze ją wołała od miasta. Boon nie patrzył na mnie. Bardzo się pilnował, żeby na mnie nie patrzeć. – Trzysta mil – powiedział. – Dobrze, że ktoś wymyślił pociągi. Gdyby musieli jechać zaprzęgiem w muły, jak to bywało dawniej, toby w te dziesięć dni nawet tam nie dojechali, nie mówiąc już o powrocie.

– Ojciec powiedział: cztery dni – poprawiłem.

– Racja – przyznał Boon. – Tak mówił. Może potrzeba nam i czterech dni, żeby wrócić do domu, co nie znaczy, że możemy tu stać w nieskończoność. – Wróciliśmy do samochodu i wsiedliśmy. Ale Boon nie zapuszczał silnika. – Może jak Szef przyjedzie po dzie... po czterech dniach, to pozwoli mi nauczyć cię kierować samochodem. Jesteś na to dość duży. A zresztą i tak już wiesz, jak to się robi. Myślałeś o tym kiedy?

– Nie – powiedziałem – bo on mi nie pozwoli.

– No, cóż, nie ma pośpiechu. Dajesz mu całe cztery dni, żeby zmienić zdanie. Chociaż na mój rachunek, to chyba dziesięć. – Wciąż jeszcze nie ruszał się, by zapuścić motor. – Dziesięć dni – powtórzył. – Jak myślisz, ile mil można by przejechać tym automobilem w ciągu dziesięciu dni?

– Ojciec powiedział: cztery – poprawiłem.

– No więc dobrze – zgodził się. – Ile w ciągu czterech dni?

– Tego się też nie dowiem – odparłem – bo nie ma tutaj nikogo, kto by to sprawdził i mógł mi powiedzieć.

– No, dobrze – machnął ręką Boon. Gwałtownie zapuścił motor, cofnął samochód i zawrócił, jadąc bardzo szybko, lecz nie w kierunku Rynku ani też pompy benzynowej pana Rouncewella.

– Myślałem, że nabierzemy benzyny? – zdziwiłem się.

Jechaliśmy szybko. – Zmieniłem zamiar – powiedział Boon. – Wezmę benzynę tuż przed wyjazdem na farmę McCaslin, po obiedzie. Mniej wyparuje podczas postoju samochodu. – Byliśmy teraz na drodze i jechaliśmy pędem między chatami murzyńskimi i warzywnikami, i wybiegami dla kur, a kurczęta i kundle w ostatniej chwili uskakiwały w kurzu spod kół samochodu. Potem zjechaliśmy z drogi na pustą przestrzeń, nieuprawiany kawałek ziemi, na którym znać było słabe ślady opon, ale brakowało śladów kopyt – i w następnej chwili wiedziałem, co to jest: domowy motodrom pana Buffaloe, którego dwa lata temu wypędziło tu rozporządzenie pułkownika Sartorisa i gdzie nauczył Boona, jak się obchodzić z samochodem. Ale wciąż jeszcze nie rozumiałem, póki Boon gwałtownie nie zahamował i nie powiedział: – Przesuń się tutaj.

Więc jednak mimo wszystko spóźniłem się na obiad. Ciotka Callie stała na frontowym ganku z Aleksandrem na rękach i wrzeszczała na nas, nim jeszcze Boon zatrzymał samochód, by mnie wypuścić. Boon bowiem zwyciężył mnie jednak w uczciwej walce; najwidoczniej nie zapomniał wszystkiego, czego się nauczył za młodu o chłopcach. Teraz wiem oczywiście, jak było naprawdę, a nawet wówczas zaczynałem zdawać sobie sprawę, że Boon i ja upadliśmy natychmiast i równocześnie; w jednej i tej samej chwili, kiedy matka otrzymała wiadomość, że dziadek Lessep nie żyje. Ale wolałbym wierzyć w co innego; że Boon mnie po prostu zwyciężył. W każdym razie tłumaczyłem to sobie wówczas w ten sposób, że bezpiecznie osłonięty ową nieugiętą i bezsporną prawością towarzyszącą nazwisku, jakie nosiłem, ukształtowany na rycerski wzór moich przodków, wzór przekazany mi – więcej, utwierdzony we mnie – słowami ojca, ponadto zapamiętały w cnocie i uwrażliwiony na hańbę wskutek najgłębszych przekonań mojej matki, po prostu wystawiłem Boona na próbę; nie wystawiałem na próbę własnej cnoty, ale umiejętność Boona zachwiania nią; a w niewinności ducha pokładałem

zbyt wiele wiary w siłę i osłonę, jaką daje ta niewinność. Oczekiwałem, spodziewałem się, zakładałem z góry więcej, niżby to słaby mediolańczyk był w stanie znieść. Powiadam: „słaby mediolańczyk” nie pouczając, lecz dla wyjaśnienia, zauważyłem bowiem za moich czasów, jak często obrońcy cnoty, a nawet jej wyznawcy powątpiewają w wartość cnoty jako tarczy, większą pokładając wiarę i zaufanie w bogu czy bogini, która ma ją w swej pieczy, niż w samej cnotcie, i pomijają ją, składając hołd owej nadbogini, która w zamian za to albo odsunie pokusę, albo w jakiś tam inny sposób będzie interweniowała. A to wiele wyjaśnia, zauważyłem bowiem również za moich czasów, że bogini, która ma cnotę w swojej pieczy, jest chyba tą samą, która ma w swoich rękach szczęśliwy traf, jak też i wszelakie szaleństwo.

Tak więc Boon zwyciężył mnie w uczciwej walce, nałożywszy, jak dzentelmenowi przystało, rękawiczki. Kiedy zatrzymał samochód i powiedział: – Przesuń się tutaj – myślałem, że wiem, co zamierza. Robiliśmy to już cztery czy pięć razy u dziadka, kiedy się nadarzała okazja; siadałem Boonowi na kolanach i kierowałem, a on ruszał wolno samochodem na pierwszym biegu i tak jechaliśmy przez całą posesję. Byłem więc na to przygotowany. Miałem się już na baczności i nawet zacząłem kontratak otwierając usta, chcąc powiedzieć: – *Za gorąco dzisiaj, żeby siadać na kolanach. I w ogóle lepiej jedźmy już do domu...* – kiedy zobaczyłem, że Boon, nim skończył mówić, wysiadł z samochodu na swoją stronę i stał trzymając jedną ręką kierownicę, a silnik wciąż pracował. Przez chwilę nie mogłem w to uwierzyć. – Szybko – powiedział.

– W każdej chwili Callie może na nas wylecieć z dzieciakiem pod pachą i rozedrzyć się na całe miasto.

Przesunąłem się więc za kierownicę, a Boon znalazł się przy mnie, nade mną, ze wszystkich stron; jedną rękę trzymał na mojej, by zmieniać biegi, drugą na mojej, by regulować szybkość i tak przesuwaaliśmy się tam i

z powrotem do pustej, oblanej słońcem przestrzeni, trochę naprzód, trochę w tył, napięci, poza czasem. Boon, pochłonięty, upojony, tak samo jak ja, uspokajający mnie (grał, widzisz, o wysoką stawkę), obaj bez poczucia czasu, ponad czasem, niedostępni czasowi, aż wreszcie przywołał nas do przytomności zegar na Sądach o pół mili dalej, wybijający południe, i zepchnął brutalnie w groźny, twardy świat oszustwa i matactw.

– Dobra jest – powiedział Boon. – Teraz szybko – i nawet nie zaczekał, tylko podniósł mnie, przesunął nad sobą, siadając za kierownicą, a samochód pędził już z powrotem przez pole ku domowi, my zaś rozmawialiśmy teraz jak mężczyzna z mężczyzną, współnicy zbrodni, sprzysiężeni już, lecz jeszcze sobie nierówni ze względu na moją niewinność. Otworzyłem już usta, by spytać:

– *Co mam teraz robić? Musisz mi powiedzieć!* – kiedy Boon zaczął pierwszy, czyniąc w ten sposób między nami znak równości. – Czy pomyślałeś, jak to zrobimy? Mamy niewiele czasu.

– Dobrze – odrzekłem. – Jedź naprzód. Musimy być w domu, nim ciotka Callie zacznie wrzeszczeć. – Rozumiesz teraz, o co mi chodzi, kiedy mówię o Cnocie? Słyszałeś albo jeszcze usłyszysz, jak ludzie gadają o złych czasach albo o złym pokoleniu. Nic podobnego nie istnieje. Nigdy żadna epoka historyczna, żadne ludzkie pokolenie nie było, nie jest i nie będzie wystarczająco wielkie, by zawrzeć w sobie wszystką Nie-Cnotę danej chwili, tak samo, jak nie może wchłonąć w siebie całego powietrza danej chwili; może jedynie mieć nadzieję, iż przechodząc przez nią, jak najmniej się zbrudzi. Jaka szkoda, że Cnota nie troszczy się – pewno nie jest w stanie – o swoich gorliwych wyznawców tak, jak to czyni Nie-Cnota, szkoda, że ofiaruje im w zamian tylko pozbawioną smaku i zapachu cnotę; porównaj to nie tylko z barwną nagrodą grzechu i rozkoszy, lecz z ową czujną, niezachwianą, wszechobecną umiejętnością, tym niewiarygodnym, nieporównanym talentem imaginacyjnym i

odkrywczym, który kieruje już chwiejnymi krokami dziecka, mocno i uparcie, ku pogoni za przyjemnością. Och, tak przerażająco dojrzałem w ciągu tych dwóch minut, odkąd zegar wybił dwunastą. Sądziłem poprzednio, że z wyjątkiem kilku drobnych przypadków czegoś, co można by nazwać złośliwą, superprzedwczesną dojrzałością, dzieci, podobnie jak poeci, kłamią raczej dla przyjemności niż dla korzyści. Albo sądziłem, do owej chwili, że takie były moje kłamstwa, pominiwszy kilka wypadków bez znaczenia, które właściwie były zwykłą samoobroną przed istotami większymi i silniejszymi ode mnie (mymi rodzicami). Ale odtąd już tak nie myślałem. W każdym razie, teraz już nie myślę. Powziąłem równie mocne postanowienie, jak Boon, i ponosiłem – przynajmniej za następne pociągnięcie – nawet większą odpowiedzialność. A to dlatego, że (zdawałem sobie z tego sprawę, więcej – wiedziałem, to było oczywiste, sam Boon przecież to przyznał) byłem sprytniejszy od niego. Poczulem nagle ten sam dreszcz gorączkowego uniesienia, którego musiał doświadczyć Faust; że z nas dwóch, przeklętych i potępionych, ja byłem wodzem, ja byłem szefem, ja byłem panem.

Ciotka Callie stała już na frontowym ganku z Aleksandrem na rękach i wrzeszczała.

– Cicho! – krzyknąłem. – Czy obiad gotów? Samochód się zepsuł i Boon musiał go reperować. Nie mieliśmy nawet czasu nabrać benzyny, muszę szybko zjeść i wracać z nim, żeby napęlić bak. – Poszedłem do jadalni. Obiad już podano, Lessep i Maury siedzieli przy stole i jedli. Ciotka Callie nałożyła im świeże ubrania (odziała ich na te cztery dni u kuzyna Zacka o siedemnaście mil od miasta tak, jakby wybierali się do Memphis – nie wiem po co, chyba dlatego, że nie miała nic innego do roboty od wyjazdu rodziców do obiadu. Przecież Maury i Aleksander będą musieli się przespać po obiedzie przed wyjazdem), ale sądząc po bluzce Maury’ego, będzie go musiała umyć i jeszcze raz przebrać.

Skończyłem jednak szybciej niż oni i przeszedłem przez ulicę do dziadków (ciotka Callie wciąż wrzeszczała, oczywiście w domu, już trochę ciszej. Ale cóż ona mogła począć, sama i w dodatku Murzynka, przeciwko Nie-Cnocie?). Ned zapewne ruszył na miasto zaraz po odjeździe samochodu sprzed domu, ale przecież wróci na obiad. Wrócił. Staliśmy na podwórzu. Mrugnął na mnie. Bardzo często, właściwie niemal zawsze, oczy jego miały czerwony poblask, jak oczy lisa. – Czemu nie chcesz tam zostać? – spytał.

– Obiecałem kolegom, że się wymkniemy jutro i wypróbujemy pewne bardzo rybne miejsce na rzece, które jeden zna.

Ned mrugnął na mnie. – Chcesz jechać na farmę McCaslin z Boonem Hogganbeckiem, a potem wrócić tu razem z nim? Będziesz musiał wytłumaczyć to jakoś pani Luizie, żeby ci pozwoliła, więc pewno ci potrzebna moja pomoc.

– Nie – powiedziałem. – Niczego od ciebie nie potrzebuję. Mówię ci tylko, żebyś wiedział, gdzie jestem, i żeby nikt nie miał do ciebie pretensji. Nie będę ci nawet robił kłopotu. Zatrzymam się u kuzyna Ike’a.

– Zanim przyszedli na świat tamci, to znaczy moi młodszy bracia, zawsze zostawałem z Nedom i Delfina, gdy rodzice i dziadkowie wychodzili gdzieś na wieczór. Czasem nawet spałem u nich w domu, ot tak, dla przyjemności. Zrobiłbym tak i dziś, gdyby mi to coś ułatwiało. Lecz kuzyn Ike mieszkał samotnie w jednym pokoju nad swym sklepem z towarami żelaznymi i nawet gdyby Ned (czy ktokolwiek inny z zainteresowanych) chciał go zapytać wprost, czy spałem tam w sobotę, mógłby się do niego zwrócić najwcześniej w poniedziałek, a ja postanowiłem już nieodwołalnie, że nie będę więcej myślał o poniedziałku. Widzisz, gdyby tylko ludzie nie postanawiali z całych sił, że nie będą więcej myśleć o poniedziałku, Cnota nie miałyby tak trudnego i niewdzięcznego zadania.

– Rozumiem – powiedział Ned. – Niczego ode mnie nie potrzebujesz.

Masz tylko dobre serduszko i nie chcesz, żebym się o ciebie niepokoił. Nie chcesz, żeby się ktokolwiek niepokoił o to, dlaczego nie siedzisz na fermie, tak jak ci przykazał twój tatuś – mrugnął na mnie. – Hi, hi, hi!

– No więc dobrze! Powiedz ojcu, że jak wyjechali, to poszedłem na ryby w niedzielę. Nic mnie to nie obchodzi.

– Ja tam nie będę nikomu na ciebie gadał – odparł Ned.

– Nie jesteś pod moją opieką. Jesteś pod opieką Callie, dopóki twoja mama nie wróci. Chyba że chcesz się przenieść do interesu pana Ike’a na dziś wieczór, jak mówiłeś. – Mrugnął na mnie. – Kiedy Boon Hogganbeck po was przyjeżdża?

– Lada chwila – odparłem. – I lepiej, żeby tatuś ani Szeff nie słyszeli, jak mówisz na niego: Boon Hogganbeck.

– Mówię do niego „proszę pana” o wiele częściej, niż się należy, i na pewno częściej, niż na to zasługuje. Hi, hi, hi!

Rozumiesz? Robiłem wszystko najlepiej, jak umiałem. Martwiłem się tylko, że muszę używać takich narzędzi. Niewinność i nieświadomość: nie tylko brakowało mi sił i doświadczenia, brakowało mi nawet czasu. Kiedy los, bogowie – no, dobrze, Nie-Cnota – podsuwają ci możliwości, powinni chociaż dać ci również pewne szansę. No więc przynajmniej kuzyna Ike’a łatwo było znaleźć w sobotę. – Oczywiście – powiedział. – Przenocuj u mnie dzisiaj. Może jutro pójdziemy razem na ryby... tylko nie mów nic ojcu.

– Nie, proszę kuzyna – zaoponowałem. – Nie będę u kuzyna nocował. Zostanę na noc u Neda i Delfiny, tak jak zawsze. Chciałem tylko, żeby kuzyn wiedział, bo mama wyjechała i nie mam teraz komu o tym powiedzieć. To znaczy, nie mam kogo się spytać. – Widzisz, wykorzystywałem, jak mogłem, to, co miałem, co wiedziałem. Nie, żebym tracił wiarę w ostateczne zwycięstwo; wydawało mi się tylko, że Nie-Cnota marnuje na wystawianiu mnie na próby ten czas, który był

tak paląco, tak rozpaczliwie potrzebny na rzeczy o wiele ważniejsze. Wróciłem do domu, ale nie biegiem: nie mogą mnie w Jefferson oglądać biegnącego; wracałem jednak najszybciej, jak mogłem, nie biegnąc. Bo, widzisz, nie śmiałem zawierzyć Boonowi pozostawionemu bez pomocy w rękach ciotki Callie.

Zdążyłem. A właściwie to Boon spóźnił się z automobilem. Ciotka Callie przebrała nawet jeszcze raz Maury'ego i Aleksandra; jeśli drzemali po obiedzie, były to najkrótsze, najspieszniejsze drzemki, jakie notowano w kronikach naszego domu. Zobaczyłem również Neda, który nie miał żadnego interesu, by tu przychodzić. Nie, to nie w tym rzecz. Ta jego obecność przy wyjeździe była czymś absolutnie nieprawidłowym; nie jego obecność w naszym domu – często tam przecież bywał, ale obecność w miejscu, gdzie mógłby zrobić coś pożytecznego pod nieobecność dziadka i babci. Bo Ned wynosił właśnie bagaże – wiklinowy koszyk pełen pieluszek Aleksandra i różnych jakichś osobistych fatalaszków, walizki, w których były ubrania Lessepa, Maury'ego i moje na cztery dni, i płócienny węzełek ciotki Callie. Wszystko to cisnął bezładnie pod bramą, mówiąc do ciotki Callie: – Mogłabyś sobie usiąść jeszcze i wyciągnąć nogi. Boon Hogganbeck rozwalił ten cały interes i teraz siedzi gdzieś i próbuje go złożyć. Jeśli naprawdę chcesz dostać się na farmę przed kolacją, to zatelefonuj do pana Ballotta do stajni, niech przyśle Sona Thomasa z powozem, a ja was zawiozę tak, jak ludzie powinni jeździć.

Po pewnym czasie zaczęło wyglądać na to, że Ned ma rację. Wybiło wpół do drugiej (przez cały ten czas Aleksander i Maury mogli byli spać), a Boona ani widu, ani słyhu. Potem okazało się, że Maury i Aleksander mogli byli przespać jeszcze następne pół godziny; Ned tyle już razy powtórzył: – A nie mówiłem? – że ciotka Callie przestała wyklinać Boona i wrzeszczała tylko na Neda, aż ten wreszcie odszedł i siadł pod krzakiem muszkatelu. Już miała mnie posłać, bym szukał Boona i automobilu,

kiedy zajechał. Gdy zobaczyłem Boona, zdrewniałem ze zgrozy. Przebrał się. To znaczy ogolił się i włożył koszulę nie tylko białą, ale i czystą, z kołnierzykiem i krawatem; na pewno, kiedy wyjdzie z samochodu, żeby nas załadować, będzie miał płaszcz przerzucony przez ramię, a jak ciotka Callie wsiądzie, to przecie wszystkim zobaczy jego walizkę leżącą na podłodze. Przerazony, lecz i wściekły nie na Boona (to stwierdziłem, poczułem od razu), ale na siebie, że tego nie wziąłem w rachubę, choć zawsze dobrze wiedziałem (bo i to w owej chwili pojąłem), że ten, kto ma do czynienia z Boonem, ma do czynienia z dzieckiem i musi nie tylko sprostać jego nieoczekiwanym wybrykom, ale i przewidzieć je; wściekłość nie na to, że brak mu było krztyny rozsądku, ale że sam tego braku nie założyłem z góry – mówiłem, wołałem do kogo-tam-się-wzywa w takich chwilach rozpaczy: – *Czy nie widzisz, że ja mam tylko jedenaście lat? Jak możesz sobie wyobrażać, że ja to wszystko zrobię, mając tylko jedenaście lat? Nie rozumiesz, że dałeś mi zadanie ponad siły?* – Ale po chwili przyszła i wściekłość na Boona; nie za to, że jego głupota przekreśliła ostatecznie naszą wyprawę samochodową do Memphis (tak, to prawda, słowo Memphis jako cel naszej wyprawy nie padło ani razu czy to tu, czy też w naszej niedawnej rozmowie z Boonem. Po cóż mielibyśmy o tym mówić? Gdzież indziej mielibyśmy jechać? Gdzież indziej chciałby jechać jakikolwiek mieszkaniec północnej części stanu Missisipi? Tylko jakieś wyniszczone, sterane latami istoty leżące na łożu śmierci mogły rozważać dalszą podróż, ale my z Boonem nie należeliśmy do nich). Prawdę mówiąc, w owym momencie pragnąłem, żebym był nigdy w życiu nie słyszał o Memphis, Boonie ani o samochodach; byłem teraz po stronie pułkownika Sartorisa, pragnąłbym zetrzeć z powierzchni ziemi pana Buffaloe z jego marzeniami w momencie ich poczęcia. Byłem wściekły na Boona za to, że tym jednym dziecinny uderzeniem, niby ślepym odruchem niemowlęcia, zniszczył i obalił

ryzykowną, szaleńczą i jakże słabą budowlę mych kłamstw, fałszywych obietnic i fałszywych przysięg, obnażając nieporadne oszustwo, za które przehandlowałem, więcej, za które zgubiłem własną duszę; za to, a może za wykazanie prawdziwej nędzy i tandety tej duszy, podczas gdy ja, w mojej pysze, sądziłem, iż diabeł będzie chciał coś za nią zapłacić; było to jak utracenie dziewictwa przez jakiś nędzny przypadek, ot, na przykład nieuwagę, wyprany nawet z przyjemności, nie mówiąc już o grzechu. A potem nawet i gniew minął. Nie pozostało nic, nic. Nie chciałem nigdzie jechać, nigdzie być. Rozumiesz, nie chciałem nigdzie być w czasie teraźniejszym. Jeśli już musiałem gdzieś być, chciałem tam być w czasie przeszłym. Mówiłem i wierzyłem w to (wiem, że wierzyłem, bo od tego czasu powtarzałem to już tysiąc razy i ciągle w to wierzę i mam nadzieję, że będę jeszcze powtarzał tysiące razy i niech kto spróbuje powiedzieć, że przestanę wierzyć): *Nigdy już w życiu nie będę kłamał. To za wielki kłopot. To tak, jakby się próbowało osadzić na sztorc piórko w talerzyku z piaskiem. Nigdy nie ma temu końca. Nigdy nie ma spoczynku. Nigdy tego nie zrobisz. I nigdy nie uda ci się zużyć tego piasku tak, żebyś już musiał dać tym usiłowaniom spokój.*

Tylko że, widzisz, nic się nie stało. Boon wysiadł bez żadnego płaszcza. Ned już ładował nasze walizki, koszyki i węzłki do samochodu. Powiedział ponuro: – Hi, hi, hi!

– A potem: – No, jedź pan już, żebyś miał czas go zepsuć i nareperować, i wrócić do miasta przed zmrokiem.

– Mówił więc teraz do Boona. Zapytał: – Czy wraca pan przedtem do miasta?

– Przed czym? – spytał Boon.

– Przed kolacją – odparł Ned. – A co człowiek przy zdrowych zmysłach robi o zmroku?

– Och – odparł Boon – myśl o swojej kolacji. To jedyna kolacja, o jaką

powinieneś się troszczyć.

Wsiadliśmy i ruszyliśmy, ja z przodu z Boonem, a reszta na tylnym siedzeniu. Przejechaliśmy przez Rynek, tłoczny teraz, w sobotnie popołudnie, a po chwili znaleźliśmy się poza miastem. No, ale cóż, z tego jeszcze nic nie wynikało. Za chwilę dojedziemy do skrzyżowania, skręcimy na drogę do kuzyna Zacka i będziemy jechać w całkiem odwrotnym, niżbyśmy chcieli, kierunku. A nawet gdyby to był właściwy kierunek, to przecież i tak nie byliśmy wolni: jak długo mamy na tylnym siedzeniu ciotkę Callie i Lessepa, i Maurycego, i Aleksandra, jesteście wolni tylko od Neda, pojawiającego się w najbardziej nieoczekiwanych miejscach i mówiącego: – Hi, hi, hi! – i: – Czy pan wraca przedtem do miasta? – Boon ani razu nie spojrzął na mnie ani ja na niego. Nie odezwał się też słowem: może wyczuł, że przestraszył mnie tą czystą koszulą i kołnierzykiem, i krawatem, i tym podbródkiem wygolonym w południe i wszystkim, co ujawniało nastrój podróży, wyjazdu, rozłąki, zerwania; wyczuł, że jestem nie tylko przestraszony, ale i zły za to, że strach ma do mnie dostęp. Jechaliśmy naprzód we wczesne słoneczne popołudnie, a przed nami ciągnęło się siedemnaście mil drogi, w czasie której powinniśmy coś postanowić, coś zdecydować; jechaliśmy przez kolorowe, majowe ziemie, a kurz podnosił się za nami i zwijał, aż wreszcie musieliśmy zwolnić przed jakimś mostkiem czy piaszczystym odcinkiem, gdzie trzeba było jechać na niższym biegu; te siedemnaście mil nie będzie trwać wiecznie, choć to aż siedemnaście mil. Słupy milowe zbyt szybko kurczyły się w oczach, czas coraz bardziej naglił, coś trzeba było zrobić, za chwilę będziemy na miejscu, a ja nie wiedziałem, co; może trzeba coś powiedzieć, żeby się rozległ jakiś dźwięk, ludzki głos, bez względu bowiem na to, jak gorzki haracz wydrze, wyciśnie z człowieka Nie-Cnota, nie powinna nim być samotność, odosobnienie, milczenie. Wreszcie Boon zaczął. A może to przez owo milczenie, może pomyślał, że lepiej będzie,

gdy padną jakieś słowa, wszystko jedno jakie, choćby i z góry skazane na niepowodzenie. Nie, chodziło jednak o coś więcej – mieliśmy już przed sobą mniej niż połowę drogi i coś należało zrobić, zacząć, ruszyć.

– Drogi są teraz doskonałe, wszędzie, nawet za okręgiem Yoknapatawpha. Nie można wymarzyć lepszych dróg niż teraz na długą podróż, na przykład na pogrzeb czy co tam. Jak myślisz, ile mil można by ujechać tym automobilem do zmroku? – Rozumiesz? Nie mówił do nikogo specjalnie, jak tonący, co wyciąga rozpaczliwie dłoń nad powierzchnię w nadziei, że znajdzie tam jakąś słomkę. Lecz słomki nie było.

– Nie wiem – odparła z tylnego siedzenia ciotka Callie, trzymając Aleksandra, który zasnął w chwili, gdy wyjeżdżaliśmy z miasta, i nie zasługiwał nawet na milową przejażdżkę samochodem, nie mówiąc już o siedemnastu milach. – A i ty się nie dowiesz, chyba że sobie wyliczysz, jak przesiedzisz tu, na tym przednim siedzeniu, zamknięty do wieczora w szopie u Szefa.

Byliśmy już niemal na miejscu. – Więc chcesz... – powiedział Boon kątem ust, akurat tak głośno, bym usłyszał, celując w moje prawe ucho jak ze strzelby albo z łuku, a może tak, jak się rzuca garść piasku w zamknięte okno.

– Zamknij się – odpowiedziałem zupełnie w ten sam sposób. Byłoby rzeczą łatwą, ale i tchórzliwą powiedzieć mu nagle, żeby się zatrzymał, i szybko wyskoczyć z samochodu, od razu biegiem, stawiając przed ciotką Callie w ułamku sekundy do wyboru: albo zostawić Aleksandra Boonowi i gonić za mną po krzakach, albo trzymać Aleksandra i gonić mnie tylko wrzaskiem. Rozumiesz, żeby Boon ruszył dalej i zostawił tamtych na farmie, a ja żebym wyskoczył z przydrożnych krzaków i włączył z powrotem do samochodu, gdy będzie wracał do miasta czy też jechał w jakimkolwiek kierunku oddalającym mnie od bliskich, którzy mają nade mną władzę. Było to wyjście tchórzliwe, dlatego więc go

nie obrałem, ja, który zgubiłem się już kłamstwem, wydałem na siebie potępiający wyrok przez oszustwo? Dlaczego nie poszedłem na całego i nie zostałem na dokładkę tchórzem? Dlaczego nie upadłem nieodwołalnie i ostatecznie, tak jak Faust? Wspaniałością upodlenia sprawić – nie, zmusić nowego pana, by szanował mnie za mą pełnię, za całkowitość, nawet jeśli pogardzi mym wzrostem? Ale ja tego nie zrobiłem. Nic by z tego nie wyszło, przynajmniej jeden z nas musiał być praktyczny; założywszy, że ujechalibyśmy z Boonem kawał drogi, nim kuzynka Luiza zdążyłaby posłać kogoś na pole, gdzie w okresie sadzenia o godzinie trzeciej po południu powinien się znajdować kuzyn Zack, założywszy, że kuzyn Zack nie mógłby nas dogonić na koniu, to i tak nie próbowałby tego robić. Pojechaliby prosto do miasta i po jednej minucie rozmowy z Nedom, a drugiej z kuzynem Ikiem wiedzieliby dokładnie, co ma robić, i uczyniliby to korzystając z telefonu i pomocy policji.

Przyjechaliśmy. Wsiadłem i otworzyłem bramę (słupy jeszcze te same, co za czasów starego Luciusa Quintusa Carothersa; twój obecny kuzyn Carothers położył tam ruszty jako zaporę przed byłym, ale samochody mogą przejeżdżać, bo nie mają kopyt), i pojechaliśmy aleją drzew świętojańskich pod dom (istnieje do dzisiaj: dwuizbowa budowla z bali i gliny, pół dom, pół fort, który zbudował stary Lucius, kiedy przywędrował tu z Karoliny przez góry ze swymi niewolnikami i sforą psów w 1813 roku; gdzieś tam jeszcze istnieje ukryty pod gontami ścian, pod pozostałościami Odrodzenia Greckiego i ślimacznicami, jakie dodawały mu kobiety, z którymi żenili się kolejni Edmondsowie).

Kuzynka Luiza i inni usłyszeli, jak nadjeżdżamy, i wszyscy (z wyjątkiem zapewne tych, których kuzyn Zack siedząc na koniu obejmował wzrokiem) stali na ganku od frontu i na schodach, i na podjeździe, kiedy zajechaliśmy i samochód stanął.

– Słuchaj – powiedział Boon znowu kątem ust – czy ty chcesz? –

Bo to już był, jak to się dzisiaj mówi, koniec. Zbyt wiele otaczało nas osób, by zdążyć i mógł otrzymać jakąkolwiek najdrobniejszą wskazówkę co do tego, co tak rozpaczliwie pragnął wiedzieć. Widzisz, i on, i ja byliśmy takimi nowicjuszami! Gorsi niż amatorzy: niewiniątka, zupełnie niewiniątka w kradzeniu samochodów, choć żaden z nas nie nazwałby tego kradzieżą, bo przecież zamierzaliśmy oddać go w tym samym stanie, nawet gdyby ludzie i świat (a w każdym razie Jefferson) zostawili nas w spokoju, nie zauważywszy naszej nieobecności. Nie potrafiłbym mu jednak odpowiedzieć, gdyby mnie spytał. Bo ja byłem chyba w jeszcze gorszej sytuacji niż on; obydwu nas ogarniała rozpacz, lecz moja bardziej nagliła, teraz ja musiałem coś zrobić i to zaraz, w ciągu kilku następnych sekund, a jemu pozostawało tylko siedzieć w samochodzie i co najwyżej trzymać za mnie palce. Nie wiedziałem, co począć; powiedziałem już więcej kłamstw, niżbym w najśmielszych przypuszczeniach potrafił wymyślić, i zobaczyłem, jak ludzie w nie wierzą, a przynajmniej, jak je przyjmują z oczywistością, która wprawiała mnie w osłupienie, więcej, budziła grozę. Byłem w tej samej sytuacji, w jakiej stary Murzyn powiedział: – Oto jestem, mój Panie. Jeśli, Panie, chcesz mnie zbawić, to teraz, kiedy tu stoję i patrzę na Ciebie, masz po temu najlepszą w życiu okazję. – Wystrzeliłem wszystkie strzały z kołczana i mojego, i Boona. Jeśli Nie-Cnota w dalszym ciągu pragnie któregośkolwiek z nas, to następny ruch należy do niej.

I uczyniła ten ruch. Przebrana była za kuzyna Zachariasza Edmondsa. W tej właśnie chwili wyszedł przed frontowe drzwi i również w tej samej chwili zobaczyłem na podjeździe czarnego chłopaka, który trzymał przy pysku jego wierzchowca. Rozumiesz, co się stało? Zachariasz Edmonds, który nigdy nie zaglądał do Jefferson w dni powszednie od pierwszej orki w marcu do zwózki z pól w lipcu, był tego dnia przed południem w mieście (jakaś pilna sprawa związana z młynem) i zajechał do sklepu kuzyna

Ike'a w kilka minut po moim stamtąd wyjściu, co pokrywało się ściśle i dokładnie z tą godziną z kawałkiem, jakiej potrzebowała Nie-Cnota, by ogolić Boona i zmienić mu koszulę, i dawało kuzynowi Zackowi dość czasu, by mógł wrócić konno do domu i zsiadać z wierzchowca akurat w chwili, kiedy rozległ się warkot naszego automobilu. Odezwał się do mnie: – Co ty tu robisz? Ike powiedział mi, że masz dzisiaj zostać w mieście i że jutro zabiera cię na ryby.

Oczywiście ciotka Callie zaczęła natychmiast wrzeszczeć, więc nie potrzebowałem nic mówić, nawet gdybym wiedział, co mam odpowiedzieć. – Na ryby? – darła się. – W niedzielę?! Gdyby to jego tatuś usłyszał, w tej chwili wyskoczyłby z pociągu, nawet by nie marnował czasu na wysyłanie telegramu! I jego mamusia tak samo! Panna Alison nie kazała mu zostać w mieście ani z panem Ikiem, ani z nikim innym! Kazała mu przyjechać tutaj ze mną i resztą dzieci, a jak on się nie będzie słuchał, to już mu pan Zack pokaże!

– Dobrze, dobrze – mówił kuzyn Zack. – Przestań się drzeć przez chwilę... nie słyszę, co on mówi. Może się rozmyślił? Rozmyśliłeś się?

– Słucham? – spytałem. – Tak, to znaczy, nie, proszę kuzyna.

– No więc zdecyduj się wreszcie! Zostajesz tu na wsi, czy wracasz z Boonem?

– Tak, proszę kuzyna – odparłem. – Wracam z Boonem. Kuzyn Ike kazał mi poprosić kuzyna o pozwolenie. – Ciotka Callie zaczęła znowu wrzeszczeć (właściwie robiła to przez cały czas, z przerwą na jeden długi oddech, kiedy kuzyn Zack kazał jej się zamknąć), ale na tym się skończyło. Ona wciąż wrzeszczała, a kuzyn Zack mówił:

– Dosyć, dosyć, dosyć! Przecież nic nie słyszę! Jeśli Ike nie przywiezie go tutaj jutro, poślę po niego w poniedziałek. – Wróciłem do samochodu. Motor był już zapuszczony.

– Niech mnie kule biją – powiedział Boon, niespecjalnie głośno, ale z

wielkim szacunkiem, nawet jakby ze zgrozą.

– Jedź – warknąłem. – Ruszajmy. – Sunęliśmy gładko, lecz szybko, coraz szybciej, z powrotem podjazdem ku bramie.

– Może to głupota marnować takie zdolności na wycieczkę samochodową – powiedział. – Może powinienem wziąć cię do czegoś, na czym można by zarobić?

– Jedź! – powtórzyłem. Jakże mu bowiem mogłem wytłumaczyć, jak mogłem mu powiedzieć: „Jestem już śmiertelnie zmęczony kłamanem”. Bo przecież teraz wiedziałem i rozumiałem, że to dopiero początek; że nie będzie temu końca, nie tylko nie będzie końca kłamstwom, mówionym dalej, by osłaniać poprzednio powiedziane, ale że nigdy nie uwolnię się od tych starych, już raz użytych, już wykorzystanych.

Wróciliśmy do miasta. Tym razem jechaliśmy szybko; jeśli nawet otaczały nas piękne krajobrazy, to nikt w tym samochodzie nie zwracał na nie uwagi. Boon mówił głosem pełnym napięcia i przynaglającym, lecz spokojnie: – Musimy go na chwilę odstawić, żeby przestygł. Widzieli, jak wyjeżdżam z miasta i zabieram was do McCaslin. Zobaczą, jak wracam tylko z tobą. Pomyślą, że odstawię samochód do garażu u Szefa. Potem powinni zobaczyć i ciebie, i mnie, oddzielnie, ot, tak po prostu chodzących, jakby nigdy nic. – Ale czyż mogłem powiedzieć i to: „Nie! Jedźmy od razu! Jeśli mam jeszcze kłamać, niechże to będzie wobec obcych”. On ciągnął dalej: – ...samochód. Co to on powiedział takiego, czy będziemy przedtem wracać przez miasto?

– Co? Kto powiedział?

– Ned. Tam, w domu, przed naszym wyjazdem.

– Nie pamiętam – odparłem. – Co z samochodem?

– Gdzie go zostawimy? Na ten czas, kiedy ja się przejdę naokoło Rynku, a ty pójdziesz do domu i weźmiesz czystą koszulę i co ci tam potrzeba. Musiałem wynieść wszystkie bagaże na farmie, pamiętaj. Twoje

również. Pamiętaj, na wypadek, gdyby jakiś ciekawski wścibiał swój nos w nasze sprawy, na wszelki wypadek. – Obaj wiedzieliśmy, kogo miał na myśli.

– Czemu nie możesz zamknąć go w garażu?

– Nie mam klucza. Mam tylko kłódkę. SzeF zabrał mi klucz dżiś rano, otworzył kłódkę i oddał klucz panu Ballottowi na przechowanie do jego powrotu. Mam wprowadzić samochód zaraz, jak wrócę z farmy, zatrzasnąć kłódkę, a SzeF zatelegrafuje do pana Ballotta, na jaki pociąg ją otworzyć, żeby mógł po niego wyjechać.

– Wobec tego będziemy musieli ryzykować – powiedziałem.

– Tak, trzeba będzie ryzykować. Może teraz, kiedy SzeF i panna Sara wyjechali, to i Delfina go nie zobaczy do poniedziałku rano. – Wobec tego ryzykowaliśmy. Boon wjechał do garażu i wyjął walizkę i płaszcz z ukrycia na stryszku, sięgnął raz jeszcze i wyciągnął brezent, po czym złożył walizkę i płaszcz z tyłu na podłodze samochodu. Bańka z benzyną również była przygotowana; piękna, nowa pięciogalonowa bańka – dziadek kazał blacharzowi, który robił pudło na narzędzia, tak ją przerobić, by nie ulatniał się z niej zapach benzyny, którego babcia już wtedy nie znosiła; nigdy jeszcze nie używaliśmy tej bańki, bo samochód nigdy jeszcze nie wyjeżdżał w tak daleką podróż; lejek i irchowy filtr leżały już w pudle z narzędziami razem z przyrządami do zmieniania opon, lewarkiem, kluczami, które przyszły z samochodem, i latarnią, siekierą, łopata, zwojem drutu i blokiem z wyciągiem, dokupionymi przez dziadka, oraz blaszanym wiadrem, by napełniać chłodnicę, kiedy będziemy przejeżdżać koło strumieni czy stawów. Wsadził bańkę (była pełna – pewno na to właśnie zmitrężył dodatkowo tyle czasu, nim po nas przyjechał) na podłogę z tyłu, rozłożył brezent, ale nie naciągnął go, tylko rzucił na tył, tak że wszystko było zakryte i wyglądało jak zmiętoszona płachta. – Twoją też tu wsuniemy – powiedział. – Będzie wyglądało jak

zwój brezentu, którego komuś nie chciało się porządnie złożyć. Teraz idź do domu, weź czystą koszulę, wracaj tu zaraz i czekaj. Ja szybko wrócę. Przejdę się tylko po Rynku, bo może kuzyn Ike też zacznie się wypytywać. Potem pojedziemy.

Zamknęliśmy drzwi. Boon zaczął zakładać kłódkę na skobel. – Nie – zaprotestowałem. Nie mogłem mu tego nawet wytłumaczyć, tak szybkie robiłem postępy w grzechu. – Schowaj ją do kieszeni.

Ale on wiedział dlaczego, powiedział mi: – Masz rację. Za dużo już w to włożyliśmy, żeby nam ktoś teraz zatrzasnął przypadkiem kłódkę, myśląc, że ja o tym zapomniałem.

Poszedłem do domu. Tylko na drugą stronę ulicy. Teraz jest tam stacja benzynowa, a dawny dom dziadka został posiekany na mieszkania do wynajęcia. Dom był pusty, otwarty oczywiście, ponieważ w owych niewinnych czasach nikt w Jefferson nie zamykał mieszkania. Minęła dopiero piąta, jeszcze szmat czasu do zachodu, lecz dzień już się skończył; pusty, milczący dom bynajmniej nie był próżny, lecz pełen obecności, jak wstrzymanego oddechu. I nagle zapragnąłem matki. Miałem już tego dosyć, miałem dosyć wolnej woli; pragnąłem wrócić, zrezygnować, odciąć sobie drogę od tego rodzaju decydowania i decyzji, których mlecznym bratem jest konieczność ukradzenia samochodu. Lecz było już za późno; dokonałem wyboru. Jeśli sprzedałem duszę diabłu za miskę soczewicy, to niech przynajmniej wezmę tę soczewicę i zjem. Czy to nie sam Boon przypomniał mi przed chwilą, jakby przewidział tę chwilę słabości i niezdecydowania w pustym domu i ostrzegał mnie na zapas: „Za dużo w to włożyliśmy, żeby nas teraz mogło coś powstrzymać”.

Moje rzeczy – czyste koszule, spodnie, skarpetki, szczoteczka do zębów – znajdowały się teraz na wsi, u McCaslinów. Miałem ich oczywiście więcej w szufladach, z wyjątkiem szczoteczki do zębów, lecz można było śmiało założyć, że pod nieobecność mamy ani kuzynka

Luiza, ani ciotka Callie nie będą o tej szczoteczce pamiętać. Ale nie wziąłem żadnych rzeczy, nic; nie dlatego, żebym zapomniał, ale pewno dlatego, że w ogóle nie miałem zamiaru nic brać. Po prostu wszedłem do domu i stanąłem w drzwiach na chwilę, na tyle długą, by dowieść samemu sobie, że z nas dwóch nie ja będę tym, który się cofnie; potem przeszedłem znowu na drugą stronę ulicy, na podwórze dziadka. Boon też okazał, że nie jest z tych, którzy się cofają, usłyszałem pracujący cicho motor, nim jeszcze wszedłem do garażu. Boon siedział już za kierownicą; wydaje mi się, że samochód był nawet na biegu. – Gdzie twoja czysta koszula? – spytał.

– Mniejsza o to. Kupię ci koszulę w Memphis. Chodź. Możemy już jechać. – Wycofał samochód. Otwarta kłódka znowu wisiała na skoblu. – Chodź – powiedział. – Nie trać czasu na zamykanie. Już za późno.

– Nie – odpowiedziałem. Nie mogłem mu wtedy wytłumaczyć, dlaczego; jeśli kłódka przesunięta jest przyzwoicie przez skobel zamkniętych drzwi, może się wydawać, że automobil stoi bezpiecznie wewnątrz. Tak też i będzie: bo przecież wszystko to jest nie co innego jak sen, z którego obudzę się jutro, a może teraz, za chwilę, i uratuję się, zostaną wybawiony? Zamknąłem drzwi, zatrzasnąłem kłódkę i otworzyłem bramę, żeby Boon mógł wyjechać, i potem zamknąłem bramę i wsiałem – samochód był już w ruchu, a może się w ogóle nie zatrzymywał. – Jeśli wyjedziemy tylną drogą, unikniemy przejeżdżania przez Rynek – powiedziałem. Ale on powtórzył:

– Już za późno. Teraz mogą tylko wrzeszczeć. – Ale nikt nie wrzeszczał. Lecz nawet po przejechaniu przez Rynek nie było jeszcze za późno. Nieodwracalna decyzja stała o milę dalej, tam gdzie droga się rozwidła: jedno ramię prowadziło na farmę McCaslin, drugie do Memphis, i tam mogłem powiedzieć: – *Stój! Wypuść mnie!* – I Boon posłuchałby. Więcej, mogłem powiedzieć: – *Rozmyśliłem się. Zawieź mnie do McCaslin* – i

wiedziałem, że i to by również uczynił. A potem zrozumiałem nagle, że gdybym poprosił: – *Zawróć. Wezmę ten klucz od pana Ballotta i zamknijemy samochód w garażu, gdzie, w przekonaniu Szefa, stoi zamknięty* – Boon zrobiłby i to również. I jeszcze więcej: pragnął, abym to uczynił, milcząco błagał mnie, bym to uczynił: że i on, i ja byliśmy oszołomieni nie tylko jego własną śmiałością, ale naszym wspólnym, sprzysiężonym zuchwalstwem, i że Boon zdawał sobie sprawę, iż brak mu sił, by oprzeć się swojemu szaleństwu, wobec tego musi się zdać na moje siły i moją prawość. Rozumiesz, co ci mówiłem o Nie-Cnocie? Gdyby rzecz się miała odwrotnie, gdybym to ja milcząco błagał Boona, by zawrócił, mógłbym polegać na jego cnocie i liłości, podczas gdy nie znalazłeś ich u tego, do którego on się odwoływał. Nie powiedziałem ani słowa; rozwidlenie, ostatnia, krucha, bezsilna ręka wyciągnięta ku mnie, by mnie zbawić, podpłynęła, mignęła, uciekła, zniknęła nieodwracalnie. Powiedziałem: – *No więc dobrze. Jadę!* – Może Boon to słyszał, bo wciąż jeszcze ja byłem szefem. Tak czy inaczej opuściliśmy Jefferson; szatan będzie chyba strzegł swych wyznawców przynajmniej przez kilka pierwszych dni. Powiedział: – Do jutra, do Piekielnej Rzeczki, nie mamy się o co martwić. Wichrowy Strumień to głupstwo.

– Kto mówi, że głupstwo? – obruszyłem się. Wichrowy Strumień płynie cztery mile za miastem; przejeżdżałeś nad nim pewno tak szybko całe życie, że nawet nie wiesz, jak się nazywa. Ale ludzie, którzy przejeżdżali tam za moich czasów, pamiętali jego nazwę. Przez strumień przerzucony był drewniany mostek, lecz nawet w samym środku lata na drodze po obu brzegach ciągnęły się nieskończone błotniste wyrwy i dziury.

– Właśnie ci to mówię. Głupstwo. Wtedy, w zeszłym roku, przejechaliśmy tamtędy z panem Wordwinem nawet bez pomocy bloku, tylko siekiery i łopaty, które pan Wordwin pożyczył z jakiegoś domu o pół mili stamtąd i teraz, kiedy o tym mowa, to zdaje mi się, że ich nie odniósł.

Ale pewno ten jegomość przyszedł i zabrał je następnego dnia.

Okazało się, że był bliski prawdy. Przejechaliśmy przez pierwszą dziurę i nawet przez mostek. Ale zatrzymaliśmy się na dziurach po przeciwnej stronie. Samochód przechylił się raz, drugi i zawisł, obracając kołami. Boon nie marnował ani chwili – natychmiast zrzucił buty (zapomniałem powiedzieć, że były wypucowane jak lustro), podwinął nogawki spodni i włożył w błoto. – Przesuń się – powiedział. – Zmień bieg na pierwszy i rusz, kiedy ci powiem. Dalej. Wiesz, jak to się robi, nauczyłeś się dziś rano. – Wsunąłem się za kierownicę. Boon nie zatrzymał się nawet, by wyciągnąć blok. – Nie potrzeba! Za dużo czasu zabierze to wyciąganie i chowanie. Nam się spieszy! – Po co mu tam blok! – Przy drodze ciągnął się płot z plecionych sztachet – Boon zerwał górną żerdź i pogrążony po kolana w błocie i wodzie podłożył jej koniec pod tylną ośkę. – Teraz! – powiedział. – Dorzuć mu węgla! – i podniósł, dosłownie podniósł, samochód, wypychając go, kołyszając sam tylko, rękami, na suchą drogę, a do mnie wołał: – Zgaś motor! Zgaś motor! – co mi się udało. Wtedy podszedł, przesunął mnie i usiadł za kierownicą; nie zatrzymał się nawet, żeby opuścić zabłocone nogawki.

Bo, widzisz, słońce już niemal zaszło. Kiedy dojedziemy do Ballenbaugh, gdzie mieliśmy spędzić noc, będzie już prawie ciemno. Jechaliśmy więc teraz na tyle szybko, na ile nam starczało odwagi, i wkrótce minęliśmy dom państwa Wyottów – to nasi znajomi. W czasie ostatnich świąt Bożego Narodzenia ojciec zabrał mnie tam na polowanie na ptaki – osiem mil za Jefferson i cztery mile za rzeczką; słońce kryło się właśnie za domem. Jechaliśmy dalej. Za chwilę wyjdzie księżyc, bo jeśli idzie o nasze naftowe światła, to lepiej się nadawały do ostrzegania ludzi, że jedziemy, niż do oświetlania nam drogi. I nagle Boon zapytał: – Skąd ten smród? Czy to ty? – Ale nim zdążyłem zaprzeczyć, zahamował gwałtownie, chwilę siedział sztywno, potem obrócił się, sięgnął ręką do

tyłu i odrzucił zmiętą, stłamszoną płachtę, wypełniającą tył wozu. Ned usiadł na podłodze. Miał na sobie czarne ubranie, kapelusz i białą koszulę ze złotą spinką do kołnierzyka, ale bez kołnierzyka i krawata – to było jego niedzielne ubranie; miał nawet małą, zniszczoną walizeczkę (ty nazwałbyś ją pewno teczką), która należała do starego Luciusa McCaslina jeszcze przed urodzeniem mojego ojca; nie wiem, co mógł nosić w tej walizce przy innych okazjach. Nie widziałem w niej nigdy nic innego poza Biblią (również po mojej praprababce McCaslin), której nie umiał czytać; oraz półkwartową flaszką zawierającą może dwie duże łyżki stołowe whisky.

– A to skurwysyn – powiedział Boon.

– Ja też chcę się przejechać – oznajmił Ned. – Hi, hi, hi!

IV

– Mam takie same prawo do przejażdżki co pan i Lucius – mówił Ned.
– Nawet większe. Ten samochód należy do Szefa, Lucius jest tylko jego wnukiem, a pan to w ogóle żadna rodzina.

– No dobrze, dobrze – przerwał mu Boon – nie o to mi idzie, ale o to, żeś leżał przez cały czas pod brezentem i pozwolił, żebym sam włożył w błoto i dźwigał samochód gołymi rękami.

– A żeby pan wiedział, jak było gorąco pod tym brezentem! – narzekał Ned. – Sam nie wiem, jak ja to wytrzymałem! Już nie mówię o tej blaszanej bani. Cały czas musiałem się pilnować, żeby mi łba nie rozwaliła, jak pan gibał tym samochodem! Czekałem tylko, aż się ta benzyna, czy jak pan ją nazywa, tak spieni, że w końcu rozsadzi całe to żelastwo. A co ja miałem robić? Przecież to było cztery mile za miastem. Kazałby mi pan wracać pieszo do domu.

– Stąd jest dziesięć mil – odparł Boon. – Pewny jesteś, że nie przejdiesz dziesięciu mil na piechotę?

Powiedziałem szybko, gwałtownie: – Zapomniałeś? Przecież o dwie mile jest farma Wyottów. Równie dobrze moglibyśmy być o dwie mile od Bay St. Louis.

– Dobrze mówi – pogodnie odparł Ned. – Stąd mam bardzo niedaleko. Boon długą chwilę nie patrzył na niego.

– Wyłaż i złóż porządnie ten brezent, żeby nie zabierał więcej miejsca, niż trzeba – powiedział wreszcie. – I wywietrz go trochę, jeśli ma dalej z nami jechać.

– To przez to pańskie skakanie i trzęsienie – tłumaczył Ned. – Tak pan

mówi, jakbym zapomniał o dobrych manierach umyślnie, żebyście mnie znaleźli.

Boon tymczasem zapalał naftowe latarnie, a potem otarł łydki i stopy o róg brezentu, włożył skarpetki i buty i spuścił nogawki spodni, które zaczynały schnąć. Słońce już zaszło, wychodził księżyc. Zapadnie noc na dobre, nim dojedziemy do Ballenbaugh.

O ile mi wiadomo, Ballenbaugh to dzisiaj ośrodek kempingów dla wędkarzy, prowadzony z przerwami przez włoskiego przemysłowca alkoholu – mówiąc „z przerwami”, mam na myśli ten tydzień, czy dwa, w ciągu którego każdy nowy szeryf wybrany na cztery lata zdąży stwierdzić, jaka jest naprawdę wola tych, którzy, jak sądził, głosowali na niego. Cały ten kawał doliny rzecznej – część skazanego na zagładę wielkopańskiego marzenia Tomasza Sutpena, gdzie leżał obóz myśliwski majora de Spain – to teraz okręg melioracyjny; puszcza, w której sam Boon polował w latach swojej młodości czy też, w każdym razie, był obecny, a panowie polowali na niedźwiedzia, sarny i jaguary, to dzisiaj uprawne pola bawełny i kukurydzy, a nawet Przewóz Wyotta pozostał tylko nazwą.

Jeszcze w 1905 roku zachowały się tam szczątki głuszy, choć brakowało już większości saren oraz wszystkich niedźwiedzi i jaguarów (jak również majora de Spain i jego myśliwych); brakowało też i promu; teraz nazywaliśmy już Przewóz Wyotta Żelaznym Mostem, Wielkim Żelaznym Mostem, ponieważ był to pierwszy, i przez wiele lat jedyny, żelazny most, jaki okręg Yoknapatawpha miał i o jakim słyszał. Lecz dawniej, za czasów naszych własnych małych Chickasawowskich królów Issetibbeha i Mocketubbe i królobójcy uzurpatora, który sam się nazwał Potępieńcem, za czasów, kiedy to przywędrował tu pierwszy Wyott i Indianie pokazali mu bród, a on zbudował sklep i prom i nazwał je swoim nazwiskiem, była to nie tylko jedyna przeprawa przez rzekę na wielomilowym odcinku, ale również cel dla żeglugi; łodzie (a w zimie,

przy wysokiej wodzie, nawet małe parowce) podpływały wtedy pod same drzwi Wyotta, przywożąc whisky i pługi, i naftę, i cukierki miętowe z Vicksburga, a zabierając w zamian bawełnę i skóry.

Do Memphis jednak było bliżej niż do Vicksburga, nawet dla zaprzęgu mułów, zbudowano więc drogę prowadzącą prosto jak strzełił od Jefferson do południowej przystani promu Wyotta i prosto jak strzełił od północnej przystani promu Wyotta do Memphis. Bawełna i towary zaczęły podróżować tą drogą, ciągnięte przez muły czy woły; a wtedy to pojawił się znikąd olbrzym bez żadnej paranteli, który nazywał się Ballenbaugh. Jedni powiadali, że po prostu kupił od Wyotta jego małą, ponurawą, dotychczas spokojną budę – w jednej izbie sklepik i mieszkanie – oraz wszelkie prawa, jakie we własnym pojęciu miał Wyott do Chickasawowskiego brodu; inni powiadali, że Ballenbaugh tylko zasugerował Wyottowi, iż siedział tu dostatecznie długo i czas już, by się cofnął o cztery mile od rzeki i zabrał do farmerki.

Tak czy inaczej Wyott to właśnie zrobił. Wówczas zaś jego malutka, wykołysana w głuszy pustelnia zaroila się i rozbrzmiała gwarem; stała się noclegownią, bufetem i knajpą dla przejeżdżających woźniców oraz stałych załóg złożonych z twardych w gębie i sercu mulników, którzy po obu brzegach wyjeżdżali ładownym furgonem naprzeciw, mając w pogotowiu niekiedy i kilka zaprzęgów mułów i wciągali ciężkie wozy na prom, a po przepłynięciu rzeki wyciągali je na twardy grunt. Ruchliwe i gwarne miejsce; kto ryzykował w nim pobyt, musiał się okazać mężczyzną. I to twardym mężczyzną, do czasu, kiedy pułkownik Sartoris (nie myślę tu o bankierze, który otrzymał ten tytuł częściowo przez powinowactwo, o tym, przez którego myśmy się tu z Boonem znaleźli; myślę o jego ojcu, prawdziwym pułkowniku Skonfederowanych Wojsk Amerykańskich – żołnierzu, mężu stanu, polityku i rębajle; bratankowie i kuzyni z bocznej linii tej rodziny stanowiący podrastającą młodzież okręgu Yoknapatawpha

powiadają: mordercy) zbudował w latach siedemdziesiątych swoją linię kolejową i zniszczył to miejsce.

Ale nie interes Ballenbaugha, nie mówiąc o samym Ballenbaughu. Pociągi wyparły łodzie z rzeki i zmieniły nazwę Przewóz Wyotta na Prom Ballenbaugha; wagony kolejowe przewłasczyły bele z bawełną, a tym samym odebrały prom Ballenbaughowi, ale to było wszystko; przed czterdziestu laty skromny kupiec, taki jak Wyott i Ballenbaugh, potrafił znakomicie przewidzieć przyszłą koniunkturę i popłynąć na jej fali, teraz zaś w osobie syna, młodszego Ballenbaugha – drugiego olbrzyma, który w roku 1865 wrócił (jak powiadali) z kurtką podbitą arkuszami nie rozciętych banknotów Stanów Zjednoczonych z (jak twierdził) Arkansas, gdzie (jak twierdził) służył w konnym oddziale zwiadowczym wojsk skonfederowanych i został z honorami zwolniony, nie mógł sobie jednak nigdy później przypomnieć nazwiska dowódcy tego oddziału – ów skromny kupiec dowiódł, iż pozostała mu cała dawna zřecznořć, spryt i wszechwiedza.

Ludzie uprzednio przejeżdżali tylko Promem Ballenbaugha, zatrzymując się tam na noc; teraz jeźdźili do Ballenbaugha zawsze w nocy, a często z ogromnym pośpiechem, by dać gospodarzowi jak najwięcej czasu na ukrycie w bagnach konia czy krowy, nim zjawią się przedstawiciele prawa lub też sam właściciel. Oprócz gromad rozwścieszonych farmerów, idących jednokierunkowym śladem kopyt bydła i koni, oraz szeryfów, tropiących zwykłych morderców, przyszedł tu co najmniej jeden federalny urzędnik skarbowy, który już nigdy nie wrócił. Ballenbaugh senior bowiem tylko sprzedawał whisky, Ballenbaugh junior zaś również ją wyrabiał: był teraz właścicielem czegoś, co się kryło pod eufemistyczną nazwą dansingu, i w połowie lat osiemdziesiątych słowo „Ballenbaugh” wzbudzało na milę wokół wstręt i oburzenie; pastorky i starsze panie starali się o wybór takich

szeryfów, których całym programem politycznym byłoby wyrzucenie Ballenbaugha, jego pijaków, rozpustników, szulerów i dziewczyn z okręgu Yoknapatawpha, a jeśli to możliwe, to w ogóle z całego stanu Missisipi. Lecz Ballenbaugh i jego otoczenie – stajnia, przybytek rozrywki, czy jak to tam nazwać – nigdy jakoś nie dokuczały nam, ludziom z zewnątrz. Tamci nigdy nie wychodzili ze swojej twierdzy, nie istniało zaś prawo, które by komukolwiek nakazywało do nich chodzić; najwidoczniej też nowe zajęcie Ballenbaugha (nowe wcielenie) było bardzo opłacalne, rozeszła się bowiem wieść, iż nikt, czyje ambicje i widoki ograniczają się jedynie do kulawego konia czy też jałówki, nie ma tam po co jechać. W związku z tym ludzie rozsądni dali Ballenbaughowi spokój. Niewątpliwie zaliczali się do nich szeryfowie, którzy nie tylko byli rozsądni, ale też pamiętali o własnej rodzinie oraz o federalnym skarbowcu, zaginionym nie tak dawno w owych okolicach.

Tak to było aż do lata roku 1886, kiedy to pastor baptystów nazwiskiem Hiram Hightower – także olbrzym, wzrostem i tuszą niemal równy samemu Ballenbaughowi, człowiek, który we wszystkie niedziele od roku 1861 do 1865 był jednym z kapelanów kompanii Forresta, a w pozostałe sześć dni tygodnia – jednym z jego najtęższych i najzuchwalszych zwiadowców – przyjechał do Ballenbaugha z gołymi rękami, uzbrojony jedynie w Biblię, i nawrócił całe towarzystwo za pomocą pięści, po kolei, jeśli mógł, a po dwóch i trzech naraz, jeśli musiał. Tak więc, kiedy Boon, Ned i ja zbliżyliśmy się tam o majowej szarówce 1905 roku, Ballenbaugh żył już w swoim trzecim wcieleniu w osobie pięćdziesięcioletniej starej panny, jedyne dziecko Ballenbaugha juniora: była to prosta, koścista, surowa, stalowosiwa kobieta, uprawiała bawełnę i kukurydzę na ćwierci kwadratowej mili dobrej lessowej ziemi oraz prowadziła mały sklepik, nad którym na niewielkim stryszku leżał rząd wypchanych kukurydzianymi liśćmi sienników zasłanych czystymi prześcieradłami,

poduszkami i kocami. Sypiali tam myśliwi polujący na lisa i szopa oraz wędkarze, którzy (jak powiadano) wracali tu zawsze nie dla polowania czy rybołówstwa, ale dla stołu, jaki prowadziła panna Ballenbaugh.

Ona również nas usłyszała. Nie byliśmy pierwsi; powiedziała nam, że w ciągu ostatnich dwóch lat jesteśmy trzynastym przejeżdżającym tu samochodem, a pięć z nich pojawiło się w ciągu ostatnich czterdziestu dni; straciła już dwie kury i pewno wkrótce będzie musiała wszystko trzymać w zamknięciu, nawet psy. Kiedy zajeżdżaliśmy, stała razem z kucharką i Murzynem na frontowym ganku, osłaniając dłonią oczy przed upiornym migotaniem naszych latarni. Poznała Boona, a co ważniejsze poznała najpierw samochód; choć oglądała tylko trzynaście samochodów w życiu, miała już od razu takie dobre do nich oko.

– Więc dojechaliście jednak do Jefferson – powiedziała.

– W ciągu roku? – zdziwił się Boon. – Panie wielki, przecież ten samochód był od tego czasu sto razy dalej niż w Jefferson. Tysiąc razy. Niech pani da spokój. Musi pani przywyknąć do samochodów tak jak i wszyscy. – Wtedy powiedziała nam o tych trzynastu samochodach w ciągu dwóch lat i o dwóch kurach.

– One się przynajmniej trochę przejechały samochodem, czego ja nie mogę o sobie powiedzieć.

– To znaczy, że nigdy nie jechała pani samochodem?

– zdumiał się Boon. – Hej, Ned, wyskakuj no i zabieraj walizki! Lucius, daj pannie Ballenbaugh siąść z przodu, żeby mogła wszystko zobaczyć.

– Chwileczkę – oponowała panna Ballenbaugh. – Muszę wydać Alice rozporządzenia co do kolacji.

– Kolacja może poczekać – sprzeciwił się Ned. – Założę się, że Alice też nigdy nie jeździła samochodem. Chodź no tu, Alice. Kto tam z tobą jest, twój mąż?

– Ja tam nie latam za mężem – obruszyła się kucharka – a jakbym latała, to nie za Ephumem.

– Weź go w każdym razie ze sobą – rozkazał Boon. Kucharka i Murzyn zeszli z ganku i również wsiedli do samochodu, na tylne siedzenie, gdzie była bańka z benzyną i złożony brezent. Staliśmy z Nedom w świetle lampy naftowej padającym z otwartych drzwi i patrzyliśmy, jak automobil z czerwonym tylnym światłem posuwa się po drodze, staje, cofa, zawraca i przejeżdża obok nas, Boon naciska sygnał, panna Ballenbaugh siedzi trochę sztywna i wyprężona na przednim siedzeniu, Alice i Ephum machają do nas rękami.

– Wyootta – wrzasnęła Ephum do Neda. – Jazda!

– Popisuje się – powiedział Ned; miał na myśli Boona.

– Lepiej by dziękował Panu Bogu, że Szef nie stoi tu z nami. Ten by mu dał do wiwatu! – Samochód cofnął się, zawrócił, podjechał do nas i stanął. Panna Ballenbaugh rzekła po chwili:

– No, dobrze. – Potem wysiadła. Powiedziała żwawo:

– Wychodź, Alice!

Dostaliśmy kolację. I zrozumiałem, dlaczego rybacy i myśliwi zawsze tutaj wracają. Potem Ned poszedł z Ephumem, a ja skłoniłem się pannie Ballenbaugh. Boon wziął lampę i udaliśmy się na stryszek nad sklepem.

– Niczego nie zabrałeś? – spytał Boon. – Nawet czystej chusteczki do nosa?

– Nic mi nie trzeba.

– No, ale nie możesz tak spać. Spójrz na te czyste prześcieradła. Zdejmij przynajmniej buty i spodnie. Mamusia kazałaby ci też umyć zęby.

– Nie kazałaby – odparłem. – Nie mogłaby. Nie mam szczoteczki.

– To by jej nic nie szkodziło, sam dobrze o tym wiesz. Jak czegoś nie masz, to czymś to zastępujesz.

– Już daj mi spokój – powiedziałem. Leżałem na swoim sienniku. –

Dobranoc. – Boon stał nade mną z ręką podniesioną, by zgasić lampę.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Zamknij się.

– Powiedz jedno słowo. Wrócimy do domu. Nie teraz, ale rano.

– Tyle czasu potrzebowaleś, żeby się spietrać? – spytałem.

– Dobranoc. – Zdmuchnął lampę i wlaź na siennik. Otoczyła nas wiosenna ciemność: wielkie, skrzeczące basem żaby w trzęsawiskach, głosy lasu, wielkiego lasu, głuszy, w której żyją dzikie istoty: szopy i króliki, i norki, i szczury śnieżne, i wielkie sowy, i wielkie węże – mokasyny i grzechotniki – a może drzewa też oddychają, a może sama rzeka też oddycha, nie mówiąc już o duchach: starych Chickasawów, którzy nadali tej ziemi nazwę, nim jeszcze stanął na niej biały człowiek, i białych, co przyszli potem, Wyotta i starego Sutpena, i myśliwych majora de Spaina, i płaskodenek wiozących bawełnę, a potem pociągów i awanturczych mulników i wszystkich tych bandytów i morderców, z których powstała panna Ballenbaugh. Nagle zdałem sobie sprawę, co to jest ten dźwięk, który wydaje Boon.

– Z czego się śmiesz? – spytałem.

– Myślę o Piekielnej Rzeczce. Dojedziemy do niej jutro koło jedenastej rano.

– Ale mówiłeś przecież, że nas tam czekają kłopoty.

– Jeszcze jakie! – śmiał się Boon. – Wszystko nam teraz będzie potrzebne: siekiery, łopaty, drut, blok, wszystkie żerdzie ogrodzeniowe z okolicy i ty, i ja, i Ned, wszyscy trzej. Z tego się właśnie śmieję – z Neda. Jutro nad Piekielną Rzeczka będzie żałował, że zapomniał swoich, jak to nazywa, dobrych manier i że w ogóle drgnął pod tym brezentem, nim poczuł Memphis pod kołami.

Obudził mnie wczesnym rankiem. Mnie oraz wszystkich innych w promieniu pół mili, chociaż wyciągnięcie Neda z jego legowiska w domu

Ephuma i zaprowadzenie go do kuchni na śniadanie zajęło nieco czasu (a jeszcze więcej – wyciągnięcie go z kuchni, w której znajdowała się kobieta). Zjedliśmy śniadanie, a gdybym był myśliwym czy rybakiem, to po takim śniadaniu straciłbym na pewien czas ochotę na wędrówkę; Boon jeszcze raz przewiózł pannę Ballenbaugh automobilem, tym razem jednak bez Alice i Ephuma, chociaż Ephum był pod ręką. Napełniliśmy – Boon napełnił – zbiornik benzyną i chłodnicę wodą, nie dlatego, że było trzeba, ale, sądzę, dlatego że panna Ballenbaugh i Ephum przyglądali się; potem ruszyliśmy. Słońce akurat wstawało, kiedy przejeżdżaliśmy przez Żelazny Most nad rzeką (aha, jeszcze duch parowca; zapomniałem o nim wczoraj wieczorem) i wjechaliśmy w obcą ziemię, w obcy okręg; wieczorem znajdziemy się nawet w innym stanie, i w Memphis.

– Jeśli przejedziemy przez Piekelną Rzeczkę – powiedział Boon.

– Może jakoś przejedziemy, tylko przestań o tym tyle gadać – mruknąłem.

– Akurat! – zachnął się Boon. – Dolina Piekielnej Rzeczki nic sobie nie robi z tego, czy się o niej gada, czy nie. Nie potrzebuje sobie nic robić. Zobaczycie. – A potem: – Oto ona. – Było zaledwie kilka minut po dziesiątej; minęliśmy w doskonałym czasie łańcuch pagórków, jadąc po drogach suchych i pylistych, pośród zieleniejących pól, ziemi wyludnionej i niedzielnie spokojnej; pośród ludzi, którzy, odświętnie ubrani, próżnowali na gankach, dzieci i psów, co biegły ku ogrodzeniu czy drodze, by popatrzeć na nasz samochód; potem ludzi w powozikach, bryczkach, wozach, wierzchem na koniach i mułach (czasem nawet trzech na koniu, ale nigdy nie na mule) jadących do małych, białych kościółków wśród wiosennych drzew; nieco po dziewiątej minęliśmy inny automobil; Boon powiedział, że to ford, on miał dobre oko do samochodów, tak samo jak panna Ballenbaugh.

Przed nami leżała szeroka dolina, a droga opadała z płaskowzgórza ku

wstędze wierzb i cyprysów znaczących rzekę. Nie wyglądała tak bardzo źle, nigdzie nie była szersza od tej, którą już przejechaliśmy – widać było nawet zakurzoną bliznę drogi pnącej się na wzgórzu po przeciwnej stronie. Ale Boon zaczął już kląć i zwiększył szybkość w dół zbrocza – zdałoby się, że mu pilno, spieszo, by dojechać i rozpocząć bój, jakby ta woda była elementem zdolnym do uczuć, nie tylko wrogim, ale i nieprześląganym, niby żywy przeciwnik, niby drugi mężczyzna. – Popatrz na nią tylko – mówił Boon.

– Niewinna jak świeżo zniesione jajo. Widzisz nawet drogę po przeciwnej stronie, jakby się z nas naśmiewała, jakby powiadała: gdybyście potrafili się tu dostać, to moglibyście dojrzeć Memphis, ale spróbujcie tylko tu dojechać!

– Jeśli tu tak źle, to dlaczego nie pojedziemy naokoło?

– zapytał Ned. – Tak ja bym zrobił, gdybym siedział na tym miejscu, co pan.

– Bo nie ma żadnego objazdu Piekielnej Rzeczeki – odparł gwałtownie Boon. – W jedną stronę dojedziesz do Alabamy, w przeciwną wpadniesz prosto do Missisipi.

– Widziałem raz Missisipi w Memphis – powiedział Ned. – Teraz, jak mi pan powiedział, to przypomniałem sobie, że widziałem kiedyś i Memphis. Ale jeszcze nigdy w życiu nie oglądałem Alabamy. Może bym i chciał tam pojechać.

– Nigdy też nie oglądałeś Piekielnej Rzeczeki – powiedział Boon. – A chyba chowałeś się wczoraj pod tym brezentem po to, by się czegoś nauczyć. Jak ci się zdaje, dlaczego jedyne samochody, jakie widzieliśmy od Jefferson, to nasz i ten ford? Bo nie ma więcej samochodów w Missisipi z tej strony Piekielnej Rzeczeki, ot, dlaczego!

– Panna Ballenbaugh naliczyła w ciągu ostatnich dwóch lat trzynaście przed swoim domem – przypomniałem.

– Dwa z nich to ten tutaj – odparł Boon. – A pozostałe jedenaście... przecież nie widziała, jak przejeżdżały Piekielną Rzeczkę, tak czy nie?

– Może to zależy od tego, kto siedzi za kierownicą – podsunął Ned.
– Hi, hi, hi!

Boon zatrzymał raptownie samochód. Odwrócił głowę:

– No, dobra. Wyskakuj! Chcesz obejrzeć Alabamę, a straciłeś już piętnaście minut mieląc ozorem.

– Musi się pan zaraz rzucać na człowieka dlatego tylko, że z panem cały dzień jechał? – pytał Ned. Ale Boon go nie słuchał. Tak naprawdę, to on chyba nie mówił do Neda. Wyskoczył z samochodu, otworzył skrzynkę z narzędziami, którą dziadek kazał umocować na błotniku i gdzie znajdował się blok, siekiera, łopata i latarnia, zaczął wyjmować stamtąd wszystko z wyjątkiem latarni i rzucać bezładnie na tylne siedzenie koło Neda.

– Żeby nie marnować czasu – mówił szybko, ale z opanowaniem, spokojnie, bez hysterii ani nawet jakiejś gwałtowności; zamknął skrzynkę i siadł znowu za kierownicą.

– No, zaczynajmy. Na co właściwie czekamy?

I wciąż jeszcze nie wyglądało mi to źle – po prostu jeszcze jedna wiejska droga przecinająca jeszcze jeden bagnisty strumień, droga, która już nie jest sucha, lecz jeszcze nie naprawdę mokra, w której dziury i błotniste kałuże wypełnione zostały dla naszej wygody gałęziami i badyłami przez poprzednich pionierów, droga o zbrzastych odcinkach powstałych z ułożonych poprzecznie w mule palików (och, tak, zdałem sobie nagle sprawę, że ta droga – w braku bardziej dokładnego określenia – przestała być „jeszcze nie naprawdę mokra”) – więc to może Boon temu wszystkiemu winien, może to on zaludnił tę nieruchomą, cyprysową, sklepioną wierzbami, komarowo-brzęczącą samotnie duchami ugrzęzłych w błocie automobilów i spoconych, klnących ludzi. Potem pomyślałem

sobie, że to już to, ale nie tylko nie widziałem przed sobą żadnego suchszego wzniesienia, które wskazywałoby, że zbliżamy się, dobijamy do przeciwległego skraju bagniska, ale nie mogłem jeszcze dojrzeć przed sobą samej rzeczki, nie mówiąc już o moście. Samochód znowu zakołysał się, przechylił i zawisł, tak jak to zrobił wczoraj nad Wichrową Rzeczką; i znowu Boon zaczął natychmiast ściągać buty i skarpetki i podwijając spodnie. – No – zwrócił się przez ramię do Neda – wyskakuj!!!

– Nie wiem jak – odparł Ned, nawet się nie ruszając.

– Jeszcze się nie znam na samochodach. Będę panu tylko przeszkadzał. Zostanę tu z Luciusem, żeby pan miał dużo wolnego miejsca.

– Hi, hi, hi! – Boon naśladował go z perfidną złośliwością. – Chciałeś przejażdżki, masz przejażdżkę! Wyskakuj! Już!

– Mam na sobie niedzielne ubranie – perswadował Ned.

– Ja też! Jeśli ja się nie boję o swoje portki, to co dopiero ty!

– Łatwo panu gadać! Pan ma pana Maurycyego. Ja muszę zapracować na wszystko. Jak zniszczę czy zedrę ubranie, to sam sobie kupuję nowe.

– Nigdy w życiu nie kupiłeś sobie ani jednego łacha, ani butów, ani kapelusza – zaprzeczył Boon. – Wiem, że tę jedną jaskółkę, jaką masz, nosił stary Lucius McCaslin, nie mówiąc już o ubraniach generała Compsona i majora de Spaina i Szefa. Możesz zawinać portki i zdjąć buty albo nie, to już twoja sprawa. Ale wyłaż z tego samochodu.

– Niech Lucius wysiądzie – mówił Ned. – Jest młodszy ode mnie i bardzo silny jak na takiego małego.

– On będzie musiał kierować.

– To ja będę kierował, jeśli tylko panu potrzeba – upierał się Ned. – Całe życie nic innego nie robiłem, tylko kierowałem końmi, mułami i wołami i myślę, że wista i hola z tą tutaj kierownicą to całkiem to samo co wista i hola z parą lejców albo batem. – A potem do mnie:

– Wskocz no, chłopcze, i pomóż panu Boonowi. Lepiej zdejmij

przedtem buty i skarpetki.

– Wyleziesz, czy mam cię wziąć za kołnierz jedną ręką, a drugą wyrwać ci spod siedzenia ten samochód? – spytał Boon. Wtedy Ned ruszył się i to całkiem szybko, zrozumiałwszy, że stanęła przed nim konieczność; wyrzekał tylko trochę, rozsznurowując buty, podwijając nogawki i zdejmując marynarkę. Kiedy obejrzałem się na Boona, wyciągał już z krzaków głógów dwa drągi wielkości młodych drzewek.

– Nie bierzesz jeszcze bloku? – spytałem.

– Nie, u diabła – odpowiedział Boon. – Jak przyjdzie na to czas, nie będziesz potrzebował pytać. Sam zobaczysz.

– *Więc to pewnie most* – pomyślałem. – *A może tam w ogóle nie ma mostu i w tym właśnie sęk.* – Boon i teraz odczytał moje myśli. – Nie martw się o most. Jeszcześmy do niego nie dojechali.

Miałem i te słowa zrozumieć, ale dopiero później. Ned ostrożnie spuścił jedną nogę. – Ta woda jest brudna – oświadczył. – Najbardziej nie lubię, jak mi błoto włazi między gołe palce.

– To dlatego, żeś się jeszcze nie rozgrzał – wyjaśnił mu Boon. – Łap za ten drąg. Powiedziałaś, że się nie umiesz obchodzić z samochodami. Teraz do końca życia nie będziesz się mógł na to skarżyć. Dobra jest – to do mnie.

– Powoli popuszczaj sprzęgło, a jak tylko złapie, to niech ciągnie. – Tak też zrobiliśmy; Boon i Ned podsuwali drągi pod tylną ośkę i popychali nas naprzód do następnego gibnięcia o jakie dwie, trzy, a czasem i pięć stóp, aż samochód zawisł znowu, obracając kołami, a wirujące tylne koła obryzgiwały dokładnie tamtych dwóch od kolan po czubki głów niby natryskiwacze, których się dzisiaj używa do malowania mieszkań. – Rozumiesz, o co mi chodziło – powiedział Boon, spluwając i potężnym pchnięciem posuwając nas chybliwie ku przodowi – kiedy mówiłem o obznajmieniu się z samochodem? To zupełnie jak z końmi i mułami:

nigdy nie stawaj z tyłu za takim, co już trzyma zadnią nogę w górze.

Wtedy zobaczyłem mostek. Wjechaliśmy na odcinek drogi tak (w porównaniu z poprzednim) suchej, że Boon i Ned, których niemal nie można było rozpoznać pod warstwą błota, musieli biec truchtem obok samochodu, trzymając swoje drągi, a i wtedy trudno im było dotrzymać nam kroku, a Boon dyszał i wrzeszczał: – Jedź dalej! Jedź dalej, nie stawaj! – aż wreszcie zobaczyłem most, a potem zobaczyłem to, co jeszcze było pomiędzy nami i tym mostem i wtedy zrozumiałem, o co Boonowi chodziło. Zatrzymałem samochód. Droga (przeprawa, czy jakbyś to dzisiaj nazwał) przed nami nie tyle się zmieniła, ile została wprost magicznie przestoczona; składały się teraz na nią inne elementy, tworzywo. Przypominała wielki zbiornik kawy zaparzonej na mleku, z której tu i ówdzie sterczały połamane kije, rozpaczliwe kikuty gałęzi i jakieś kłody drzewa, a niekiedy nawet garb prawdziwej ziemi wyglądającej, jakby została umyślnie odwrócona pługiem, co robiło zdumiewające wrażenie. A potem zobaczyłem coś innego i zrozumiałem, co miał na myśli Boon, gadając od roku o dolinie Piekielnej Rzeczki, zrozumiałem, do czego wciąż wracał od chwili naszego wczorajszego wyjazdu z Jefferson, jakby otumaniony, owładnięty manią prześladowczą. Przywiązane do drzewa tuż przy drodze (albo kanale) stały dwa muły zaprzęgnięte jak do pługa – to znaczy w uprzęży i chomątach z rożkami; lejce przesunięte były przez rożki, a zwinięte w zgrabne zwoje postronki również wisiły na rożkach; nieopodal leżał oparty o drzewo ciężki, dwuskibowy pług, oblepiony – całe ostrze aż po grądziel – tym samym błotem, które w takim tempie pokrywało Boona i Neda; podwójny orczyk, również cały w błocie, opierał się o pług; w bezpośrednim sąsiedztwie stała nowa, dwuizbowa chatka myśliwska z surowych bali, na jej ganku zaś siedział pochylony mężczyzna w wiklinowym krześle, bosi, z odpiętymi szelkami dyndającymi w pasie; jęgo (równie zabłocone) ciężkie buty stały

pod ścianą koło krzesła. I wiedziałem od razu, że właśnie tu, a nie nad Wichrową Rzeczką, było to miejsce, gdzie Boon z panem Wordwinem musieli w zeszłym roku pożyczyć łopatę, którą (jak mówił Boon) pan Wordwin zapomniał oddać i której to (łopaty) pan Wordwin równie dobrze mógłby w ogóle nie pożyczać, jeśli idzie o korzyść, jaka im z niej przyszła.

Ned zobaczył to również. Rzucił jedno twarde spojrzenie na błotniste jezioro. Potem wbił wzrok w zaprzężone muły, opędzające się ogonami od komarów i czekające na nas. – No, to się nazywa mieć szczęście...

– zaczął.

– Zamknij się! – nakazał mu Boon dzikim szeptem.

– Ani słowa, ani pary z gęby! – mówił z namiętną, opanowaną wściekłością, opierając ubłocony drąg o samochód i wyciągając blok, korbę, drut kolczasty, siekierę i łopatę. Powtórzył: Skurwysyn – trzy razy. A potem zwrócił się do mnie: – Ty też.

– Ja? – zdziwiłem się.

– Ale niech pan spojrzy na te muły – nalegał Ned. – On ma nawet długi łańcuch przyczepiony do orczyka...

– Nie słyszałeś, jak mówiłem, żebyś się zamknął?

– powtórzył Boon tym samym wściekłym, lecz całkiem uprzejmym szeptem. – Jeśli nie wyraziłem się dość jasno, to przepraszam. Chodzi mi o to, żebyś się zamknął.

– Tylko po co mu i na co ten pług? – dziwił się Ned.

– Zabłocony aż po rączki! Wygląda, jakby... Czy pan chce powiedzieć, że on tu przychodzi z zaprzęgiem i orze to wszystko jak zagon, żeby było błoto? – Boon miał w rękach łopatę, siekierę, blok – wszystko razem. Przez chwilę sądziłem, że rzuci w Neda jednym z tych przedmiotów, a może wszystkimi naraz. Powiedziałem szybko:

– Co chcesz, żebym...

– Owszem – odparł Boon. – Wszyscy musimy zakasać rękawy. My, to znaczy ja z panem Wordwinem, mieliśmy z nim trochę kłopotu w zeszłym roku. Tym razem musimy jakoś przebrnąć.

– Ile musieliście zapłacić mu w zeszłym roku za wyciągnięcie z tego błota? – spytał Ned.

– Dwa dolary – odparł Boon – więc lepiej ściągnij i portki, i koszulę też. Tutaj to nikomu nie szkodzi...

– Dwa dolary? – zastanawiał się Ned. – Lepszy interes niż bawełna. Może uprawiać pole, siedząc w cieniu i nie ruszając palcem. Oj, żeby mi tak Szef dał kawałek uczęszczanego bagna.

– Dobry pomysł – powiedział Boon – tutaj nabierzesz wprawy. – Dał Nedowi blok i korbę, i kawał drutu.

– Zabierz to wszystko tam, do tej wierzby, tej dużej, i dobrze do niej przymocuj. – Ned rozwinął linę i zaniósł blok pod drzewo. Ściągnąłem spodnie i buty i włożyłem w błoto. Było przyjemne, chłodne. Może Boonowi też się takie wydało. A może jemu – i Nedowi również – owo błoto przyniosło teraz wyzwolenie, oswobodzenie się wreszcie z konieczności marnowania czasu na starania, by się nie ubrudzić. Tak czy inaczej, Boon od tej chwili po prostu ignorował błoto, kuczał w nim i powtarzał: Skurwysyn – cicho i regularnie, kłęcząc z drugiego kawałka kolczastego drutu pętlę z przodu samochodu, by przeciągnąć przez nią linę wyciągu. – No – zwrócił się do mnie – a ty przytaszcz tu stamtąd trochę tych gałęzi. – I czytając moje myśli ciągnął: – Ja też nie wiem, skąd się tam wzięły. Może on je sam układa, tuż pod bokiem, żeby ludzie dobrze zrozumieli, jak uczciwie mu się należą te dwa dolary.

Ściągnąłem więc faszynę – gałęzie, czuby drzew w błoto przed samochód, podczas gdy Boon z Nedem naciągnęli linę i przygotowali wszystko. Ja z Nedem stanąłem z przodu przy linie wyciągu, Boon z tyłu za samochodem dzierząc swój drąg-lewarek. – Wy macie lżejszą robotę

– oświadczył. – Musicie tylko naciągać i blokować linę, kiedy ja będę podpychał samochód. No, dobra jest. Jedziemy.

Było w tym coś ze snu. Nie z sennego koszmaru – po prostu ze snu; spokojne, ciche, sielskie, niemal pierwotne tło szlamu, błota, poszycia leśnego i upału, na którym nawet te muły spokojnie oganiające się od miriadów rojnych, niewidocznych istnień, składających się na to właśnie powietrze, w jakim się poruszaliśmy i którym oddychaliśmy, nie tylko nie były czymś obcym, ale doprawdy czymś zdumiewająco właściwym jako biologiczne uliczki bez wyjścia, a przez to istoty jeszcze przed urodzeniem zdezaktualizowane; samochód – kosztowna, bezużyteczna zabawka mechaniczna oceniana w sile i mocy na tuziny koni, a teraz bezsilna i bezradna, tkwiąca w niemal dziecinnym uchwycie kilku cali chwilowo skonfederowanych ze sobą dwóch łagodnych i pokojowych elementów: ziemi i wody, z którymi od nieprzeliczonych pokoleń dawały sobie bez trudu radę najkruchsze twory ręki ludzkiej przeznaczone do poruszania się, a wyprodukowane za pomocą staroświeckich, niezmechanizowanych metod; nas trzech, trzy rozcapierzone, identyczne, nierozpoznawalne teraz istoty w kolorze błota, pochłonięte śmiertelną z nim walką, której postępy trzeba było obliczać w śliskich niczym lodowce calach. A przez ten czas mężczyzna siedział w wiklinowym krześle na ganku i przyglądał się, gdy ja i Ned wyczeraliśmy wszystkie siły, walcząc o każdy cal zdobyty na linie tak teraz śliskiej od błota, że nie można jej było dobrze uchwycić rękami, na tyłach zaś walczył jak lew mocarny Boon, wpychając drąg pod samochód, podnosząc go i podsuwając naprzód. W pewnej chwili upuścił, odrzucił drąg, pochylił się, chwycił samochód gołymi rękami i naprawdę podbiegł z nim naprzód stopę czy dwie, jakby popychał taczki. Tego nikt nie mógł wytrzymać. Tego nikt nigdy nie powinien musieć wytrzymać. Powiedziałem to wreszcie. Przestałem ciągnąć. Powiedziałem, wydyszałem: – Nie, nie da rady. Po prostu nie da rady. – A na to Boon

głosem zamierającym i tak cichym i łagodnym jak miłosny szept:

– To zejdź mi z drogi, bo cię rozjadę!

– Nie – powtórzyłem. Potykałem się, ślizgałem, zapadałem, idąc ku niemu. – Nie – mówiłem. – Zamordujesz się.

– Nie jestem zmęczony – stwierdził Boon tym nonszalanckim, suchym głosem. – Dopiero się zacząłem rozkręcać. Ale ty z Nedom możecie odpocząć. Jak będziesz odpoczywał, to ściągnij tu jeszcze trochę tej faszyny...

– Nie – odparłem. – Nie. On już idzie. Chcesz, żeby to zobaczył? – Bo teraz nie tylko widzieliśmy go, ale i słyszeliśmy – kleiste kłaskanie kopyt zwierząt wyszukujących sobie wąską ścieżkę na skraju grzęzawiska, niemal melodyjne pobrzękiwanie zwiniętych łańcuchów; mężczyzna jechał na jednym mule, a drugiego prowadził, buty związane sznurowadłami przewiesił również przez różki jednego z chomąt, a orczyk kołysał się przed nim w tej pozycji, w jakiej na obrazkach starzy myśliwi polujący na bawoły wożą strzelby. Był to chudy mężczyzna, starszy niż my – a przynajmniej ja – osądziłem na pierwszy rzut oka.

– Dzień dobry, chłopczy! – przywitał nas. – Wygląda na to, że jesteście gotowi. Jak się masz, Jefferson! – zwrócił się do Boona. – Widać jednak zeszłego lata przejechałeś mimo wszystko.

– Widać – zgodził się Boon. Zmienił się w jednej chwili całkowicie, jakby kto odwrócił kartę: pokerzysta, który przed chwilą zobaczył, jak druga dwójka wpadła w ręce po przeciwnej stronie stołu. – Moglibyśmy się przedostać i tym razem, gdybyście wy tutaj nie wymiesili takiego trzęsawiska.

– Nie miej nam tego za złe – odparł mężczyzna.

– Z błota mamy tu, u nas, najlepsze zbiory.

– Po dwa dolary za dziurę... chyba trudno o lepsze – wtrącił Ned. Mężczyzna przypatrywał mu się chwilę zmrużonymi oczyma.

– Pewno masz słuszość – powiedział. – Trzymaj. Bierz ten orczyk. Wyglądasz na faceta, który wie, gdzie go mułowi przyczepić.

– Złaz i sam to zrób – odezwał się Boon. – Za co mielibyśmy ci płacić dwa dolary jako specjaliście? Robiłeś to w zeszłym roku.

– Zeszły rok to był zeszły rok – stwierdził mężczyzna.

– Chłapanie się w wodzie i przyczepianie łańcucha do tych interesów rozregulowało mój organizm i teraz wystarczy, żebym na siebie splunął, a już dostaję reumatyzmu. – I ani drgnął. Podprowadził tylko muły i obrócił je tyłem, a Ned i Boon przyczepili postronki do orczyka, po czym Boon kucnął w błocie, by przymocować łańcuch do samochodu jak należy.

– Gdzie mam go przyczepić? – zapytał.

– Mnie tam wszystko jedno – odparł mężczyzna. – Przyczep do tej części, którą chcesz wyciągnąć z błota. Jeśli chcesz wyciągnąć wszystko w kupie, to radziłbym ci przyczepić go do ośki. Ale najpierw radziłbym wsadzić te wszystkie łopaty i liny z powrotem do samochodu. Nie będziecie ich już więcej potrzebować, w każdym razie nie tutaj. – Zrobiliśmy więc z Nedom, jak kazał, a Boon przymocował łańcuch, po czym stanęliśmy wszyscy trzej z boku i przyglądaliśmy się. To był niewątpliwie fachowiec, ale muły doszły też do perfekcji: wydobywały samochód z błota, utrzymywały napięcie na orczyku tak równo i zręcznie, jak tancerze na linie, wprawiały samochód w ruch i nie pozwalały mu stanąć nie kierowane niczym prócz słowa rzucanego od czasu do czasu przez mężczyznę, który jechał na prawym mule, a niekiedy dotknięcia odartym ze skórki łożynowym prętem – aż wyciągnęły automobil tam, gdzie było więcej ziemi niż wody.

– No, dobra – powiedział Boon. – Odczep go.

– Nie tutaj – odparł mężczyzna. – Po tej stronie mostku jest jeszcze druga dziura, którą wam dorzucam darmo. Zapomniałeś już, nie było cię tu rok. – Potem do Neda: – Tu, u nas, nazywamy to zagonem rezerwowym.

– Mówisz o wigilijnej bruździe? – zapytał Ned.

– Może i mówię – odparł mężczyzna. – A co to takiego? Ned wytłumaczył mu: – Tak robiliśmy dawniej na plantacji McCaslin, jeszcze przed Klęską, kiedy żył stary L.Q.C, a młody Edmonds do dziś robi tam to samo. Każdej wiosny ciągnie się bruźdę przez środek najlepszego pola na plantacji i każdy krzaczek bawełny między tą bruźdą a skrajem pola należy do funduszu wigilijnego, nie do szefa, ale do każdego czarnego McCaslina, który na Boże Narodzenie dostaje swoją część. To właśnie jest wigilijna bruźda. Pewno wy, co tu uprawiacie błota, nigdyście o tym nie słyszeli? – Mężczyzna patrzył na Neda. Po chwili Ned powiedział: – Hi, hi, hi!

– Teraz już lepiej – stwierdził mężczyzna. – Przez chwilę myślałem, że my dwaj będziemy mieli jakieś nieporozumienie. – Zwrócił się do Boona: – Niech lepiej kto pokieruje tym samochodem.

– Racja – zgodził się Boon. – Siadaj – to do mnie. Wsunąłem się więc za kierownicę, tak jak byłem, z tym błotem. Ale nie ruszyliśmy jeszcze. Mężczyzna oświadczył:

– Zapomniałem powiedzieć, może to lepiej zrobić teraz. Od zeszłego roku ceny poszły tu u nas dwukrotnie w górę.

– Dlaczego? – zapytał Boon. – To ten sam samochód, te same dziury i niech mnie diabli wezmą, jeśli nie to samo błoto.

– Tak było w zeszłym roku. Teraz interes się rozkręcił. Tak się rozkręcił, że nie stać mnie na to, by nie podnieść ceny.

– Dobrze, niech to lichy – ustąpił Boon. – Jedź dalej.

– Ruszyliśmy więc upokorzeni dalej, w tempie nadawanym przez muły, do następnej dziury, bez zatrzymania, do dziury i z dziury. Most leżał tuż przed nami; za nim ogarnialiśmy już wzrokiem całą drogę aż na skraj doliny, gdzie było bezpiecznie.

– Teraz możecie jechać bez przeszkód – powiedział mężczyzna –

dokąd tu nie staniecie w drodze powrotnej.

– Boon odczepiał łańcuch, podczas gdy Ned zwalniał postronki i wręczał z powrotem orczyk mężczyźnie siedzącemu na mule.

– Nie będziemy tędy wracać – powiedział Boon.

– Ja bym też tego nie robił – przyznał mężczyzna. Boon wrócił do ostatniej kałuży, zmył nieco błota z rąk, podszedł i wyciągnął cztery dolary z pugilaresu. Mężczyzna ani drgnął.

– Sześć dolarów – zażądał.

– W zeszłym roku było dwa – oświadczył Boon. – Ma być dwa razy tyle. Dwa razy dwa to cztery. W porządku. Tu są cztery dolary.

– Biorę dolara za pasażera – tłumaczył mężczyzna.

– Było was dwóch w zeszłym roku. To znaczy dwa dolary. Ceny się podniosły dwukrotnie. Jest was trzech. To znaczy sześć dolarów. Może ty wolałbyś iść piechotą z powrotem do Jefferson, niż płacić sześć dolarów, ale pewno ten chłopiec i ten Murzyn woleliby jechać.

– A może ja nie podniosę ceny – powiedział Boon.

– A może ci nie zapłacę sześciu dolarów. A może nawet nie zapłacę ci w ogóle nic!

– Możesz i tak zrobić – przyznał mężczyzna. – Te muły miały dziś ciężki dzień, ale myślę, że wystarczy im jeszcze siły, żeby was wciągnąć z powrotem tam, skąd was wyciągnęły.

Ale Boon już się poddał, skapitulował, dał za wygraną.

– Niech to diabli – mówił – przecież ten chłopiec to tylko dziecko! Naprawdę za takie małe dziecko...

– Może i lżej mu będzie wracać do Jefferson – powiedział mężczyzna – ale na pewno drogi mu to nie skróci.

– No, dobrze – przedkładał Boon – ale spójrz na tego drugiego! Nawet jak zmyje z siebie całe to błoto, to się nie zrobi biały!

Mężczyzna patrzył chwilę w przestrzeń. Potem spojrzął na Boona. –

Synu – rzekł – te muły to daltonisty.

V

Boon mówił i Nedowi, i mnie, że jak zdobędziemy Piekielną Rzeczkę, to zaraz znajdziemy się wśród cywilizacji. Malował nam obrazy wszystkich dróg po przeciwnej stronie doliny, upstrzonych samochodami gęsto jak muchami. Ale widocznie trzeba było najpierw odsunąć Piekielną Rzeczkę w otchłań zapomnienia albo przynajmniej poza zasięg wzroku; może nie byliśmy godni cywilizacji, mając na sobie nie starte błoto niedawnej przeprawy. Tak czy inaczej nic się jeszcze nie zmieniło. Mężczyzna wziął swoje sześć dolarów i odjechał z mułami i orczykiem. Zauważyłem zresztą, że nie wrócił do swego małego domku, ale przebrnął przez grzęzawisko, pojechał dalej i zniknął, jakby dla niego dzień pracy już się skończył. Ned również to zauważył. – Daje innym zarobić – powiedział. – Stać go na to. Wziął sześć dolarów, a przecież jeszcze nawet nie pora na obiad.

– Jeśli o mnie idzie, to już pora – odparł Boon. – Wyciągaj jedzenie. – Wydostaliśmy więc pudło z obiadem, które zapakowała nam panna Ballenbaugh, i blok, i linę, i siekierę, i łopatę, i nasze buty, i skarpetki, i moje spodnie (nie mogliśmy doprowadzić do porządku samochodu, poza tym szkoda byłoby roboty, póki nie dojedziemy do Memphis, gdzie, jak sądziliśmy, na pewno nie będzie błota) i wróciliśmy do rzeczki, umyliśmy narzędzia i złożyliśmy blok i linę. Niewiele można było zrobić z odzieżą Boona czy Neda, chociaż Boon wszedł w ubraniu do wody i opłukał się, i namawiał Neda, żeby zrobił to samo, gdyż on, Boon, miał zmianę ubrania w walizce, ale Ned tylko ściągnął koszulę i włożył z powrotem marynarkę. Chyba ci już mówiłem o jego teczce, którą on nie tyle nosił przy sobie poza domem, co przywdziewał tak, jak to robią dyplomaci,

mając w nich niekiedy, jak podejrzewam (Ned miał w niej teraz Biblię i dwie duże łyżki najlepszej, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, whisky dziadka), jeszcze mniej.

Zjedliśmy lunch – szynkę, pieczone kurczęta, biszkopty, domowy dżem z brzoskwiń, ciasto i dzbanek maślanek – po czym włożyliśmy do auta nasz przeciwbłotny ekwipunek (który się okazał w końcu nie tyle wyzwaniem, co haniebną fanfaronadą), zmierzaliśmy ilość benzyny w baku – nie ze względu na odległość, ale czas – i ruszyliśmy dalej. Teraz bowiem kości zostały rzucone naprawdę; skończyły się wyrzuty sumienia, żal czy zastanawianie typu: co-by-było-gdyby; jeśli przekroczyliśmy Rubikon, przekraczając Żelazny Most i wjeżdżając w inny okręg, to, zwyciężając Piekielną Rzeczkę, spuściliśmy kratownicę i spaliliśmy mosty. I wydawało się, jakbyśmy wywalczyli odroczenie wykonania wyroku w nagrodę za nieokiełznany upór czy odmowę przyznania się do przegranej, w chwili gdy stanęła przed nami czy też myśmy stanęli przed nią. Albo może przyszedł po prostu moment, kiedy Cnota skapitulowała, kiedy zrezygnowała z nas na korzyść Nie-Cnoty, by teraz ona pieściła nas, karmiła i psuła tak, jak na to zasłużyliśmy, przefrymarczywszy nieodwołalnie nasze dusze.

Krajobraz również jakby się odmienił. Farmy były większe, dostatniejsze, z solidniejszymi ogrodzeniami i malowanymi domami, a nawet stodołami. Dojechaliśmy wreszcie do szerokiego gościńca biegnącego prosto jak strzełił i gęsto poznaczonego śladami opon. Boon zwrócił się do nas z pewnym triumfem, tak jakbyśmy mu byli przedtem nie wierzyli albo tak jakby on sam stworzył ten gościńiec, chcąc odeprzeć nasze zarzuty, jakby sam go zrobił, wygładził, wyrównał i ubił własnymi rękoma (a może nawet dodał te ślady opon): – Nie mówiłem wam? Gościńiec do Memphis. – Widzieliśmy drogę na długie mile przed nami; w niewielkiej odległości podnosiła się gwałtownie chmura kurzu,

jak zapowiedź, jak obietnica; była tak niewątpliwa dzięki szybkości, z jaką się poruszała, i dzięki swemu ogromowi, że nawet nie okazaliśmy zdziwienia, gdy wynurzył się z niej automobil; minęliśmy go, mieszając wspólny kurz w jedną olbrzymią chmurę, w jeden słup, jak znak drogowy wzniesiony i osadzony, by rzucić na kraj cień przyszłości: mrówczych przesunąć tam i z powrotem, nieokiełzanego owczego pędu splecanego w ratach, zmechanizowanego, puszczanego w ruch, nieuniknionego przeznaczenia Ameryki.

Teraz już, szarzy od kurzu od stóp do głów (wyobrażasz sobie wilgotne jeszcze ubranie Boona!), mogliśmy się spieszyć, mogliśmy nawet przez chwilę jechać bardzo szybko; nie gasząc motoru Boon wysiadł i żwawym krokiem przeszedł na moją stronę, mówiąc: – No, przesuń się za kierownicę. Wiesz, jak się prowadzi. Tylko niech ci się czasem nie zdaje, że jesteś parowozem, co robi czterdzieści mil na godzinę. – I prowadziłem samochód w to słoneczne majowe popołudnie. Nie bardzo mogłem się nim rozkoszować, zbyt byłem zajęty, zbyt skupiony (no, dobrze, zbyt zdenerwowany i dumny); niedzielne popołudnie, nikt nie pracuje, bawelna i kukurydza rosną sobie w świętym spokoju, nawet muły jakieś niedzielne, leniuchujące na pastwiskach, ludzie, nadal w odświętnych ubraniach, na gankach czy w cienistych ogródkach, przy nich szklaneczki lemoniady lub talerzyki lodów pozostałe z obiadu. Potem jechaliśmy bardzo szybko. Boon powiedział: – Zbliżamy się do miasta, lepiej ja poprowadzę.

– I dalej. Otaczał nas teraz nieprzerwany ciąg cywilizacji: sklepy wiejskie, osady na skrzyżowaniach dróg – ledwo wyjechaliśmy z jednej, a tu już druga; handel kwitnął, powietrze było już miejskie, nawet podnoszony przez nas i towarzyszący nam kurz zostawiał wielkomiejski smak na języku i w nosie, a małe dzieci i psy nie podbiegały już do bram i ogrodzeń, by przyjrzeć się nam i trzem innym automobilom, które minęliśmy na ostatnich trzynastu milach.

A potem zniknęła i wieś. Nie było już przerw pomiędzy domami, sklepami i składami; nagle wyłonił się przed nami szeroki, obrzeżony drzewami bulwar, środkiem którego biegingy szyny; a oto pojawił się i sam tramwaj; konduktor i motorniczy zniżali właśnie pałak na tylnym wagoniku i podnosili na przednim, by zawrócić i pojechać znów na ulicę Główną. – Za dwie minuty piąta – powiedział Boon.

– Dwadzieścia trzy i pół godziny temu byliśmy w Jefferson w stanie Missisipi, osiemdziesiąt mil stąd. Rekord. – Byłem już poprzednio w Memphis (Ned również. Powiedział nam to rano, za pół godziny dowiedzie tego), ale zawsze pociągiem, nigdy jeszcze tak, patrząc, jak Memphis rośnie, gęstnieje, przyswajając je z rozmysłem, jak łyżkę lodów. Zakładałem z góry, że pojedziemy do hotelu Gayoso, ponieważ my – a przynajmniej ja – zawsze tam się zatrzymywaliśmy. Nie wiem więc, jaką myśl odczytał Boon tym razem. – Pojedziemy do takiego znanego mi niby to pensjonatu – powiedział. – Spodoba ci się. Dostałem w zeszłym tygodniu list od jednej z dziewczyn... pań, które tam mieszkają, że przyjechał do niej siostrzeniec, więc będziesz miał kolegę do zabawy. Kucharka znajdzie nocleg i dla Neda.

– Hi, hi, hi! – odpowiedział Ned. Oprócz tramwajów jeździły tu powoziki, bryczki, faetony, dwukółki, landa i przynajmniej jedna wiktoria, konie trochę się na nas boczyły, ale nie płoszyły; najwyraźniej dla koni z Memphis automobil nie był nowością – Boon nie mógł więc obrócić głowy i spojrzeć na Neda, ale mógł zerknąć ku niemu jednym okiem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał.

– Nic – odparł Ned. – Niech pan uważa, gdzie jedzie, i mną się nie zajmuje. Niech pan w ogóle o mnie nie myśli. Ja też mam tutaj znajomych. Pokaże mi pan tylko, gdzie szukać samochodu jutro rano, a ja tam będę.

– Radzę ci być – ostrzegł Boon. – To znaczy, jeśli chcesz wrócić nim do Jefferson. Ani ja, ani Lucius nie zapraszaliśmy cię na tę przejażdżkę,

więc też ani on, ani ja nie odpowiadamy za ciebie. Jeśli idzie o mnie i Jefferson, to twój powrót nic mnie nie obchodzi.

– Jak przyjedziemy tym samochodem do Jefferson i staniemy przed Szefem i panem Maurym, to żaden z nas nie będzie miał czasu na zawracanie sobie głowy tym, kto wrócił, a kto nie – oświadczył Ned. Ale było już za późno, o wiele za późno, by ten temat podnosić. Boon odparł więc: – Dobrze już, dobrze. Powiedziałem tylko, że jeśli chcesz wrócić do Jefferson i nie mieć czasu na zawracanie sobie głowy tym czy owym, to lepiej postaraj się być przy mnie, kiedy będę odjeżdżał. – Zbliżaliśmy się teraz do ulicy Głównej – wielkich budynków, sklepów, hoteli: hotel Gaston (już go dziś nie ma) i hotel Peabody (później go przenieśli) i hotel Gayoso, któremu przyrzekliśmy wierność my wszyscy – McCaslinowie, Edmondsowie, Priestowie – jak świętości rodzinnej, ponieważ nasz daleki wuj i kuzyn, Teofil McCaslin, ojciec kuzyna Ike’a, należał do oddziału konnego, który, jak głosi legenda (to znaczy legenda dla niektórych, dla nas był to fakt historyczny), dowodzony przez brata generała Forresta, wpadł galopem do westybulu hotelowego i omal nie pojmał jankeskiego generała. Nie dojechaliśmy tam jednak. Boon skręcił w boczną uliczkę, wąski przesmyk między domami; na jej rogu były dwie knajpy. Stojące tu szeregiem domy nie wydawały się ani stare, ani nowe; było tu bardzo spokojnie, tak spokojnie, jak w Jefferson w niedzielne popołudnie. Właściwie Boon sam to przyznał: – Żebyście tu byli wczoraj wieczór! Co sobota wieczór to tu się aż gotuje! A nawet w dzień powszedni, kiedy jest jakiś zjazd w mieście – strażaków, policjantów albo Łoży Łosi.

– Może wszyscy poszli tak wcześnie na modlitwy? – podsunąłem.

– Nie, chyba nie – pokręcił głową Boon. – Możliwe, że po prostu odpoczywają.

– Po czym? – spytałem.

– Hi, hi, hi! – powiedział Ned. Najwidoczniej Ned odwiedzał był już

poprzednio Memphis, choć pewno nawet dziadek nie wiedział ile razy, mógłby się tylko orientować – kiedy. A ja, widzisz, miałem dopiero jedenaście lat. Tym razem, jako że ulica była pusta, Boon obrócił głowę.

– Tylko mi jeszcze raz spróbuj – warknął do Neda.

– Co spróbować? – spytał Ned. – Chciałem się tylko dowiedzieć, gdzie znajdę samochód jutro rano, a na pewno będę w nim siedział, gdy ruszy. – Boon pokazał mu. Znajdowaliśmy się niemal na miejscu: był to dom, który wymagał pewno tej samej ilości farby co inne, stojący w małym, zapuszczonym ogródku, lecz miał coś w rodzaju przedsonka z drewnianej kraty przed drzwiami frontowymi, jak obudowa studni. Boon zatrzymał samochód przy skraju drogi. Teraz mógł się odwrócić i popatrzeć na Neda.

– No, dobrze – powiedział. – Trzymam cię za słowo. A ty lepiej uwierz w to, co mówię! Z uderzeniem ósmej jutro rano. Mam na myśli pierwsze uderzenie, nie ostatnie. Bo ja go nie myślę słuchać, mnie tu już nie będzie.

Ned gramolił się właśnie z samochodu, trzymając w ręku swą walizeczkę i zabłoconą koszulę. – Nie dość panu własnych kłopotów, żeby jeszcze się zajmować moimi?

– spytał. – Jeśli pan zdąży pozałatwić swoje interesy do ósmej rano, to czemu ja miałbym nie zdążyć? – Ruszył ulicą. A potem, idąc i nie oglądając się, powiedział jeszcze:

– Hi, hi, hi!

– Chodź – zwrócił się do mnie Boon. – Panna Reba da nam się umyć. – Wysiedliśmy. Boon sięgnął do tyłu wozu, zaczął wyciągać swoją walizkę, powiedział: – Aha! – sięgnął do deski rozdzielczej, wyjął kluczyk ze stacyjki, wsadził do kieszeni i zaczął znów wyciągać walizkę, znowu się zatrzymał, wyjął kluczyk z kieszeni i wręczył mi: – Masz. Trzymaj. Ja mógłbym go gdzieś wetknąć i zapomnieć. Włóż go głęboko do kieszeni, żeby ci nie wypadł. Możesz go jeszcze przycisnąć chusteczką. – Wziąłem

kluczyk, a Boon znowu zaczął ściągać walizkę i znowu się zatrzymał, spojrzał szybko przez ramię na pensjonat, obrócił się nieco bokiem, wyjął pugilares z tylnej kieszeni, otworzył go, trzymając tuż przy sobie, wyciągnął pięciodolarowy banknot i zawahał się, potem wyciągnął jeszcze jednego dolara, zamknął pugilares i podał mi go ukradkiem, mówiąc szybko i bardzo cicho: – Schowaj. Mógłbym go gdzieś zapodziać. Za każdym razem, jak nam będą potrzebne pieniądze, powiem ci, ile masz mi dać. – Bo ja nigdy jeszcze nie byłem w pensjonacie i pamiętaj, miałem tylko jedenaście lat. Włożyłem więc i pugilares do kieszeni, a Boon wziął walizkę i przeszliśmy przez furtkę i ścieżką do kraciestego przedsiönka, a tam były drzwi frontowe. Ledwie Boon dotknął dzwonka, usłyszeliśmy wewnątrz tupot nóg. – Nie mówiłem ci? – szybko powiedział Boon. – Wszyscy na pewno cały czas przyglądają się zza firanek temu samochodowi. – Drzwi otwarły się. Otworzyła je młoda Murzynka, lecz nim zdążyła coś powiedzieć, odepchnęła ją na bok biała kobieta – młoda, ładna kobieta, z taką twardą twarzą i włosami nieco zbyt rudymi, a w uszach miała największe żółtawe brylanty, jakie w życiu widziałem.

– Niech cię licho, Boon – zaczęła. – Wczoraj, kiedy Corrie dostała twoją depeszę, kazałam jej zaraz odtelegrafować, żebyś nie przywoził tutaj żadnego dzieciaka. Mam już jednego od tygodnia. Jeden taki piekielnik wystarczy na każdy dom i na każdą ulicę. A nawet i na całe Memphis, jeśli to jest ten właśnie, którego my mamy. I nie kłam, żeś nie dostał telegramu.

– Nie dostałem – odparł Boon. – Pewno wyjechaliśmy z Jefferson, nim przyszedł. Co pani chce, żebym z nim teraz zrobił? Przywiązał go w ogródku czy co?

– Wejdźcie – powiedziała, odsuwając się od drzwi i wpuszczając nas do środka; natychmiast po tym służąca zamknęła drzwi na klucz; może wszyscy ludzie w Memphis tak robią, nawet kiedy są w domu? Hali wyglądał jak każdy inny ze schodami prowadzącymi na górę, tylko

nagle poczułem pewien zapach: cały dom był nim przesiąknięty. Nie znałem jeszcze tego zapachu. Nie to, żeby mi się nie podobał, ale po prostu mnie zdziwił. To znaczy, widzisz, gdy go poczułem, wydało mi się natychmiast, że to jest zapach, na który czekałem całe życie. Myślę, że na człowieka powinny spadać bez ostrzeżenia tylko takie doświadczenia, których inaczej nie zaznałby przez wszystkie swoje lata. Ale jest czystą nieprzyzwoitością ze strony Losu czy Okoliczności stykać cię bez uprzedniego przygotowania z rzeczami nieuniknionymi (nie mówiąc o koniecznych), zwłaszcza jeśli to przygotowanie jest czymś tak prostym i nieskomplikowanym, jak ukończenie piętnastu lat. To był właśnie tego rodzaju zapach. Kobieta wciąż mówiła: – Wiesz równie dobrze jak ja, że pan Binford cholernie nie lubi, żeby dzieci przyjeżdżały tu na wakacje. Słyszałeś, co mówił zeszłego lata, kiedy Corrie przywiozła tu pierwszy raz tego skurczybyka, twierdząc, że on nigdy nie nabierze ogłady na tej farmie, co ją dzierżawią w Arkansas. Pan Binford słusznie powiada, że oni i tak, i tak tu niedługo trafią, więc po co ich zapędzać za wcześnie, niech przynajmniej uciulają przedtem trochę forsy. A już nie mówię o klientach, co przychodzą tu za interesem, a zamiast tego zastają kindergarten. – Byliśmy teraz w jadalni. Stała w niej pianola. Kobieta gadała w dalszym ciągu: – Jak on ma na imię?

– Lucius – zwrócił się do mnie Boon – pokłoń się pannie Rebie. – Skłoniłem się więc tak, jak to robiłem zawsze; myślę, że dziadka uczyła tego jego matka, a babcia uczyła ojca, a matka uczyła nas; Ned nazywał to „szurnięciem nogą”. Kiedy się wyprostowałem, panna Reba patrzyła na mnie. Miała dziwny wyraz twarzy.

– Niech mnie lichy! – powiedziała. – Minnie, widziałaś? Czy panna Corrie...

– Ubiera się i zaraz przyjdzie – odrzekła służąca. I wtedy to zobaczyłem. To znaczy, żab Minnie. To znaczy to, dlaczego, dla jakiej

przyczyny ja, ty, ludzie, wszyscy pamiętali Minnie. Miała zresztą i tak śliczne zęby, jak malutkie, bogato dobrane w alabastrze, równiutko ponacinane tabliczki nagrobne, odbijające się, gdy się śmiała lub mówiła, od głębokiego czekoladowego brązu jej twarzy. Ale to nie wszystko. Górny prawy siekacz miała złoty; królował w jej ustach jak wspaniała władczyni pośród białych lśnień pozostałych zębów i wydawało się, że się żarzy, świeci rozpalony dostojnym, wewnętrznym ogniem czy też blaskiem czegoś więcej niż złota, aż wreszcie ten jeden ząb wydawał się większy niż obydwie żółtawe brylanty panny Reby razem wzięte. (Dowiedziałem się później – wszystko jedno skąd – że wyjęła sobie ten złoty i wstawiła zwykły, biały, taki jak wszyscy; żałowałam bardzo. Myślałam, że gdybym był jej rasy i w jej wieku, to chciałbym zostać jej mężem po to tylko, by codziennie oglądać ten ząb przy stole, w akcji; jedenastoletniemu dziecku, jakim wtedy byłem, wydawało się, że nawet jedzenie, które ten ząb żuje, musi smakować inaczej, lepiej). Panna Reba znowu zwróciła się do Boona: – A co wyście robili? Tarzaliście się w jakimś chlewie?

– Wpadliśmy w straszne błoto po drodze – tłumaczył Boon. – Przyjechaliśmy samochodem. Stoi przed domem.

– Widziałam – powiedziała panna Reba. – Wszyscyśmy widzieli. Nie opowiadaj tylko, że to twój. Powiedz, czy go policja nie szuka. Jeśli tak, to odjedź sprzed domu. Pan Binford bardzo uważa, żeby tu nigdy nie zachodziła policja. Ja też.

– Samochód jest w porządku – wyjaśnił Boon.

– Radzę ci, żeby był w porządku. – Panna Reba znowu spoglądała na mnie. Powiedziała: – Lucius – do nikogo specjalnie. – Szkoda, że nie mogliście przyjechać wcześniej. Pan Binford lubi dzieci. Lubi je w dalszym ciągu, chociaż zaczął mieć wątpliwości. Bo też ten ostatni tydzień mógł nasunąć wątpliwości każdemu, kto jeszcze ma oczy i uszy. Rozumiesz, chciał dać Otisowi dobrodziejstwo wątpliwości i zabrał go

do zoo zaraz po obiedzie. Lucius mógłby też pójść. Ale, z drugiej strony, może lepiej nie. Jeśli Otis korzysta z tych dobrodziejstw wątpliwości w tym samym tempie, w jakim korzystał przed wyjściem, to już tu nie wróci – o ile znajdzie się sposób, by go podepchnąć na właściwą odległość do klatki, z której jakiś lew czy tygrys mógłby go chapsnąć – założywszy, że lew czy tygrys miałby na niego apetyt, w co wątpię, gdyby spędził z nim tydzień pod jednym dachem. – Wciąż mi się przyglądała. Powiedziała: – Lucius – do nikogo specjalnie. Potem zwróciła się do Minnie: – Idź na górę i powiedz, żeby się nikt nie zbliżał przez następne pół godziny do łazienki. – Potem do Boona: – Masz ubranie na zmianę?

– Tak – odpowiedział Boon.

– Więc się umyj i przebierz. To przyzwoity dom, nie żadna speluna. Minnie, daj im pokój Wery. Wera pojechała z wizytą do rodziny w Paducah. – Mówiła do Boona, a może do nas obojdwu: – Minnie przygotowała Otisowi łóżko na poddaszu, Lucius może z nim dzisiaj spać...

Rozległ się tupot nóg na schodach, potem w hallu, potem w drzwiach. Tym razem była to duża dziewczyna. To nie znaczy gruba, tylko duża, tak jak Boon był duży, ale jeszcze dziewczyna, i to młoda. Miała ciemne włosy i niebieskie oczy i z początku myślałem, że jest brzydka. Ale kiedy weszła do pokoju, patrząc na mnie, zrozumiałem, że nieważne, czy jej twarz jest brzydka, czy ładna. – Halo, malutka! – powiedział Boon. Ale ona nie zwracała jeszcze na niego najmniejszej uwagi: obie z panną Reba patrzyły na mnie, – Uważaj teraz – powiedziała panna Reba. – Lucius, to jest panna Corrie. – Skłoniłem się ponownie. – Rozumiesz, o co mi idzie? – spytała panna Reba. – Przywiozłaś tutaj tego swojego siostrzeńca, żeby nabył ogłady. Oto ją ma, podaną na tacy. Nie zrozumie, o co chodzi, a już na pewno, dlaczego Lucius to robi. Ale może się nauczy choćby go małpować. No, dobrze – to do Boona. – Idźcie się oporządzić.

– Może Corrie pójdzie nam pomóc? – zaproponował Boon. Trzymał

pannę Corrie za rękę. – Halo, malutka! – powtórzył.

– Nie wtedy, kiedy wyglądasz jak jaki szczur wyciągnięty z błota – powiedziała panna Reba. – Dopilnuję, żeby ta cholerna dziura była przyzwoita przynajmniej w niedziele.

Minnie pokazała nam na górze, gdzie jest ten pokój i łazienka, dała każdemu mydło i ręcznik i wysłała. Boon położył walizkę na łóżku, otworzył ją i wyjął czystą koszulę i drugie spodnie. Były to jego codzienne spodnie, ale te niedzielne, które miał na sobie, wyglądały tak, jakby długo jeszcze nie miały się nadawać do noszenia, chyba po gruntownym oczyszczeniu benzyną. – Widzisz – powiedział. – Mówiłem ci. Robiłem, co mogłem, żebyś zabrał ze sobą przynajmniej czystą koszulę.

– Wcale nie mam ubłoconej bluzki.

– Ale powinieneś mieć świeżą choćby dla zasady, żeby ją nałożyć po kąpieli.

– Nie będę się kąpał – upierałem się. – Kąpałem się wczoraj.

– Ja też. Ale słyszałeś chyba, co mówiła panna Reba?

– Słyszałem – odparłem. – Nigdy jeszcze nie widziałem pani, która by nie próbowała zmusić człowieka do kąpieli.

– Jak będziesz znał pannę Rebę kilka godzin dłużej, to zobaczysz, żeś się nauczył czegoś nowego o paniach i że jeśli ona ci zaproponuje, byś coś zrobił, to najlepiej zrobić to zaraz, nim się skończysz namyślać, czy to zrobić, czy nie. – Wypakował już swoją drugą koszulę i spodnie. Niewiele czasu zabiera wypakowanie z walizki koszuli i pary spodni; wydawało się jednak, że ma z tym pewne trudności; przede wszystkim nie wiedział, gdzie je położyć, nie patrzył przy tym na mnie, ale krzątał się, pochylony nad otwartą walizką, trzymał w ręku koszulę, zastanawiał się, gdzie położyć spodnie, potem kładł koszulę na łóżku, potem znowu brał spodnie i przekładał je trochę dalej na łóżku, potem brał koszulę i kładł ją tam, gdzie poprzednio leżały spodnie; wreszcie odchrząknął porządnie i

do nośnie, podszedł do okna, otworzył je, wychylił się, splunął, zamknął okno, podszedł znowu do łóżka i nie patrząc na mnie, zaczął mówić głośno, jak ktoś, kto pierwszy przychodzi do twojej sypialni w ranek Bożego Narodzenia i powiada, że dostaniesz pod choinkę wcale nie to, o co prosiłeś Świętego Mikołaja.

– To naprawdę przechodzi ludzkie pojęcie, i człowiek może się nauczyć i to szybko! Może się nauczyć czegoś, czego nie tylko w ogóle nie znał, ale nawet nie wyobrażał sobie, żeby kiedykolwiek chciał poznać, a już na pewno nie myślał, że mu się to przyda do końca życia – ale tylko pod warunkiem, że to przy sobie zatrzyma i nikomu nie da. Ot, ty na przykład. Pomyśl tylko. Od wczoraj rano, przez niecałe dwa dni, ile się nauczyłeś! Nauczyłeś się kierować samochodem, wiesz, jak dojechać do Memphis, nie oglądając się na koleje, i nawet jak wyciągnąć samochód z błota. No a jak urośniesz i kupisz sobie samochód, to nie tylko będziesz umiał się z nim obchodzić, ale i dojechać do Memphis, i wyciągnąć go z błota...

– Szef powiada, że jak dorosnę na tyle, by mieć samochód, to już nie będzie żadnych dziur i błot, a wszystkie drogi zostaną tak wyrównane i utwardzone, że banki będą brały samochody w zastaw pod pożyczkę, a może nawet być tak, że automobil do końca życia nie zobaczy dziury z błotem.

– Racja, racja – potakiwał Boon. – No więc dobrze. Założmy nawet, że już nie będzie potrzeba wiedzieć, jak wyciągnąć samochód z błota, ale mimo to ty jeden będziesz umiał to robić. A wiesz dlaczego? Bo nigdy nikomu tego nie wydasz.

– A komu miałbym wydawać? – zapytałem. – Na co komu ta wiedza, jeśli nie będzie błot na drogach?

– No dobrze, dobrze – machnął ręką Boon. – Posłuchaj mnie wobec tego chwilę, dobrze? Nie mówię o żadnych dziurach. Mówię o rzeczach,

o których człowiek – chłopiec – nigdy nie myślał, a których może się nauczyć, i potem, w razie potrzeby, będzie miał jak znalazł. Bo na każdą rzecz, której się nauczyłeś, przyjdzie czas – czas, kiedy ci się okaże potrzebna i kiedy się przyda... o ile oczywiście będziesz ją jeszcze miał, o ile nie pozwolisz jej przypadkiem odejść, albo jeszcze gorzej, nie wydasz jej przez nieopatrność lub po prostu przez głupotę. Rozumiesz teraz, o co mi chodzi? Wszystko jasne?

– Nie bardzo – zawahałem się. – Chyba musi być jasne, bo inaczej nie gadałbyś o tym tak w kółko.

– No, dobrze – powiedział. – To był punkt numer jeden. Teraz punkt numer dwa. Ty i ja jesteśmy dobrzy przyjaciele, odkąd się znamy, i teraz zrobiliśmy sobie razem miłą wycieczkę. Nauczyłeś się przy tym kilku rzeczy, o których nigdy nie słyszałeś, a ja dumny jestem, że akurat przy tym byłem i pomogłem ci się tego nauczyć. Ale dziś wieczór dowiesz się jeszcze kilku rzeczy, o których pewno nigdy dotąd nie myślałeś... rzeczy, wiadomości i spraw. Wiele osób w Jefferson i gdzie indziej twierdziłoby, że jesteś na to za młody. Gadanie! Chłopak, który w jeden dzień nie tylko nauczył się prowadzić samochód, ale poznał drogę do Memphis i wydostał się z prywatnej dziury tamtego skurwysyna, jest wystarczająco dorosły, żeby dać sobie radę z wszystkim, co przed nim stanie. Tylko... – tu musiał znowu odchrząknąć mocno i dokładnie, potem podejść do okna, otworzyć je, wypluć i znowu je zamknąć. Potem wrócił.

– I to jest punkt numer trzy. To, co ci się staram wbić do głowy. Każda jedna rzecz, którą mąż... czło... chłopak widzi, której się uczy i o której słyszy, nawet jak jej z początku nie rozumie, nawet jak nie może sobie wyobrazić, żeby mu z niej kiedy przyszedł pożytek, otóż każda taka rzecz kiedyś mu się przyda, okaże się pewnego dnia potrzebna, ale trzeba ją przy sobie mieć, nie wolno jej nigdy nikomu oddać. I wtedy będzie dziękował swojej szczęśliwej gwiazdzie, że miał prawdziwego przyjaciela, co był

mu przyjacielem, jeszcze jak musiał nosić go na barana po stajniach i trzymać na pierwszym w życiu koniu, przyjaciela, co go w porę ostrzegł, by nie odrzucał i nie zaprzepaszczał przez zapomnienie czy przypadek, czy zbieg okoliczności albo nawet przez takie zwykłe kłapanie ozorem tego, co jest tylko ich wspólną sprawą i niczyją inną.

– Czy chodzi ci o to, żebym nie mówił ani Szeffowi, ani ojcu, ani matce, ani babci, co widziałem podczas naszej podróży? O to ci chodzi?

– Nie zgadzasz się? – spytał Boon. – Przecież to tylko zwykły, normalny zdrowy rozsądek i niczyja inna sprawa jak twoja i moja? Nie zgadzasz się?

– To dlaczego nie powiedziałeś od razu, o co ci chodzi?

– spytałem. Tylko że on wciąż pamiętał o mojej kąpieli; w łazience pachniało jeszcze więcej. Nie mówię: mocniej. Mówię: więcej. Niewiele wiedziałem o pensjonatach, może więc są i takie, w których mieszkają tylko damy. Zapytałem o to Boona; schodziliśmy właśnie po schodach. Zaczynało się już ściemniać, a ja poczułem głód.

– Masz cholerne szczęście, że mówisz o nich damy, bo to są damy. Gdybym cię złapał na tym, że chcesz którejs z nich ubliżyć...

– Ale mnie chodzi o to, czy są tutaj w pensjonacie jacyś panowie, czy tu mieszkają?

– Nie, żaden pan tutaj na stałe nie mieszka, z wyjątkiem pana Binforda, i nie przyjmuje się gości w pensjonacie. Ale zbiera się tu zawsze duże towarzystwo – po kolacji drzwi się nie zamykają i później tak samo, zresztą sam zobaczysz. Oczywiście, dziś jest niedziela, a pan Binford bardzo przestrzega niedziel. Żadnych tańców i zabaw, tylko spokojne, grzeczne odwiedziny u swoich przyjaciółek, bez zbytejnego marnowania czasu. Już pan Binford potrafi dopilnować, żeby siedzieli cicho i grzecznie. Prawdę mówiąc, tak samo tu wszystko trzyma nawet w powszednie wieczory. A to mi coś przypomina. Musisz również sam zachowywać się cicho i

grzecznie, mieć zadowoloną minę i słuchać dobrze na wypadek, gdyby akurat do ciebie się zwrócił, bo on nie mówi głośno za pierwszym razem i bardzo nie lubi, jak ktoś go zmusza do powtarzania pytań. Tędy. Są pewno w pokoju panny Reby.

Tam w istocie byli: panna Reba, panna Corrie, pan Binford i Otis. Panna Reba miała teraz na sobie czarną suknię i o trzy brylanty więcej, też żółtawe. Pan Binford był malutki – najmniejszy człowiek w pokoju, poza Otisem i mną samym. Miał czarne świąteczne ubranie, złote spinki, wielką złotą dewizkę od zegarka, gęste wąsy, laseczkę ze złotą gałką, melonik i szklaneczkę whisky na stole, przy łokciu. Pierwszą jednak rzeczą, jaka cię w nim uderzała, były oczy, bo pierwszą rzeczą, z jakiej zdawałeś sobie sprawę, było to, że on na ciebie patrzy. Otis miał też na sobie odświętne ubranie. Wzrostem mi nie dorównywał, i było z nim coś nie w porządku.

– Dobry wieczór, Boon – rzekł pan Binford.

– Dobry wieczór panu – przywitał się Boon. – To jest mój przyjaciel, Lucius Priest. – Kiedy kłaniałem się panu Binfordowi, ten nie powiedział ani słowa. Po prostu przestał na mnie patrzeć.

– Reba, zafunduj Boonowi i Corrie coś do picia. Każ Minnie przygotować lemoniadę dla chłopców.

– Minnie nakrywa do kolacji – odparła panna Reba. Otworzyła drzwi schowka. Wewnątrz znajdowało się coś w rodzaju baru – jedna półka szklaneczek, druga butelek.

– A poza tym, ten chłopak od Corrie tyle dba o lemoniadę, co Boon. On chce piwa.

– Wiem o tym – stwierdził pan Binford. – Wyśliznął mi się w parku. Pewno by mu się udało, gdyby tylko zdołał namówić kogoś, żeby mu przyniósł piwo z szynku. Boon, czy twój to też piwiarz?

– Nie, proszę pana – odpowiedziałem. – Nie piję piwa.

– Dlaczego? – zdziwił się pan Binford. – Nie lubisz, czy ci nie dają?

– Ani jedno, ani drugie, proszę pana – odparłem.

– Jestem na to jeszcze za mały.

– Wobec tego whisky?

– Nie, proszę pana. Nie piję alkoholu. Obiecałem mojej matce, że nie będę pił, dopóki mnie nie poczęstuje ojciec albo Szeff.

– A kto to jest jego Szeff? – zwrócił się pan Binford do Boona.

– On ma na myśli swego dziadka – odparł Boon.

– Aha, tego, który jest właścicielem samochodu. Wygląda mi więc na to, że nikt mu nic nie obiecywał.

– Bo i nie trzeba – powiedział Boon. – On mówi panu, co robić, i pan to robi.

– Wydaje mi się, że i ty go nazywasz Szeffem – zauważył pan Binford.

– Czasami.

– Tak jest – odparł Boon. O to mi właśnie chodziło, jak mówiłem o panu Binfordzie: że patrzył na ciebie, nim jeszcze zdałeś sobie z tego sprawę.

– Ale przecież twojej matki tu nie ma – zwrócił się znowu do mnie.

– Wypuściłeś się z Boonem na hulankę. Jesteście o osiemdziesiąt mil od domu.

– To nic, proszę pana – odparłem. – Ja jej obiecałem.

– Rozumiem. Obiecałeś jej, że nie będziesz pił z Boonem. Ale nie obiecywałeś jej, że nie pójdiesz z nim na dziwki.

– Ty skurwysynu! – syknęła panna Reba. Nie wiem, jak to powiedzieć: nie ruszając się skoczyły zjednoczone, obie, panna Corrie i panna Reba z butelką whisky w jednym ręku i trzema szklaneczkami w drugim.

– Spokój – powiedział pan Binford.

– Cholera! – krzyczała panna Reba. – Wyrzucę cię stąd. Nie wyobrażaj sobie, że nie potrafisz. Co za cholerne słowa w tym domu!

– I ty też! – wołała panna Corrie do panny Reby. – Taka sama! Wobec

tych dzieci!...

– Powiedziałem: spokój – oznajmił pan Binford. – Jeden z nich nie dostaje piwa, drugi go nie pije, więc może obydwaj przyjechali tu po ogładę i wiedzę. Powiedzmy, że właśnie otrzymali jej nieco. Dowiedzieli się, że dziwka i skurwysyn to słowa, przed powiedzeniem których trzeba się dobrze namyślić, ponieważ obydwaj mogą odbić rykoszetem.

– Och, naprawdę, proszę pana... – wtrącił Boon.

– Niech mnie piorun strzeli, jeśli w tym błocie nie ma jeszcze jednego wieprzka – powiedział pan Binford. – I to dużego. Obudźże się, panno Rebo, nim goście umrą ci z pragnienia. – Panna Reba nalała whisky ręką tak drżąca, że butelka dzwoniła o szklanekę. – Skurwysyn, skurwysyn, skurwysyn – powtarzała dzikim, zapiekłym szeptem.

– No, to już wolę – powiedział pan Binford. – Niechże króluje nam spokój. Wypijmy za spokój! – Podniósł w górę szklaneczkę i zaczynał właśnie: – Panie i panowie...

– kiedy gdzieś w głębi domu ktoś, pewno Minnie, zaczął dzwonić ręcznym dzwonkiem. Pan Binford wstał. – To mi się najbardziej podoba – oświadczył. – Urozmaica czas. Pozwala wzbogacić naszą wiedzę i ogładę wnioskiem, że zamiast wygłaszać osobiste poglądy, można zrobić z gęby inny, lepszy użytek.

Poszliśmy więc ku jadalni, nie za prędko, pan Binford prowadził. Znowu tupot nóg, szybki; jeszcze dwie damy – dziewczyny, to znaczy jedna z nich była jeszcze dziewczyną – zbiegały po schodach, dopinając po drodze suknie, jedna czerwoną, druga różową, troszkę zdyszane.

– Spieszyliśmy się, jak tylko mogliśmy – zaczęła natychmiast tłumaczyć panu Binfordowi jedna z nich. – Nie spóźniłyśmy się.

– Bardzo się cieszę – oznajmił pan Binford. – Nie jestem dziś w nastroju na spóźnianie. – Weszliśmy do jadalni. Miejsc przy stole było więcej niż dość, nawet licząc Otisa i mnie. Minnie ciągle wносиła

jedzenie, wszystko zimne – pieczone kurczęta, bułeczki i jarzyny pozostałe z obiadu – ale nie dla pana Binforda. On miał gorącą kolację: przy jego nakryciu stał nie talerz, ale półmisek wołowiny duszonej z cebulką. (Widzisz, jak bardzo pan Binford wyprzedzał swoje czasy? Już republikanin. Nie mówię: republikanin z 1905 roku – nie wiem, jak wyglądały jego zapatrywania polityczne rodem z Tennessee, jeśli w ogóle miał jakiegokolwiek – mówię: republikanin z roku 1961. Nawet więcej – był konserwatystą. Bo tak: republikanin to człowiek, który sam zrobił swój majątek; liberał to człowiek, który swój majątek odziedziczył; demokrat to bosy liberał w biegu na przelaj; konserwatysta to republikanin, który się nauczył czytać i pisać). Usiedliśmy wszyscy, dwie przybyłe damy również. Poznałem już tyle osób, że nie mogłem spamiętać nowych imion, i nawet przestałem próbować. Poza tym nie oglądałem już później tych dwóch pań na oczy. Zaczęliśmy jeść. Może wołowina pana Binforda pachniała nam tak nadzwyczajnie dlatego, że pozostałe jedzenie już się wypachniło od południa. Potem jedna z tych nowych dam – ta, co już nie była dziewczyną – powiedziała:

– Czy myśmy, proszę pana... – Wtedy ta druga, ta dziewczyna, przestała jeść.

– Czyście co? – spytał pan Binford.

– Pan wie, co – powiedziała, zawołała dziewczyna.

– Panno Rebo – mówiła – pani wie, że staramy się, jak możemy. Nie ośmielamy się robić żadnego hałasu, chociaż we wszystkich innych miejscach grają, zawsze uciszamy naszych klientów, za każdym razem, kiedy chcą się nieco weselej zabawić... ale jeśli nie siądziemy tutaj, w stołowym, na naszych miejscach w chwili, kiedy on wsuwa nos w drzwi, to musimy w następną sobotę wrzucić dwadzieścia pięć centów do tej przeklętej skrzynki...

– To są zasady obowiązujące w domu – powiedział pan Binford. –

Dom bez zasad to nie dom. Cały kłopot z wami, kurwami, polega na tym, że musicie przez pewien czas zachowywać się jak damy, tylko tego nie umiecie. Ja was uczę.

– Nie wolno panu odzywać się do mnie w ten sposób – powiedziała ta starsza.

– No, dobrze – odparł pan Binford, – Ujmiemy rzecz odwrotnie. Kłopot z wami, moje damy, polega na tym, że nie wiecie, jak przestać zachowywać się jak kurwy.

Starsza wstała teraz. Z nią również było coś nie w porządku. Nie to, że była stara, tak jak stara jest babcia, bo nie była. Była sama. Rzecz w tym, że po prostu nie powinna być tutaj sama, nie powinna przechodzić przez to z konieczności. Nie, to też nie tak. Rzecz w tym, że nikt nie powinien być z konieczności do tego stopnia sam. Nikt, nigdy. Powiedziała: – Przepraszam, panno Rebo. Wyprowadzam się. Dzisiaj.

– Dokąd? – spytał pan Binford. – Na przeciwną stronę ulicy do Birdie Watts? Może tym razem pozwoli ci zabrać twój kuferek, jeśli go jeszcze nie sprzedała.

– Panno Rebo – szeptała kobieta. – Panno Rebo.

– W porządku – szybko powiedziała panna Reba. – Siadaj i jedz kolację, nigdzie nie pójdziesz. Tak – ciągnęła – ja też lubię spokój. Dlatego powiem coś jeszcze, nim zakończymy sprawę na dobre. – Mówiła teraz do pana Binforda siedzącego u szczytu stołu: – Co się, u diabła, z tobą dzieje? Co ci się, u diabła, dzisiaj stało, co cię wprowadziło w ten piekielny nastrój?

– Nic godnego uwagi – odparł pan Binford.

– To prawda – wtrącił nagle Otis. – Naprawdę nic wielkiego. On nawet nie chciał biec. – Wydawało się, jakby po wszystkich przebiegła elektryczność; panna Reba siedziała z otwartymi ustami, trzymając widelec zawieszony w pół drogi. Ja jeszcze nie rozumiałem, o co idzie,

ale wszyscy pozostali, łącznie z Boonem, rozumieli. W następnej chwili ja także zrozumiałem.

– Kto nie chciał biec? – spytała panna Reba.

– Koń – odparł Otis. – Koń z brekiem, zaprzęg, na który stawialiśmy na wyścigach. Prawda, proszę pana?

– cisza nie była już teraz naładowana elektrycznością; była wstrząsem, wyładowaniem elektrycznym. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że coś było nie w porządku z Otisem? Tylko do dzisiaj nie sądzę, żeby to było właśnie to; w każdym razie nie tylko to. Ale panna Reba wciąż walczyła. Kobiety są wspaniałe. Potrafią znieść wszystko, bo są na tyle mądre, by wiedzieć, że nie ma innej rady na ból i strapienie, jak przejść przez nie na wylot i wyjść z drugiej strony. Myślę, że potrafią tego dokonać, ponieważ nie tylko odmawiają dostojęństwa fizycznemu bólowi, nie chcąc go brać poważnie, ale i nie widzą hańby w ewentualności nokautu. Nie dała za wygraną, nawet wtedy.

– Wyścigi konne? – spytała. – W zoo? W Overton Park?

– Nie w Overton Park – powiedział Otis. – W parku, na torze wyścigowym. Spotkaliśmy w tramwaju jednego faceta i on wiedział, który koń wygra, więc rozmyśliliśmy się co do Overton Park. Tylko że ten koń nie wygrał, prawda, proszę pana? Ale mimo to nie przegraliśmy tyle, co ten facet, nie przegraliśmy czterdziestu dolarów, bo pan Binford dał mi z tego dwadzieścia pięć centów, żebym się nie wygadał, więc przegraliśmy wszystkiego trzydzieści dziewięć dolarów i siedemdziesiąt pięć centów. Tylko że na dodatek moje dwadzieścia pięć centów też mi przepadło w tej historii z piwem, o której opowiadał pan Binford. Prawda, proszę pana? – I znowu cisza. Zupełny spokój.

Po chwili panna Reba powiedziała:

– Ty skurwysynu! – A potem dodała: – Jedz. Skończ najpierw tę wołowinę, jeśli chcesz. – Ale pan Binford też był twardy. Był dumny:

nie miał litości dla innych ani sam o nią nie prosił, jak kogut-zapaśnik. Porządnie, bez pośpiechu skrzyżował nóż i widelec na wołowinie, którą ledwie napoczął; złożył serwetkę, przesunął ją przez kółko, wstał i powiedział:

– Przepraszam wszystkich – po czym wyszedł, nie patrząc na nikogo, nawet na Otisa.

– Och, Boże! – szepnęła ta młodsza, ta dziewczyna; wtedy właśnie zauważyłem Minnie, która stała w na pół otwartych drzwiach kuchennych.

– Coś takiego!

– Wynoście się stąd, do diabła! – powiedziała panna Reba do dziewczyny. – Obie! – Dziewczyna i kobieta wstały szybko.

– To znaczy... mamy się wyprowadzić? – spytała dziewczyna.

– Nie – odparła panna Corrie. – Po prostu... wyjdźcie stąd. Jeśli nie spodziewacie się nikogo w najbliższym czasie, to przespacerujcie się trochę po ulicy, dobrze? – Nie traciły czasu. Panna Corrie też wstała. – I ty też – zwróciła się do Otisa. – Idź na górę do swojego pokoju i siedź tam.

– Będzie musiał przejść koło pokoju panny Reby – powiedział Boon. – Zapomniałaś o tej ćwierćdolarówce?

– Tego było więcej – stwierdził Otis. – Całe osiemdziesiąt pięć centów, co je zarobiłem za pompowanie pianoli do tańca w sobotę wieczór. Jak się dowiedział o tym piwie, to mi zabrał i tamto.

Ale panna Reba patrzyła teraz na niego.

– Więc sprzedałeś go za osiemdziesiąt pięć centów – mówiła.

– Idź do kuchni – rozkazała Otisowi panna Corrie.

– Wpuść go tam, Minnie.

– Dobrze – zgodziła się Minnie. – Będę się starała trzymać go z daleka od lodowni, ale on jest, jak na mnie, za sprytny.

– Do diabła, niech już tu zostanie – machnęła ręką panna Reba. – Teraz za późno. Powinno się go było gdzieś wysłać, jak tylko wysiadł w

zeszłym tygodniu z tego pociągu z Arkansas.

Panna Corrie przesunęła się na krzesło koło panny Reby.

– Czemu nie pójdziesz i nie pomożesz mi się spakować? – spytała bardzo łagodnie.

– Do kogo ty, u diabła, masz pretensje? – zdumiała się panna Reba. – Zaufałabym mu ostatniego centa. Ale nie na te przeklęte konie. – Wstała gwałtownie – pełne, zadbane ciało, twarda, ładna twarz i włosy zbyt rude. – Dlaczego, do cholery, nie umiem dać sobie bez niego rady? Dlaczego?

– Spokojnie, spokojnie – mówiła panna Corrie. – Dobrze ci zrobi coś mocniejszego. Daj klucze Minnie... Nie... ona jeszcze teraz nie może wchodzić do twojego pokoju.

– Już poszedł – oświadczyła Minnie. – Słyszałam trzask frontowych drzwi. To mu nie zajmuje dużo czasu. Nigdy nie zajmowało.

– Masz rację – przyznała panna Reba. – Przecież zostawałam tu już z tobą dawniej, prawda, Minnie? – Dała Minnie klucze i usiadła, a służąca wyszła i po chwili wróciła, tym razem z butelką dżinu. Wszyscy się napili. Minnie też (choć nie chciała pić przy tyłu białych i za każdym razem wynosiła szklaneczkę do kuchni, a w chwilę później wracała z pustą), z wyjątkiem Otisa i mnie. I wtedy dowiedziałem się wszystkiego o panu Binfordzie.

Był tu gospodarzem. Tak brzmiał jego oficjalny, jeśli niepisany, tytuł. Wszystkie podobne miejsca, podobne domy, miały, musiały mieć, gospodarza. W zewnętrznym obcym świecie, szczęśliwym dzięki temu, że nie trzeba w nim zarabiać na życie w ten trudny, przeklęty, samoniszczący sposób, określano go nazwą gorszą i bardziej pogardliwą. Tutaj jednak ten samotny mężczyzna w domu pełnym nie tyle nawet kobiet, co kobiecej hysterii, był nie tylko panem, ale odgrywał niewdzięczną i niedocenianą rolę katalizatora, jedynej kruchej energii noszącej kształt szacowności, zdolnej narzucić tej hysterii dyscyplinę, by całość mogła być opłacalna, w

każdym razie, by miała co jeść. Był tym, który liczył pieniądze i odbierał pokwitowania za podatki i stałe świadczenia, który załatwiał wszystko z kupcami, począwszy od dostawców alkoholi i towarów spożywczych aż do węglarzy, od hydraulików, którzy odmrażali zamrożone rury w zimie i dorywczych pracowników, jak kominiarze i czyściciele ścieków, do tych, co ścinali zielska; jego ręka dawała łapówki stróżom prawa; jego głos argumentował w skazanych z góry na niepowodzenie starciach z przedstawicielami miejskich władz podatkowych i porządkowych i kłął gazeciarzy za nie dostarczoną wczoraj gazetę. Wśród nich (to znaczy wśród gospodarzy) pan Binford grał rolę księcia udzielnego: był to człowiek, który miał styl, prezencję, maniery i ideały; nieprzekupny w sprawach zasadniczych, nieposzlakowany moralnie, o wiele wierniejszy niż wielu mężów przez te pięć lat, kiedy był kochankiem panny Reby; człowiek, którego jedną i jedyną słabością były konie biegające na wyścigach, konie, które można było obstawiać. Temu nie potrafił się oprzeć, choć znał swoją słabość i walczył z nią. Ale za każdym razem, gdy usłyszał zawołanie: „Jazda!” – stawał się woskiem w rękach pierwszego lepszego obcego, który miał dolara do postawienia.

– Sam o tym wiedział – mówiła Minnie. – Wstydził się siebie i za siebie, za to, że był słaby, za to, że coś było od niego mocniejsze. Wiedział, że nie może dać rady jednej rzeczy, nieważne jakiej i gdzie, chociaż dla obcych, tych, co go nie znali, wyglądał pewno jak naczupirzony kogut. I dlatego przyrzekał nam i sam w to wierzył, tak jak wtedy, dwa lata temu, kiedyśmy go wreszcie musiały wyrzucić. Pamięta pani, ile się trzeba było napracować, żeby go ściągnąć z powrotem? – mówiła do panny Reby.

– Pamiętam – odparła panna Reba. – Należ nam jeszcze.

– Nie wiem, jak on sobie da radę – mówiła Minnie – bo kiedy odchodzi, to nie bierze ze sobą nic, tylko ubranie, to znaczy to, które ma na sobie, bo to było za pieniądze panny Reby. Ale nim dwa dni miną, zapuka posłaniec

i przyniesie wszystko, do ostatniego centa, czterdzieści dolarów.

– Raczej trzydzieści dziewięć siedemdziesiąt pięć – sprostował Boon.

– Nie – zaprzeczyła Minnie. – Czterdzieści dolarów do ostatniego centa, bo nawet i te dwadzieścia pięć centów było panny Reby. On musi oddać wszystko, taki już jest! A wtedy panna Reba pośle po niego, a on nie będzie chciał wrócić. W zeszłym roku, jakżeśmy go wreszcie znalazły, to pracował z robotnikami, co kładli rury ściekowe koło dworca Frisco, a ona musiała go prosić i błagać na kolanach...

– Dosyć! – przerwała panna Reba. – Przestań mamlać ozorem przynajmniej na chwilę i nalej dżinu. – Minnie zaczęła nalewać, lecz w pewnej chwili znieruchomiała z butelką w powietrzu.

– Co to za krzyki? – spytała. Teraz słyszeliśmy je już wszyscy, słabe wrzaski dochodzące skądś spoza domu.

– Idź i zobacz! – rozkazała panna Reba. – Hej, daj no mi tę butelkę. – Minnie oddała butelkę i wróciła do kuchni. Panna Reba nalała sobie i puściła dżin w krąg.

– Jest teraz o dwa lata starszy – tłumaczyła panna Corrie. – Będzie rozsądniejszy...

– Na jaką okazję chowa ten rozsądek? Dalej, przysuń butelkę.

Minnie wróciła. Powiedziała:

– W ogródku stoi jakiś człowiek i wrzeszczy: „panie Boon Hogganbeck!” Za domem. Ma ze sobą coś wielkiego.

Wybiegliśmy za Boonem przez kuchnię na ganek kuchenny. Było już całkiem ciemno: księżyc stał za nisko, by mógł coś oświetlić. Na środku ogródka majaczyły dwa kształty – duży i mały, a ten mały wrzeszczał: – Boon Hogganbeck! Panie Boon Hogganbeck! Halo! Halo! – ku oknom na górze, aż wreszcie Boon zagłuszył go rykiem:

– Cicho! Zamknij się! Cicho!

To wrzeszczał Ned. A to, co stało przy nim, to był koń.

VI

Znaleźliśmy się wszyscy w kuchni. – Wielki Boże! – powiedział Boon. – Wymieniłeś automobil Szefa na konia? – Musiał to nawet dwa razy powtórzyć, bo Ned wciąż patrzył na ząb Minnie. To znaczy czekał, aż on się znowu pokaże. Może panna Reba o coś ją zapytała, a może Minnie sama otworzyła usta. Pamiętam tylko bogaty, szybki błysk złota spośród tego, co tam Minnie mówiła, w elektrycznym oświetleniu kuchni, jakby ten ząb nabrał tam, w ciemności, w przyćmionym blasku lampy, jakiejś nowej migotliwości, lśnienia, podobnie jak oczy końskie; pamiętam tylko ten błysk i wrażenie, jakie on wywarł na Nedzie.

Zamroziło go na jedną krótką chwilę, niby spojrzenie bazyliuszka. Tak, ja sam znieruchomiałem, kiedy zobaczyłem ten ząb po raz pierwszy, więc rozumiałem, co przeżywa Ned. Tylko że jego wrażenie musiało być jeszcze silniejsze. Bo zdawałem też sobie mgliście sprawę, choć miałem dopiero jedenaście lat, iż jestem zbyttno temu odległy nie tylko rasą, ale i wiekiem, żebym mógł odczuwać to, co odczuwał Ned; mogło to mnie napełnić bałwochwalczym podziwem, mogło mnie zdumiewać, sprawiać mi przyjemność; nie byłem jednak zdolny tak się zatracić w tym zębie jak Ned.

Tu oto, w starej jak świat walce płci, znalazł godnego siebie przeciwnika; tu oto w starej jak świat mistycznej solidarności rasy znalazł kapłankę, dla której warto było umrzeć – jeśli tak daleko sięgały granice jego poświęcenia; wkrótce jednak okazało się dowodnie, że nie to zamierzał uczynić (czy też miał nadzieję uczynić) z Minnie. Tak więc Boon musiał powtórzyć swoje słowa dwa razy, zanim Ned go usłyszał czy

też zauważył.

– Wie pan równie dobrze jak ja – tłumaczył – że SzeF wcale nie chciał automobilu. Kupił go, bo nie mógł inaczej, bo go do tego zmusił pułkownik Sartoris. Musiał kupić ten automobil, żeby usadzić pułkownika, kiedy zaczął mu się stawiać. Ale tak naprawdę to SzeF lubi konie – i wcale nie te tam wymyślnie ponazywane pociągowe chabety, które pan z panem Mauryem trzymacie w waszych stajniach, ale po prostu konie. Więc zdobyłem mu konia. Jak go tylko zobaczy, to mi bardzo dziękuje za to, że znalazłem się akurat tutaj, pod ręką, i mogłem tego konia sprzątnąć innym sprzed nosa... – To było jak sen, jak koszmar senny; wiesz, że to sen, i gdybyś tylko mógł dotknąć czegoś twardego, konkretnego, realnego, nieodmienionego, tobyś mógł się zbudzić; i mnie, i Boonowi przysłała w tej samej chwili jedna myśl: ja ruszyłem szybciej tylko dlatego, że byłem mniejszą masą. Ned zatrzymał nas; czytał nasze myśli, i jego, i moje: – Nie ma co tam patrzeć – powiedział. – On już tu był i go zabrał. – Boon zamarł w pół kroku, spojrzał na mnie strasznym wzrokiem, w obu nas razem budziło się pełne przerażenia niedowierzanie, ja grzebałem w kieszeni. Ale kluczyk spoczywał w niej w dalszym ciągu. – Co tam! – machnął ręką Ned.

– Nawet go nie potrzebował. To był specjalista. Twierdził, że umie wsunąć rękę za ten zamek i zapuścić motor od tyłu. I naprawdę umiał. Ja też z początku nie wierzyłem, dopiero musiałem zobaczyć na własne oczy. Nie miał z tym najmniejszych kłopotów. Nawet dorzucił jeszcze kantar do tego konia.

Boon i ja nie bieглиśmy może, ale bardzo szybko szliśmy do frontowych drzwi, panna Reba i panna Corrie również. Samochodu nie było. Wtedy właśnie zdałem sobie sprawę, że panna Reba i panna Corrie też są z nami i że żadna z nich nic nie powiedziała, niczym nie okazała zdumienia, wstrząsu, tylko obie patrzyły, słuchały, nie roniąc

ani słowa, ale same nic nie mówiły, jakby należały do innego, osobnego społeczeństwa czy gatunku niż Boon, ja i Ned, i dziadkowy automobil, i koń (bez względu na to, czyją był własnością), jakbyśmy i my sami, i nasze poczynania nie były ich sprawą, tylko rozrywką: i przypominałem sobie, że dokładnie w ten sam sposób matka przyglądała się mnie i moim braciom, i wszystkim chłopcom z sąsiedztwa, jacy akurat z nami byli, zupełnie od nas odseparowana i niezależna, choć ciepła, promienna i dobra, lecz odizolowana aż do chwili, kiedy trzeba było interweniować i (jeśli to było konieczne) zatamować lejącą się krew.

Wróciliśmy do kuchni, gdzie pozostawiliśmy uprzednio Neda i Minnie. Wchodząc słyszeliśmy: – ...mówisz o forsie, ślicznotko. Mam forsę, a w każdym razie potrafię zdobyć forsę. Niech tylko ulokuję i nakarmię tego konia, a potem zaraz sobie gdzieś pójdziemy i postaram się, żeby ten ząb błyszczał na tym, co go warte – może na dobrej rybie albo na wieprzowinie, jeśli wolisz wieprzowinę...

– No, dobra – przerwał mu Boon. – Idź i zabieraj tego konia. Gdzie mieszka ten człowiek?

– Jaki człowiek? – spytał Ned. – Czego pan od niego chce?

– Chcę odebrać od niego samochód Szefa. Potem zdecyduję, czy wsadzić cię do więzienia tutaj, czy zabrać cię do Jefferson, żeby Szef osobiście miał tę przyjemność.

– Czemu pan nie przestanie na chwilę mówić i nie posłucha? – powiedział Ned. – Jasna rzecz, że wiem, gdzie mieszka ten człowiek; przecież wyhandlowałem od niego dziś wieczór konia, tak czy nie? Niech mu pan da spokój. Jeszcze nam nie jest potrzebny. Potrzebny nam będzie dopiero po wyścigach. Bo my mamy nie tylko konia – on nam dołożył jeszcze wyścigi. Jeden facet w Possum ma konia, co nic innego nie robi, tylko czeka, żeby się ścigać z naszym, zaraz jak się tam dostaniemy. Jeśli która z pań nie wie, gdzie jest Possum, to powiadam, że tam, dokąd

dojeżdża pociąg z Jefferson i gdzie trzeba się przesiąść na pociąg do Memphis, chyba że się podróżuje samochodem, tak jak my...

– Dobra – powiedział Boon. – Jeden facet w Possum...

– Och – przerwała panna Reba – to w Parsham.

– Tak jest – przytaknął Ned. – Tam, gdzie urządzają zawody wyźłów i kogutów. To zresztą nieważne, ma konia, który już dwa razy ścigał się z naszym w trzech gonitwach po pięćdziesiąt dolarów każda. Zwycięzca bierze wszystko. Tylko że dla nas to nic, tylko sto pięćdziesiąt dolarów. Bo to, co my wygramy, to będzie samochód.

– Jak? – pytał Boon. – Jak, u diabła, zamierzasz za pomocą tego konia wygrać samochód od człowieka, który wymienił konia na samochód?

– Bo ten facet nie wierzy, że nasz koń potrafi biegać. Jak pan myśli, dlaczego odstąpił mi go tak tanio, tylko za samochód? Dlaczego sam go nie zatrzymał i nie wygrał dzięki niemu samochodu, jeśli tak go chciał mieć? Dlaczego nie ma jednego i drugiego – i samochodu, i konia?

– Będę gryzł! – powiedział Boon. – Dlaczego?

– Już panu mówiłem. Nasz koń dwa razy przegrał z tamtym koniem z Possum, bo nikt nigdy nie wiedział, jak go zmusić do biegu. Więc oczywiście ten facet będzie myślał, że jeśli koń nie chciał biegać dwa razy, to i trzeci raz nie będzie chciał. Więc musimy tylko postawić tego konia przeciwko samochodowi Szefa. Ten facet chętnie przyjmie zakład, bo oczywiście nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby dostać z powrotem konia, jak już ma samochód, zwłaszcza że dla niego to żadne ryzyko – musi tylko czekać przy celowniku, aż ten koń wreszcie się tam doczłapie, potem musi go złapać, przywiązać do samochodu i wrócić do Memphis...

Wtedy panna Reba odezwała się po raz pierwszy. Powiedziała: – O, Jezu!

– ...bo on nie wierzy, że bym ja potrafił zmusić tego konia do biegu. Ale jeśli całkiem nie zapomniałem swego fachu i nie zrobiłem przypadkiem

jakiegoś błędu, o którym nic nie wiem, to on nie na tyle w to nie wierzy, żeby się nie zjawić pojutrze w Possum i nie sprawdzić. A jeśli nie potrafi pan dzięki tym tutaj paniom zdobyć dla niego potrzebnej ekstrasfory, żeby go dobrze zachęcić do postawienia samochodu w zakład, to lepiej by było dla pana, żeby pan do końca życia nie oglądał na oczy Szefa Priesta. Trzeba by być odważniejszym niż ja, żeby po prostu wrócić do Szefa automobilem i oddać mu go. Może ten koń pana uratuje. Bo w tej samej chwili, kiedy go zobaczyłem, przypomniał mi się...

– Hi, hi, hi! – była to brutalna, bolesna parodia. Boon mówił: – Dałeś samochód Szefa za konia, który nie potrafi biegać, a teraz już sobie układasz, jak oddasz i konia, zakładając, że zdobędę na to wystarczającą ilość forsy...

– Niech mi pan pozwoli skończyć – powiedział Ned. Boon zamilkł. – Pozwoli mi pan skończyć?

– Kończ. Byle...

– ...przypomniał mi się muł, którego kiedyś miałem – ciągnął Ned. Teraz obaj zamilkli i spoglądali na siebie: przyglądaliśmy się im wszyscy. Po chwili Ned podjął łagodnie, niemal marząco: – Panie nie widziały tego muła. To jasne, są przecież takie młode i tak daleko mieszkają od naszego okręgu. Szkoda, że nie ma tutaj Szefa albo pana Maurycego, to by im opowiedział.

Mogłem im sam opowiedzieć. Bo ten muł stanowił jedną z legend rodzinnych. Było to dawno, w młodości ojca i Neda, jeszcze nim dziadek przeprowadził się z McCaslin do miasta i został jeffersońskim bankierem. Pewnego dnia podczas nieobecności kuzyna McCaslina (wujka kuzyna Zacka) Ned pokrył folwarcznym osłem klacz z rasowej, dobrej pary cugowej. Kiedy minęła burza i kiedy klacz się ożrebiła, kuzyn McCaslin zmusił Neda, by odkupił od niego muła, płacąc dziesięć centów tygodniowo, które potrącano mu z zarobków. Trwało to trzy lata,

a w tym czasie muł Neda bezustannie zwyciężał wszystkie muły, jakie zgłaszano do wyścigów z nim w promieniu piętnastu do dwudziestu mil, a potem stawał do gonitw o czterdzieści do pięćdziesięciu mil od naszej farmy – i też zawsze wygrywał. Urodziłeś się zbyt późno, by się znać na mułach i pojąć, jak zdumiewającą, jak niesłychaną wagę ma to stwierdzenie. Muł, który będzie galopował pół mili w jednym kierunku obranym przez jeźdźca, nawet jeśli zrobi to tylko raz, staje się okoliczną legendą; muł, który czyni to regularnie, raz po raz, jest niewiarygodnym fenomenem. Bo, widzisz, odwrotnie niż koń, muł jest zwierzęciem zbyt inteligentnym, by mu serce miało pękać dla chwały biegania po milowej elipsie. Prawdę mówiąc, stawiam muły na drugim po szczurach miejscu pod względem inteligencji, potem, po mułach, kolejno: koty, psy i wreszcie konie, oczywiście założywszy, że przyjmiesz moją definicję inteligencji, dla mnie bowiem jest to zdolność dawania sobie rady z otoczeniem, co znaczy, że się to otoczenie akceptuje przy jednoczesnym zachowaniu przynajmniej odrobiny osobistej niezależności.

Szczura, rzecz jasna, stawiam na pierwszym miejscu. Mieszka w twoim domu, choć nie pomagał ci go kupować, budować czy reperować i nie płaci wraz z tobą podatków; je to, co ty sam jesz, choć nie pomaga ci siać ani kupować, a nawet znosić prowiantów do domu; nie możesz się go pozbyć; gdyby nie był kanibalem, już dawno przejąłby naszą ziemię w spadku. Kota stawiam na trzecim miejscu, ma niektóre cechy z nim identyczne, ale jest słabszą, bardziej cherlawą istotą; ani sieje, ani orze, pasożytuje na tobie, ale cię nie kocha; mógłby umrzeć, przestać istnieć, zniknąć z powierzchni ziemi (mam na myśli tak zwaną domową odmianę kota), tylko dotychczas nie musiał. (Jest taka bajka, chyba chińska, a na pewno z gatunku bajek literackich, o okresie dziejów, kiedy to na ziemi panowały koty; otóż owe koty, po wielowiecznych próbach uporania się ze zmorami śmiertelnych: głodem, zarazą, wojną, niesprawiedliwością, szaleństwem,

chciwością – jednym słowem z problemami cywilizowanych rządów – zwołały kongres najmądrzejszych kocich filozofów, by rozważyć, czy można tym nieszczęściom zaradzić. Po długich deliberacjach kongres zgodnie stwierdził, że cały dylemat, wszystkie owe problemy są nierozwiązywalne i jedynym praktycznym wyjściem z sytuacji jest poddać się, ustąpić, abdykować na rzecz wybranych spośród niższego rzędu stworzeń, rodzaju na tyle optymistycznego, by potrafił uwierzyć, iż ziemskie trudności są do pokonania, i na tyle nierozumnego, by nigdy nie zdał sobie sprawy z prawdziwej sytuacji. I właśnie dlatego koty żyją z człowiekiem, są od człowieka całkowicie zależne, jeśli idzie o jedzenie i schronienie, lecz nie ruszą dla człowieka łapą i nie kochają go; jednym słowem, rozumiesz teraz, dlaczego kot patrzy na ciebie tak, jak patrzy).

Psa stawiam na czwartym miejscu. Jest odważny, wierny, monogamiczny uczuciowo; on też pasożytuje na tobie; jego minusem (w porównaniu z kotem) jest to, że pracuje na ciebie, pracuje z własnej woli, chętnie, będzie małpował wszelkie najgłupsze sztuczki, żeby ci się przypodobać, za jedno poklepanie po łbie; jego zdrowe, rzetelne pasożytnictwo też ma pewną skazę, pies bowiem jest pochlebcą, wierzy, że musi sprawiać ci przyjemność okazywaniem wdzięczności, będzie się upokarzał, poniżał swą godność; łąsił się, gdy go kopniesz; odda za ciebie życie w walce i zamorzy się głodem z rozpaczony nad twoim ciałem. Konia stawiam na ostatnim miejscu. Jest to stworzenie zdolne do jednej tylko myśli naraz, a najistotniejszą jego cechą jest lęk i płochliwość. Dziecko może go namówić czy naciągnąć na to, by połamał nogi lub padł z wysiłku biegnąc zbyt daleko, zbyt szybko lub też przeskakując przeszkody zbyt wysokie, twarde czy szerokie. Pęknie z przejedzenia, jeśli go nie pilnować jak niemowlaka. Gdyby miał w sobie choćby jeden gram inteligencji najbardziej opóźnionego w rozwoju szczura, byłby jeźdźcem.

Muła stawiam na drugim miejscu. Na drugim tylko dlatego, że możesz

go zmusić do pracy na ciebie. Lecz i to odbywa się wyłącznie w sztywnych, zakreślonych przez niego granicach. Będzie ciągnął wóz czy pług, ale nie będzie biegał na wyścigach. Nie będzie próbował skakać przez coś, co mogłoby przekraczać jego możliwości, musi mieć całkowitą pewność co do własnych sił; nie wejdzie nigdzie, jeśli nie wie z własnego doświadczenia, co jest tam po drugiej stronie; będzie cierpliwie pracował dla ciebie przez dziesięć lat, czekając na jedną okazję, by cię kopnąć. Jednym słowem, jako stworzenie wolne od zobowiązań rodowych oraz obowiązków wobec następnych pokoleń zwyciężył nie tylko życie, ale i śmierć, i dlatego jest nieśmiertelny. Gdyby miał dzisiaj zniknąć z powierzchni ziemi, to ten sam przypadkowy biologiczny związek, który wyprodukował go wczoraj, wyprodukuje go za tysiąc lat, niezmienionego, identycznego, w dalszym ciągu niepoprawnego w granicach, jakie sam poddał próbie i zatwierdził; wciąż wolnego i wciąż chętnego do współpracy. Dlatego to muł Neda był tak niesłychanym wyjątkiem, takim fenomenem. Postaw tuzin mułów na jednej linii, a kiedy padnie słowo: Jazda! – zwierzęta ruszą w dwunastu różnych kierunkach, niby rozsypująca się gromadka spłoszonych czymś owadów wodnych; i ten muł, którego kierunek pokryje się przypadkiem z linią toru wyścigowego, nieuchronnie zwycięży.

Inaczej jednak rzecz się miała z mułem Neda. Ojciec powiadał, że biegał jak koń, lecz bez tej końskiej fanatycznej gorączkowości, bez skoków i rzeń, bez tych panicznych, zatykających dech w piersiach szalonych galopad. Ten muł biegł na wyścigach tak, jakby odrabiał swoją robotę: brał od razu, za dotknięciem Neda (czy jakimś tam innym jego znakiem, nie wiem), takie tempo, jakie wedle jego wyliczenia było potrzebne, i nie zmieniał go ani na chwilę, póki nie minął celownika i póki go Ned nie zatrzymał. I nikt, nawet ojciec, który był – no, może nie chłopcem stajennym, ale w każdym razie pomocnikiem oraz bookmacherem Neda – nie wiedział, jak on to robi.

Naturalnie sprawa stała się legendą, która rosła (nie przynosząc w dodatku szkody naszym stajniom). To znaczy nikt nie wiedział, jaką sztuczkę magiczną wynalazł czy wymyślił Ned, by zmusić muła do tego, czego żaden inny muł nie potrafi. Ale oni – my – nigdyśmy się nie dowiedzieli prawdy, nikt też inny nie jeździł jako dżokej na tym mule, nawet kiedy Nedowi zaczęło przybywać lat i wagi, aż wreszcie muł, przez nikogo nie zwyciężony, zdechł mając dwadzieścia dwa lata; grób jego (a na pewno już gromada Edmondsów ci go pokazywała) znajduje się na terenie McCaslin.

To właśnie miał Ned na myśli, i Boon wiedział o tym, i Ned wiedział, że Boon wie. Spoglądali na siebie. – To nie jest tamten muł – odezwał się Boon. – To jest koń.

– Ten koń ma taki sam gatunek rozumu, co tamten muł – powiedział Ned. – Nie ma go aż tyle, co tamten, ale tego samego gatunku. – Spoglądali po sobie chwilę. Potem Boon powiedział:

– Chodźmy go obejrzyć. – Minnie zapaliła latarnię, Boon ujął ją i wyszliśmy za nim na ganek kuchenny i do ogródka. Minnie, panna Corrie i panna Reba ruszyły za nami. Księżyc stał teraz już wyżej, więc można było coś niecoś dojrzyć. Koń był przywiązany pod drzewem świętojańskim, w rogu. Oczy jego zabłyśły, potem odwróciły się od nas: parsknął, stukał nerwowo kopytem.

– Niech panie łaskawie nie podchodzą przez chwilę – poradził Ned. – On jeszcze nie przywykł do większego towarzystwa. – Stanęliśmy, Boon podniósł wysoko latarnię; oczy konia znowu błysnęły zimno i nerwowo, gdy Ned zbliżał się do niego, przemawiając przez cały czas; dotknął jego łopatki, poklepał, mówiąc dalej bez przerwy, aż wreszcie chwycił za kantar. – Niech go pan nie straszy tą lampą – zwrócił się do Boona. – Niech pan podejdzie i potrzyma latarnię tak, żeby panie zobaczyły konia, jeśli chcą. A jak mówię konia, to mam na myśli konia, a nie te chabety,

które nazywają końmi tam, w Jefferson.

– Przestań gadać i podprowadź go w takie miejsce, żebyśmy go mogli zobaczyć – powiedział Boon.

– Przecież go pan widzi – odburknął Ned. – Niech pan podniesie latarnię. – Ale jednak zbliżył się z koniem i przeprowadził go parę kroków. Och, tak, mam go do dzisiaj w oczach: trzylatek, wysoka półkrew (co najmniej, a może nawet i pełna krew, nie byłem na tyle znawcą, by wiedzieć z całą pewnością), kasztanowaty wałach, niewysoki, może nie miał nawet szesnastu piędzi wzrostu, ale z długą szyją dla równowagi, ze skośnie ustawioną łopatką, świadczącą o szybkości, i grubych ścięgnach gwarantujących wytrzymałość, a również, zdaniem Neda, Neda McCaslina – serce i wolę. Toteż choć miałem dopiero jedenaście lat, myślałem chyba dokładnie to samo co Boon, który dał wyraz swoim myślom w chwilę później. Popatrzył na konia. Potem popatrzył na Neda. Kiedy jednak przemówił, głos jego był niemal jak szept.

– To jest koń...

– Zaczekaj – przerwała mu panna Corrie. Słusznie. Nawet nie zauważyłem Otisa. Było w nim jeszcze i to: zauważało się go zawsze w takim momencie, że jeszcze trochę, a byłoby za późno. Ale i nie na tym polegało to, co w nim było nie w porządku.

– O Boże, oczywiście – szepnęła panna Reba. Powiadam ci, kobiety są wspaniałe. – Wynoś się stąd! – rozkazała Otisowi.

– Idź do domu – powiedziała panna Corrie.

– No idę, idę – ociągał się Otis. – Chodź, Lucius!

– Nie – ucięła panna Corrie. – Tylko ty. Idź już. Możesz iść na górę do swojego pokoju.

– Jeszcze wcześniej – oponował Otis. – Wcale nie jestem śpiący.

– Nie mam zamiaru powtarzać ci dwa razy – ucięła panna Reba. Boon czekał, aż Otis wejdzie do domu. Czekaliśmy wszyscy, a Boon podniósł

latarnię tak wysoko, że światło jej padało przede wszystkim na twarz jego i Neda. Znowu zaczęli mówić beznamiętnym, wyważonym tonem.

– To jest koń kradziony – mruczał Boon.

– A samochód jest jaki? – mruczał Ned.

Tak, cudowne: ton panny Reby nie różnił się od ich szeptów, był tylko żwawszy: – Trzeba go wyprowadzić z miasta.

– Właśnie to miałem na myśli, kiedy go tutaj przyprowadziłem – mówił Ned. – Zaraz jak zjem kolację, ruszę razem z nim do Possum.

– Czy masz choćby słabe pojęcie, jak daleko jest stąd do Possum, nie mówiąc już o kierunku? – zapytał Boon.

– A czy to ważne? Kiedy Szef wyjechał z miasta i nie wziął automobila pod pachę, czy martwił się pan, jak daleko z Jefferson do Memphis?

Panna Reba ruszyła się pierwsza. – Chodźcie do domu. Czy ktoś mógłby go tutaj zobaczyć? – spytała Neda.

– Nikt. Mam dosyć oleju w głowie. Od początku tego pilnowałem. – Przywiązał z powrotem konia do drzewa i wszyscy ruszyliśmy za panną Rebę po kuchennych schodkach do domu.

– Do kuchni – powiedziała. – To już pora, kiedy zaczyna się schodzić towarzystwo. – W kuchni zwróciła się do Minnie: – Siedź w moim pokoju, stamtąd możesz otwierać drzwi. Oddałaś mi klucze czy masz?... Dobrze. Pamiętaj, nikomu nic na kredyt, chyba że ktoś, kogo znasz. Bierz pieniądze, nim wyciągniesz korek z butelki, jeśli tylko się da. Sprawdź też, kto już jest w domu. Jeśli kto zapyta o pannę Corrie, powiedz, że przyjechał jej przyjaciel z Chicago.

– A jak ci który nie uwierzy, to powiedz, żeby obszedł dom naokoło i zastukał do kuchennych drzwi – warknął Boon.

– Na litość boską! – zniecierpliwiła się panna Reba.

– Nie dość ci kłopotów? Jak nie chcesz, żeby Corrie przyjmowała, to czemu jej sobie, u diabła, nie wykupisz na stałe, zamiast ją wynajmować

raz na sześć miesięcy?

– No już dobrze, dobrze – mruknął Boon.

– I sprawdź, gdzie są wszyscy domowi – ciągnęła panna Reba.

– Sama go dopilnuję – wtrąciła się panna Corrie.

– Każ mu tam zostać – mówiła panna Reba. – Zrobił już jedno piekło z końmi i więcej dzisiaj nie zniosę. – Panna Corrie wyszła. Panna Reba własnoręcznie zamknęła drzwi i spojrzała na Neda. – Powiadasz, że pójdiesz piechotą do Parsham, prowadząc tego konia?

– Tak jest – oświadczył Ned.

– Czy wiesz, jak daleko jest stąd do Parsham?

– A czy to ważne? Wcale nie potrzebuję wiedzieć, jak daleko jest do Possum. Potrzebne mi tylko Possum. Dlatego rozmyśliłem się co do chodzenia piechotą... to może być daleko. Pomyślałem z początku, że pani, prowadząc znajomościowy interes...

– Co chcesz przez to, do diabła, powiedzieć – obruszyła się panna Reba. – Prowadzę dom. Każdy, kto jest za wytworny, żeby go tak nazywać, może się wynosić sprzed moich drzwi, i frontowych, i kuchennych.

– Myślę o znajomościach którejs z pań, co są u pani – tłumaczył Ned. – Może by ktoś miał konia pod wierzch albo nawet roboczego, albo choćby i muła, na którym ja mógłbym pojechać, żeby Lucius siadł na tego tu i tak żebyśmy się dostali do Possum. Ale pojutrze będziemy musieli nie tylko odbyć gonitwę na milę, ale powtórzyć ją trzy razy i co najmniej dwa razy uwinąć się na torze szybciej niż tamten koń. Wobec tego będę go prowadził do Possum.

– No dobrze – powiedziała panna Reba. – Jesteś już z tym koniem w Parsham. Teraz potrzebne ci są tylko wyścigi.

– Człowiek z koniem wszędzie znajdzie wyścigi – oświadczył Ned. – Jedyne, czego im trzeba, to żeby obaj wytrzymali do startu.

– Potrafisz sprawić, żeby ten koń tak długo wytrzymał?

– Potrafię – odparł Ned.

– Potrafisz sprawić, żeby potem biegł?

– Potrafię.

– Skąd wiesz, że potrafisz?

– Bo tak było z tamtym mułem – powiedział Ned.

– Z jakim mułem? – spytała panna Reba. Weszła panna Corrie, zamykając za sobą drzwi. – Zamknij porządnie – rozkazała panna Reba. A potem do Neda: – No dobrze, powiedz mi o tych wyścigach. – Teraz Ned spoglądał na nią przez pełne ćwierć minuty; zniknęła całkowicie ohydna, zakamieniała bezczelność uprzywilejowanego rezydenta, jaką okazywał Boonowi, i dobroduszna protekcjonalność, jaką okazywał mnie.

– Wygląda, jakby pani chciała chwilę mówić do rzeczy – ucieszył się.

– Powiedzmy – odparła panna Reba.

– No, dobra. Więc pewien człowiek, inny bogaty biały... nie wiem, jak się nazywa, ale będąc umiał go znaleźć. W kręgu dwudziestu mil od Possum nie ma drugiego takiego konia, więc łatwo go będzie odszukać... ma też konia pełnej krwi, który zeszłej zimy już dwa razy biegał z tym naszym i dwa razy wygrał. Ten koń z Possum pobił naszego na tyle długości za pierwszym razem, że za drugim ten inny bogaty człowiek, jego właściciel, założył się o dwa razy więcej. I za tym drugim razem nasz koń przegrał jeszcze paskudniej, więc jak pojutrze pokaże się w Possum i będziemy chcieli, żeby jeszcze raz stanął przeciwko tamtemu, to ten biały bogacz z Possum nie tylko chętnie wystawi swojego konia do wyścigów, ale będzie dumny i zawstydzony, że bierze pieniądze.

– No dobrze – powiedziała panna Reba. – Mów dalej.

– To wszystko – oświadczył Ned. – A ja potrafię zrobić tak, że nasz koń będzie biegł. Tylko że o tym jeszcze nie wie nikt prócz mnie. Więc gdyby która z pań chciała coś na niego postawić, to możemy z Lucyusem i panem Hogganbeckiem zabrać to ze sobą.

– A ten, co ma teraz samochód? – spytała panna Reba.

– Pytam się, czy on też nie wie, że potrafisz zmusić tego konia do biegu?

– Nie wie – odparł Ned.

– Więc dlaczego nie oszczędził wszystkim kłopotu i nie wysłał cię razem z koniem do Parsham, jeśli sądzi, że do tego, aby mieć i konia, i samochód, potrzebne mu są jedynie te wyścigi? – Teraz nastąpiła zupełna cisza; spoglądali tylko na siebie. – No dalej – przynagliła.

– Musisz coś odpowiedzieć. Jak się nazywasz?

– Ned William McCaslin Jefferson Missisipi – odpowiedział Ned.

– No? – naciskała panna Reba.

– Może nie było go na to stać.

– Do diabła! – wtrącił Boon. – Nas też...

– Zamknij się! – skarciła go panna Reba. – Mówiłeś, zdaje się, że to człowiek bogaty? – To do Neda.

– Mówię o tym, z którym się wymieniłem na konia.

– Czy on kupił konia od tego bogatego?

– Miał tego konia – odpowiedział Ned.

– Czy dał ci jakiś papier, czy coś, kiedy się z nim wymieniłeś?

– Dostałem konia.

– Nie umiesz czytać, prawda?

– Dostałem konia – powtórzył Ned. Panna Reba patrzyła na niego.

– Dostałeś konia. Jesteś już z nim w Parsham. Mówiłeś, że masz sposób na zmuszenie tego konia do biegu. Czy ten sam sposób sprowadzi samochód do Parsham?

– Niechże pani pomyśli – prosił Ned. – Potrafi pani myśleć jak mało kto. Już pani dostrzegła więcej i szybciej niż wszyscy inni tutaj. Niech się pani zastanowi jeszcze uważniej i niech pani zrozumie, że ci ludzie, z którymi się wymieniłem na konia...

– Ludzie? Mówiłeś o jednym mężczyźnie. Ned nawet nie przerwał:

– ...są w takiej samej sytuacji jak my: muszą też wrócić kiedyś do domu, wcześniej czy później.

– I wszystko jedno, czy to Ned William McCaslin, czy Boon Hogganbeck, czy też ci, z którymi wymieniał się na konia... żaden z nich nie może wrócić z samym koniem czy też z samym samochodem, bo to nie wystarczy: muszą mieć i jedno, i drugie. Tak to się przedstawia? – spytała panna Reba.

– Mniej więcej – odparł Ned. – Czy nie staram się pani wytłumaczyć tego od dwóch godzin? – Panna Reba patrzyła na Neda. Odetchnęła cicho, jeden raz.

– Więc masz zamiar iść z nim do Parsham, kiedy wszystkie gliny w zachodnim Tennessee będą obwąchiwały każdą drogę z Memphis, szukając konia...

– Rebo! – zawołała panna Corrie.

– ...jutro rano, o świcie.

– No właśnie – powiedział Ned. – Teraz już za późna godzina, żeby kogoś złapali. Pani to ma rozum! Pani to nie trzeba tłumaczyć! Słowo daję! – Patrzyła na niego; odetchnęła tym razem dwukrotnie; nie odwróciła nawet od niego oczu, kiedy mówiła do panny Corrie:

– Ten hamulcowy...

– Jaki hamulcowy? – spytała panna Corrie.

– Wiesz, o którego mi chodzi. Ten, którego wujeczny dziadek czy kuzyn, czy ktoś tam...

– On nie jest hamulcowym – obruszyła się panna Corrie. – To sygnalizator. Jeździ ekspresem memphickim do Nowego Jorku. Nosi uniform, tak samo jak konduktor...

– No więc dobrze – zgodziła się panna Reba – sygnalizator. – Teraz mówiła do Boona: – To jeden ze znajomych Corrie... – Przez chwilę

spoglądała na Neda.

– Może mi się nawet i podoba to twoje określenie, mimo wszystko. Więc jego wujeczny dziadek czy ktoś tam jest wiceprezesem czy czymś takim linii kolejowej, która przechodzi przez Parsham...

– Jego wujek jest nadinspektorem odcinka – poprawiła panna Corrie.

– Nadinspektorem odcinka – przystała panna Reba.

– To znaczy pomiędzy jednym a drugim wypadem na wyścigi konne tu czy w każdym innym mieście, przez które przejeżdżają jego pociągi, kiedy to przygląda się gonitwom, podczas gdy jego siostrzeniec robi karierę zaczynając od niczego, ale z wetkniętą w gębę srebrną łyżką, którą będzie trzymał tak długo, jak długo nie przygryzie jej za mocno i nie zwróci na siebie czyjeś uwagi. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Wagon bagażowy – powiedział Boon.

– Tak jest – przytaknęła panna Reba. – Wtedy znajdą się w Parsham jeszcze przed jutrzejszym świtem i znikną wszystkim z oczu.

– Nawet z wagonem bagażowym to też będzie kosztowało – mruknął Boon. – Potem trzeba się będzie gdzieś schować aż do wyścigów i wreszcie wyłożyć sto pięćdziesiąt dolarów na same wyścigi, a ja mam przy sobie wszystkiego piętnaście czy dwadzieścia dolarów. – Wstał.

– Idź i zabieraj tego konia – zwrócił się do Neda. – Gdzie mieszka ten jegomość, któremu dałeś automobil?

– Siadaj! – rozkazała panna Reba. – Wielki Boże, pomyśleć, jakie się piekło rozpęta, kiedy wrócisz do Jefferson, a ty jeszcze masz czas liczyć centy. – Patrzyła na Neda. – Jak ty się nazywasz? Powtórz.

Ned powiedział raz jeszcze. – Chce pani usłyszeć o tym mule? Niech pani spyta Boona Hogganbecka.

– Nie każesz mu mówić do siebie pan? – spytała Boona.

– Zawsze mówię pan – oświadczył Ned. – Pan Boon Hogganbeck. Niech go pani spyta o tego muła.

Obróciła się do Corrie. – Czy Sam jest dzisiaj w mieście?

– Tak – odparła panna Corrie.

– Możesz się z nim zaraz porozumieć?

– Oczywiście.

Panna Reba obróciła się do Boona. – Ty teraz się stąd wynoś. Pójdź sobie na kilka godzin na spacer. Albo nawet, jak chcesz, to idź naprzeciwko do Birdie Watts. Tylko się, na litość boską, nie upij. Jak ty sobie wyobrażasz, z czego ma Corrie żyć i płacić mieszkanie, kiedy ty siedzisz w tych swoich mokradłach Missisipi, kradniesz samochody i porywasz dzieci. Z powietrza?

– Nigdzie nie mam zamiaru chodzić – oświadczył Boon.

– Do cholery! – wrzasnął na Neda. – Idź i bierz tego konia!

– Nie potrzebuję go przyjmować – powiedziała panna Corrie. – Mogę zatelefonować. – Nie było w tym ani chępliwości, ani nieśmiałości, tylko sama pogoda. Była zbyt dużą dziewczyną, za dużą na chępliwość czy nieśmiałość. Ale wystarczyło w sam raz na pogodę.

– Na pewno? – spytała panna Reba.

– Tak – odparła panna Corrie.

– No to telefonuj! – rozkazała panna Reba.

– Chodź tutaj – powiedział Boon. Panna Corrie stanęła. – Powiedziałem: chodź tutaj – powtórzył. Podeszła wtedy i stanęła troszeczkę dalej, poza zasięgiem jego ręki. Zauważyłem nagle, że wcale nie patrzy na Boona – patrzy na mnie. Może dlatego właśnie udało się Boonowi, wciąż się nie podnosząc, sięgnąć nagle i schwytać ją za ramię, nim zdążyła uskoczyć. Przyciągnął ją do siebie, ona szarpnęła się poniewczasie, tak jak może się szarpać taka duża dziewczyna, i wciąż patrzyła na mnie.

– Przestań – prosiła. – Muszę telefonować.

– Wiem, wiem – mówił Boon. – Ale mamy na to jeszcze czas.

– Przyciągał ją w dalszym ciągu, aż wreszcie ona, z tym udanym

opanowaniem, z tym rozpaczliwym wysiłkiem, by wyglądać jednocześnie na silną i bezbronną, podobnie jak człowiek, co rzuca bykowi, na którego się nagle natknął po tej samej stronie ogrodzenia, trzymane w rękę jabłko (czy cokolwiek innego, co mogłoby na chwilę odwrócić jego uwagę), pochyliła się szybko i pocałowała go, cmoknęła go szybko w czubek głowy, cofając się jednocześnie. Ale i tym razem za późno, bo jego ręka opadła już, chwytając ją na oczach nas wszystkich za pośladek – ona usiłowała się wyswobodzić, patrząc znowu na mnie, a w oczach miała coś ciemnego, błagalnego – wstyd, ból, nie wiem co – i krew zalewała powoli jej wielką, dziewczęcą twarz, która wcale nie była brzydka, tylko z początku, na pierwszy rzut oka. Ale to trwało chwilę – mimo wszystko będzie w dalszym ciągu damą; nawet walczyła jak dama. Tylko że była po prostu za wielka, za mocna, by ktoś, nawet tak duży i silny jak Boon, mógł ją utrzymać jedną ręką – więc uwolniła się.

– Nie wstyd ci? – zapytała.

– Nie możesz z tym zaczekać, póki nie załatwi tej jednej rozmowy telefonicznej? – obruszyła się panna Reba. - Jeśli masz zamiar histeryzować na temat jej cnoty, to czemu, u diabła, nie umieścisz jej gdzieś, gdzie zostanie panią na własnych śmieciach i gdzie będzie mogła być cnotliwa i niegłodna? – Potem rzekła do panny Corrie: – Idź i telefonuj. Już dziewiąta.

Było późno, a tyle pozostawało nam do zrobienia. Dom zaczynał się ożywiać – „chodził”, jak to wy dzisiaj mówicie. Ale wszystko bardzo przykładowo – bez hałasów – to znaczy ani głośnej muzyki, ani wrzasków. Duch pana Binforda panował w dalszym ciągu, w dalszym ciągu rzucał swój cień na jego kalipsyjskie groty, ponieważ tylko dwie panie wiedziały, że go już nie ma, a klienci jeszcze nie zaczęli za nim tęsknić. Słyszeliśmy dzwonki i głos Minnie dobiegający słabo od drzwi frontowych, i stukot obcasów schodzących po schodach nimf; nawet gdy

panna Corrie stała trzymając gałkę drzwi w rękę, brzęk szkła mieszał się regularnie i systematycznie z basowym grzmotem głosów klientów i ostrymi piskami obsługi tam, za drzwiami, które otworzyła i zamknęła za sobą. Potem przyszła i Minnie. Zdaje się, że niezajęte damy postanowiły kolejno pracować jako recepcjonistki w okresie chwilowego kryzysu.

Widzisz, jakie to prawdziwe, że dziecko jest ojcem mężczyzny i również matką kobiety. Tam, w domu w Jefferson, widziałem przyczynę tego, iż zepsucie, Nie-Cnota znalazły we mnie nędznego przeciwnika, omal nie zasługującego na tę nazwę, otóż widziałem przyczynę tego w mojej wrażliwości i nieodłącznej od młodego wieku niewinności. Lecz do owego zwycięstwa potrzebne były w każdym razie trzy godziny, jakie upłynęły między momentem, kiedy dowiedziałem się o śmierci dziadka Lessepa, oraz chwilą, kiedy pociąg ruszył, a ja zrozumiałem, że Boon przez co najmniej cztery dni będzie miał w niepodzielnym władaniu klucz od dziadkowego samochodu.

A tutaj, proszę, panna Reba i panna Corrie, przeciwniczki, rzekłbyś, twarde, a może wręcz uodpornione na skutek stałych, codziennych doświadczeń z wszelkimi chwytami i podstępami, jakie tylko może wymyślić Nie-Cnota (a może Cnota?), te kobiety zostały natychmiast podbite i zwyciężone, chociaż pół godziny temu nie wiedziały nawet o istnieniu Neda, a co dopiero konia, nie mówiąc już o tym zupełnie obcym człowieku, co do którego panna Corrie wychodząc z pokoju miała spokojną pewność zwycięstwa i to zwycięstwa, jakiego dokona z pomocą nie innej broni jak telefonu.

Nie było jej już dwie minuty. Minnie wzięła latarnię i wyszła na ganek kuchenny. Zauważyłem, że Ned również zniknął. – Minnie – zawołała panna Reba w kierunku kuchennych drzwi wyjściowych – może kawałek tego kurczaka...

– Tak, proszę pani – zapewniła ją Minnie. – Już mu przygotowałam

talerz. Właśnie do niego siada. – Ned powiedział coś – nie dosłyszeliśmy słów. Ale dobrze usłyszeliśmy Minnie: – Jeśli nie masz apetytu na co innego niż ja, to się przegłodzisz ze dwa razy do rana. – Nie słyszeliśmy już Neda. Od wyjścia panny Corrie upłynęły już niemal cztery minuty. Boon podniósł się gwałtownie.

– Choroba! – powiedział.

– Zazdrosny jesteś nawet o telefon? – spytała panna Reba. – Cóż on jej, u diabła, może zrobić przez tę cholerną gutaperkową słuchawkę? – Teraz jednak usłyszeliśmy Minnie: szybkie, głośne klapnięcia, potem odgłos jej kroków. Weszła. Oddech miała może trochę przyspieszony, ale nie bardzo. – Co się stało? – spytała panna Reba.

– A nic takiego – odparła Minnie. – On taki sam jak inni. Ma duży apetyt, tylko nie może się zdecydować, na co.

– Daj mu butelkę piwa. Chyba że się boisz wyjść jeszcze raz do niego.

– Nie boję się – machnęła ręką Minnie. – Ot, natura, jak u każdego chłopca, może ma tego więcej niż inni. Ja tam przywykła. Każdy z nich taki sam: przez tę naturę nie da babie odpocząć, póki go sen nie zmorzy.

– Pewno, żeś do tego przywykła – warknęła Boon. – To ten ząb. W tym tkwi całe wasze babskie diabelstwo: nigdy nie zostawicie chłopca w spokoju.

– O co ci chodzi? – zapytała panna Reba.

– Pani dobrze wie, o co mi chodzi – odparł Boon. – Nigdy nie dacie za wygraną. Nigdy wam nie dość. Nie macie litości dla żadnego mężczyzny. Niech no pani na nią spojrzy: oszczędzała, ściboliła, nie darowała, póki sobie nie wstawiła złotego zęba, złotego zęba tu, w samym środku tej twarzy, tylko po to, żeby przyprowadzić o wariację biednego, ciemnego, wsiowego Murzyna...

– Albo traci pięć minut na gadanie do drewnianej skrzynki po to tylko, żeby przyprowadzić o wariację drugiego ciemnego wsiowego skurczybyka,

co nie zrobił w życiu nic więcej, tylko ukradł samochód, a teraz konia. Nigdy nie spotkałam mężczyzny, który by bardziej niż ty potrzebował ożenku.

– Jemu to naprawdę potrzebne – zgodziła się Minnie wychodząc. – To by go wyleczyło. Ja sama próbowałam dwa razy i dostałam nauczkę...

Weszła panna Corrie.

– Wszystko w porządku – powiedziała. Była pogodna; gdyby się chciało nazwać ją brzydką, trzeba by tak samo określać wielką, porcelanową lampę z płonącym wewnątrz knotem. – On tu przyjdzie. Chce nam pomóc. On...

– Nie mnie – przerwał Boon. – Na pewno mi ten skurwysyn nie będzie pomagał.

– Wobec tego zbieraj manatki – oświadczyła panna Reba. – Wynoś się stąd! Jak ty chcesz to załatwić? Będiesz szedł piechotą do Missisipi czy pojedziesz konno? Co? Siadaj! Ty też sobie usiądź, póki on nie przyjdzie. Powiedz, jak było? – zwróciła się do panny Corrie.

Rozumiesz? – On nie jest hamulcowy! To sygnalizator! Nosi uniform tak jak konduktor. Chce nam pomóc! – Cały świat kocha kochanków, powiedział (tak mi się zdaje) Szekspir, który głębiej niż ktokolwiek zaglądał w ludzkie serca. Jaka szkoda, że nie miał nic wspólnego z końmi, boby jeszcze dodał: cały świat kocha najwyraźniej również i kradzione konie wyścigowe. Panna Corrie opowiedziała wszystko; Otis był też z nami, nie zauważyłem jednak, jak wchodził, i znowu było z nim coś nie w porządku, choć nie to, że nie zauważyłem go do chwili, kiedy było niemal za późno.

– Będziemy musieli kupić chociaż jeden bilet do Possum, żeby...

– To się nazywa Parsham – powiedziała panna Reba.

– No dobrze. Zęby go można było nadać jako dodatkowy bagaż, tak jak się nadaje kufer przy bilecie. Sam przyniesie tu ze sobą bilet i

kwit bagażowy. Ale wszystko będzie dobrze: na bocznym torze stanie przygotowany pusty wagon bagażowy... Sam będzie wiedział, gdzie... a my tylko musimy załadować do tego wagonu konia i, Sam mówił, zastawić go w jednym rogu deskami, żeby się nie osunął. Sam przygotuje jakieś deski i gwoździe. Powiada, że tylko tyle może zrobić w tak krótkim czasie, boi się powiedzieć wujowi więcej niż konieczne, bo wtedy ten wujek zechciałby też przyjść. Sam mówi, że jedyne ryzyko to przeprowadzenie konia stąd do tego wagonu bagażowego. Powiada, że nie będzie dobrze, jeśli... – tu zatrzymała się, spojrzała na Neda.

– Ned William McCaslin Jefferson Missisipi – powiedział Ned.

– ...jeśli Ned prowadziłby konia nawet bocznymi ulicami o tak późnej porze, zatrzymałby go pierwszy napotkany policjant. Wobec tego on, Sam, przyniesie tu derkę i przyjdzie w swoim uniformie i wtedy on, Boon i ja poprowadzimy konia razem na stację i nikt nie zwróci na nas uwagi. Aha, jeszcze jedno, pociąg osobowy będzie...

– O Boże! – powiedziała panna Reba – kurwa, konduktor pulmana i szczur bagieny z Missisipi wielkości zbiornika wodnego przeprowadzą wyścigowego konia przez Memphis w niedzielę o północy i nikt na nich nie zwróci uwagi!

– Przestań! – zawołała panna Corrie.

– Co mam przestać? – spytała panna Reba.

– Wiesz co. Mówić w ten sposób wobec...

– Och! – wzruszyła ramionami panna. Reba. – Gdyby on tu wpadł z Missisipi razem z Boonem na przyjacielską wizytkę, można by jeszcze starać się chronić jego uszy. Ale jeśli robi z tego domu melinę na kradzione automobile i konie, to musi być na takich samych prawach, jak wszyscy inni. Co ty mówiłaś o tym pociągu?

– Pociąg osobowy odjeżdża do Waszyngtonu o czwartej rano, doczepi się do niego wagon bagażowy i będziemy wszyscy w Possum przed

świtem.

- Parsham, do cholery – powiedziała panna Reba. – Będziemy?
- Czyżbyś ty z nami nie jechała? – zdziwiła się panna Corrie.

VII

Tak właśnie wszystko się odbyło. Tylko najpierw Sam musiał obejrzeć koma. Przyszedł tylnymi drzwiami, przez kuchnię, niosąc derkę. Miał na sobie uniform. Był niemal równie ogromny jak Boon. Stanęliśmy wszyscy raz jeszcze w ogródku za domem, tylko że tym razem Ned trzymał latarnię i oświetlał nią nie konia, ale zdobną w lśniące guziki kurtkę Sama, jego kamizelkę i czapkę ze złotymi literkami na otoku. Prawdę mówiąc, oczekiwałem kłopotów ze strony Neda w związku z Samem i koniem, ale myliłem się. – Kto, ja? – zdziwił się Ned. – Skądże znowu? Gdyby nam policjant poprowadził konia do Possum, nie mogłoby być lepiej. – Wprost przeciwnie, kłopoty, jakie nas czekały w związku z Samem, rozpętał Boon. Sam spoglądał na konia.

– Dobry koń – powiedział. – Wygląda mi na cholernie dobrego konia.

– Też! – wzruszył ramionami Boon. – Nie ma gwizdka ani dzwonu. Nie ma nawet latarni na przedzie. Dziwię się, że go w ogóle widzisz!

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Sam.

– To, co powiedziałem. Twój interes to żelazne konie. Może lepiej idź już na stację i nie czekaj na nas!

– Ty skur... – skoczyła nań panna Reba. Potem zaczęła od nowa: – Czy nie rozumiesz, że ten człowiek stara ci się pomóc? Robi coś, co do niego nie należy, dlatego tylko, żeby pierwszą osobą, jaką napotkasz po powrocie, pierwszą żywą istotą, na jaką się natkniesz, nie był szeryf. To on ma prawo ci powiedzieć, żebyś szedł do diabła, gdzie twoje miejsce, i zabrał ze sobą tego przeklętego konia. Przepraszam go!

– No, dobrze – mruknął Boon. – Cofam, co powiedziałem.

– To się nazywają przeprosiny? – spytała panna Reba.

– A czego by pani chciała? Mam się nachylić i poprosić go, żeby mnie...

– Milczeć! I to natychmiast! – krzyknęła panna Corrie.

– A z ciebie też żadna pomoc – zaperzył się Boon.

– Doprowadziłaś mnie i pannę Rebę do tego, że w ciągu jednego dnia będziemy musieli zapomnieć ojczyściego języka.

– Święta racja – przyznała panna Reba. – Wystarczyłby ten gagatek, co go sprowadziłaś z Arkansas. Jedną rękę wsadzał zawsze, jak nikt nie patrzył, do lodowni po piwo, a drugą sięgał po wszystko, co małe i luzem. A teraz Boon Hogganbeck musiał na dodatek przywieźć drugiego, przy którym człowiek boi się gęby otworzyć.

– To nieprawda! – zawołała panna Corrie. – Otis nigdy nic nie bierze bez pytania. Prawda, Otis?

– Bardzo słusznie – drwiła panna Reba. – Zapytaj go. On powinien dobrze wiedzieć.

– Moje panie! – wołał Sam. – Czy ten koń ma dzisiaj jechać do Parsham, czy nie?

Ruszyliśmy więc. Lecz przedtem jeszcze panna Corrie spojrzała na mnie i Otisa. – Powinni być już w łózkach – zauważyła.

– Na pewno – przyznała panna Reba. – Jeden w Arkansas, drugi w Missisipi, a nawet dalej, gdyby to ode mnie zależało. Ale teraz już za późno. Nie możesz posłać jednego do łóżka, a nie posłać drugiego, a ten od Boona jest częściowo właścicielem konia. – Tylko okazało się w końcu, że i panna Reba nie pójdzie z nami. Nie mogły, ona i Minnie, zostawić domu bez opieki. Wszystko tu teraz „chodziło” naprawdę, choć wciąż jeszcze dyskretnie, z niedzielną przyzwoitością; zamierająca fala sobotniego przypływu rozpusty w ostatnim pienistym zrywieniu przeciwko mozolnej monotonii dni powszednich dla chleba i dachu nad głową.

Tak więc Ned i Boon narzucili derkę na konia, a potem my – Ned, Otis i ja – przyglądaliśmy się z chodnika, jak Boon i Sam w poliandrycznym – no, może nie braterstwie, ale w każdym razie sojuszu – z panną Corrie w środku, prowadzili konia idąc jezdnią, od jednej do drugiej lampy łukowej, w niedzielnym, wieczornym spokoju ulicy Drugiej i Trzeciej, ku stacji. Minęła dziesiąta; paliło się jeszcze trochę świateł, ale tylko w pensjonatach (byłem już doświadczony; byłem wyrafinowany – oczywiście nie koneser, ale w każdym razie uświadomiony; rozpoznawałem natychmiast miejsca podobne do domu panny Reby). Ale w oknach wszystkich szynków było ciemno. To znaczy, widzisz, ja nie rozpoznawałem jeszcze szynków; miałem przed sobą kilka stopni wtajemniczenia; tylko Ned nam tłumaczył – Otisowi i mnie – że to szynki i że są zamknięte. Domyślałem się, że nie jest ani tak, ani tak: to znaczy, że ani nie są otwarte, ani zamknięte. Pomyśl tylko, byłem w Memphis (albo na ulicy Catalpa) od niecałych sześciu godzin, bez matki i ojca, którzy by mnie mogli pouczać; robiłem więc niezłe postępy.

– Nazywają to niebieskim prawem^[2] – powiedział Ned.

– Co to jest niebieskie prawo? – spytałem.

– Ja tam nie wiem – odparł Ned. – Chyba o to chodzi, że w sobotę wieczór puścili wszystką forszę i tak im mało zostało, że właścicielom szynków nie warto marnować nafty.

– To dotyczy tylko szynków – tłumaczył Otis. – Nikomu to nie szkodzi. Czego szynkarz nie sprzeda w niedzielę wieczór, to schowa i sprzeda komuś, może nawet tej samej osobie, w poniedziałek. Co innego z dziwzeniem. Możesz za ten sam towar wziąć pieniądze dzisiaj i następnego dnia też wziąć.

[2] Niebieskie prawo (*blue law*) – obecnie nazwą tą określa się w Stanach wszelkie zarządzenia administracyjne, stosujące zasady purytańskie (np. w świętowaniu niedzieli).

niebieskie prawo na dziwczenie, to policja by nie pozwoliła.

– Co to jest dziwczenie? – spytałem.

– Nałykałeś ty się mądrości! – warknął na Otisa Ned. – Nic dziwnego, że ci ciasno w Arkansas. Jeśli reszta chłopaków stamtąd wie w twoim wieku tyle co ty, to chyba jak dorosną, nawet Teksas musi być dla nich za mały.

– G... – powiedział Otis.

– Co to znaczy dziwczenie? – spytałem.

– Zostaw to wydziwianie i pomysł, skąd by tu zdobyć trochę żarcia dla konia – zwrócił się do mnie Ned trochę głośniej. – Zęby nam się nie rzucał, nim dojedzie do Possum, a przede wszystkim, jak go będziemy ładować do pociągu. Czy ktoś przypomniał o tym temu konduktorowi, co to wytrząsa wagony bagażowe jak z rękawa? Może dobrze by było zdobyć jeszcze wiadro wody i kawałek mydła, żeby twoja ciotka – mówił teraz do Otisa – mogła cię zaprowadzić gdzieś w kącie i porządnie ci wyszorować gębę.

– G... – mruknął Otis.

– A może najlepiej byłoby wziąć dobrego kija – ciągnął Ned.

– G... – powtórzył Otis. No i oczywiście spotkaliśmy policjanta. To znaczy Otis zobaczył policjanta, nim jeszcze policjant zobaczył konia.

– Niech mnie skreć – powiedział Otis. Policjant znał pannę Corrie. I najwidoczniej znał również Sama.

– Dokąd go prowadzicie? – spytał. – Ukradziony?

– Pożyczony – odparł Sam. Nie zatrzymali się. – Pojechaliśmy nim dzisiaj na nabożeństwo i teraz go odprowadzamy do domu. – Szliśmy dalej.

Otis powiedział znowu:

– Niech mnie skreć. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego. Za każdym razem, kiedy policjant z kimś przy mnie rozmawiał, to potem

coś brał. Na przykład Minnie i panna Reba zawsze trzymają dla niego butelkę piwa i dają mu, nim zdąży przekroczyć próg, choć panna Reba przeklina go przed przyjściem i po wyjściu. Od zeszłego roku, odkąd tu przyjechałem i to odkryłem, zawsze jak przechodzę przez Plac Sądów, tam gdzie ten Italianiec ma stragan z owocami i orzeszkami, to widzę policaję, który przychodzi i nawet nie patrzy, tylko sięga łapą i bierze jabłko albo garść orzeszków. – Niemal biegł truchtem, by się z nami zrównać, o tyle był mniejszy ode mnie. To znaczy nie wydawał się mniejszy, dopóki się nie zobaczyło, jak biegnie, żeby nam dotrzymać kroku. Było z nim coś nie w porządku. Mówisz sobie tak: – *W przyszłym roku będę większy niż dzisiaj* – po prostu dlatego, że to jest nie tylko naturalne, ale nieuniknione; nawet nieważne, że nie potrafisz sobie wyobrazić, jak będziesz wtedy wyglądał. Tak samo z innymi dziećmi; one też nic na to nie mogą poradzić. Ale wydawało się, że Otis dwa czy trzy lata temu doszedł tam, gdzie ja będę dopiero za rok, i od tego czasu zaczął się cofać. Mówił w dalszym ciągu: – Wtedy myślałem, że nie ma nic lepszego, jak zostać policjantem. Ale to mi szybko przeszło. To za bardzo ograniczone.

– Ograniczone do czego? – spytał Ned.

– Do piwa, jabłek i orzeszków – odparł Otis. – Kto będzie marnował czas na piwo, jabłka i orzeszki? – Powtórzył teraz trzy razy: – Niech mnie skręci! W tym mieście jest pełno osłów.

– Osłów – zastanowił się Ned. – Pewno, że mają osły. Czy w Memphis nie potrzeba mułów tak samo jak gdzie indziej?

– Osłów z forszą – wytłumaczył Otis. – Z mamoną. Nadzianych. Jak sobie pomyślę, ile czasu zmarnowałem tam, w Arkansas, zanim mi ktokolwiek powiedział o Memphis. Ten ząb. Jak myślisz, ile może być wart taki ząb? Gdyby tak poszła do banku, wyjęła go, położyła na ladzie i powiedziała: – Proszę mi to wymienić na forszę?

– O, tak – powiedział Ned. – Pamiętam jednego chłopaka, tam u nas,

w Jefferson, który tak samo jak ty ciągle myślał o forsie. Wiesz, gdzie on teraz jest?

– Tu w Memphis, jeśli ma trochę oleju w głowie.

– Nigdy aż tak daleko nie zaszedł. Udało mu się zajść do stanowego domu poprawczego w Parchman, nie dalej. A ty, w tym tempie, w jakim idziesz, pewno też tam dojdiesz.

– Ale jeszcze nie jutro! I może nie pojutrze. Niech mnie skręci, żaden przeklęty policaj w tym mieście nie może przejść, żeby mu nie wetknęli w rękę butelki piwa czy jabłka, czy garści orzeszków, nim jeszcze zdąży poprosić. A te osiemdziesiąt pięć centów, co mi je dali wczoraj wieczór za pompowanie pianoli, te, co mi je ten skurwysyn dzisiaj zabrał. Przecież mogłem im to robić za darmo, gdybym się przypadkiem nie dowiedział, że chcą za to płacić. Gdybym akurat wtedy wyszedł na chwilę z pokoju, tobym się mógł nie dowiedzieć. A gdybym się nie znalazł pod ręką, toby i tak komuś dali, wszystko jedno komu, kto by się akurat napatoczył. Rozumiesz, o co mi idzie? Czasem, jak sobie o tym pomyślę, to bierze mnie ochota rzucić to wszystko i dać spokój.

– Dać spokój? – spytał Ned. – Komu?

– Po prostu dać spokój – odparł Otis. – Kiedy sobie pomyślę o tych wszystkich latach, które spędziłem na głupiej farmie w Arkansas, mając przez cały czas Memphis tuż pod nosem, po drugiej stronie rzeki! Żebym to ja o tym wiedział! Żebym, mając cztery czy pięć lat, wiedział to, na co musiałem czekać aż do zeszłego roku! Jak sobie o tym pomyślę, to mam ochotę rzucić wszystko i dać spokój. Ale chyba nie rzucę. Myślę, że może sobie to jeszcze odbiję. Ile się spodziewacie zarobić na tym koniu?

– Przestań zawracać sobie głowę tym koniem – odparł Ned. – A jedyna rzecz, jaką musisz odbić, to ten kawałek drogi, który zrobiłeś, wleźć do łóżka i spać. – Nawet zatrzymał się i obrócił nieco. – Pójdiesz sobie tą samą drogą, tylko że z powrotem...

– Tam się nic nie da zrobić – machnął ręką Otis. – Już próbowałem. Za dobrze pilnują. To nie to co w Arkansas, kiedy ciocia Corrie była u ciotki Fittie, a ja miałem tę dziurkę. Jeśli wymieniliście samochód na tego konia, to musieliście liczyć na co najmniej dwie setki... – Tym razem Ned obrócił się już całkiem, a Otis poderwał się i odskoczył, przeklinając go, nazywając czarnuchem – chyba ojciec albo dziadek musieli mnie tego uczyć, ale tak dawno, że nawet owego uczenia nie pamiętałem, tylko wiedziałem dobrze, że nigdy dżentelmen nie zwraca się do drugiego człowieka, określając go wedle rasy czy wyznania.

– Chodźmy – powiedziałem. – Zostawiają nas w tyle. – Tak było rzeczywiście, wyprzedzali nas już niemal o dwie przecznice i właśnie skręcali; podbiegliśmy truchtem, Ned także, zrównaliśmy się z tamtymi i niemal w tej samej chwili zobaczyliśmy przed sobą stację i Sama, który podchodził do jakiegoś mężczyzny w zaplamionym kombinezonie trzymającego latarnię – pewno to był zwrotniczy, w każdym razie kolejarz.

– Widzisz, o co mi chodziło? – szeptał Ned. – Możesz sobie wyobrazić, żeby policja wysyłała po nas faceta z latarnią i oświetlała nam drogę? – A ty też zrozum, o co mi idzie: to wszystko (mówię o kradzionym koniu wyścigowym), co służy Cnocie, pracuje w samotności, bez żadnej pomocy, w chłodnej próżni powściągliwych sądów; tymczasem zaprzedał się tylko Nie-Cnocie, a cała okolica aż się zaroi od ochotników gotowych ci udzielać pomocy. Wyglądało na to, że Sam próbuje namówić pannę Corrie, by poczekała z Otisem i ze mną na stacji, podczas gdy oni znajdą wagon i ulokują w nim konia; zaproponował nawet samorzutnie, by Boon nam towarzyszył i chronił nas swym wzrostem, wiekiem i płcią; dowodził w ten sposób, że w tej poliandrycznej sytuacji bez wyjścia przynajmniej Samowa połowa jest przyjazna i ufna. Ale panna Corrie nie chciała na to przystać, a mówiła tu w imieniu nas wszystkich. Skręciliśmy więc, idąc za latarnią, przez furtkę, w labirynt peronów ładunkowych i szyn.

Tu Ned musiał wyjść do przodu, ująć kantar i uspokoić konia, potem ruszyliśmy dalej w ciepłych amoniakowych oparach końskiego potu (nigdy nie wahałeś przestraszonego konia, co?) i w monotonnym szepcie przemawiającego doń Neda, a jedno i drugie – zapach i głos – gęstniało i nabierało intensywności pośród wyłaniających się ogromnych kształtów nieoświetlonych wagonów bagażowych i osobowych, pośród rubinowych i zielonych pobłysków światła zwrotnic, aż wreszcie znaleźliśmy się poza sekcją pasażerską, idąc po wysypanej żużlem ścieżce wzdłuż bocznicy, która prowadziła do wielkiego, ciemnego magazynu z długą platformą do ładowania na przedzie. Dojrzeliliśmy również wagon bagażowy, a między nim i najdalej ku niemu wysuniętym rogami platformy – ponad dwadzieścia pięć stóp oświetlonej księżycem (tak, owszem, byliśmy w księżycowej poświacie; teraz, kiedy zabrakło ulicznych i stacyjnych światła, było to widać) przestrzeni – dobry skok nawet jak na naskakanego konia, nie mówiąc już o niezbyt udanym wyścigowym trzylatku, który (według tego, co mówił Ned) miał i z bieganiem pewne trudności. Sam przeklinał cicho cały zespół stacyjny – zwrotniczych, magazynierów, bileterów i w ogóle wszystkich.

– Pójdę po kozułę – powiedział człowiek z latarnią.

– Nie trzeba nam tu żadnej kozy – zaprotestował Ned.

– Choćby nie wiem jak skakała. Trzeba nam albo przesunąć ten wagon, albo platformę.

– On tak nazywa parowóz – wyjaśnił Nedowi Sam.

– Nie – zwrócił się do mężczyzny z latarnią. – Przewidywałem to. Dla załogi manewrowej przesunąć wagon o dwadzieścia stóp za daleko to się w ogóle nie liczy. Dlatego kazałem ci wziąć klucz do magazynu sekcyjnego. Przynieś łomy. Może pan Boon zechciałby ci pomóc?

– Czemu sam nie pójdziesz? – wrzasnęła Boon. – To twoja kolej, nie moja! Ja tu jestem obcy.

– Zabrałyś lepiej chłopców i poszedł z nimi do domu spać, jeśli tak się tu czujesz obco i nieswojo – zaproponowała panna Corrie.

– Sama byś ich lepiej zabrała do domu – odszczeknął Boon. – Ten twój stary kumpel powiedział ci już raz, że nic tu po tobie!

– Pójdę z nim po te łomy – oświadczyła Samowi panna Corrie. – Miej oko na chłopców.

– No już dobrze, dobrze – mruknął Boon. – Róbmymy coś, na litość boską! Pociąg będzie tu za cztery czy pięć godzin, a my stoimy i zastanawiamy się, kto pierwszy do lizawki w lesie. Gdzie ten twój magazyn, chłoptasiu? – I ruszył razem z mężczyzną, który niósł latarnię; nam pozostało tylko światło księżyca. Koń niemal wcale teraz nie pachniał i widziałem, jak ociera się o kurtkę Neda, niby oswojony kot. A Sam myślał o tym samym, o czym ja myślałem, odkąd zobaczyłem platformę.

– Tam z tyłu jest rampa, która biegnie naokoło – powiedział. – Czy on kiedykolwiek szedł po rampie? Może byś go tam zaprowadził, niechby się jej przyjrzał. Kiedy już ustawimy wagon jak należy, to przyjdziemy ci wszyscy pomóc go wnieść, jeśli będzie trzeba...

– Niech pan się nie martwi po próznicy o mnie i o tego konia – uspokoił go Ned. – Niech pan tylko podprowadzi ten wagon tak, żebyśmy nie musieli do niego skakać dziesięć stóp. Ten koń tak samo chce się wydostać z Memphis jak i pan. – Bałem się tylko, że Sam powie: „Może zabierzesz ze sobą tego chłopca?” Bo okropnie chciałem popatrzeć, jak będą przetaczać ten wagon. Nie wierzyłem, że im się uda. Więc czekaliśmy. Ale niedługo. Boon i tamten mężczyzna wrócili z łomami, które wydawały się co najmniej na osiem stóp długie, a ja (i panna Corrie, i Otis) patrzyłem, jak to będą robić. Mężczyzna postawił na ziemi latarnię, wdrapał się po drabince na dach wagonu i przekręcił korbę hamulca, a Sam i Boon wtykali końce łomów pomiędzy szyny i tylne koła, podpychając i podważając je krótkimi ruchami, przypominającymi pompowanie, lecz

ja wciąż jeszcze nie wierzyłem; w świetle księżycy wagon majaczył wysoki, czarny, kanciasty, niby ciemna ściana, okolona wąską, srebrną ramą księżycowej poświaty; na nim, wysoko na dachu, jedna malutka postać szamotała się z korbą hamulcową, a dwie inne malutkie figurki kucwały, pełzały, podpychając srebrne lance łomów pod tylne koła; wagon był tak wielki i nieruchomy, że z początku wydawało się, jakby to nie on poruszał się ku przodowi, lecz jakby Boon i Sam w straszliwej, pantomimicznej uległości podsuwali powolusieńku pod tę niewzruszoną, wtopioną w szyny masę – panoramiczną, upojoną księżycem ziemię; tak idealnie wyważony był teraz w masywnym centrum równowagi, że Sam i Boon rzucili łomy i Boon gołymi rękami popychał delikatnie wagon, niby dziecinny wózek, wzdłuż platformy na właściwe miejsce, a wtedy Sam zawołał:

– Dobra jest! – i ten mężczyzna na dachu przesunął korbę hamulcową z powrotem. Teraz pozostawało nam tylko załadować konia, czyli było mniej więcej tak, jakbyśmy powiedzieli: „Jesteśmy wreszcie na Alasce! Pozostaje nam tylko odkryć kopalnię złota”. Poszliśmy naokoło, na tyły magazynu. Znajdowała się tam rampa z boczną listwą. Lecz platforma zbudowana była na wysokości odpowiedniej do ładowania i rozładowywania furgonów, rampa zaś okazała się kładką obliczoną na taczki i ręczne wózki, solidną, ale zaledwie pięć stóp szeroką i bez poręczy. Stał przy niej Ned i przemawiał do konia. – Już ją obejrzał – wyjaśnił nam. – Wie, że chcemy, żeby po niej wszedł na górę, ale jeszcze się nie zdecydował, czy sam tego chce. Prosiłbym, żeby pan Kolejowy poszedł jeszcze trochę dalej i pożyczyl również i bat.

– Mamy przecież bat – powiedział Boon. Miał na myśli mnie, jedną z moich umiejętności, talentów. Robiłem to klaskając językiem o podniebienie i gardło – jeśli się dobrze udało, wydobywał się dźwięk ostry i głośny, równie ostry i głośny jak trzaśnięcie z bicia. Matka ostatecznie

zabroniła mi tego robić w obrębie naszych stajen, nie mówiąc już o domu. A raz babcia przez to aż podskoczyła i powiedziała brzydkie słowo. Ale tylko raz. To było już prawie rok temu, więc mogłem zapomnieć. – Racja – przyznał Ned. – Mamy bat. – Zwrócił się do mnie: – Weź długi pręt. Na pewno coś znajdziesz tam, w tym krzaku w żywopłocie. – I rzeczywiście, rósł tam krzak ligustru – to wszystko stanowiło pewno niegdyś czyjś trawnik lub ogród, nim przyszedł postęp, przemysł, handel, koleje. Wyciąłem pręt i wróciłem do nich. Ned podprowadził konia łbem ku rampie. – A teraz niech dwóch wysokich panów, pan Boon i pan Kolejowy, podejdzie tu i stanie z obu stron, jak słupy w bramie.

– Posłuchali go obaj; Ned był teraz w połowie rampy i trzymając rzemień, przemawiał zwrócony do konia:

– No, widzisz, jesteś tu, stoisz na tej kurzej grzędzie, po której jutro o świcie dojdiesz do chwały i Possum w stanie Tennessee. – Zszedł z rampy zawracając konia w miejscu i ruszył całkiem szparko, przemawiając tym razem do mnie: – Widział już ten twój pręt. Idź tuż za nim. Nie dotykaj go i nie klaskaj, póki ci nie powiem.

– Robiłem, co kazał, i wszyscy troje – Ned, koń, a za nimi ja – odeszliśmy od rampy w linii prostej ze dwadzieścia jardów, a tam, nie zatrzymując się ani na chwilę, Ned zawrócił, ja wciąż za nim, aż koń zobaczył przed sobą wznoszącą się o dwadzieścia jardów rampę między Boonem i Samem. Wtedy stanął. – Klaskaj – powiedział Ned. Klasnąłem językiem – dobrze mi się udało, koń lekko się poderwał, Ned już ruszał do przodu, teraz nieco szybciej, z powrotem ku rampie. – Jak ci tym razem powiem, żebyś klaskał, dotknij go prętem. Nie uderzaj, stuknij go tylko u nasady ogona zaraz potem, jak kłasniesz. – Minął Boona i Sama i stał już na rampie. Koń próbował się teraz zdecydować, czy ma odmówić posłuszeństwa, czy uciec (dodatkowym kłopotliwym elementem była konieczność powzięcia drugiej decyzji – czy łatwiej mu będzie stratować

Boona, czy Sama), czy też po prostu ponieść i stratować nas wszystkich. Niemal można było dojrzeć, jak to się dzieje. Prawdopodobnie na to właśnie liczył Ned – na inteligencję płochliwą, sparaliżowaną strachem, zdolną w określonej chwili do jednej tylko myśli, kiedy to wtargnięcie drugiej wprowadza kompletny chaos. – Kłaśnij – powiedział. Tym razem dotknąłem również konia prętem, tak jak mi Ned kazał. Zwierzę drgnęło, skoczyło, przednie kopyta sięgnęły do połowy rampy, jedno tylne (to po stronie Boona) uderzyło o sam skraj i ześliznęło się, lecz nim Ned zdążył coś powiedzieć, Boon chwycił je obydwoma rękami i ustawił z powrotem na deskach, całą swą wagą wspierając bok konia, który drżąc stanął wszystkimi czterema kopytami na rampie. – Teraz – mówił dalej Ned – połóż mu ten twój pręt w poprzek zadnich nóg, żeby myślał, że jest za nim coś, co mu nie pozwoli zlecieć.

– Rozumiem. Żeby mu się nie dać cofnąć z rampy – powiedział Sam.
– Do tego potrzebny nam jeden z tych łomów. Skocz po niego, Charley!

– To prawda – odparł Ned – że za chwilę będzie nam ten łom potrzebny. Ale teraz wystarczy pręt. Ty jesteś za mały – zwrócił się do mnie. – Niech go weźmie pan Boon i pan Kolejowy. Ogarnijcie go od tyłu, jak zadnim rzemieniem w uprzęży. – Zrobili, jak kazał, każdy trzymając za koniec giętkiego pręta. – No, naprzód, razem z nim. Teraz, jak ci powiem, kłaśnij mocno, niech myśli, że dostanie też mocno. – Ale bynajmniej nie potrzebowałem już klaskać. Ned powiedział do konia: – Chodź ze mną, synku! Jedziemy do Possum – i koń ruszył, a za nim ruszył Boon i Sam z prętem niby konopną pętlą, cisnącym na końskie nogi – przednie znalazły się już na platformie, potem jeden ostatni gwałtowny, rozdygotany zryw i platforma zastukotała, jakby koń wskoczył na drewniany most.

– Potrzeba będzie czegoś więcej niż pręta czy nawet klaskania tego chłopca, żeby wpakować konia do wagonu – prorokował Sam.

– Żeby go wpakować do wagonu, potrzebny nam będzie ten łom –

oświadczył Ned. – Czy już tu jest?

– Był. – Oderwijcie no tę kurzą grzędę od platformy – rozkazał Ned.

– Zaczekaj – oponował Sam. – Po co?

– Żeby po niej wszedł do wagonu – odparł Ned. – Już się z nią oswoił. Sprawdził, że na drugim jej końcu nie ma nic, co by go mogło uderzyć czy przestraszyć.

– Ale nie wahał nigdy wnętrza pustego wagonu towarowego – powiedział Sam. – O to mi chodzi. – Jednak to, co mówił Ned, trzymało się kupy. A poza tym za daleko już zaszliśmy, żeby się wahać, choćby nawet Ned kazał nam rozebrać dwie ściany magazynu, tak by koń nie musiał obchodzić rogów. Wobec tego Boon i kolejarz wspólnymi siłami oderwali rampę od platformy.

– Cholera! – zaklął Sam. – Nie możecie tego robić ciszej?

– Przecież pan tu jest z nami – zdziwił się Ned.

– Chyba ma pan jakiś pożytek z tych złotych guzików, nie tylko to, że się świecą.

Ale trzeba było wspólnych sił nas wszystkich, nawet panny Corrie, żeby włądować rampę na platformę, przenieść na przód i ułożyć jak pomost między platformą a czarną otchłanią otwartych drzwi wagonu. Wtedy Ned podprowadził konia i natychmiast zrozumiałem, o co chodziło Samowi. Koń nie tylko nigdy w życiu nie wahał jeszcze pustego wagonu, ale też odmiennie niż marna istota ludzka widział w ciemnym wnętrzu. Pamiętam, że myślałem wtedy: *Teraz, kiedy zerwaliśmy rampę, nie będziemy już mogli sprowadzić go na dół z tej platformy, nim nas zaskoczy świt.* Ale nic podobnego się nie stało. To znaczy nic się nie stało. To znaczy – nie wiem, co się stało. Nikt z nas nie wie. Ned prowadził konia, a ten szedł stukając po deskach kopytami głośno i głucho, aż do rampy, która była teraz mostem; Ned stanął na niej w samych drzwiach i zaczął przemawiać do konia, pociągając lekko za kantar, aż wreszcie

koń wysunął jedną nogę i postawił ją na mostku i w ogóle nie wiem, co wtedy myślałem: najpierw sądziłem, że wszyscy mieszkańcy Memphis razem wzięci nie wepchną go w czarny otwór; w następnej chwili oczekiwałem, że to samo co przed wejściem na rampę, drgnięcie i skok, poprzedzi wejście konia do wagonu. Koń podniósł jedno kopyto i cofnął je z powrotem na platformę; stanęli z Nedom i spoglądali na siebie, niby postacie z żywego obrazu. Usłyszałem, jak Ned mocno odetchnął – jeden raz. – Wy, tam, odsuńcie się pod ścianę! – rozkazał. Posłuchaliśmy. Nie wiem, co zrobił potem. Zobaczyłem tylko, że jedną ręką trzyma kantar, drugą dotyka, głaszcze pysk konia. Potem cofnął się w głąb wagonu i zniknął – przywiązany do kantara rzemień naprężył się, lecz z wewnątrz dobiegł tylko głos: – Chodź no, synku! Mam to tutaj.

– Niech mnie wszyscy diabli – powiedział Sam. Na tym bowiem się wszystko skończyło. Chwiejny mostek zastukotał lekko, otchłanna czerń wewnątrz wagonu ożywiła się dźwiękiem kopyt – i tyle. Wnieśliśmy do środka latarnię; oczy konia błysnęły zimno i znikły tam w kącie, gdzie stał z nim Ned.

– Gdzie są te deski i gwoździe, o których pan opowiadał? – zapytał Sama. – Przynieście no tutaj tę grzędę, będzie z niej cała ściana.

– Do diabła! – oponował Sam. – Zaczekaj!

– Ci, co tu rano przyjdą i zobaczą, że zniknął cały wagon, nie będą mieli czasu na drobiazgi i na rozwodzenie się nad jedną mizerną grzędą z czyjegoś kurnika. – Wobec tego my wszyscy, bez Neda, ale z panną Corrie, wnieśliśmy nadwerężoną rampę do wnętrza wagonu, postaviliśmy ją na sztorc i podtrzymywaliśmy, podczas gdy Boon, Sam i kolejarz (Sam miał przygotowane deski i gwoździe) budowali wokół konia boks w kącie wagonu. Zanim Ned zdążył powiedzieć słowo, Sam przyniósł skądś wiadro z wodą, pudło z owsem i nawet wiązkę siana; cofnęliśmy się teraz wszyscy i staliśmy, wsłuchując się w zadowolone chrupanie konia. – Tak

jakby już, w tej chwili, był w Possum – oświadczył Ned.

– Powinniście sobie raczej życzyć, żeby już było pojutrze i żeby on pierwszy minął celownik – powiedział Sam. – Która to godzina? – A potem ciągnął: – Po północy. Zostało jeszcze trochę czasu na krótką drzemkę, nim pociąg ruszy o czwartej. – Mówił teraz do Boona:

– Ty z Nedom będziecie oczywiście chcieli zostać przy koniu, dlatego przyniosłem tyle siana. Wymoście więc sobie posłanie, a ja zabiorę Corrie i chłopców z powrotem do domu i spotkamy się tutaj wszyscy o...

– Co ty powiesz! – głos Boona był nie tyle szorstki, co zimny i ponury. – Ty możesz się tu spotykać o czwartej nad ranem, jak chcesz. Jeśli nie zaśpisz, to się tu może zobaczymy. – Odwrócił się na pięcie. – Idziemy, Corrie.

– Zostawisz tutaj samochód Szefa, to znaczy konia twojego Szefa, to znaczy tego konia, wszystko jedno, czy on tam naprawdę jest, bez żadnej opieki oprócz tego czarnego stangreta? – zdumiał się Sam.

– Neeee... – odparł Boon. – Ten koń należy teraz do linii kolejowej. Na dowód mam kwit bagażowy. Może pożyczyłeś tylko ten mundur, żeby grać ważnego wobec kobiet i małych chłopców, ale dopóki go nosisz, dopóty staraj się, żeby kwit miał pokrycie, bo inaczej wszystko razem może się nie spodobać dyrekcji kolei.

– Boon! – zawołała panna Corrie. – Nikt mnie nie będzie odprowadzał do domu. Chodźcie ze mną, Lucius, Otis!

– W porządku, w porządku – uspokajał ją Sam. – Zapomnijmy już, że Boon musiał pół roku harować na plantacji, czy czymś tam, żeby zarobić na jedną noc na ulicy Catalpa. Idźcie wszyscy. Spotkamy się tu, na stacji.

– Czy nie potrafisz nawet powiedzieć „dziękuję”? – zapytała Boona panna Corrie.

– Potrafię – odparł. – Ale komu? Koniowi?

– Poćwicz na Nedzie – podsunął Sam, a potem zwrócił się do Neda: –

Chcesz, żebym tu z tobą został?

– Nam tu dobrze – odparł Ned. – Jak pan też sobie pójdzie, to może nareszcie zrobi się trochę ciszy i człowiek będzie się mógł chwilę zdrzemnąć. Zapomniałem tylko, psiakość...

– Ale ja nie zapomniałem – przerwał Sam. – Gdzie to drugie wiadro, Charley?

Kolejarz, zwrotniczy, czy też kto on tam był, miał drugie wiadro w pogotowiu; stało w tym samym kącie wagonu, gdzie znajdowały się deski, gwoździe, narzędzia i pasza dla konia, a zawierało grubą i ogromniastą pajdę chleba z szynką, kanciatą butelkę wody i półkwaterek whisky.

– Proszę bardzo – oznajmił Sam. – Wszystko, łącznie ze śniadaniem.

– Słowo daję! – powiedział Ned. – Jak pan się nazywa, panie biały?

– Sam Caldwell.

– Sam Caldwell – powtórzył Ned. – Coś mi się widzi, że Sam Caldwell to dużo lepsze nazwisko na tego rodzaju końskie interesy niż inne, które bym nawet mógł tu wymienić. Jeszcze trochę i mogłoby mi się zachcieć, żebyśmy z panem byli razem tak często, że aż permanentnie. Najuprzejmiej dziękuję szanownemu panu.

– Ależ najuprzejmiej proszę – odparł Sam. Powiedzieliśmy więc dobranoc Samowi, Nedowi i Charleyowi (to znaczy wszyscy z wyjątkiem Boona i Otisa) i zawróciliśmy ku domowi panny Reby. Ulice były teraz puste i ciche; Memphis wykorzystywało nędzne, wymięte resztki końca tygodnia na odrobinę snu, aby zebrać siły na stawienie czoła poniedziałkowi; my szliśmy również cicho od jednego do drugiego pustego kręgu światła między ciemnymi oknami i ścianami; tylko jedno jedyne słabe, ledwo dostrzegalne światełko przeblyskiwało w domu, w którym mój nowy niezawodny instynkt rozpustnika rozpoznał od razu konkurencję panny Reby; za zasłonami u panny Reby świeciło światło równie słabe, bo nawet tutaj szał musiał już minąć. Nawet Minnie poszła

do łóżka czy domu, czy gdzie tam ona wracała po odbyciu zawodowej, wieczornej odprawy z panną Rebą. Bo panna Reba otworzyła nam własnoręcznie drzwi wejściowe; pachniała mocno dżinem i nawet w swój twardy, przyjemny, energiczny sposób wyglądała już na osobę, która piła. Poza tym przebrała się. Jej nowa suknia niemal w ogóle nie miała górnej części. W owych czasach damy – kobiety – nie malowały się, a tutaj po raz pierwszy w życiu zobaczyłem umalowaną panią. Miała też na sobie więcej brylantów, równie wielkich i żółtych, jak te pierwsze dwa. Nie, pięć. Ale i Minnie nie poszła jeszcze spać. Stała w drzwiach pokoju panny Reby i wydawała się niemal równie wykończona.

– Wszystko w porządku? – zapytała panna Reba, zamykając za nami drzwi.

– Tak – odparła panna Corrie. – Czemu nie idziesz do łóżka? Minnie, czemu jej nie zmusisz, żeby poszła do łóżka?

– Mogłaby mnie pani równie dobrze zapytać o to przed godziną – Minnie wzruszyła ramionami. – I bardzo bym chciała, żeby mnie nikt o to nie pytał za dwie godziny. Ale pani tu nie było poprzednim razem, dwa lata temu!

– Chodźże do łóżka! – rozkazała panna Corrie. – Jak we środe wrócimy z Possum...

– Z Parsham, do cholery – przerwała jej panna Reba.

– No dobrze, dobrze – zgodziła się panna Corrie. – W środe Minnie wynajdzie, gdzie on jest, i będziemy mogły pójść i go złapać.

– No pewno – kiwnęła głową panna Reba – i tym razem pochować go zaraz tam, na miejscu, w tym dole, razem z łopatą i kilofem, jeśli mi starczy oleju w głowie. Napijesz się? – zapytała Boona. – Minnie jest jakąś tam cholerną republikanką czy Członkiem Towarzystwa Nauki Chrześcijańskiej i nie pije.

– Ktoś w tym domu powinien nie pić – powiedziała Minnie. – Nie

trzeba być na to republikaninem. Wystarczy złachać się jak pies i marzyć o łożku.

– Wszyscy jesteście zmęczeni – oświadczyła panna Corrie. – Ten pociąg odjeżdża o czwartej, a jest już po pierwszej. Chodźcie!

– No to idźcie spać! – zawołała panna Reba. – Kto wam broni? – Ruszyliśmy więc na górę. Potem ja i Otis poszliśmy – on prowadził – jeszcze wyżej, na poddasze, gdzie znajdowały się tylko jakieś kufry, paki i na podłodze legowisko z materacy. Otis miał koszulę nocną (znać było jeszcze na niej kanty – taką zapewne kupiła panna Corrie w sklepie) – ale mimo to poszedł do łożka tak samo jak ja; zdjął spodnie i buty, zgasił światło i położył się spać. Mieliśmy jedno małe okienko, przez które zaglądał księżyc, a po chwili mogłem nawet rozróżniać poszczególne kształty w księżycowej poświacie. Coś było nie w porządku z Otisem – wchodząc zmęczony na górę, sądziłem, że zasną, nim dotknę głową poduszki, lecz teraz czułem jego obecność, kiedy tak leżał obok mnie, nie tak jak człowiek, co nie może zasnąć, ale raczej jak istota, co jeszcze nigdy w życiu nie spała i nie zdaje sobie nawet z tego sprawy. Wtem zrobiło się i ze mną coś nie w porządku. Ale tak, jakbym jeszcze nie wiedział, co to takiego; jedynie, że coś jest nie w porządku i że za chwilę dowiem się, co to jest, i będzie mi to wstrętne. I nagle poczułem, że w ogóle nie chcę tu być, nie chcę być w Memphis ani w ogóle słyszeć o Memphis; chcę być w domu. Otis znowu powiedział: – Niech mnie skreśli!

– Tyle tu forsy! – mówił. – Niemal czuć ją nosem. To nieuczciwie, żeby jedynie baby zarabiały dziwczeniem, a mężczyzna mógł sobie tylko trochę przy tym oberwać na boku, jak się da... – Znowu wróciło to słowo, o którego znaczenie pytałem już dwukrotnie. Ale teraz nie pytałem, tym razem nie... Leżałem tak, sztywny i w napięciu, a okno księżycowego kształtu kładło światło w poprzek naszych nóg; starałem się nie słuchać tego, co mówi, ale musiałem: – ...jeden z tych pokoi leży dokładnie

pod nami. W taki ruchliwy wieczór jak sobotni słyszysz ich doskonale przez podłogę. Ale tu nie ma żadnych możliwości. Nawet jakbym zdobył świder i wywiercił otwór w podłodze, to ta czarnucha i panna Reba nie pozwoliłyby mi nikogo tutaj wprowadzić i zarobić trochę forsy, a nawet jakbym zarobił, to pewno by mi zabrali, tak jak ten skurwysyn załatwił mi dzisiaj wszystko, co dostałem za pompowanie pianoli. Inaczej było dawniej, w domu, u ciotki Fittie, kiedy Bee... – Przerwał. Leżał nieruchomy i milczący. Powiedział znowu: – Niech mnie skręci!

– Bee? – zapytałem. Ale już było za późno. Nie, nie było za późno. Bo już teraz wiedziałem.

– Ile masz lat? – zapytał.

– Jedenaście.

– Rok więcej niż ja. Szkoda, że cię tu jutro nie będzie. Gdybyś został jeszcze z tydzień, może by się nam udało wywiercić jakoś tę dziurę.

– Po co? – spytałem. Rozumiesz, musiałem zapytać. Chciałem być z powrotem w domu. Pragnąłem znaleźć się przy matce. Bo człowiek powinien być przygotowany na doświadczenia, wiadomości, rozumienie; a nie dostawać w łeb w ciemnościach, jak od zbója na gościńcu. Pamiętaj, miałem tylko jedenaście lat. Są w życiu pewne rzeczy, okoliczności, warunki, których nie powinno być, ale są i nie można im umknąć. A prawdę mówiąc, nie należy im umykać, nawet jeśli to było możliwe, ponieważ i one również składają się na Ruch, składają się na udział w życiu, na sam fakt życia. Powinny jednak nadejść z wdziękiem i przyzwoicie. Ja zaś musiałem się uczyć zbyt wiele i zbyt szybko, bez niczyjej pomocy; nie miałem miejsca, gdzie bym to mógł schować, żadnej skrytki, szufladki, by to złożyć bez bólu i szarpaniny. Leżał na plecach, tak samo jak ja. Nie poruszył się, nawet nie obejrzał. Ale czułem, jak mnie obserwuje.

– Niewiele wiesz, co? – powiedział. – Jak mówiłeś, skąd ty jesteś?

– Z Missisipi – odparłem.

– Gówno. Nic dziwnego, że niewiele wiesz.

– No, proszę. Bee to panna Corrie.

– Ot, masz, wyrzucam pieniądze jak śmiecie. Ale może moglibyśmy obydwaj, ty i ja, coś na tym zarobić. Masz rację. Ona się nazywa Everbe Corinthia, po babci. Tylko że to żadne imię do pracy. Było fatalne nawet tam, w Kiblett, gdzie jedni je znali i już się przyzwyczaili, a innym na ogół za bardzo było spieszo, żeby zwracać uwagę, czy ona w ogóle jakoś się nazywa. Ale tu, w Memphis, w takim domu jak ten! Powiadają, że każda dziewczyna z Memphis próbuje się tu wepchnąć, jak tylko się jakiś pokój zwolni. Więc tam, w Kiblett, to w ogóle nie miało żadnego znaczenia, kiedy jej matka umarła i ciotka Fittie wzięła ją na wychowanie i puściła w ruch, jak tylko podrosła. A kiedy się dowiedziała, o ile więcej można zarobić w Memphis, to przyjechała tutaj, gdzie nikt nigdy nie słyszał o Everbe, i mogła się nazwać Corrie. Więc za każdym razem, jak przyjeżdżam tu do niej w odwiedziny, zeszłego lata i teraz, to ona mi daje pięć centów dziennie, żeby nikomu nie mówić. Rozumiesz? Zamiast się z tym przed tobą wygadać, mogłem pójść do niej i powiedzieć: za pięć centów dziennie mogę się starać nie zapomnieć, ale za dziesięć centów dziennie starałbym się o wiele bardziej. Ale to nic. Mogę jej jutro powiedzieć, że ty również wiesz o tym i może wspólnie...

– Kto to była ciotka Fittie? – przerwałem.

– Nie wiem – odparł. – Ludzie nazywali ją po prostu ciotka Fittie. Może i była jakąś krewną, ja tam nie wiem. Mieszkała sama w domu na krańcach miasta i potem, kiedy matka Bee umarła, to wzięła Bee do siebie, a jak ona odpowiednio podrosła, co zresztą prędko przyszło, bo Bee była dużą dziewczyną, jeszcze nim skończyła dziesięć czy dwanaście lat, czy ile tam miała, kiedy zaczęła...

– Co zaczęła? – zapytałem. Rozumiesz? Musiałem zapytać. Za daleko już zaszedłem, bym się mógł zatrzymać, tak samo jak wczoraj w

Jefferson... Czy to naprawdę było wczoraj? W zeszłym roku, w innym czasie, w innym życiu, inny Lucius Priest... – Co to znaczy dziwczenie?

Odpowiedział mi trochę pogardliwie, ale przede wszystkim z jakimś pełnym niedowierzania, niemal zgrozy, niemal czci zdumieniem. – No właśnie po to miałem tę dziurkę, to była dziura po sęku w tylnej ścianie, nasunąłem na nią kawałek blachy i tylko ja wiedziałem, jak ją odsunąć, wtedy kiedy ciotka Fittie była zajęta od frontu, bo musiała przyjmować forszę i pilnować. Ci, co byli twojego wzrostu, musieli stawać na skrzynce, a ja brałem od nich pięć centów. Wreszcie ciotka Fittie zobaczyła, że pozwalam dorosłym chłopom przyglądać się za dziesięć centów temu, za co by wewnątrz musieli płacić pół dolara, i zaczęła się drzeć jak głupia...

Stałem teraz i waliłem go, ku jego zdumieniu (a i mojemu również), waliłem tak mocno, że musiałem się pochylić, złapać go i postawić na nogi w odpowiedniej odległości. Nie miałem pojęcia o boksie i niewiele się znałem na bójkach, ale jedno wiedziałem dokładnie, że chcę go nie tylko zbić, ale zabić. Pamiętam chwilę, może sekundę, podczas której żałowałem (duch starych boisk sportowych w Eton?), że nie dorównuje mi wzrostem. Ale trwało to nie dłużej niż sekundę; waliłem, szarpałem, kopałem nie jakiegoś tam cherlawego dziesięciolatka, ale Otisa i tamtą stręczycielkę razem; szatańskie dziecko, które frymarczyło jej skromnością, i czarownicę, która zbecześciła jej cnotę – jedno ciało, które mogłem bić i szarpać, jeden układ nerwów, które mogłem rwać i targać; więcej – nie tylko ich dwoje, ale wszystkich, co brali udział w jej poniżeniu; nie tylko tych dwoje rajfurów, ale i te nieczułe, łajdackie dzieci i brutalnych, bezwstydných mężczyzn, co płacili centy, by się przyglądać jej bezbronnemu, nie bronionemu, nie pomszczonemu upokorzeniu. Przypadł teraz rozpląszczony na rękach i kolanach do materacy, macając po leżących na nich spodniach; nie wiedziałem (nic mnie to nie obchodziło), dlaczego ani kiedy wysunęła się i uniosła jego

ręka. Zobaczyłem tylko ostrze scyzoryka w zaciśniętej pięści, ale i tym się nie przejąłem; w jakimś sensie wyrównywało to nasz wzrost; dawało mi *carte blanche*. Odebrałem mu scyzoryk. Nie wiem, jak to zrobiłem – w ogóle nie poczułem ostrza; kiedy odrzucałem scyzoryk i uderzałem go znowu, sądziłem, że to jego krew zalewa mu twarz.

Potem Boon podniósł mnie z podłogi, szamocącego się i już płaczącego. Stał bosy i tylko w spodniach. Była też panna Corrie, w kimonie i z rozpuszczonymi włosami; sięgały jej poniżej pasa. Otis przykucnął pod ścianą – nie płakał, ale kłął, tak jak poprzednio kłął Neda. – Co to za cholerne awantury! – wrzasnął Boon.

– Spójrz na jego rękę! – zawołała panna Corrie. Zamilkła na chwilę dość długo, by popatrzeć na Otisa. – Idź do mojego pokoju – powiedziała. – W tej chwili! – Wyszedł. Boon postawił mnie na podłodze. – Pokaż mi tę rękę!

– rozkazała. Ona pierwsza wiedziała, skąd płynie krew – poduszeczki wszystkich czterech palców były równo przecięte w poprzek; musiałem chwycić za ostrze, kiedy Otis chciał je wyrwać. Krwawiły jeszcze. To znaczy, zaczęły krwawić z powrotem, kiedy je panna Corrie rozgięła.

– O co żeście się, u diabła, bili? – zawołał Boon.

– O nic – odparłem. Cofnąłem rękę.

– Zaciśnij ją i trzymaj tak, póki nie wrócę – powiedziała panna Corrie. Wyszła i przyniosła miskę wody, ręcznik, butelkę z czymś tam i coś, co wyglądało na kawałek męskiej koszuli. Zmyła krew i odkorkowała butelkę.

– Będzie bolało – ostrzegła. I rzeczywiście zaboląło. Oderwała pas płótna z tego kawałka koszuli i obwiązała mi rękę.

– Wciąż mi nie chce powiedzieć, o co się bili – mówił Boon. – Mam przynajmniej nadzieję, że tamten zaczął – sięga ci do pępka, chociaż jest o rok starszy. Nic dziwnego, że wyciągnął nóż...

– On jest nawet młodszy ode mnie – powiedziałem.

– Ma dziesięć lat.

– Mnie mówił, że dwanaście – oświadczył Boon. I wtedy stwierdziłem, co było nie w porządku z Otisem.

– Dwanaście? – zdziwiła się panna Corrie. – W przyszyły poniedziałek skończy piętnaście. – Patrzyła na mnie. – Czy nie potrzebujesz...

– Chcę tylko, żeby tu nie wchodził – poprosiłem.

– Jestem zmęczony i chcę spać.

– Nie myśl już o Otisie – uspokoiła mnie. – Z samego rana pojedzie z powrotem do domu. Ma pociąg o dziewiątej. Poślę z nim Minnie i każę jej dopilnować, żeby poszedł na dworzec, a nie gdzie indziej, i wsiadł do pociągu tak, żeby widziała przez okno jego twarz w chwili odjazdu.

– Dobra – powiedział Boon. – Mogę mu nawet dać swoją walizkę, żeby miał w czym zabrać z powrotem kulturę i ogładę. Przywozić go tutaj do Memphis, żeby przez tydzień szukał w takim domu...

– Ciiicho... – prosiła panna Corrie.

– ...kultury i ogłady!!! Może je i znalazł. Mógłby latami przetrząsać wszystkie burdele Arkansas i nie znaleźć nikogo na tyle małego, żeby wyciągnąć na niego nóż!...

– Przestań, przestań! – wołała panna Corrie.

– Dobrze, ale Lucius powinien wiedzieć, gdzie jest, żeby miał się czym później chwalić. – Potem zgasili światło i wyszli. Albo mi się zdawało. Tym razem Boon zapalił znowu światło. – Może powiesz mi jednak, co to wszystko ma znaczyć?

– Nic – odparłem. Spoglądał na mnie z góry, wielki, nagi do pasa, z ręką na kontakcie, gotową znów zgasić światło.

– Jedenaście lat – powiedział. – Jedenaście lat i już porznięty nożem podczas bójki w burdelu. – Przyjrzał mi się. – Szkoda, że cię nie znałem trzydzieści lat temu. Gdybyś mnie zaczął uczyć, kiedy miałem jedenaście

lat, to może dzisiaj i ja miałbym trochę oleju w głowie. Dobranoc.

– Dobranoc – odpowiedziałem. Zgasił światło. Potem spałem i tym razem to była panna Corrie, klęcząca przy materacach. Widziałem zarys jej twarzy i księżyc poprzez jej włosy. Tym razem to ona płakała – duża dziewczyna, za duża na to, by potrafiła płakać wytwornie; umiała tylko płakać cicho.

– Zmusiłam go, żeby mi powiedział – mówiła. – Biłeś się za mnie. Tyłu było ludzi – pijaków – którzy bili się o mnie, ale ty jesteś pierwszy, co bił się za mnie. Widzisz, nie przywykłam do tego. Dlatego nie bardzo wiem, co z tym zrobić. Ale wiem jedno. Jedno mogę. Chcę ci dać obietnicę. Tam, w Arkansas, dawniej, to była moja wina. Ale to już nigdy więcej nie będzie moja wina. – Rozumiesz? Trzeba się było zbyt szybko uczyć; trzeba było robić skok w ciemność i wierzyć, że Coś – Ono – Oni – ustawi ci stopy na twardym gruncie. Więc może jednak istnieje coś jeszcze oprócz Biedy i Nie-Cnoty, co pilnuje swego?

– Wtedy to nie była pani wina – powiedziałem.

– Była. Można wybierać. Można decydować. Można powiedzieć: nie. Można znaleźć zajęcie i zacząć pracować. Ale to już nie będzie więcej moja wina. Taką chcę ci złożyć obietnicę. Będę jej musiała dotrzymać, tak jak ty dotrzymujesz tamtej, o której dziś przed kolacją mówiłeś panu Binfordowi. A ty będziesz musiał odebrać ode mnie tę obietnicę. Zgadzasz się?

– Dobrze.

– Ale musisz powiedzieć, że ją odbierasz i przyjmujesz. Musisz to powiedzieć głośno.

– Tak – powiedziałem. – Odbieram i przyjmuję.

– A teraz spróbuj jeszcze zasnąć trochę. Przyniosłam sobie krzesło i będę tu siedziała, aż przyjdzie czas, żeby cię obudzić i iść na dworzec.

– Niech pani też idzie spać.

– Nie jestem śpiąca. Posiedzę sobie tutaj. A ty zaśnij zaraz. – A potem znowu Boon. Tym razem musiałem spać, bo plama księżycowego kształtu padająca z okna zmieniła położenie. Boon usiłował mówić szeptem, a w każdym razie cicho, wychylał się znad kuchennego krzesła, na którym siedziała Everbe (to znaczy panna Corrie), wciąż nagi do pasa, trzymając jej oporne ramię.

– Chodźże! Została nam ledwie godzina!

– Zostaw mnie! – ona również szeptała. – Już za późno! Zostaw mnie, Boon! – Potem jego chrapliwy pomruk, wciąż usiłujący zasłuzyc na miano szeptu:

– Co ty sobie, u diabła, myślisz?! Po co jechałem tyle drogi, czego wyglądałem tyle czasu, na co tyrałem i oszczędzałem, i czekałem... – Potem odbicie okna księżycowego kształtu przesunęło się jeszcze dalej, gdzieś tam piał kogut, przygniatałem sobie skaleczoną rękę, która bolała, może to mnie właśnie obudziło. Nie wiem zatem, czy to było ciągle to samo, czy też on poszedł i znowu wrócił; tylko te głosy wciąż wpadające w szept, i jeśli kogut pieje, to już czas wstawać. I, tak, o, tak – ona znowu płakała.

– Nie chcę! Nie chcę! Zostaw mnie!

– No już dobrze, dobrze. Niech ci będzie dzisiaj. Ale jutro wieczór, kiedy zainstalujemy się jakoś w Possum...

– Nie, jutro też nie! Nie mogę! Nie mogę! Zostaw mnie! Proszę cię, Boon, proszę!

VIII

Przyszedliśmy – to znaczy Everbe, Boon i ja – na dworzec bardzo wcześnie, tak nam się przynajmniej zdawało. Pierwszą osobą, jaką ujrzeliśmy przed stacją, był czekający na nas Ned. Miał na sobie czystą białą koszulę – nową, a może starą, którą udało mu się w jakiś sposób uprać. Lecz niemal natychmiast sprawy poczęły się toczyć zbyt szybko, by ktokolwiek zdążył się zorientować, że to koszula Sama. Ned nie pozwolił nawet Boonowi przyjść do słowa. – Spokojnie – powiedział. – Pan Sam pilnuje Groma, a ja doglądam organizacji. Wagon jest już zabrany i doczepiony do pociągu, który czeka na was tam, za stacją. Jak pan Sam Caldwell zarządza pociągiem, to tylko patrzeć i podziwiać! Już wymyśliliśmy dla konia nazwę: będziemy go wołać Grom. – W tym momencie zauważył mój bandaż. Niemal podskoczył. – Coś ty sobie zrobił w rękę?

– Zaciąłem się – odparłem. – Nic wielkiego.

– Mocno?

– Tak – wtrąciła Everbe. – Przez wszystkie cztery palce. Nie powinniśniami w ogóle ruszać. – Ned nie tracił ani chwili. Rozejrzał się szybko.

– Gdzie ten drugi? – zapytał.

– Jaki drugi? – powiedział Boon.

– Tamten Przyjemniaczek – odparł Ned. – Ten karzełkowaty forsomaniak, co był z nami zeszłego wieczora. Może będę potrzebował dwóch rąk na tego konia. Jak pan myśli, kto na nim pojedzie na wyścigach, ja czy pan, który waży dwa razy więcej? Miał jechać Lucius, ale jak mamy tego drugiego, to po co ryzykować? Nawet lżejszy od Luciusa, a choćby był głupszy, to w każdym razie jest na tyle chciwy, żeby wziąć udział w

wyścigach, i na tyle pazerny na forszę, żeby je chciał wygrać, a chyba i na tyle tchórz, żeby się utrzymać na koniu i nie zlecieć. Nic więcej nie trzeba. Gdzie on jest?

– Wrócił do Arkansas – odparł Boon. – Jak ci się zdaje, ile on ma lat?

– Tyle, na ile wygląda, pewno jakieś piętnaście, nie? Pojechał z powrotem do Arkansas? Wobec tego niech ktoś szybko idzie i sprowadzi go z powrotem.

– Dobrze – powiedziała Everbe. – Ja go sprowadzę. Nie zdążę pójść teraz po niego i wrócić tu do was, wobec tego zostanę i przyjadę z nim później następnym pociągiem po południu.

– Gada pani jak człowiek – ucieszył się Ned. – To będzie pociąg pana Sama. Niech mu pani tylko przyprowadzi Przyjemniaczka, a już pan Sam da sobie z nim radę.

– Na pewno – zwrócił się Boon do Everbe. – I będziesz miała dzięki temu całe cztery godziny na ćwiczenie tego Nie na Samie. Może się okaże mądrzejszy ode mnie i nie przyjmie takiej odpowiedzi. – Ale ona tylko na niego spojrzała.

– Niech więc pani zaczeka i weźmie Otisa, a my wyjdziemy po panią wieczorem na stację w Parsham – zaproponowałem. Tym razem Boon spojrzał na mnie.

– Proszę, proszę! Jak to powiedział wczoraj pan Binford? To chyba jakiś nowy wieprzek w tym naszym błotku. Tyle że jeszcze nie wieprzek, ale małe prosię. To znaczy, tak mi się dotychczas zdawało.

– Proszę cię, Boon! – mówiła Everbe. – O, tak: – Proszę cię, Boon!

– Zabierz i jęgo ze sobą i idźcie do diabła, do tej mordowni, z której pewno w ogóle nie powinnaś była wychodzić – ryknął Boon. Tym razem nawet nie odpowiedziała. Po prostu stała, ot tak, spuściwszy nieco wzrok: ogromna dziewczyna, której i w milczeniu było do twarzy. Potem obróciła się i ruszyła szybko.

– Może i ja pójdę – powiedziałem. – Pojadę do domu. Ned znalazł sobie innego dżokeja, a ty nie masz pojęcia, jak się zachowywać w stosunku do ludzi, którzy próbują nam pomóc.

Popatrzył na mnie, spiorunował mnie wzrokiem – trwało to może sekundę. – No, dobrze – mruknął i ruszył naprzód. – Powiedziałem: już dobrze – oświadczył dogoniwszy ją. – Czy już dobrze?

– Dobrze – powiedziała.

– Wyjdę na najbliższy pociąg. Jeśli nie przyjedziesz, to będę wychodził na wszystkie następne. Dobrze?

– Dobrze – powtórzyła. I szła dalej.

– Założę się, że nikomu nie przyszło do głowy przynieść mi moją walizkę – powiedział Ned.

– Co? – zdziwił się Boon.

– A gdzie ona jest? – zapytałem.

– W kuchni, tam gdzie ją zostawiłem. Ta złotozęba czarnulka wie.

– Panna Corrie przywiezie ci ją dziś wieczór – zapewniłem go. – Chodźcie.

Byliśmy już na dworcu. Boon kupił nam bilety i wyszliśmy na peron, gdzie czekał pociąg, do którego wsiadali już ludzie. Dalej, na przedzie, zobaczyliśmy wagon bagażowy. Przy jego otwartych drzwiach stał Sam, konduktor i jeszcze jacyś dwaj mężczyźni: jeden z nich musiał być maszynistą. Rozumiesz? Nie jakiś tam przypadkowo spotkany poza służbą zwrotniczy, ale prawdziwa załoga pociągu.

– Chcecie, żeby dzisiaj biegał? – zapytał konduktor.

– Jutro – odparł Boon.

– No, najpierw go musimy tam dowieźć – tu konduktor spojrział na zegarek. – Kto z nim jedzie?

– Ja – oświadczył Ned – tylko muszę znaleźć jakieś pudło czy coś, żeby się do niego wdrapać.

– Dawaj nogę – powiedział Sam. Ned zgiął kolano, a Sam wrzucił go do wagonu. – Zobaczymy się jutro w Parsham.

– Myślałem, że jedziesz do Waszyngtonu? – zdziwił się Boon.

– Kto? Ja? Nie, tylko pociąg tam jedzie. Ja wrócę dzisiaj z Chattanooga tym o drugiej dziewięć i jutro rano o siódmej będę w Parsham. Pojechałbym teraz z wami i złapał z powrotem z Parsham pociąg druga zero osiem, ale muszę się jednak trochę przespać. Zresztą i tak nie będę wam potrzebny. Do mojego przyjazdu wystarczy wam Ned.

To samo można powiedzieć o nas, Boonie i mnie. To znaczy, że potrzeba nam było snu. Zdrzemnęliśmy się nieco, dopóki nie zbudził nas konduktor. Staliśmy o pierwszym brzasku na wysypanej żużlem stacji Parsham i przyglądaliśmy się, jak lokomotywa podciąga wagon bagażowy i ustawia go (tym razem przywoicie) tuż przy wyładowni bydła (bo istniało tutaj takie urządzenie), po czym zabiera resztę składu i rusza przed siebie, stukocząc każdym wagonem z osobna na skrzyżowaniu z torami wiodącymi na południe, do Jefferson. Potem cała nasza trójka rozebrała boks i Ned wyprowadził zeń konia, no i zaraz, rzecz oczywista, zmaterializował się skądś jakiś młody, pewno dziesięcioletni, sympatycznie wyglądający chłopak murzyński, który stał pod wyładownią i mówił: – Jak się pan ma, panie McCaslin?

– To ty, synku? – przywitał go Ned. – Prowadź. – Tym razem zostawiliśmy Boona; miał on teraz pełnić rolę czynną, musiał działać – znaleźć nocleg dla nas wszystkich, nie tylko dla siebie i mnie, ale dla Otisa i Everbe, którzy przyjadą wieczorem; musiał znaleźć człowieka, którego nazwiska Ned nawet nie znał, twierdził tylko, i to jedynie on, że ten człowiek ma konia, musiał następnie namówić go na zgłoszenie tego konia do gonitwy – aby jeden twór wyobraźni Neda ścigał się z drugim jej tworem, na hipotetycznych wyścigach, które miały się odbyć w przyszłości, i wobec tego jeszcze nie istniały, w gonitwach z koniem, który

już dwukrotnie okazał się lepszy (to również twierdził wyłącznie i jedynie Ned, było więc trzecim tworem jego wyobraźni), w wyniku których to poczynąń Ned miał zamiar odzyskać samochód dziadka; wszystko to musiał zrobić Boon niezależnie od starań, by uniknąć bezpośredniego pytania, czyją własnością jest właściwie nasz koń. Znaleźliśmy się już teraz – Ned, młody Murzyn i ja – za miastem, co w owych czasach nie zabierało dużo czasu, Parsham bowiem było właściwie osadą: ot, kilka sklepów przy skrzyżowaniu torów kolejowych, stacja, ładownia bydła, magazyn i rampa na bele bawełny. Ale pewne rzeczy do dziś się nie zmieniły – na przykład ogromny, bezplanowy, wielo gankowy i wielopiętrowy hotel, mający coś z parowca, coś z gotyku, gdzie co roku w lutym zbierali się na dwa tygodnie miłośnicy łowiectwa w robotniczych drelichach oraz zawodowi treserzy pięknych wyżłów, jak też właściciele owych psów – milionerzy z Północy (sam na własne uszy słyszałem pewnego wieczora w hallu hotelowym w 1933 roku, jak Horacy Lytle, kiedy nad jego interesem w Ohio oraz nad interesami wszystkich innych zawisł miecz Damoklesa w postaci banków zamykanych przez rząd federalny, otóż jak Horacy Lytle odrzucił pięć tysięcy dolarów ofiarowanych mu za Mary Montrose); jak również Paul Rainey, który do tego stopnia lubił nasze okolice – czy też nasze niedźwiedzie, jelenie i jaguary – że przeznaczył nieco pieniędzy z Wall Street na kupno odpowiednich obszarów w Missisipi, gdzie polował wraz z przyjaciółmi; był to przede wszystkim miłośnik ogarów, który zawiózł sforę swych tresowanych na niedźwiedzia psów do Afryki, by sprawdzić, jak pójdą na lwa czy też jak lew pójdzie na nie.

– Ten biały chłopiec zaśnie w marszu – zauważył Murzyn. – Nie macie siodła? – Ale ja jeszcze wcale nie chciałem zasypiać. Musiałem się najpierw czegoś dowiedzieć, o coś zapytać.

– Nie miałem pojęcia, że masz tu znajomych, a już całkiem nie podejrzewałem, że kogoś uprzedzałeś o naszym przyjeździe.

Ned siedł dalej tak, jakbym się w ogóle nie odezwał. Po chwili rzucił mi przez ramię: – Chcesz wiedzieć, jak to się stało, co? – I siedł dalej. A potem: – Ja i dziadek tego chłopca jesteśmy masoni.

– A czego tak o tym cicho mówisz? – zdziwiłem się. – Mój dziadek też jest masonem, ale nigdy nie słyszałem, żeby o tym mówił szeptem.

– Bo ja wcale nie wiedziałem, że jestem. Ale chyba jestem. A po co by człowiek miał należeć do loży, jeśli by ona nie była takim sekretem, żeby się innym było trudno do niej dostać? I jak człowiek może coś trzymać w sekrecie, jeśli nie uważa tego za sekret?

– Ale jak mu przesłałeś wiadomość?

– Coś ci powiem. Jeśli kiedykolwiek będziesz chciał coś zrobić, i nie tylko zrobić, ale zrobić szybko i bez szumu, mieć pewność, że to zostanie zrobione, a przy tym żadnego gadania i mielenia językami wokół sprawy, to szukaj tak długo, póki nie znajdziesz człowieka podobnego do Sama Caldwell, a potem zawierz mu wszystko. Zapamiętaj to sobie. U nas, w Jefferson, ludzie mogliby mieć z niego duży pożytek. Przydałoby im się jak najwięcej takich Samów Caldwellów.

A potem przyszedliśmy na miejsce. Słońce stało już całkiem wysoko. Był to mały domek z surowych, niemalowanych desek, ale solidny i schludny pośród drzew akacji i mydleńców chińskich. Za parkanem, w którym nie brakowało ani jednej sztachety i w którym furtka wisiała na obydwu zawiasach, ciągnął się zadbanej trawnik, a na podwórzu za domem grzebały w piasku kurczęta; była też krowa i para mułów, i dwa wcale niezłe ogary, które natychmiast zaczęły się witać z towarzyszącym nam chłopakiem; był też i starzec stojący u szczytu schodków prowadzących na ganek – bardzo ciemny starzec odziany w białą koszulę, spodnie z szelkami i plantatorski kapelusz. Miał zupełnie białe wąsy i szpicbródkę. Schodził teraz po schodach i przez trawnik, by obejrzeć konia. Ponieważ on znał, pamiętał tego konia i w ten sposób jeden przynajmniej twór

wyobraźni Neda przestał istnieć.

– Kupiliście go? – zapytał.

– Mamy go – oświadczył Ned.

– Dostatecznie długo, by móc go zgłosić na wyścigi?

– Raz to tam możemy... – tłumaczył Ned, a potem zwrócił się do mnie: – Pokłoń się wujowi Possum Hood.

– Zrobiłem, co kazał.

– Odpocznijcie teraz – powiedział starzec. – Pewno już pora dla was na śniadanie, co? – Ja zresztą już je czułem – szynkę!

– Chciałbym tylko spać – oświadczyłem.

– Całą noc nie zmrużył oka – wyjaśniał Ned. – Obaj nie spaliśmy, tylko że on siedział w domu pełnym kobiet wrzeszczących swoje: „jak”, „po co” i „ile”, a ja tkwiłem spokojnie w cichym, pustym wagonie bagażowym razem z koniem. – Ale ja chciałem jeszcze iść do stajni i pomóc nakarmić Groma, tylko mi nie dali. – Pójdiesz z Likurgiem i prześpisz się trochę – rozkazał Ned. – Będziesz mi potrzebny, nim się zrobi upał. Musimy się zapoznać z tym koniem, a im szybciej zacniemy, tym szybciej skończymy. – Poszedłem więc za Likurgiem. Zaprowadził mnie do sklepionej izdebki na poddaszu, gdzie stało łóżko z jasną i idealnie czystą kołdrą zszywaną z kolorowych kwadratów materiału. Wydawało mi się, że śpię, nim się jeszcze zdążyłem położyć, i że Ned zaczął mnie potrząsać za ramię, nim jeszcze zdążyłem na dobre zasnąć. Trzymał czystą, wełnianą, grubą skarpetkę i kawałek szpagatu. Teraz czułem już głód. – Później zjesz śniadanie – oświadczył Ned. – Najlepiej poznaje się konia na pusty żołądek. Dawaj no – tu rozciągnął skarpetkę. – Przyjemniaczek jeszcze się nie pokazał. Może byłoby lepiej, gdyby się w ogóle nie pokazywał. To taki facet, co choćbyś go nie wiem jak potrzebował, zawsze ci potem dowiedzie, że lepiej by ci było bez niego. Dawaj rękę! – Chodziło mu o tę zabandażowaną. Wsunął na nią skarpetkę,

na bandaż i opatrunek, i obwiązał sznurkiem w przegubie. – Duży palec masz ruchomy, ale w ten sposób nie zapomnisz, że ci nie wolno rozginać palców, żeby nie rozranić skaleczenia.

Wuj Parsham i Likurg czekali z koniem. Miał teraz nałożone ogłowie i stare, używane, ale doskonale utrzymane siodło McClellana. Ned przyjrzał mu się. – Moglibyśmy go puścić na oklep, chyba żeby nam kazali go siodłać. Ale zostaw je tymczasem, spróbujemy i tak, i tak, niech nam pokaże, co woli.

Znajdowaliśmy się na niewielkim pastwisku nad rzeczką, płaskim, gładkim i w miarę twardym. Ned skrócił strzemiona, nie tyle według mego, co swojego upodobania i podrzucił mnie na konia. – Wiesz, co masz robić? To samo, co z tymi źrebkami na plantacji McCaslin. Niech się sam martwi, na którą idzie nogę. Pewno nie próbowano go nigdy uczyć nic innego, tylko żeby leciał najszybciej, jak mu wędzidło pozwoli, w tę stronę, w którą mu ktoś łeb obróci. A nam też o to tylko chodzi. Niepotrzebny ci jeszcze bat. Nie chcemy zresztą poznawać bata, tylko tego konia. Jazda!

Ruszyłem naprzód po pastwisku, kłusem. Był w pysku miękki jak jedwab – można by go zatrzymać nicią pajęczą. Powiedziałem to Nedowi. – No pewno! – mruknął. – Założę się, że więcej ma na zadzie śladów po bacie niż otarć od wędzidła w pysku. No, naprzód, ruszże go żywo! – Ale koń nie chciał się ruszać i chociaż go kopałem, waliłem piętami, wciąż kłusował, przyspieszając nieco kroku w drodze powrotnej (jeździłem po elipsie, wydeptując tor taki, jaki wyjeździliśmy na padoku u kuzyna Zacka), aż wreszcie zorientowałem się, że on po prostu spieszy z powrotem do Neda. Wciąż jednak na luźnych wodzach; ani razu ich nie naprężył: szyję miał zgiętą i łeb podsunięty ku piersi tak, że nie wyczuwałem najmniejszego napięcia na dłoni, jakby to wędzidło było wieprzowym żebrem, a koń mahometaninem (albo szkieletem ryby, a on

– kandydatem z Missisipi na konstabla, którego baptystowska opozycja oskarżyła o ubieganie się o głosy katolików; albo jednym z odręcznych listów pani Roosevelt, a on – sekretarzem Rady Obywatelskiej, albo niedopałkiem cygara senatora Goldwatera, a on – najmłodszym kandydatem Stowarzyszenia Demokratów Amerykańskich), dopóki nie znalazł się przy Nedzie, a wtedy szarpnięciem, które poczułem aż w stawie barkowym, wyrzucił głowę naprzód i zaczął obwąchiwać mu koszulę. – Hoooola – powiedział Ned. Trzymał jedną rękę za plecami, zaraz zobaczyłem w niej odartą ze skórki witkę. – Zawróć go – powiedział. I do konia: – Musisz się nauczyć, mój synu, żeby nie lecieć do mnie, póki cię nie zawołam. – A potem tłumaczył mi dalej: – Tym razem nie wolno mu się zatrzymać. Zrobisz tak: o jeden krok od miejsca, gdzie, gdybyś był tym koniem, chciałbyś skrócić, żeby do mnie przylecieć, sięgnij ręką do tyłu i trzepnij go po zadzie, jak potrafisz najmocniej. A teraz trzymaj się. – Dał krok do tyłu i smagnął konia szybko i mocno przez zad. Zwierzę skoczyło, przeszło w pełny galop: ten ruch (nie nasza prędkość, nawet nie nasz pęd: tylko ruch konia) wydawał się nieprawdopodobny; oczywiście bez wdzięku, ale nieprawdopodobny. Był to bowiem rezultat zwykłego strachu, a strach nie przystoi koniom. Są na to niewłaściwie zbudowane – sama masa i symetria, a tymczasem strach wymaga płynności i wdzięku, i ekscentryczności, i umiejętności oczarowania, wzbudzenia zachwyty, a nawet przerażenia i zgrozy, tak jak antylopa czy żyrafa, czy wąż: kiedy strach blednął, czułem już, odnosiłem już wrażenie, że ten ruch staje się zwykłym posłuszeństwem, niczym innym, jak posłusznym galopem po łuku i prostej i potem drugiej prostej, którą można by nazwać wiodącą do celownika, a tam właśnie zrobiłem tak jak Ned kazał. Na krok przed miejscem, gdzie koń poprzednio skręcił, sięgnąłem do tyłu i chlasnąłem po zadzie najmocniej, jak tylko mogłem, zdrową, rozłożoną na płask dłońią; znowu sus, przeskok, ale tylko w posłuszeństwo, poddanie się,

strach: nie złość, nawet nie skwapliwość. – Wystarczy – powiedział Ned.

– Przyrowadź go do mnie. – Podjechałem i zatrzymałem konia. Trochę się spocił, ale nic więcej. – Co on czuje?

– spytał Ned.

Próbowałem wytłumaczyć: – Jego przód nie chce biec.

– Ale ruszył całkiem niezłe, jak go połachotałem – powiedział Ned.

Próbowałem dalej: – Nie mówię o jego przedniej połowie. Nogi są w porządku. Po prostu jego łeb nie chce nigdzie iść.

– Rozumiem – kiwnął głową Ned. A potem do wuja Parshama: – Pan oglądał jedną z tych gonitw. Co się wtedy stało?

– Oglądałem obydwie – odparł wuj Parsham. – Nic się nie stało. Biegł całkiem dobrze, aż w pewnym momencie pewno spojrzął przed siebie i zobaczył, że nie ma tam nic, tylko pusty tor.

– Aha – mruknął Ned. – Zeskakuj. – Zsiadłem. Ned ściągnął siodło. – Dawaj nogę.

– Skąd wiesz, że na tym koniu jeżdżono przedtem wierzchem? – zapytał wuj Parsham.

– Nie wiem – odparł Ned. – Musimy sprawdzić.

– Przecież ten chłopiec ma tylko jedną rękę! Hej tam, Likurg!

Ale Ned trzymał już moją stopę. – Ten chłopak nauczył się jeździć konno na źrebakach Zacka Edmondsa tam u nas, w Missisipi. Co najmniej raz zastanawiałem się, czym on się na koniu trzyma, jeśli nie zębami. – Podrzucił mnie na konia. Ten nic: przysiadł trochę, wahał się chwilę, drżał nieco, nic więcej. – Aha – mruknął Ned. – Teraz idź i zjedz śniadanie. Przyjemniaczek przyjedzie i zacznie go objeżdżać po południu, wtedy może i Grom będzie miał z tego trochę zabawy.

Matka Likurga, córka wuja Parshama, krzątała się już koło obiadu. Po kuchni rozchodził się zapach gotowanych jarzyn. Ale trzymała mi śniadanie na blasze (smażony boczek, owsianka, ciepłe grzanki i maślanka

albo mleko, albo kawa). Odwiązała mi skarpetkę z ręki, żebym mógł jeść, i była trochę zdziwiona, że nigdy jeszcze nie próbowałem kawy, a przecież Likurg od drugiego roku życia pije ją zawsze w niedzielę. Wydawało mi się, że jestem tylko głodny, ale po chwili zasnąłem nad talerzem, a Likurg zaciągnął mnie, niemal zaniósł do swojego łóżka na poddaszu. I okazało się, że jak to powiedział Ned, Sam Caldwell to nie byle jaki Sam Caldwell! Everbe z Otisem wysiedli ze służbowego wagonu pociągu towarowego, który tuż przed południem zatrzymał się w Parsham na tak długo, żeby zdążyli wyjść na peron. Był to pociąg towarowy, który szedł bez zatrzymywania z Memphis do Florencji w stanie Alabama czy gdzieś tam. Nie wiem, ile trzeba było dodatkowo węgla, by natłoczyć hamulce powietrzne i na chwilę zatrzymać się w Parsham, a potem, by znowu nagrzać kocioł, osiągnąć poprzednią szybkość i nadrobić stracony czas. Nie byle kto ten Sam Caldwell! Niech mnie skręci, jak mówił Otis.

Obudził mnie donośny i nieznany głos; matka Likurga zawiązała mi z powrotem jeżdżieczką skarpetkę na rękę, zabrała ją stamtąd, gdzie ją położyła, kiedy zasnąłem nad talerzem. Wyszedłem z domu i zobaczyłem ich wszystkich: przywiązaną do bramy bryczkę wuja Parshama, który znowu stał u szczytu frontowych schodów, wciąż w kapeluszu na głowie, Neda, siedzącego na przedostatnim stopniu schodów, i Likurga, stojącego w załomie pomiędzy gankiem a schodami, jakby wszyscy trzej barykadowali dom; na trawniku frontowym zaś, twarzą do nich, stała Everbe (tak, przywiozła ją, to znaczy walizkę Neda) i Otis, i Boon, i ten, który tak głośno gadał: mężczyzna niemal tego samego co Boon wzrostu i niemal równie brzydki, z czerwoną twarzą, odznaką szeryfa i pistoletem w pochwie na biodrze; stał między Boonem i Everbe, która usiłowała wyswobodzić ramię z jego uchwytu.

– No, tak – perorował. – Znam starego Possuma Hooda. A co więcej, stary Possum Hood zna mnie, prawda, stary?

– Wszyscy w okolicy znają pana, panie Butch – odparł wuj Parsham bez cienia dwuznaczności w głosie.

– Jak kto mnie nie zna, to szybko ten brak naprawia – mówił dalej Butch. – Jeśli twoje kobiety są zbyt zajęte zmiataniem i sprzątaniami, żeby nas zaprosić do środka, to każ im wynieść tutaj, na dwór, kilka krzeseł, żeby ta młoda dama mogła sobie usiąść. Hej, chłopcze – tu zwrócił się do Likurga – wystaw no dwa krzesła tu, na ganek, żebyśmy ja i ta pani – tu zwrócił się do Everbe – mogli sobie posiedzieć w chłodku i zaznajomić się bliżej, podczas gdy ten tutaj Lubuś – mówił o Boonie, nie wiem, skąd to wiedziałem – pójdzie z chłopcem obejrzyć konia, co? – Wciąż trzymał Everbe za łokieć i odchyłał ją łagodnie, aż niemal traciła równowagę, a wówczas, nieco szybciej, ale jednak nie szarpnięciem, przyciągał ją z powrotem, a ona wciąż próbowała uwolnić się z uchwytu – teraz mocowała się już obydwoma rękami i drugą ręką odpychała jego przegub. Patrzyłem pilnie na Boona. – Czy też ja gdzieś już pani nie widziałem? Może u Birdie Watts? Gdzie to się ukrywała taka ślicznotka! – Teraz Ned podniósł się, ale niespiesznie.

– Dzień dobry, panie Boon – powiedział. – Czy pan i ten pan szeryf chcą, żeby Lucius wyprowadził konia?

– Butch przestał przechylać Everbe, ale wciąż trzymał ją mocno.

– A ten co znowu za jeden? – zapytał. – Z zasady nie lubimy tu oglądać obcych czarnuchów. Nie mamy jednak nic przeciwko nim, jeśli tylko się uprzednio zameldują i siedzą cicho.

– Ned William McCaslin Jefferson Missisipi – powiedział Ned.

– Masz za dużo imion – skrzywił się Butch. – Będzie ci potrzeba czegoś krótkiego i prostego, żebyśmy cię tu mogli wołać, póki nie wyhodujesz sobie białych wąsików i koziej bródki, jak stary Possum, i nie zasłużysz na nie. Nic nas nie obchodzi, skąd jesteś. Ważne jest tylko, żebyś miał miejsce, do którego mógłbyś wrócić. Ale myślę, że dasz sobie tu radę, a

przynajmniej, że masz dość oleju we łbie, by wiedzieć, kiedy stoi przed tobą przedstawiciel prawa.

– Tak, proszę pana – odparł Ned. – Ja wiem, co to prawo. Mamy je i u nas, tam, w Jefferson. – Potem zwrócił się do Boona: – Czy chce pan, żeby wyprowadzić konia?

– Nie – powiedziała Everbe. Udało jej się wyrwać ramię; odsunęła się szybko; mogłaby to uczynić wcześniej, gdyby poprosiła Boona jednym słowem, ale tego właśnie chciał ten Butch, zastępca szeryfa czy kto on tam był, a my wszyscy doskonale wiedzieliśmy o tym. Przesunęła się szybko, jak na taką dużą dziewczynę, tak, bym się znalazł pomiędzy nią i Butchem, i ujęła mnie za ramię. Czułem, jak jej ręka drży lekko. – Chodź, Lucius, pokaż nam drogę. – Głos miała napięty, był to niemal namiętny szept. – Jak twoje palce? Czy bolą?

– Wszystko z nimi w porządku – odparłem.

– Na pewno? Powiedziałbyś mi chyba. Lepiej ci z tą skarpetką?

– Zupełnie w porządku – powtórzyłem. – Powiedziałbym pani. – Doszliśmy w ten sposób do stajni, Everbe niemal mnie ciągnęła, bym ją oddzielał od Butcha. Ale to się na nic nie zdało. On na mnie po prostu włożył, rozepchnął się. Poczułem teraz jego zapach – potu i whisky, potem zobaczyłem wystającą mu z tylnej, dalszej ode mnie kieszeni szyjkę półkwartowej butelki. On (Butch) trzymał teraz znowu Everbe za ramię i nagle zacząłem się bać, zdałem sobie bowiem sprawę, że nie znam jeszcze – i nie byłem pewien, czy i Boon zna – aż tak dobrze Everbe. Nie, nie tyle bać się, to nie to słowo, bo przecie my, a nawet Boon sam, moglibyśmy mu odebrać broń i jeszcze porządnie go stłuc; zacząłem się bać o Everbe i wuja Parshama, i jego dom, i rodzinę, gdybyśmy to zrobili. Ale nie tylko się bałem, więcej, wstydziłem się, że może istnieć podobna przyczyna strachu o wuja Parshama, który musi tutaj żyć; nienawidziłem tego wszystkiego, nienawidziłem nas wszystkich za to, że

jesteśmy nieszczęsnymi kruchymi ofiarami samego faktu życia, tego, że musimy żyć; i Everbe za to, że jest bezradną, bezbronną ofiarą, i Boona za to, że jest bezbronną i bezradną ofiarą; i wuja Parshama, i Likurga za to, że są tam, gdzie muszą, choćby nie chcieli patrzeć na białych ludzi, którzy postępują dokładnie tak, jak wedle ich pyszałkowej gadaniny postępują tylko Murzyni – tak samo jak nienawidziłem Otisa za to, że mi powiedział o Everbe w Arkansas, i nienawidziłem Everbe za to, że była tym bezbronnym, bezradnym symbolem ludzkiego poniżenia, o którym mi opowiedział, i nienawidziłem samego siebie za to, że tego słuchałem, że musiałem słuchać; i nienawiścią przejmował mnie fakt, że tak nie tylko jest, ale i być musi, jeśli życie ma istnieć dalej, a ludzkość ma być owego życia częścią składową.

I nagle porwała mnie tęsknota za domem, zdusiła, zdławiła, chwyciła za gardło: och, być w domu, nie tylko zawrócić, ale wycofać, wymazać to wszystko; sprawić, żeby Ned zabrał z powrotem konia i oddał go temu, od kogo go gdziekolwiek i jakkolwiek zdobył, i odebrać automobil dziadka i zabrać go z powrotem do Jefferson, tyłem, jeśli trzeba, jadąc na tylnym biegu, by odwinąć, odmotać w Nie-Istnienie, w Nigdy-Nie-Istnienie ten cały szlak błotnistej drogi, zalanych wodą dziur, mężczyzny i mułów daltonistów, panny Ballenbaugh i Alicji, i Ephuma tak, żeby jeśli chodzi o mnie, nigdy ich nie było. I wtedy nagle spokojnie i wyraźnie coś we mnie zapytało: *Czemu tego nie robisz?* Bo mógłbym. Wystarczyło, żebym powiedział Boonowi: „Jedziemy do domu”, a Ned oddałby konia, moje zaś nędzne wyznanie pozwoliłoby policji znaleźć i odzyskać automobil wyłącznie za cenę mego wstydu. Ale ja tego już uczynić nie mogłem. Było za późno. Może wczoraj, kiedy jeszcze byłem dzieckiem, ale nie dzisiaj. Wiedziałem zbyt wiele, przestałem być dzieckiem: straciłem niewinność i dzieciństwo, straciłem bezpowrotnie. A Everbe była znowu wolna. Nie zauważyłem, jak ona to tym razem zrobiła, zobaczyłem tylko,

że jest wolna i patrzy na tamtego; powiedziała mu coś szybko najcichszym szeptem; w każdym razie on jej teraz nie dotykał, tylko spoglądał na nią z góry, szczerząc zęby.

– Dobrze, dobrze – mówił. – Rzucaj się trochę, proszę bardzo. Może mi się to nawet i spodoba. Zresztą tak będzie lepiej wyglądało wobec naszego Lubusia. Wyprowadź, chłopcze, tego konia – zwrócił się do Neda. – Obejrzymy go sobie.

– Zaczekaj tutaj – szepnął mi Ned. – Wyprowadzę go razem z Likurgiem. – Stałem więc tuż koło Everbe przy płocie; trzymała mnie znowu za ramię i ręka jej trochę drżała. Ned z Likurgiem wyprowadzili konia, Ned popatrzył na nas. – Gdzie tamten drugi? – zapytał szybko.

– Nie opowiadaj, że masz takich dwóch – dowcipkował Butch, ale ja wiedziałem, o co Nedowi chodzi. Everbe też wiedziała. Obróciła się szybko.

– Otis! – zawołała. Ale Otis zniknął.

– Biegnij! – rozkazał Ned Likurgowi. – Jeśli jeszcze nie wszedł do środka, może mu przetniesz drogę. Powiedz, że ciotka go woła. I nie odstępuj go na krok. – Likurg nie marnował czasu nawet na „dobrze, proszę pana”, tylko podał Nedowi powróż i ruszył biegiem. Reszta stała wzdłuż ogrodzenia – Everbe starała się trwać nieruchomo, bo tylko w ten sposób mogła zniknąć, wtopić się w tło, lecz była na to za wielka, tak jak gołębica jest za wielka na tę gęstwę piór, która stanowi wszystko, w czym może szukać osłony przed niebezpieczeństwem; Boon, wściekły, kipiący gniewem, powstrzymywał się z całych sił, on, który jeszcze nigdy nie powstrzymywał się przed niczym. Nie ze strachu. Powiadam ci, nie bał się ani tej broni, ani tej gwiazdy: mógłby i potrafiłby mu odebrać jedno i drugie i w szlachetnym uniesieniu cisnąć tamtemu pistolet na ziemię, a potem pozwolić mu zrobić w jego kierunku pierwszy krok; i tylko w połowie z lojalności wobec mojej (i jego własnej) rodziny, z chęci ustrzeżenia nas

przed skutkami podobnej walki bez względu na to, kto by ją wygrał; na drugą połowę bowiem składała się jego rycerskość: pragnienie osłaniania kobiety, choćby to była prostytutka, przed napastnikiem, co hańbi oznakę policyjną i używa jej jako immunitetu pozwalającego mu pastwić się nad bezbronną ofiarą. A nieco dalej, osobny, ale jednak obecny, stał wuj Parsham, patrycjusz (w swoim imieniu nosił nazwę ziemi, na której staliśmy), arystokrata wśród nas i sędzia nas wszystkich.

– Do diabła – powiedział Butch – przecież nie może wygrać wyścigów, stojąc tak bez ruchu na kantarze. Przekłusuj go tu, po podwórzu.

– Właśnie posłaliśmy po dżokeja – tłumaczył Ned.

– Zaraz zobaczy go pan w ruchu. – A potem dodał:

– Chyba że się panu spieszy z powrotem do tego tam pańskiego...

– Do czego? – spytał Butch.

– Do pańskiego prawa, do pracy – odparł Ned. – Tam, do Possum, czy gdzie pan pracuje.

– Zrobiłem taki kawał drogi, żeby obejrzeć wyścigowego konia, a widzę tylko szkapę, co stoi na podwórzu i śpi!

– Bardzo się cieszę, że mnie pan o tym poinformował – mruknął Ned. – Myślałem, że pana to może nie ciekawi. – Mówił teraz do Boona: – Może byłoby lepiej, gdyby pan i panna Corrie wrócili teraz do miasta i przyszykowali się na wyjście po tamtych na pociąg. Mógłby pan odesłać z powrotem bryczkę po pana Butcha, Luciusa i tamtego chłopaka, żeby mogli wrócić zaraz, jak przewietrzymy Groma.

– Cha, cha, cha! – powiedział Butch, ale bez rozbawienia, całkiem nijako. – Dobrze, co, Lubusiu? Pan i to kociątko poturlacie się z powrotem

do hotelu, a ja, Wujaszek Remus^[3] i Mały Lord Fauntleroy będziemy tu sobie łązić bez końca, do późnej nocy, założywszy oczywiście, że zobaczymy do tego czasu, jak wasz koń się rusza. – Przeszedł swobodnym krokiem wzdłuż parkanu do miejsca, gdzie stał Boon, i patrząc na niego, rzekł do Neda: – Nie mogę nigdzie puścić Lubusia samego. Muszę być przy nim, inaczej narobi wszystkim kłopotów. Wyszło teraz prawo, które zabrania przewożenia ładnych dziewcząt przez granice stanu w celach, jak to mówią prawnicy, Lubuś jest tu obcy, nie wie dokładnie, gdzie przebiega granica stanu, i mogłaby mu się na niej noga pośliznąć, jakby miał głowę czymś innym zaprzątniętą, co wcale nie jest nogą. A przynajmniej czego tu u nas nie nazywamy nogą, co, Lubusiu?! – Tu trzepnął Boona w plecy, wciąż szczerząc zęby i wpatrując się weń bacznie – ot, takie jowialne klepięcie, jakim częstują się mężczyźni, ale mocniejsze, nieco za mocne, ale nie nazbyt mocne. Boon ani drgnął, ręce trzymał wciąż na górnej poprzeczce furtki; były za bardzo opalone czy też za bardzo szerniałe, by zbieleć. Ale widziałem napięte mięśnie. – Tak, mój panie – ciągnął Butch, patrząc na Boona i szczerząc zęby – trzymajmy się w kupie, póki co. Wszyscy albo nikt – wyraźnie powiadam: póki co. Póki nie stanie się coś, co może wyłączyć z obiegu tego, który nie uważa, co robi, powiedzmy: przyjeźdnego, którego nikt i tak nie będzie szukał. Co, Lubusiu? – i znowu trzepnął Boona po plecach, tym razem jeszcze mocniej, pilnie nań patrząc i szczerząc zęby. Everbe zobaczyła teraz ręce Boona, powiedziała szybko i cicho:

– Boon. – O, tak: – Boon. – Wuj Parsham odezwał się takim samym

[3] Wujaszek Remus – jedna z najbardziej popularnych postaci literatury amerykańskiej, Murzyn, dawny niewolnik, później wierny sługa rodziny, w którego usta włożył Joel Chandler Harris (1848-1908) tradycyjne bajki murzyńskie, opowiedziane dialektem nieporządnym.

głosem:

– Idzie ten drugi chłopiec. – Otis wychodził właśnie zza węgła domu, za nim wyłaniał się Likurg, niemal dwukrotnie od niego wyższy. Nawet fakt, że wiedziałem, co jest z Otisem nie w porządku, niewiele mu pomagał. Ale tym razem to Ned patrzył na niego twardo. Chłopak podszedł spokojnym, właściwie spacerowym krokiem.

– Ktoś mnie potrzebuje? – zapytał.

– Ja – odparł Ned. – Ale nie oglądałem cię jeszcze w dziennym świetle i nie wiem, czy mi nie odejdzie na ciebie ochota. – Zwrócił się do Likurga: – Osiodłaj go. – Więc osiodłaliśmy konia, a właściwie oni go osiodłali i Likurg z Nedom poprowadzili go przodem, a reszta szła za nimi i nawet Butch zajmował się teraz koniem, a może, jak to robią wędkarze, umyślnie pozwalał Everbe odpocząć, nabrać sił, by potem mogła rzucać się i szamotać z haczykiem, jakim była ta blaszana gwiazda na jego przepoconej koszuli. Kiedy doszliśmy do pastwiska, Ned z Otisem stali już o jakie osiem stóp od siebie, a za nimi Likurg z koniem. Ned wyglądał na zmęczonego i zdenerwowanego. O ile mi było wiadomo, nie spał ani trochę, chyba że się zdrzemnął z godzinkę na sianie w wagonie bagażowym. Ale nie był bezsennością zmęczony, tylko podrażniony. Otis, wciąż bardzo spokojny, drapał się w nos. – Jaki mądrala – mówił Ned. – W życiu nie widziałem takiego mądrali. Mam tylko nadzieję, że jak będziesz dwa razy starszy, to ci jeszcze tego zostanie z połowa.

– Dziękuję bardzo – powiedział Otis.

– Umiesz jeździć konno? – pytał Ned.

– Mieszkałem na farmie w Arkansas niezłe kilka lat – odparł tamten.

– Czy umiesz jeździć konno? – powtórzył Ned. – Nic mnie nie obchodzi, gdzie mieszkałeś czy też gdzie mieszkasz.

– No, to, jak powiadają, zależy – odparł Otis. – Myślałem, że dzisiaj rano pojedę do domu, i teraz, o tej porze, będę już od dawna w Kiblett w

stanie Arkansas. Ale że moje plany się zmieniły, a nikt mnie nie pytał o zgodę, więc nie zdecydowałem jeszcze, co będę robił. Ile dajecie za to, żebym pojechał na tym koniu?

– Otis! – zawołała Everbe.

– Nie doszliśmy jeszcze do tego – odparł Ned równie spokojnie jak Otis. – Przede wszystkim trzeba zacząć i skończyć trzy gonitwy i przynajmniej dwie skończyć na przedzie. Wtedy możemy się zastanowić ile.

– He, he, he! – powiedział Otis, wcale się nie śmiejąc. – To znaczy, że nie ma forsy, póki nie wygrasz wyścigu... tak to wygląda od twojej strony. A nie możesz nawet zacząć tego wyścigu, jeśli ktoś nie będzie na koniu siedział... tak to wygląda od mojej strony. Mam rację?

– Otis! – zawołała Everbe.

– Masz rację – przytaknęła Ned. – Wszyscy pracujemy na swoje, a dzielić się będziemy później. Ty będziesz musiał zaczekać, tak jak i my.

– Aha! – drwił Otis – widziałem takie dzielenie zysków w Arkansas w interesach bawełnianych. Cały kłopot w tym, że udział tego, co pracuje, jest zawsze trochę inny niż tego, co dzieli. Ten, co pracuje na udział, ciągle czeka na ten udział, bo nie wie, gdzie on jest. Wobec tego ja biorę z góry mój udział w gotówce, a wam zostawiam dzielenie.

– Ile to ma być? – zapytał Ned.

– Ciebie to nie może obchodzić, boś jeszcze nie skończył tej pierwszej gonitwy, nie mówiąc o tym, żeś jej nie wygrał. Ale ci powiem w zaufaniu. To będzie dziesięć dolarów.

– Otis! – zawołała Everbe. Zaczęła iść i krzyzczeć. – Czy ci nie wstyd?

– Chwileczkę, panienko – zatrzymał ją Ned. – Ja to załatwię. – Wydawał się zmęczony. Niespiesznym ruchem wyciągnął z tylnej kieszeni złożony worek po mące, rozwinął, wyjął z wewnątrz zniszczoną sakiewkę i otworzył ją. – Wyciągnij rękę! – rozkazał Likurgowi, który go

zaraz posłuchał, a Ned odliczył mu powoli na dłoń sześć postrzępionych banknotów dolarowych, potem garść monet o rozmaitych wartościach. – Brak będzie piętnastu centów, ale pan Hogganbeck je dołoży.

– Dołoży do ilu? – zapytał Otis.

– Do tyłu, ile powiedziałaś. Do dziesięciu dolarów.

– Widać, ty też jesteś głuchy – oświadczył Otis. – Ja powiedziałem dwadzieścia dolarów.

Teraz przysunął się Boon.

– Psiakrew! – zaklął.

– Trzymaj dalej! – rozkazał Ned Likurgowi i nie zatrzymując ręki ani na chwilę w powietrzu zbierał z powrotem z czarnej dłoni monety i postrzępione banknoty, potem zawiązał sakiewkę w worek od mąki i schował do kieszeni. – Nie pojedziesz na tym koniu.

– Nie widziałem moich pieniędzy – protestował chłopak.

– Pan Boon Hogganbeck już szykuje, co ci się należy – odparł Ned. – Dlaczego nie powiesz jak mężczyzna, że nie pojedziesz na tym koniu? Nieważne, dlaczego. – Spoglądali na siebie. – No, wypluj to. Powiedz.

– Nie. Nie pojedę na tym koniu. – Dodał coś jeszcze, coś obrzydliwego, takiego jak on sam, występnego jak on sam, zupełnie zbędnego jak on sam. Tak, fakt, że się wreszcie wiedziało, w czym rzecz, tylko mu szkodził. Ale tym razem Everbe go dopadła. Schwyciła go mocno. Warknęła. Zakląła na nią. – Uważaj, nie skończyłem jeszcze gadać. Jak mi przyjdzie ochota...

– Niech pani tylko powie słówko – prosił Butch – to go spiorę jak psa, dla zasady; już nawet nie mówię o przyjemności. Jak to się stało, że Lubuś wytrzymał z nim tak długo i ani razu go nie trzepnął!

– Nie – Everbe powstrzymała Butcha, ale w dalszym ciągu nie puszczala ramienia Otisa. – Najbliższym pociągiem wrócisz do domu.

– Teraz to się drzesz... – powiedział Otis. – Byłbym tam już dawno, gdyby nie ty. – Puściła go.

– Wracaj do bryczki! – rozkazała.

– Za duże ryzyko – szybko wtrącił Boon. – Musisz z nim jechać. – A potem: – Dobrze. Jedźcie razem do miasta. Przyślijcie o zachodzie po mnie i Luciusa.

Wiedziałem, co to znaczy, z jaką decyzją zmagali się i walczyli. Ale Butch nas przechytrzył – pewny siebie wędkarz pozwolił rybie na chwilowy odpoczynek. – Dobrze. Przyślijcie tu po nas później. – Everbe z Otisem odeszli. – A teraz, kiedy z jednym mamy spokój, kto pojedzie na tym koniu?

– Ten chłopiec – odparł Ned. – To jest koń dla jednorękiego jeźdźca.

– He, he, he! – tym razem Butch się śmiał. – Widziałem, jak ten koń biegał zeszłej zimy. Jeśli jedną ręką uda się komu obudzić go ze snu, to musiałyby mieć więcej rąk niż pajak czy stonoga, żeby go wysunąć przed konia pułkownika Linscomba.

– Może pan ma i rację – powiedział Ned. – Musimy się o tym przekonać. Daj mi moją kurtkę, synu – zwrócił się do Likurga. Nie zauważyłem jeszcze tej kurtki, ale Likurg trzymał ją już w ręku, podawał mu również obciążoną ze skórki witkę. Ned wziął jedno i drugie, włożył kurtkę i zwrócił się do Boona i Butcha: – Niech no panowie staną o, tam, pod tymi drzewami, gdzie wuj Possum, tam jest cień, nie będziecie rozpraszać jego uwagi. Dawaj nogę – to do mnie. Zrobiliśmy, jak powiedział, to znaczy Ned podrzucił mnie na grzbiet konia, a Boon, Butch i Likurg poszli pod drzewo, pod którym stał już wuj Parsham. Chociaż tego ranka objechaliśmy pastwisko tylko trzy razy, pozostał tam zarys ścieżki, którą Grom będzie pamiętał, bez względu na to, czy ja ją dojrzę, czy nie. Ned poprowadził go do miejsca, z którego poprzednio startowaliśmy. Zaczął do mnie mówić spokojnie i zwięźle. Przestał grać teraz Wujaszka Remusa. Ale przecież nigdy go nie odgrywał wobec mnie, gdy byłem z nim sam, wśród ludzi o tym co on kolorze skóry.

– Jutrzejszy tor ma tylko pół mili, więc będziesz musiał go objechać dwa razy. Jedź dzisiaj tak samo, żeby wiedział, jak jutro zobaczy prawdziwy tor, czego się spodziewać i co robić. Rozumiesz?

– Tak – odparłem. – Mam go objechać dwa razy. Podał mi witkę. – Przymuś go, żeby szedł szybko i twardo naprzód. Zatnij go raz, nim się zdąży zorientować, o co chodzi. Potem już nie tykaj go, póki ci nie powiem. Staraj się go zmusić, żeby leciał jak najszybciej, ale tylko piętami i głosem, i nie zwracaj mu głowy, po prostu siedź. Miej dobrze w pamięci, że masz objechać tor dwa razy, i staraj się wbić to i jemu w łeb, tak jak robiłeś z tymi źrebkami tam, na McCaslin. Tym razem to się nie uda, ale tym razem masz witkę. Tylko pamiętaj, uderzysz go wtedy, jak ci powiem. – Odwrócił się do mnie plecami, szukał czegoś w wewnętrznej kieszeni kurtki – czegoś bardzo małego; w pewnej chwili poczułem zapach, słaby, lecz ostry; teraz wiem, że powinienem był go rozpoznać od razu, ale wtedy nie miałem czasu. Obrócił się do nas; podobnie jak rano, kiedy to przywabił konia do wagonu, tak i teraz dłoń jego dotknęła, popieściła pysk koński może sekundę, potem Ned cofnął się, a Grom natychmiast ruszyłby za nim, gdybym go nie przytrzymał wodzami. – Jazda! – rozkazał Ned. – Zatnij go!

Zrobiłem, co kazał. Grom skoczył, poderwał się z czystego strachu, w pół kroku skierowałem mu łeb z powrotem, dopiero po następnym kroku zrozumiał, że chcemy, by biegł torem, ścieżką. Szedł teraz pełnym galopem na zewnętrznej wodzy długiej na tyle, by go utrzymać we właściwym kierunku. Ścisnąłem go piętami, jak tylko mogłem, póki strach nie zaczął ustępować. Tylko że wszystko było tak jak rano: szedł dobrze, nawet w miarę posłusznie, rozpierała go energia, ale znowu miałem wrażenie, że jego głowa tak naprawdę nie chce iść w żadnym kierunku, nigdzie; dopiero kiedy weszliśmy na dalszą prostą, a on zobaczył Neda stojącego po przeciwnej stronie toru, wtedy znowu jakby w nim coś wybuchło;

wyrwał mi wodze, zboczył z toru i walił po przekątnej prosto na Neda, nim zdążyłem na tyle odzyskać równowagę, by zsunąć zdrową dłoń, skrócić wodze i ściągnąć, wyszarpać go skrzętem z powrotem na właściwą drogę. Szedł teraz wspaniale, musiałem go przytrzymać na zewnętrznej, by zrobił powrotny zakręt i wyszedł na prostą docelową, na której znowu zobaczył Neda, i jeszcze raz próbował wyrwać mi się i lecieć wprost na niego; musiałem teraz używać i zranionej ręki, by go utrzymać na torze. Wydawało mi się, że upłynęła wieczność, nim usłyszałem, jak Ned mówi: – Zatinj go, a potem odrzuć bat!

Uderzyłem konia i cisnąłem pręt za siebie, znowu skok, ale tym razem nie wyrwał mi się z garści, bo potrzebna mi była tylko jedna wodza, zewnętrzna, by go utrzymać na torze; szedł teraz na całego, zrobił pierwszy zakręt – tym razem przygotowałem się na moment, kiedy zobaczy Neda – szedł wciąż znakomicie po dalszej prostej, wpadł tak na drugi zakręt i przebiegł go, a Ned, który stał o jakieś dwadzieścia jardów od miejsca, gdzie miał być nasz celownik, powiedział głosem obliczonym tak, by tylko Grom go usłyszał, zupełnie tak samo jak wczoraj wieczorem w wagonie towarowym – i teraz nie potrzebowałem już pręta; nawet gdybym go trzymał w garści, nie zdążyłbym go użyć. Do owej chwili sądziłem, że tylko raz w życiu jechałem na koniu, którego nazwałbym gorącym, był to źrebiec półkrwi w prostej linii po Morganie, własność kuzyna Zacka; ale nie można by tego porównać z owym wybuchem, zrywem, jaki teraz nastąpił: jakbyśmy dotychczas ciągnęli za sobą drewnianą kłodę na sznurze i dopiero głos Neda przeciął ów sznur: – Chodź no do mnie, synku, mam to tutaj.

Staliśmy teraz przy nim; Grom miał pysk zanurzony po chrapy w dłoni Neda, lecz czułem tylko zapach końskiego potu, a widziałem jedynie garść trawy, którą zjadał koń. Ned zaś mówił: – Hi, hi, hi – tak łagodnie i cicho, że i ja przemówiłem szeptem:

– Co? – zapytałem. – Co? – Ale Boon, który podszedł, nie mówił szeptem.

– Niech mnie piorun strzeli! Coś ty mu takiego powiedział?

– Nic – odparł Ned. – Tylko że jeśli chce kolacji, to niech po nią przyjdzie.

I Butch też nie ściszył głosu; był pewny siebie, zuchwały, niedostępny argumentom, bez litości i skrupułów.

– No, proszę – powiedział i wprost wyszarpnął z dłoni Neda pysk Groma i wepchnął mu wędzidło na język, gdy koń skoczył do tyłu.

– Niech pan zostawi, sam to zrobię – szybko powiedział Ned. – Co pan tam chce znaleźć?

– Jak będę potrzebował pomocy do przytrzymania konia, to zawołam – oświadczył Butch. – I nie ciebie. Ciebie niech wołają tam, w Missisipi. – Podniósł wargę Groma, obejrzał mu dziąsła, potem oczy. – Czy nie wiesz, że prawo zabrania narkotyzować konia przed wyścigami? Może wy, co mieszkacie w tych swoich wiochach, na bagnach, nie słyszeliście o tym, ale tak jest.

– Mamy u nas, w Missisipi, lekarzy weterynarii – stwierdził Ned. – Proszę, niech pan po takiego pośle, żeby sprawdził, czy ten koń dostał narkotyk.

– No dobrze już, dobrze. Ale dlaczego mu to dałeś na dzień przed wyścigami? Chciałeś sprawdzić, czy podziła?

– Chciałbym, gdybym mu co dał. Ale nie dałem. Jeśli się pan zna na koniach, to pan o tym wie.

– No dobrze już, dobrze – powtórzył Butch. – Nie pcham nosa w cudze tajemnice zawodowe, jeśli tylko są skuteczne. Czy ten koń będzie tak samo szedł jutro na wyścigach? I nie tylko raz, ale trzy razy?

– Musi tak biec tylko dwa razy – powiedział Ned.

– No dobrze, więc dwa. Będzie szedł tak samo?

– Niech pan zapyta pana Hogganbecka, czy temu koniowi nie wyjdzie na zdrowie, jeśli to zrobi dwa razy.

– Nie pytam Lubusia, pytam ciebie.

– Mogę zrobić, żeby tak biegł dwa razy.

– Wystarczy – mruknął Butch. – A prawdę mówiąc, jeśli masz jeszcze trzy porcje, to ryzykowałbym tylko dwie, a wtedy, jak mu się za drugim razem nie uda, będziesz mógł na tej trzeciej zajechać z powrotem do Missisipi.

– Ja też o tym myślałem – przyznał Ned. – Odprowadź go do stajni – zwrócił się do mnie – i niech przestygnie, a potem go wykąpiemy.

Boon przyglądał się temu, ale nie do końca. Wróciliśmy do stajni, rozsiadaliśmy konia, Likurg przyniósł wiadro wody i szmatę i umył go, i wytarł jutowymi workami, nim go wprowadził do boksu i nakarmił – a przynajmniej zaczął to wszystko robić, kiedy Butch powiedział:

– Hej, chłopcze, pobiegnij do domu i wynieś na ganek wiaderko wody i trochę cukru. Ja z Lubusiem napijemy się po szklance.

Ale Likurg ani drgnął, dopóki wuj Parsham nie powiedział mu: – Idź! – Wtedy ruszył, a Boon z Butchem poszli za nim. Wuj Parsham stał w drzwiach stajni i spoglądał za nimi (to znaczy za Butchem) – szczupła, dramatyczna postać starca, który cały był czernią i bielą: czarne spodnie, biała koszula, czarna twarz i kapelusz, a na ich tle białe wąsy, broda i włosy. – Prawo – rzekł. Powiedział to spokojnie, z chłodną, obojętną pogardą.

– Jak ktoś nie miał z tym nigdy nic wspólnego, to taka gwiazda zaraz mu uderza do głowy i to tak szybko, aż się i innym w głowie zakręci – odezwał się Ned. – Tyle że tu nie chodzi o gwiazdkę, ale o ten pistolet – pewno o nim marzył, jak był małym chłopcem, tylko wiedział, że jak dojdzie do odpowiednich lat, to i tak prawo mu nie pozwoli go nosić. A z taką gwiazdą nic nie ryzykuje, ani go nie wsadzą do więzienia, ani mu

nie odbiorą broni; może sobie dalej odgrywać małego chłopca, chociaż już wyrósł. Całe ryzyko w tym, że ten mały chłopiec za długo w myślach wymachiwał pistoletem, w rezultacie któregoś dnia strzeli do czegoś żywego, nim się połapie, co robi. – Potem wrócił Likurg.

– Czekają na ciebie – oświadczył. – Bryczka.

– Wróciła już z miasta? – zdziwiłem się.

– W ogóle nie jeździła do miasta – odparł. – Ta pani cały czas w niej siedzi z tym chłopakiem i czeka na was. Powiada, żebyś przyszedł.

– Zaczekaj – powstrzymał mnie Ned. Stanąłem. Miałem wciąż na ręku moją jeździecką skarpetkę i myślałem, że o nią mu chodzi. Ale on patrzył na mnie. – Będziesz teraz spotykać ludzi – powiedział.

– Jakich ludzi? – zdziwiłem się.

– Wiadomość już się rozeszła. O tych wyścigach.

– W jaki sposób mogła się rozejść?

– A jak się rozchodzą wiadomości? Przecież nie potrzeba do tego posłańców. Potrzeba tylko, żeby dwa konie, które potrafią biegać, znalazły się w odległości dziesięciu mil jeden od drugiego. Skąd, jak myślisz, zjawił się ten przedstawiciel prawa? Myślisz, że wywahał białą dziewczynę z odległości czterech czy pięciu mil, jak pies? Wiem, jak to jest. Może i ja wierzyłem, tak jak Boon Hogganbeck dotąd wierzy, że uda nam się tu ściągnąć cicho i bez świadków te dwa konie, urządzić wyścigi, wygrać je albo przegrać, żebyśmy potem mogli, ty, on i ja, albo wracać do domu, albo jechać gdziekolwiek przed siebie, byle dalej, niż sięga ręka Szefa Priesta. Ale teraz już nic z tego. Teraz będziesz się z nimi spotykać. A jutro będzie ich jeszcze więcej.

– Uważasz, że możemy stanąć do wyścigów?

– Teraz musimy. Może było nam to sądzone od chwili, kiedy Boon i ja zdaliśmy sobie sprawę, że Szefer wypuści samochód z rąk na dwadzieścia cztery godziny. Ale teraz to już na pewno konieczność.

– Wobec tego, co chcesz, żebym robił?

– Nic. Mówię ci o wszystkim, żebyś się nie dziwił na wyrost. Musimy tylko ustawić te dwa konie na jednym torze łbami w tym samym kierunku, a ty musisz siedzieć na Gromie i robić, co ci powiem. Idź już teraz, nim zaczną na ciebie wrzeszczeć.

IX

Ned miał słuszość. To znaczy, co do tego, że pogłoska już się rozeszła. Moja dłoń była całkiem w porządku, kiedy Everbe zdjęła z niej tę jeździecką skarpetkę. To znaczy, wyglądała tak, jak powinna wyglądać każda dłoń z jednodniowym cięciem po opuszkach palców. W moim przekonaniu wcale nie krwawiła po tej szarpaninie z Gromem dzisiejszego popołudnia. Ale Everbe była innego zdania. Zatrzymaliśmy się więc najpierw przed domem doktora, o milę dalej, w kierunku miasta. Butch go znał, wiedział, gdzie mieszka, nie mam jednak pojęcia, w jaki sposób Everbe go nakłoniła, żeby nas tam zabrał; wygderała to czy wygroziła, czy coś mu obiecywała, a może po prostu zachowywała się tak, jak duża samica pstrąga, kiedy troska się i kłopotczy o małe pstrążątka i przestaje w ogóle zauważać, że istnieją na świecie takie rzeczy, jak zakrzywiony haczyk przyczepiony do linki – wtedy rybak musi coś zrobić, choćby pozbyć się małego pstrążątka. A może dokonała tego nie Everbe, ale pusta flaszka i fakt, że następny kieliszek można było dostać dopiero w hotelu w Parsham, kiedy bowiem wróciłem do domu, matka Likurga stała na progu ganku, trzymając cukiernicę i wiaderko wody z czerpakiem, Boon i Butch opróżniali właśnie dwa kubeczki, a Likurg podnosił pustą flaszkę z kępy krzewów różanych, gdzie cisnął ją przedstawiciel prawa.

Tak więc Butch zawiózł nas do doktora, który mieszkał w małym, niegdyś białym domku z niewielkim ogródkiem od frontu, zarośniętym wybujałym i zakurzonym kwieciem bez zapachu, takim, co to kwitnie późnym latem i jesienią. W drzwiach stanęła i spojrzała na nas tęga, stalowskiwa kobieta w pince-nez, wyglądająca na emerytowaną

nauczycielkę, która nawet po piętnastu latach emerytury wciąż nie znosi ośmioletnich dzieci. Przyjrzała się nam i (tak, Ned miał rację) powiedziała do gość wewnątrz domu: – To ci od wyścigów – zawróciła i zniknęła w głębi, a Butch ruszył do środka, nim zdążyła się obejrzeć, jowialny, pewny miłego powitania – niechby kto tylko o takim powitaniu zapomniał! (gwiazda znowu przypięta, rozumiesz, przypięta czy też fakt jej posiadania zaakcentowany; wejście do jakiegokolwiek domu w inny sposób byłoby nie tylko zdradą samego siebie, ale zdradą i poniżeniem kasty), więc Butch wszedł wołając:

– Dzień dobry, doktorze, prowadzę panu pacjenta! – do stalowosiwego mężczyzny – to znaczy stalowo siwe go, gdyby się wywabiło sok tytoniowy z jego nie strzyżonych wąsów – odzianego w białą koszulę, jak Ned, tylko brudniejszą, i czarny surdut z długą smugą przedwczorajszego jajka; wyglądem i zapachem przywodził na myśl coś określonego, ale to nie był alkohol, a przynajmniej nie tylko alkohol. – Ja z moim przyjacielem Hogganbeckiem zaczekamy w saloniku – oświadczył Butch. – Niech się pan nie kłopotuje, wiem, gdzie stoi butelka. Nie martw się o doktora – zwrócił się do Boona. – Nie dotknie whisky, chyba że musi. Zgodnie z prawem dostaje kieliszek eteru na leczenie każdego pacjenta, który się wykaże otwartą raną czy złamaną kością. Jeśli to jest tylko stare, niewielkie skaleczenie, złamany palec czy starta skóra, jak to się ma dzisiaj, doktor dzieli się z pacjentem: sam wypija eter, a pacjentowi zostawia leczenie. Cha, cha, cha. Proszę, tędy.

Tak więc Butch poszedł z Boonem tamtędy, a ja z Everbe (na pewno zwróciłeś uwagę, że nikt jeszcze nie zauważył braku Otisa. Wysiedliśmy z bryczki, która okazała się własnością Butcha, w każdym razie on powoził; jeszcze u wuja Parshama nastąpiła pewna zwłoka, kiedy to Butch starał się namówić, uprosić, a wreszcie zmusić Everbe, by usiadła z nim na przednim siedzeniu, ona mu jednak odmówiła i usiadła z tyłu,

trzymając mnie jedną ręką, a Otisa drugą, i wreszcie Boon usiadł z przodu z Butchem, a potem Butch pierwszy, a za nim my wszyscy znaleźliśmy się w domku doktora, ale nikt w tym momencie nie pamiętał o Otisie), więc ja z Everbe poszliśmy za doktorem do innego pokoju, gdzie stała wypchana włosiem sofa, a na niej brudna poduszka i watowana kołdra. Na biurku stało mnóstwo buteleczek z lekarstwami, jeszcze więcej tłoczyło się na gzymsie kominka, w którego palenisku walały się popioły po ostatnim zimowym ogniu, pod ścianą tkwiła umywalka na niej miska i dzbankiem, w jednym kącie nocnik, którego również nikt nie opróżnił, a w drugim śrutówka. Gdyby tu była moja matka, to ręce tego doktora nie dotknęłyby najmniejszego zadrapania, do którego ona miałaby prawo, nie mówiąc już o czterech przeciętych palcach, a Everbe najwidoczniej była tego samego zdania. Powiedziała: – Ja to rozbandażuję – i odwinęła skałeczenie. Oświadczyłem, że ręka jest w porządku. Doktor przyjrzał się cięciu przez swoje oprawne w drut okulary.

– Co pani zaaplikowała? – zapytał. Everbe mu powiedziała. Dzisiaj wiem, co to jest. Doktor spojrział na nią.

– A skądże pani to miała pod ręką? – Potem podsunął w górę okulary, przyjrzał się jej raz jeszcze i powiedział: – Och! – A potem dodał: – No, no – opuścił okulary i, naprawdę, nic nie kłamię, westchnął: – Od trzydziestu pięciu lat nie byłem w Memphis – i stał tak z minutę, a potem, powiadam ci, znowu westchnął i mówił dalej: – Tak, trzydzieści pięć lat. – A potem:

– Na pani miejscu nic bym z tym więcej nie robił. Trzeba to z powrotem zabandażować. – Oczywiście, zachowała się dokładnie tak jak moja matka; kiedy on wyjął bandaż, sama zabandażowała mi rękę. – Czy ty jesteś tym chłopcem, który jutro będzie jechał na wyścigach? – zapytał.

– Tak – odparła Everbe.

– Pobijcie tym razem konia Linscomba, niech go lichu.

– Postaramy się – odparła Everbe. – Ile jesteśmy panu winni?

– Nic. Pani to sama wyleczyła. Tylko wygrajcie z tym przeklętym koniem Linscomba.

– Chciałabym panu jednak zapłacić – upierała się Everbe.

– Za to, że pan to obejrzał i powiedział, że jest w porządku.

– Nie. – Przyglądał się jej: jego stare oczy patrzyły zza okularów, powiększone, lecz mgliste, kruche jak jajka; zdawało się, że nie są w stanie pochwycić i zachować obrazów tak nowych, jak mój i Everbe.

– No... – pytała Everbe. – Więc cóż to takiego?

– Może ma pani jakąś zbędną chusteczkę do nosa albo coś w tym rodzaju... – powiedział. – Tak, trzydzieści pięć lat. Miałem kiedyś jedną, kiedy byłem młodym człowiekiem, trzydzieści, trzydzieści pięć lat temu. Potem się ożeniłem i... – powtórzył: – Tak, trzydzieści pięć lat.

– Och! – zrozumiała Everbe. Odwróciła się od nas i pochyliła; zaszeleściły spódnice; w chwilę potem zaszeleściły ponownie; odwróciła się do nas. – Proszę – powiedziała. To była podwiązka.

– Wygrajcie z tym przeklętym koniem – powtórzył.

– Wygrajcie! Potraficie wygrać! – I wtedy usłyszeliśmy głos. Właściwie głos Butcha, rozbrzmiewający głośno w małym saloniku, do którego jeszcze nie weszliśmy.

– Słyszycie? Lubuś nie chce więcej pić! Chłopaki trzymają się w kupie, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, a teraz on mnie obraża! – Stał szczerząc zęby do Boona, triumfalny, wyzywający. Boon wyglądał teraz naprawdę groźnie. Tak samo jak Ned (i my wszyscy) był wykończony brakiem snu. Ale ciężar odpowiedzialności Neda ograniczał się do konia, Everbe i gwiazda Butcha to już nie jego sprawa. – Co, chłopaczkę? – mówił Butch i chciał znowu uderzyć Boona po plecach tym jowialnym klepieniem, które było troszkę za mocne, ale nie nazbyt mocne.

– Niech pan tego nie robi – ostrzegł Boon i Butch się powstrzymał. Nie cofnął ręki, zatrzymał ją, uśmiechając się do Boona.

– Nazywam się Lovemaiden – oświadczył – ale mów mi Butch.

Po chwili Boon powiedział: – Lovemaiden.

– Butch – powtórzył tamten.

Po chwili Boon powiedział: – Butch.

– Grzeczny chłopczyk – ucieszył się Butch i zwrócił się do Everbe:
– Przyjął was lekarz? Może powinienem być cię przestrzec przed naszym doktorkiem. Powiadają, że kiedy był z niego młody szpic, jakie pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat temu, to sięgał dziewczynie, gdzie trzeba, nim zdążył uchylić kapelusza.

– Chodźmy – powiedział Boon. – Zapłaciłaś mu?

– Tak – odparła. Wyszliśmy na dwór. I wtedy właśnie ktoś zapytał: Gdzie Otis? Nie, to była Everbe, oczywiście; spojrzała tylko i powiedziała: – Otis! – donośnym, mocnym głosem, żeby nie rzec nagłym albo zaniepokojonym czy przerażonym.

– Nie mów tylko, że boi się nawet koni uwiązanych do bramy – ironizował Butch.

– Wsiadaj! – rozkazał Boon. – On tylko poszedł naprzód. Przecież nie mógł pójść nigdzie indziej. Spotkamy go po drodze.

– Ale dlaczego? – mówiła Everbe. – Dlaczego...

– Skąd ja mogę wiedzieć? – wzruszył ramionami Boon. – Może on ma rację. – Miał na myśli Butcha. A potem miał na myśli Otisa. – Chociaż z niego najsprytniejszy skurwysyn, jakiego kiedykolwiek oglądało Arkansas, a nawet i Missisipi, to przecież jest również skończony tchórz. Wsiadaj.

Wsiadaliśmy więc do bryczki i ruszyliśmy do miasta. Ale ja byłem po stronie Everbe, jeśli idzie o Otisa. Jak taki ginie z oczu, to należy się od razu zastanowić, gdzie może być i dlaczego. Nigdy nie spotkałem człowieka, który by równie szybko jak on tracił ludzkie zaufanie: trudno by mu było znaleźć w tej bryczce kogoś, kto by go zabrał jeszcze kiedy do

zoo czy gdzie indziej. A niewiele upłynie czasu, żeby i w całym Parsham nie znalazł się nikt taki.

Ale nie spotkaliśmy go po drodze. Nie zobaczyliśmy go nigdzie, jadąc do hotelu. I Ned również się mylił. Mówię tu o tych rosnących tłumach kibiców wyścigowych, których mieliśmy teraz napotykać. Może zresztą spodziewałem się tłumów czekających na werandzie hotelowej, by nas zobaczyć i powitać. Jeśli tak, to się myliłem: nikogo nie było. Inaczej oczywiście miałyby się rzecz w zimie w sezonie na przepiórki, a już zwłaszcza w okresie dwutygodniowych Zawodów Krajowych. Ale w owych czasach Parsham, inaczej niż Londyn, nie miało sezonu letniego: ludzie jeździli gdzie indziej, nad wodę czy w góry, do Raleigh, pod Memphis albo do niedalekiej luka w Missisipi czy do Ozark lub Cumberlandu. (Jeśli zresztą o to idzie, to do dziś Parsham, jak zresztą wszystkie inne miejscowości, nie ma sezonu letniego. Ani letniego, ani zimowego: nie ma już żadnych sezonów teraz, kiedy w domach jest na skutek mechanicznych urządzeń sześćdziesiąt stopni w lecie i dziewięćdziesiąt w zimie, tak że zatwardziały uparciuchy, takie jak ja, muszą w lecie uciekać na dwór przed chłodem, a w zimie przed upałem; to samo odnosi się do samochodów, które były niegdyś koniecznością ekonomiczną, dzisiaj zaś są koniecznością społeczną, ponieważ obecnie powierzchnia ziemi ścięłaby się i stwardniała, gdyby cała ludzkość nagle przestała się poruszać; jest nas zbyt wiele; ludzkość unicestwi samą siebie nie poprzez podział komórek, ale przez coś innego, co zaczyna się również na p i jest rzeczownikiem odsłownym; ja tego nie dożyję, ale ty może: wyjdzie prawo, do którego was przymusi czysta i szaleńcza społeczna – nie ekonomiczna – społeczna rozpacz, a które pozwoli kobiecie mieć tylko jedno dziecko, tak jak jej dzisiaj pozwala tylko na jednego męża).

Lecz oczywista w zimie (tak jak i dzisiaj) bywało inaczej: w okresie polowań na przepiórki i w czasie Wielkich Zawodów Krajowych, kiedy to

zjeżdżały tu wielkie fortuny naftowe czy arystokracja pszeniczna z Wall Street, Chicago i Saskatchewan i piękne rodowodowe psy bardziej niż księżęta zazdrosne, kiedy w najbliższej okolicy (dziś o kilka minut stąd samochodem) znajdowały się wspaniałe hodowle i tresury psów – Red Banks i Michigan City, i La Grange, i Germantown, kiedy to spotykało się tu takie nazwiska, jak pułkownik Linscomb, ten, z którego koniem (tak sądziliśmy w każdym razie) miał się jutro ścigać nasz koń, i Horacy Tyle, i George Peyton, taka sama wielkość pośród znawców wyżłów, jak Babę Ruth i Ty Cobb pośród miłośników baseballa i pan Jim Avant z Hickory Fiat i pan Paul Rainey, który mieszka o kilka mil za miastem, tak jak biegający koleją pułkownika Sartorisa w kierunku Jefferson, obydwaj miłośnicy psów gończych, którzy (tak mi się zdaje) pośród tych rodowodowych pointerów i seterów czuli się jak wśród pariasów. Ogromny, bezplanowy hotel kwitnął wówczas, elegancki, pełen służby, nawet powietrze było tu jedwabiste i rozbrzmiewało brzękiem złota i srebrnych pucharków wśród walających się kolorowych wstążeczek.

Ale teraz nie było nikogo, ciche, puste ulice pokrywał majowy kurz (minęła już szósta; o tej porze całe Parsham bywa w domu i zajada kolację albo szykuje się do jedzenia), nie było nikogo, nawet Otisa, chociaż on mógł już siedzieć i pewno siedział w hotelu. A co jeszcze bardziej zdumiewające, przynajmniej dla mnie, nie było też i Butcha, który po prostu podwiózł nas pod drzwi hotelu, poczekał, aż wysiadziemy, zatrzymał się na tak długo, by łypnąć drwiąco na Everbe i łypnąć drwiąco na Boona, może nieco ostrzej niż na Everbe, i powiedzieć: – Nie martw się, chłopaczk, ja wrócę. Jeśli masz coś do załatwienia, to lepiej załatw to przedtem, żeby uniknąć hałasów – po czym odjechał. Najwidoczniej więc i on miał jakieś miejsce, w którym musiał od czasu do czasu przebywać, jakiś dom. Byłem wciąż jeszcze niewinny głuptas (nie tak niewinny, jak dwadzieścia cztery godziny temu, ale w każdym razie jeszcze

skażony niewinnością) i stałem po stronie Boona, moja lojalność jemu się należała, nie mówiąc już o Everbe, a przyswoiłem sobie od wczoraj dość (bez względu na to, czy strawiłem wszystko, czy jeszcze nie), by dobrze rozumieć, o co mi chodzi, gdy pragnąłem w głębi duszy, by w tym domu miał żonę, jakąś niewinność uprowadzoną z klasztoru, samotną i bezbronną, której zdrada będzie dodatkowym zarzutem w ostatecznym rozrachunku z jego wrodzonej, bezlitosnej podłości; byłoby jeszcze lepiej, gdyby to była sprytna wiedźma, umiejąca mu stawić czoło, umiejąca choćby rzucić mu w twarz każde z jego cudzołożnych zwycięstw. Bo prawdopodobnie połową przyjemności, jaką czerpał z cudzołóstwa, było rozgłaszanie, kim jest ofiara. Ale krzywdziłem go. Był kawalerem.

Otisa jednak nie znaleźliśmy i w hotelu; w hallu, gdzie połowa mebli była zasłonięta pokrowcami, zobaczyliśmy tylko samotnego, tymczasowego recepcjonistę, a w całkowicie zakrytym pokrowcami stołowym znaleźliśmy w drzwiach jednego tymczasowego kelnera potrzebującego serwetkę. Był tam tylko jeden nakryty stół dla takich jak my anonimowych przejezdnych gości – przynajmniej dotychczas. Ale ani śladu Otisa.

– Zastanawiam się nie nad tym – powiedział Boon – gdzie on się podziewa, ale co, u diabła, teraz przeskrobał, o czym jeszcze nie wiemy!

– On nic nie zrobił – obruszyła się Everbe. – To przecież dziecko.

– No pewno! – zadrwił Boon. – Małe uzbrojone dzieciątko. Jak dorośnie na tyle, żeby kraść...

– Przestań! – krzyknęła Everbe. – Nie zniosę...

– No, już dobrze, dobrze, więc żeby znajdować. Żeby znaleźć dość pieniędzy na kupno noża o sześciocalowym ostrzu, zamiast tego dwucalowego scyzoryka. Wtedy lepiej, żeby każdy, kto się do niego odwróci plecami, miał na sobie taki starodawny żelazny kombinezon z tych, co to się ogląda w muzeum. Muszę z tobą porozmawiać – zwrócił

się do niej. – Zaraz będzie kolacja, a potem pójdziemy na stację. Ani się obejrzysz, jak przyleci tu ten ogier z blaszaną gwiazdą i będzie rżał i stawał dęba. – Ujął ją pod ramię. – Chodź.

Wtedy właśnie musiałem zacząć słuchać tego, co mówił Boon. Naprawdę musiałem. Everbe mnie do tego zmusiła. Nie chciała nigdzie z nim iść beze mnie. Poszliśmy – a właściwie oni poszli – do saloniku dla dam; niewiele zostało już czasu, czekała nas jeszcze kolacja, a potem mieliśmy iść na stację po pannę Rebę. W tamtych czasach damy nie biegały swobodnie po męskich pokojach hotelowych, jak to dzisiaj podobno bywa, nawet mówią, że ubrane są w te tam, jak to nazywają w ogłoszeniach, szorty czy spodenki, które im dają swobodę potrzebną do walki o swobodę; prawdę mówiąc nigdy jeszcze nie widziałem w hotelu samotnej kobiety (moja matka nigdy by nie weszła do hotelu bez ojca) i pamiętam, że bardzo się dziwiłem, jak Everbe, nie mając nawet obrączki, mogła się tam w ogóle dostać. W tych hotelach znajdował się zawsze pokój, który nazywaliśmy salonikiem dla dam, taki jak ten, gdzie właśnie się znaleźliśmy. Był to pokój mniejszy, ale bardziej elegancko umeblowany, tylko że i tu połowę mebli obleczono pokrowcami z holenderskiego płótna. Ja jednak wciąż jeszcze opowiadałem się po stronie Boona; nie przekroczyłem progu pokoju, tylko przystanąłem pod drzwiami tak, by Everbe wiedziała, że jestem w zasięgu jej głosu, chociaż mnie nie widzi. No i w ten sposób słyszałem wszystko. O, tak, słuchałem. Słuchałbym i tak, i tak. Za daleko już zaszedłem w poznawaniu zawłości i realiów życia, by się teraz zatrzymać, tak jak zbyt daleko zaszedłem w kradzeniu samochodów i wyścigach konnych, by się wycofać. Słyszałem wszystko: Everbe natychmiast zaczęła znów płakać.

– Nie, nie chcę. Daj mi spokój!

A potem Boon: – Ale czemu? Mówiłaś, że mnie kochasz. Czy to też było kłamstwo?

I Everbe: – Kocham cię! I właśnie dlatego! Zostaw mnie! Puść mnie!
Lucius!

I wtedy Boon: – Cicho! Przestań! – Potem przez chwilę cisza. Nie zaglądałem, słuchałem tylko. Nie, słyszałem tylko: – Gdybym przypuszczał, że oszukujesz mnie z tym przeklętym facetem od blaszanej gwiazdy, to... – i wtedy Everbe:

– Nie, nie oszukuję! – I potem coś, czego nie słyszałem, i znowu Boon:

– Rzucasz? Co? Co to znaczy: rzucasz? Potem Everbe: – Tak, rzucam. Już nigdy więcej nie będę! Nigdy!

– Ale jak ty chcesz dalej żyć? Co będziesz jadła? Gdzie będziesz spała?

I Everbe: – Poszukam pracy. Mogę pracować.

– Ale co ty umiesz? Przecież masz tyle wykształcenia co ja. Jak ty zarobisz na życie?

– Mogę zmywać talerze. Mogę prać i prasować. Mogę robić wszystko jedno co. Mogę nawet okopywać i zbierać bawełnę. Zostaw mnie! Boon! Proszę cię, proszę! Muszę! Nie rozumiesz, że ja to muszę zrobić? – Potem tupot nóg po grubym dywanie – i już jej nie było. Więc tym razem Boon złapał mnie. Wściekłość go roznosiła. Ned to szczęściarz, musiał się troszczyć tylko i jedynie o konia.

– Przyjrzyj mi się – mówił Boon. – Przyjrzyj mi się dobrze. Co jest ze mną, u diabła, nie w porządku?! Przecież bywało, że... – Wydawało się, że twarz mu trzaśnie. Zaczął od nowa: – I dlaczego ja? Dlaczego, psiakrew, ja? Dlaczego, do ciężkiej cholery, musiała wybrać właśnie mnie na to swoje nawrócenie? Do czorta, przecież to jest kurwa, czy ona tego nie może zrozumieć? Pracuje w płatnym interesie, płaci się jej za to, że należy wyłącznie do mnie z chwilą, kiedy się znajdzie tam gdzie ja, tak jak mnie płaci się za to, że jestem wyłączną własnością Szefa i pana Maury'ego z chwilą, gdy znajdę się tam gdzie oni. Ale ona to teraz rzuca!

Z prywatnych powodów. Nie może dłużej. Nie ma żadnych prywatnych praw do rzucenia tego bez mojej zgody, tak jak ja nie mam żadnych prywatnych praw do rzucenia pracy bez zgody Szefa i pana Maurycego... – Przerwał, wściekły i nie rozumiejący, rozszalały i bezradny, a co więcej: przerażony. W drzwiach stał czarny kelner, potrzepując serwetką. Boon zrobił olbrzymi wysiłek. Ned, który miał tylko konia wyścigowego i zwycięstwo na głowie, nie wyobrażał sobie nawet, co to znaczy kłopot. – Idź i powiedz jej, żeby przyszła na kolację. Musimy wyjść na ten pociąg. Mieszka pod piątym.

Ale ona nie chciała zejść na kolację, wobec tego Boon i ja jedliśmy sami. Twarz jego nie wyglądała wiele lepiej. Jadł tak, jak się miele mięso w maszynce; nie jakby chciał czy nie chciał jeść, ale jakby po prostu przyszła pora na jedzenie. Po chwili ja zacząłem:

– Może wędruje na piechotę do Arkansas? Mówił dzisiaj kilka razy, że już by tam był, gdyby mu nie przeszkodziło.

– Pewno – odparł Boon. – Może ruszył przodem, żeby jej wyszukać te talerze do zmywania. A może on też postanowił się nawrócić i razem pójdą prosto do nieba bez żadnych przystanków w Arkansas ani gdzie indziej, a on tylko ruszył przodem i sprawdza, jak przejść przez Memphis, żeby ich nikt nie zauważył. – Pora już była jechać na stację. Od dwóch minut widziałem skraj jej sukni za drzwiami stołowego, a teraz zjawił się kelner.

– Dwieście ósmy gwizdał przed chwilą na skrzyżowaniu w One Mile, proszę pana – powiedział. Udaliśmy się więc na stację, która była tuż obok hotelu, i szliśmy tak, cała trójka – ot, jednodniowi i przygodni goście hotelowi. Chodzi mi o to, że nie kłóciliśmy się... to jest oni nie kłócili się już, mogliby nawet rozmawiać spokojnie o błahych sprawach, to znaczy Everbe mogłaby mówić, tylko Boon musiałyby zacząć rozmowę. Tak, stacja była niedaleko, musieliśmy tylko przejść przez szyny i wyjść

na peron; już było widać pociąg, a ci dwoje (Boon i Everbe) wciąż skuci ze sobą, lecz wzajem niechętni, wciąż obcy sobie, ale nierozzerwalni, wciąż powiązani – a rozdzielani przez coś, co Boon uważał za kaprys jedynie. Bo on (Boon) mimo swego wieku był niewiele starszy ode mnie i nie wiedział nawet, że kobiety nie miewają kaprysów, tak jak nie miewają wątpliwości i złudzeń czy kłopotów z gruczołem krokowym. Pociąg, a właściwie lokomotywa przejechała przed nami jak syczący grzmot, sypiąc iskrami z klocków hamulcowych. To był ten długi, wielki pociąg, pocisk, pociąg ekspresowy: wagony bagażowe, wagon palarnia, w połowie przeznaczony dla czarnych, potem wagony osobowe, wreszcie nieskończona ilość pulmanów i na końcu wagon restauracyjny, wszystko zwalniało; był to pociąg Sama Caldwell'a i jeśli Everbe z Otisem podróżowali do Parsham w wozie służbowym dalekobieżnego pociągu towarowego, to panna Reba powinna podróżować w salonie, jeśli jeszcze nie siedzi w prywatnym wagonie prezydenta; pociąg stanął wreszcie, lecz nie otworzyły się żadne drzwi, nie pojawił się portier w białym surducie ani konduktor, a przecież Sam musiał nas wyglądać; wreszcie Boon zawołał: – Do diabła, w palarni! – i zaczął biec. Wówczas zobaczyliśmy ich daleko przed nami: Sam Caldwell w uniformie stał na peronie i podawał rękę pannie Rebie, za którą ktoś wychodził, jakaś druga kobieta; obie wysiadały nie z palarni, ale z drugiej połowy wagonu, przeznaczonej dla czarnych; pociąg – był to ekspres do Waszyngtonu i Nowego Jorku, pocisk unoszący bogate wybrylantowane damy i mężczyzn palących dolarowe cygara w cieplarnianej, izolowanej trans mi gracji przez świat – już ruszał i Sam zdążył jedynie machnąć nam ręką ze stopnia, i natychmiast pociąg zaczął nikać nam z oczu w kierunku wschodnim przy akompaniamencie krótkich urywanych sapań, długich gwizdów; wreszcie widzieliśmy już tylko dwie czerwone, bliźniacze, gasnące lampy; a dwie kobiety stały pośród walizek i tobołków na pustym peronie, panna Reba

śmiała, ładna i szykowna, koło niej zaś Minnie wyglądająca jak śmierć.

– Miałyśmy przykrości – oświadczyła panna Reba.

– Gdzie ten hotel? – Poszliśmy więc do hotelu. Tam, w oświetlonym hallu, mogliśmy się przyjrzeć Minnie. Twarz jej nie była jak śmierć. W śmierci jest spokój. To, co wróżyła zamyślona ponuro twarz o zaciśniętych ustach, nie było spokojem, a wróżba przeznaczona była dla kogoś określonego. Wszedł recepcjonista. – Moje nazwisko: Binford – oświadczyła panna Reba. – Otrzymałście mój telegram w sprawie kanapki dla służącej w moim pokoju?

– Tak jest, proszę pani – odparł recepcjonista. – Mamy oddzielne pomieszczenia dla służby i oddzielną jadalnię.

– To je sobie miejcie. Powiedziałam: kanapka w moim pokoju. Chcę ją mieć przy sobie. Zaczekamy w salonie, póki tego nie załatwicie. Gdzie to jest? – Ale już znalazła salonik dla dam i ruszyła w tamtym kierunku, a my za nią.

– Gdzie on jest? – zapytała.

– Gdzie jest kto? – nie rozumiała Everbe.

– Wiesz, kto – odparła panna Reba. I nagle ja też wiedziałem, kto, i wiedziałem, że jeszcze chwila, a zrozumiem, dlaczego. Ale nie wystarczyło mi czasu. Panna Reba usiadła. – Siadaj – rozkazała Minnie. Minnie ani drgnęła. – No więc dobrze – zniecierpliwiła się panna Reba. – Powiedz im. – Minnie uśmiechnęła się do nas. To było straszne: szaleńcze, drapieżne rozwarcie, bolesna, żarłoczna rana, z której wyłaniały się piękne, niezrównane zęby, łuk z czarną jamą w miejscu złotego zęba. Wiedziałem teraz, dlaczego Otis musiał uciekać z Parsham choćby nawet piechotą. O, tak, w owej chwili, pięćdziesiąt sześć lat temu, przeżywałem to, co ty teraz: wstrząs i pełne przerażenia niedowierzanie, aż wreszcie Minnie i panna Reba powiedziały nam wszystko.

– To on – mówiła Minnie. – Wiem, że to on! Zabrał mi go, kiedy

spiałam.

– Do diabła! – zawołał Boon. – Ktoś ci wyciągnął ząb z gęby, a ty nic nie wiedziałaś?

– Słuchaj, do pioruna! – przerwała panna Reba. – Ten ząb był tak zrobiony, że Minnie mogła go wkładać i wyjmować, taki zamówiła, a pracowała na niego dodatkowo, oszczędzała i ciulała przez tyle lat! Ile to było, Minnie, trzy, prawda? Aż wreszcie uzbierała dość pieniędzy, by zapłacić za wyjęcie własnego zęba i wstawienie tego przekłętego złotego. Och, oczywiście, robiłam, co mogłam, żeby ją od tego odwieść – marnować ten komplet wspaniałych prawdziwych zębów, za które każdy zapłaciłby po tysiąc dolarów za sztukę, nie mówiąc już o reszcie! I nie mówiąc o dodatkowym koszcie za zrobienie tego zęba tak, żeby go mogła wyjmować do jedzenia.

– Wyjmować do jedzenia? – zdumiał się Boon. – Na co ona, u licha, oszczędza zęby?

– Chciałam, żeby ten ząb wystarczył na bardzo długo – tłumaczyła Minnie. – Tyle na niego pracowałam i oszczędzałam, tyle brałam dodatkowych robót! Nie chciałam, żeby mi się mieszał z jakimś tam zaślinionym jedzeniem.

– No więc wyjmowała go przed posiłkiem – ciągnęła panna Reba – i kładła tuż przy talerzu tak, żeby go przez cały czas mieć na oczach, nie tylko pilnować, ale i cieszyć się nim przy stole. Ale on nie wtedy go ściągnął. Minnie powiada, że po śniadaniu włożyła ząb z powrotem, a ja w to wierzę, bo nigdy jeszcze o nim nie zapomniła, taka była z niego dumna – tyle był wart, tak drogo ją kosztował – moglibyście równie dobrze zostawić gdzieś bez opieki waszego przekłętą konia, który prawdopodobnie kosztował was kupę forsy, więcej niż złoty ząb, i zapomnieć o nim...

– Nigdy nie zapominałam – przerwała jej Minnie. – Włożyłam go z

powrotem natychmiast po jedzeniu, pamiętam. Tylko byłam zmordowana, leciałam z nóg...

– To prawda – przerwała tym razem panna Reba. Mówiła teraz do Everbe: – Ja chyba byłam dobrze pod gazem, kiedy przyszliście wczoraj wieczorem. Dopiero o świcie na tyle mi rozum wrócił, żeby dać spokój, a słońce już stało wysoko, kiedy wreszcie namówiłam Minnie, żeby zdrowo łyknęła dżinu, sprawdziła, czy frontowe drzwi są zaryglowane, i wróciła do łóżka, potem poszłam sama na górę, obudziłam Jackie i przykazałam jej, żeby nie otwierała budy, choćby wszystkie rozparzone skurwysyny z całego Południa stuknęły do drzwi, i żeby zaczęła wpuszczać dopiero po szóstej wieczorem. Więc Minnie wróciła i położyła się na kanapce w składziku, który wychodzi na ganek kuchenny. Z początku myślałam, że zapomniała zamknąć drzwi na klucz...

– Pewno, że zamknęłam – obruszyła się Minnie. – Przecież tam stoi piwo. Trzymałam drzwi zamknięte na klucz, odkąd ten chłopak do nas przyjechał, bo pamiętam go jeszcze z zeszłego lata, kiedy był u nas z wizytą.

– No i leżała – ciągnęła panna Reba – zmęczona jak pies i spała twardo na kanapce przy drzwiach zamkniętych na klucz, nie wiedząc o bożym świecie, aż...

– Obudziłam się – mówiła Minnie. – Taka byłam zmęczona i wykończona, że za twardo spałam, jak to czasem bywa. I kiedy tak leżałam, to mi się wydało, że mam coś dziwnego w ustach. Ale pomyślałam sobie, że pewno mi się przylepił do zęba kawałek czegoś, chociaż tak uważam, aż wreszcie wstałam, podeszłam do lusterka i widzę...

– Dziw, że nie słyszeli tego wrzasku w Chattanooga, nie mówiąc już o Parsham – przerwała jej panna Reba.

– A drzwi wciąż były zamknięte na klucz....

– To on! – wrzasnęła Minnie. – Wiem, że to on! Nie dawał mi spokoju,

co dzień pytał, ile ten ząb kosztował, dlaczego go nie sprzedaje, ile bym mogła za niego dostać i dokąd bym poszła, gdybym go chciała sprzedać...

– Na pewno – zgodziła się panna Reba. – Dlatego właśnie darł się, jakby go kto obdzierał ze skóry, kiedy mu powiedziałaś przed południem, że nie wraca do domu, ale jedzie z tobą do Parsham. – Mówiła teraz do Everbe.

– Więc kiedy usłyszał gwizd pociągu, to zwał, co? Jak myślisz, gdzie on teraz może być? Bo ja mam zamiar odnaleźć ten ząb Minnie.

– Nie wiemy – odpowiedziała Everbe. – Zniknął nam z bryczki gdzieś koło wpół do szóstej. Myśleliśmy, że znajdziemy go tutaj, bo przecież nie ma dokąd iść. Ale jeszcześmy go nie znaleźli.

– Może nie szukaliście jak należy – wzruszyła ramionami panna Reba. – On nie z takich, co przychodzą na gwizdnięcie. Trzeba go wykurzyć, jak szczura czy węża.

– W tym momencie wszedł recepcjonista. – Wszystko gotowe? – spytała panna Reba.

– Tak, proszę pani. Panna Reba wstała.

– Przypilnuję, żeby się Minnie położyła, i posiedzę z nią, póki nie zaśnie. Potem chciałabym zjeść kolację – zwróciła się do recepcjonisty. – Byle co...

– Już dosyć późno – oponował. – W jadalni...

– A za chwilę będzie jeszcze później – oświadczyła panna Reba. – Byle co. Chodź, Minnie. – Wyszła razem z Murzynką. Recepcjonista też wyszedł. Staliśmy tak, żadne z nas nie usiadło. Ona – Everbe – nawet nie drgnęła; duża dziewczyna, której z nieruchomością było do twarzy; i z bólem również, jeśli to był ból znieruchomiały, jak teraz. Tylko może to był nie tyle ból, co wstyd.

– Nigdy nie miał na tym odludziu żadnych możliwości – zaczęła. – I dlatego myślałam... Chciałam go stamtąd zabrać zeszłego lata

choćby na jeden tydzień... A potem i w tym roku, zwłaszcza kiedy wy przyjechaliście... i jak zobaczyłam Luciusa, to zaraz wiedziałam, że takim właśnie chciałam go całe życie widzieć, tylko nie miałam pojęcia, jak mu to wytłumaczyć, jak go tego nauczyć. Więc myślałam sobie, że może gdyby pobył w towarzystwie Luciusa choćby przez kilka dni...

– No tak – powiedział Boon. – Ogląda... – Podeszedł do niej, jakiś taki niezręczny. Nie próbował jej teraz objąć. Tak naprawdę to nawet jej nie dotknął. Poklepał ją tylko po plecach. Wydawało się, że jego ręka uderza równie ciężko, mocno i tępo, jak niedawno uderzyła go ręka Butcha. Ale tak nie było. – Nie martw się – pocieszał ją.

– To nic, powiadam ci. Robiłaś, co mogłaś. Postępowałaś jak należy. Chodź teraz. – Znowu wszedł kelner.

– Pański stangret czeka w kuchni, proszę pana – powiedział.

– Mój stangret? – zdziwił się Boon. – Nie mam żadnego stangreta.

– To Ned – ruszyłem pierwszy. Za mną Everbe, za nią Boon. Prowadził kelner. Ned stał tuż koło kucharki, olbrzymiej Murzynki, która wycierała talerze przy zlewie. Mówił:

– Jeśli martwisz się o pieniądze, ślicznotko, to ja jestem ten właśnie... – tu zobaczył nas i błyskawicznie odczytał myśli Boona. – Niech pan się nie martwi. Jest tam, u Possuma. Co on tym razem zbroił?

– Co? – zdumiał się Boon.

– Otis – powiedziałem. – Ned go znalazł.

– Nie ja – poprawił Ned. – Ja go tam nie gubiłem. Znalazły go ogary wujka Possuma. Zapędziły go na młodego gumowca za kurnikiem jaką godzinę temu, aż wreszcie Likurg poszedł i ściągnął go stamtąd. Nie chciał ze mną przyjeżdżać. Po prawdzie to tak się zachowywał, jakby nie miał zamiaru w ogóle nigdzie jeździć. Co on tym razem przeszkrobał? – Powiedzieliśmy mu. – Więc ona też tu jest? – spytał cicho. – Hi, hi, hi. – A potem: – To jego już nie będzie, jak wrócę.

– Jak to? – zdumiał się Boon.

– A pan by był na jego miejscu? On wie, że dziewczyna musiała się już do tego czasu obudzić i zobaczyć, że nie ma zęba. Wystarczająco długo zna pannę Rebę, żeby wiedzieć, że ona nie daruje, póki go nie złapie, nie przenicuje i nie wytrzęsie z niego tego zęba, choćby go nie wiem gdzie schował. Sam mu powiedziałem, dokąd jadę na mule, a każdy u Possuma powie mu, o której przyjeżdża pociąg i ile czasu zabiera droga ze stacji. Czy pan by tam jeszcze był, gdyby pan miał ten ząb?

– No więc dobrze – zgodził się Boon. – Ale co on z nim zrobi?

– Gdyby to był ktokolwiek inny, nie on – zastanawiał się Ned – powiedziałbym, że ma trzy możliwości z tym zębem: sprzedać go, schować albo komuś oddać. Ale że to on, ma tylko dwie: sprzedać albo schować. Tylko gdyby ten ząb miał być schowany, to dla niego równie dobrze mógłby tkwić w gębie tej dziewczyny. Najlepsze miejsce na szybką sprzedaż złotego zęba to Memphis, ale Memphis jest za daleko, żeby on miał tam iść piechotą, a gdyby chciał jechać pociągiem (co kosztuje pieniądze, ale on je pewno ma, tylko musiałyby być całkiem zdesperowany, żeby wydawać swoje), to musiałyby wprawdzie przyjechać na stację do Possum, gdzie ktoś mógłby go zobaczyć. Więc następnym dobrym miejscem na szybką sprzedaż tego złotego zęba będzie jutro tor wyścigowy. Gdybym to był ja czy pan, to może byśmy postawili ten złoty ząb na jednego z koni, ale on nie z tych, co się zakładają. Gra na wyścigach to dla takich za powolny zarobek, no i niepewny. Tak, tor wyścigowy to najlepsze miejsce i trzeba się tam będzie jutro za nim rozglądać. Szkoda, że nic nie wiedziałem o tym zębie, kiedy dzisiaj miałem chłopaka w rękach. Może bym mu go wyperswadował. A potem, gdyby to był mój chłopak, to zaprowadziłbym go jutro rano na stację, na pociąg pana Sama Caldwell, ten o szóstej czterdzieści, na zachód, oddałbym go panu Samowi i prosił, żeby go nie wypuszczał z rąk, aż się za nim drzwi nie zamkną w najwcześniejszym

pociągu, jaki odjedzie jutro do Arkansas.

– Czy potrafisz go jutro znaleźć? – zapytała Everbe. – Muszę go odszukać. To jeszcze dziecko. Zapłacę za ten ząb, kupię Minnie drugi. Ale muszę odnaleźć Otisa. Powie, że go nie zabrał, że go nigdy na oczy nie widział, ale ja muszę...

– No, pewno – zgodził się Ned. – Ja bym też tak powiedział, gdybym był nim. Spróbuję. Przyjadę tutaj wczesnym rankiem po Luciusa, ale największe szansę będą na torze tuż przed wyścigiem. – Potem zwrócił się do mnie: – Ludzie już tak od niechcenia przechodzą niby to obojętnie koło parceli Possuma, pewno chcą sprawdzić, czy kto jeszcze wierzy, że ten koń potrafi biegać. Więc bardzo możliwe, że będziemy mieli jutro niezły tłum. Już późno, idź spać, a ja zabiorę tego muła Possuma i też położę go spać. Gdzie twoja skarpetka? Nie zgubiłeś jej?

– Mam ją w kieszeni.

– Pilnuj, żeby jej nie zgubić – ostrzegął mnie. – Druga od pary jest z lewej nogi, a skarpetka z lewej nogi przynosi nieszczęście, chyba że nosisz obydwie. – Obrócił się, lecz poszedł tylko do miejsca, gdzie stała tłusta kucharka. – Chyba że zmienię plany i zostanę na noc w mieście. O której dajesz śniadanie, ślicznotko?

– Zaraz, jak zabierzesz głębę na tyle daleko, żebyś go nie mógł zjeść – odparła kucharka.

– Dobranoc wszystkim – powiedział Ned i już go nie było. Wróciliśmy do jadalni, gdzie kelner, już w koszuli z krótkimi rękawami, bez kołnierzyka i krawata, podawał pannie Rebie półmisek kotletów wieprzowych, owsiankę, biskwity i dżem z czarnych porzeczek, to samo, co my dostaliśmy na kolację, ani gorące teraz, ani zimne, tylko letnie. – Można by powiedzieć; kolacja w dezabilu, tak samo jak i kelner.

– Położyłaś ją spać? – zapytała Everbe.

– Tak – odparł panna Reba. – Ten mały skurwy... – tu urwała. –

Przepraszam. Sądziłam, że widziałam już wszystko w moim zawodzie, ale nigdy nie przypuszczałam, że kiedyś w jednym z moich domów ukradną komuś ząb. Nie cierpię takich małych bękartów. Są jak małe węże. Można sobie dać radę z dorosłym wężem, bo człowiek z góry wie, że musi się pilnować. Ale taki mały potrafi cię ugryźć w tyłek, nim zdążysz zauważyć, że ma zęby. Gdzie moja kawa? – Kelner przyniósł kawę i wyszedł. I nagle nawet w tym wielkim, zasłoniętym pokrowcami jadalnym zrobiło się tłoczno; za każdym razem, kiedy Butch z Boonem znajdowali się w jednych i tych samych czterech ścianach, wszystko się mnożyło, pęczniało nie pozostawiając miejsca na nic innego. On – Butch – pewno znowu odwiedzał doktora, a może jak się nosi taką blachę, to się wie, kto nie odmówi szeryfowi kieliszka za darmo. Robiło się już późno, ja byłem zmęczony, a tu znowu on. Nagle zdałem sobie sprawę, że on nam jeszcze nie pokazał naprawdę, co potrafi, i że dopiero teraz zaczyna z nami na serio; stał tak w drzwiach, wypięty, pewny siebie, z błyszczącymi oczyma, podniecony i nieco czerwien szy niż poprzednio; zdawało się, że nawet jego gwiazda wydyma się do nas z jego spoconej koszuli, jakby żyła własnym życiem, bo on, Butch, nosił ją nie w charakterze oficjalnego godła swego wyjątkowego powołania, ale tak jak harcerz nosi odznakę sprawności: jako i niezwykle, ciężko zdobytą nagrodę, i symbol swojej specjalności, i rozgrzeszenie z góry za wszystkie postępki, zawierające się i zamykające w mistycznym kręgu tej specjalności. Everbe wstała szybko zza stołu, obeszła go niemal pędem i usiadła na krześle koło panny Reby, na którą teraz patrzył i wydymał się Butch. I wtedy właśnie przesunąłem Boona o jeden szczebel niżej, stwierdzając, że Everbe będzie miała więcej niż on kłopotów. Boon miał przeciwko sobie tylko Butcha, a ona miała ich obydwu.

– No, proszę – zaczął Butch – czyżby cała ulica Catalpa przeniosła się do Possum? – i dlatego z początku myślałem, że może on jest jaki

przyjaciel albo przynajmniej znajomy z pracy panny Reby. Ale nawet jeśli tak było, to nie pamiętał jej imienia. Tylko że ja, mając jedenaście lat, już się nauczyłem, że są ludzie tacy jak Butch, którzy pamiętają innych jedynie wtedy, kiedy tamci są im bezpośrednio potrzebni, a jemu była teraz potrzebna (w każdym razie przydałaby się) druga kobieta, wszystko jedno jaka, byleby była młoda i niebrzydka. Nie, właściwie to on jej nie potrzebował; on przypadkiem spotkał jedną na drodze i jak lew gotów był walczyć o nią z innym lwem, co do którego miał zupełną pewność zwycięstwa; lecz byłby mimo to głupcem, gdyby nie próbował mu podrzucić (temu drugiemu lwu, oczywiście) ot, tak, można by powiedzieć, na szczęście, innej antylopy, gdyby ją przypadkiem znalazł również błakającą się na drodze. Tylko że okazało się, iż panna Reba to nie antylopa. Butch napotkał w niej bowiem trzeciego lwa. Butch zaczął mówić: – Ot, jaki to mądrała ten nasz Lubuś! Co za brednia, żebyśmy się z nim użerali o jeden kawałek mięsa, kiedy mamy drugi, kubek w kubek taki sam, jeśli idzie o niezbędne detale, tyle że może różni się trochę powłoką.

– Kto to taki? – zapytała panna Reba, zwracając się do Everbe. – Twój przyjaciel?

– Nie – odparła Everbe teraz niemal skulona; duża dziewczyna, za duża na takie kulenie się. – Proszę...

– Sama pani słyszy – wtrącił się Boon. – Ona już nie będzie miała żadnych przyjaciół. Nie chce. Rzuca pracę, zostawia interes. Zaraz jak skończymy przegrywać te wyścigi, wyjedzie gdzieś i weźmie się do roboty przy zmywaniu talerzy. Niech pani ją spyta.

Panna Reba spoglądała na Everbe. – Proszę... – powtórzyła Everbe.

– Czego pan chce? – spytała panna Reba Butcha.

– Niczego – odpowiedział. – Niczego nie chcę. Ja z Lubusiem trochę naskakiwaliśmy na siebie, ale teraz, kiedy się pani zjawiała, wszystko jest w zupełnym porządeczku. A niech mnie skręci! – Podszedł i wziął

Everbe za ramię. – Chodź no, bryczka czeka na dworze. Dajmy im trochę swobody.

– Zawołaj kierownika – zwróciła się do mnie całkiem głośno panna Reba. Ale ja nie potrzebowałem się ruszać z miejsca: pewno gdybym był patrzył, tobym zobaczył za drzwiami skrawek jego ubrania. Wszedł. – Czy ten człowiek to przedstawiciel prawa tutaj? – zapytała panna Reba.

– Tak, wszyscy znamy pana Butcha, proszę pani – odparł. – Nie słyszałem, żeby kto miał więcej przyjaciół w Parsham. Mówiąc dokładnie, jest on, rzecz jasna, z Hardwick, my tu w Parsham nie mamy zastępcy szeryfa, miasto jest na to jeszcze za małe. – Tryskające, buchające z Butcha ciepło ogarniało recepcjonistę, zapraszało go do środka, nim jeszcze wszedł w drzwi, i zdawać by się mogło, że on, recepcjonista, rzucił się w nie na głowę i pograżył niby szczur w beczce miodu. Lecz spojrzenie Butcha było teraz zimne i ostre.

– Może w tym właśnie tkwi przyczyna waszych nieporządków – zwrócił się do recepcjonisty. – Może dlatego nie znać tu postępu, tylko wciąż drepciecie w miejscu. Może potrzeba wam tutaj więcej przedstawicieli prawa.

– Ojej, Butch – oponował recepcjonista.

– Czy to znaczy, że może tu wejść z ulicy pierwszy lepszy i wciągnąć do najbliższego łóżka każdą z mieszanek tego hotelu, jakbyście prowadzili burdel? – zapytała panna Reba.

– Gdzie kogo ciągnąć? – zdziwił się Butch. – I czym? Dwudolarowym banknotem?

Panna Reba wstała.

– Chodź – zwróciła się do Everbe. – Dziś wieczór odchodzi jeszcze jeden pociąg do Memphis. Znam właściciela tej nory. Sądzę, że pójde się z nim zobaczyć jutro...

– Oj, Butch – powtórzył recepcjonista. – Niechże pani zaczeka, pani

Binford.

– Wracaj do hallu, Virgil! – rozkazał Butch. – Do listopada tylko cztery miesiące, w każdej chwili może tu wejść jakiś milioner z dwoma rodowodowymi wyżłami, a w hallu nie będzie nikogo, kto by mu pokazał, gdzie ma wpisać nazwisko. Idź! Wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi. – Recepcjonista wyszedł. – No, a teraz, kiedy droga wolna... – Butch złapał znowu Everbe za ramię.

– Wobec tego pan mi sam wystarczy – oświadczyła panna Reba. – Wyjdźmy razem na dwór albo chodźmy gdzieś, gdzie można pomówić bez świadków. Mam panu coś do powiedzenia.

– Na jaki temat? – zdziwił się Butch, lecz ona nie odpowiedziała, tylko ruszyła już ku drzwiom. – Bez świadków? – powtórzył Butch. – Proszę bardzo, jeśli nie będę potrafił usłużyć bez świadków ładnej dziewczynie, zawsze pozwolę Lubusiowi mnie zastąpić. – Wyszli. Zniknęli nam z oczu za drzwiami saloniku dla pań na minutę, a może trochę dłużej. Panna Reba wróciła pierwsza, równym krokiem, twarda, ładna i opanowana, w sekundę później Butch, który mówił: – To tak? No cóż, zobaczymy. – Panna Reba podeszła spokojnie do nas i przyglądała się, jak Butch przechodzi przez hali, nie patrząc nawet w naszym kierunku.

– Załatwione? – spytała Everbe.

– Tak – odparła panna Reba. – A to się również odnosi do ciebie – zwróciła się do Boona. Potem spojrzała na mnie: – Chryste! – powiedziała.

– Co pani z nim, u diabła, zrobiła? – spytał Boon.

– Nic – odparła mu przez ramię, bo patrzyła na mnie. – Myślałam, że znam wszystkie na świecie burdelowe problemy. Ale poznałam je dopiero wtedy, jak się dzieci wmieszały w moje interesy. Ty sprowadziłaś jedno – mówiła teraz do Everbe – które wypędziło z domu gospodarza, pokradło wszystkie sztuczne zęby i piwa za czternaście dolarów; a jakby tego było nie dość, Boon Hogganbeck przywiózł drugie, które mi sprowadza moje

dziewczyny na drogę biedy i cnoty. Idę teraz do łóżka, a wy...

– Ale – przerwał jej Boon – co mu pani powiedziała?

– Jak się nazywa to twoje miasto? – spytała go panna Reba.

– Jefferson.

– Wy wszyscy, ludzie z wielkich miast jak Jefferson i Memphis ze swoimi wielkomijskimi wyobrazeniami, nie macie pojęcia o Prawie. Trzeba na to przyjeżdżać do małych dziur, jak Parsham. Wiem, bo sama chowałam się w takiej. Chodzi o konstabla. Taki mógłby przez tydzień siedzieć w Jefferson albo w Memphis i nawet byście go nie zauważyli. Ale tu, wśród tych, co go wybrali (większość, która go przegłosowała, to dwanaście czy trzynaście osób, a mniejszość to dziewięć, dziesięć albo jedenaście osób, które na niego nie głosowały i teraz bardzo tego żałują albo wkrótce zaczną żałować), ma w nosie szeryfa okręgu, ma w nosie gubernatora stanu i prezydenta Stanów Zjednoczonych i wszystkich trzech razem wziętych. Ponieważ jest baptystą. To znaczy najpierw jest baptystą, a potem przedstawicielem prawa. Jeśli może być jednocześnie i baptystą, i przedstawicielem prawa, to będzie. Ale za każdym razem, gdy prawo wchodzi w paradę nieproszone, to wie dobrze, ile może zdziałać i gdzie. Powiadają, że stary faraon niezgorzej dawał sobie radę z królowaniem i jeszcze jeden taki stary, w biblijnych czasach, co się nazywał Cezar, też był nie od rzeczy. Ale obaj powinni byli przyjechać do nas i przyjrzeć się kiedy konstablowi z Arkansas, Missisipi czy Tennessee.

– Ale skąd wiedziałaś, kto on jest? – pytała Everbe. – Skąd w ogóle wiedziałaś, że on tu jest?

– Wszędzie jest taki. Czy nie mówiłam ci przed chwilą, że wyrosłam w podobnym miejscu jak Parsham i tkwiłam w nim, póki mogłam wytrzymać? Nie muszę wiedzieć, kto on jest. Wystarczyło, żebym dała temu bydłakowi do zrozumienia, że wiem, że tu jest taki. Teraz mam zamiar...

– Ale co mu pani powiedziała? – nalegał Boon. – Proszę powtórzyć. Może mi się to przyda...

– Mówiłam ci już, że nic – odparła panna Reba. – Gdybym do dzisiaj nie umiała dawać sobie rady z tymi przekłętymi ogierami, co to jedną ręką trzymają się za blaszaną gwiazdę, a drugą za rozporek, tobym od dawna siedziała w przytułku. Powiedziałam mu, że jeśli jeszcze raz zobaczę tu dzisiaj jego gębę, to każę temu durniowi z recepcji obudzić konstabla i powiedzieć mu, że zastępca szeryfa z Hardwick zarejestrował właśnie dwie kurwy z Memphis w hotelu Parsham. Idę teraz do łóżka, a wy, radzę, zróbcie to samo. Chodź, Corrie. Świadczyłam dzisiaj przy tym recepcjoniście o twojej znieważonej cnocie, więc musisz jej teraz strzec, przynajmniej na jego oczach. – Obie wyszły. Potem i Boon zniknął, pewno poszedł za Butchem do drzwi frontowych, żeby się upewnić, czy bryczka odjechała. Wtem Everbe spadła na mnie, taka wielka, wielka dziewczyna, szepcząc gwałtownie:

– Nie przywoźeś ze sobą nic, prawda? Myślę o ubraniu. Nie zmieniaeś go od wyjazdu z domu?

– A co jest złego w moim ubraniu? – spytałem.

– Chcę je uprać. Bieliznę, skarpetki i bluzkę. I tę skarpetkę, w której jeździsz. Chodź, zdejmij wszystko.

– Ale ja nie mam co na siebie włożyć.

– To nic nie szkodzi. Pójdiesz do łóżka. Będziesz miał wszystko przygotowane, jak wstaniesz. Chodź! – No i stała pod progiem, póki się nie rozebrałem i nie wysunąłem jej przez szparę w drzwiach bielizny, bluzki i skarpet, i skarpetki, w której jeździłem, a ona powiedziała „dobranoc”, ja zaś zamknąłem drzwi i położyłem się do łóżka; i wciąż czułem, że coś pozostało nie zakończone, czegoś nie dopilnowaliśmy jeszcze, nie zrobiliśmy. Brakowało mi sekretnej przedwyścigowej narady; cichego, ponurego, zawziętego spisku na temat jutrzejszej strategii. I wreszcie

zdałem sobie sprawę, że mówiąc otwarcie, nie mamy żadnej strategii; nie mamy czego planować i z kim planować; koń, którego przynależność prawna jest wątpliwa, a nawet (chyba że Ned istotnie wie) nieznaną, o którego przeszłości wiemy tylko to, że uparcie biega akurat tak szybko, by skończyć gonitwę jako drugi, koń, który ma jutro stanąć do wyścigów, lecz gdzie, tego dokładnie nie wiem, i ścigać się z koniem, którego żaden z nas nigdy nie widział i którego istnienie (przynajmniej jeśli idzie o nas) trzeba było przyjąć na wiarę. I wreszcie zdałem sobie sprawę, iż z wszystkich zajęć ludzkich wyścigi konne oraz wszyscy, którzy są nimi zainteresowani i mają z nimi coś wspólnego, znajdują się z największą pewnością w ręku Boga. Potem wszedł Boon; ja leżałem już w łóżku i zasypiałem.

– Gdzie podziałeś swoje rzeczy? – zapytał.

– Everbe je pierze – odparłem. On ściągnął już spodnie i buty i sięgał właśnie ręką, by zgasić światło; zastygł, znieruchomiał w tej pozie.

– Coś ty powiedział? – Ja leżałem teraz całkiem rozbudzony, ale było już za późno. Leżałem bez ruchu z zamkniętymi oczyma. – Jakie ty powiedziałeś imię?

– Panna Corrie.

– Powiedziałeś coś innego – czułem wprost, jak się we mnie wpatruje.

– Nazwałeś ją Everbe. – Czułem, jak na mnie patrzy. – Czy ona tak się nazywa? – Czułem, jak na mnie patrzy. – Więc powiedziała ci, jak się nazywa naprawdę! – A potem, całkiem łagodnie: – Cholera!

– i zobaczyłem poprzez przymknięte powieki, że pokój pociemniał, potem zaskrzypiało łóżko pod jego ciężarem; zawsze tak skrzypią pod nim łóżka, tyle go przecież jest, zawsze, odkąd sięgam pamięcią, zawsze, kiedy z nim spałem, każde łóżko tak pod nim skrzypiało: kilka razy w domu, kiedy ojciec wyjeżdżał, a on u nas nocował, żeby się matka nie bała, i u panny Ballenbaugh dwie noce temu, i wczoraj w Memphis...

nie, przypomniałem sobie, że to nie z nim spałem wczoraj w Memphis, z Otisem.

– Dobranoc – powiedział Boon.

– Dobranoc – odparłem.

X

A potem był już ranek, było jutro; ów dzień, w którym po raz pierwszy w życiu miałem wziąć udział w prawdziwych wyścigach konnych (a wygrawszy je, umożliwić Boonowi i Nedowi – no i sobie również, choć przecież ja byłem bezpieczny, nietykalny: nie tylko dziecko, ale i członek rodziny – więc miałem umożliwić tamtym powrót do domu, może nie z honorem, może też nie bez szwanku, ale w każdym razie powrót); no więc nadszedł dzień wyścigów, do których wiodły wszystkie te oszukaństwa i mactwa, kręctwa i wysiłki (i jakie tam jeszcze bezceństwa, o których nawet nie wiedziałem, były następstwem – no dobrze, dobrze – skutkiem tej prostej, naprawdę spontanicznej i właściwie niewinnej kradzieży dziadkowego samochodu). – Więc ona ci powiedziała, jak się naprawdę nazywa? – mówił Boon. – Bo, widzisz, teraz już przepadło; wczoraj wieczorem byłem zbyt śpiący i zapomniałem o ostrożności.

– Tak – odparłem, po czym zorientowałem się, że to nie jest prawda; ona mi tego wcale nie mówiła; nawet nie przypuszcza, że ja wiem i że od niedzieli wieczór nazywam ją Everbe. Ale już teraz przepadło. – Tylko musisz mi przyrzec, że nie wymówisz tego imienia głośno, póki ona go pierwsza nie powie.

– Przyrzekam – obiecał. – Jeszcze ci nigdy nie skłamałem. To znaczy nie skłamałem ma dobre. To znaczy... nigdy... No, dobra. Przyrzekam. – A potem powiedział, tak jak wczoraj wieczorem, łagodnie, niemal ze zdumieniem: – Cholera. – Moje ubranie, bluzka, skarpetki, bielizna i skarpetka do jazdy, wszystko leżało pięknie złożone, uprane i wyprasowane na krześle pod drzwiami naszego pokoju. Boon wręczył mi je. – Jak masz

to wszystko czyste, to musisz się znowu wykąpać – oświadczył.

– Już mi kazałeś kąpać się w sobotę.

– W zeszlą sobotę byliśmy w drodze – odparł. – Przyjechaliśmy do Memphis dopiero w niedzielę.

– No więc dobrze, w niedzielę.

– Dzisiaj jest wtorek. Minęły dwa dni.

– Jeden dzień – upierałem się. – Dwie noce, ale jeden dzień.

– Byłeś od tamtej kąpieli w podróży – mówił Boon.

– Masz na sobie dwie warstwy brudu.

– Dochodzi siódma. Już się spóźniliśmy na śniadanie.

– Możesz się najpierw wykąpać.

– Muszę się ubrać, żeby najpierw podziękować Everbe za wypranie moich rzeczy.

– Weź przedtem kąpiel!

– Zamoczę bandaż.

– Załóż sobie rękę na kark – poradził. – Tego żadną miarą nie będziesz mył.

– A dlaczego ty się nie kąpiesz? – zapytałem.

– Nie mówimy o mnie, mówimy o tobie. Ruszyłem więc do łazienki, wykąpałem się, ubrałem i poszedłem do jadalni, Ned miał rację. Wczoraj wieczorem stał tam tylko jeden stół, którego koniec nakryto dla nas. Teraz siedziało w jadalni siedmiu czy ośmiu ludzi, wszystko mężczyźni (ale to nie byli obcy, żadni przyjezdni, rozumiesz; właściwie nie znaleźliśmy ich tylko my, nie będący mieszkańcami Parsham. Żaden z nich nie wysiadł z pulmanowskiego wagonu w jedwabnej bieliźnie i z upmanowskim cygarem w zębach. Nie otwieraliśmy kosmopolitycznego sezonu zimowego w Parsham teraz, w połowie maja. Kilku mężczyzn miało na sobie kombinezony i tylko jeden nosił krawat. Byli to tacy sami ludzie jak my, tyle że tu mieszkali; mieli te same namiętności, nadzieje, ten

sam język i korzystali – Butch również – z naszego nieprzekazywalnego konstytucyjnego prawa do wolnej woli i prywatnej inicjatywy, które uczyniło z naszego kraju to, czym jest – korzystali z niego, urządzając prywatne wyścigi konne pomiędzy dwoma tutejszymi końmi; gdyby ktokolwiek, czy to zespołowo, czy indywidualnie, ktoś nawet z sąsiedniego okręgu, próbował się w to wtrącić i zmienić czy powstrzymać wyścigi lub choćby wziąć w nich udział inaczej, niż obstawiając jednego z koni, my wszyscy, zwolennicy któregośkolwiek z tych dwóch koni, powstalibyśmy jak jeden mąż i dalibyśmy temu człowiekowi właściwą odprawę). Oprócz kelnera zobaczyłem w głębi służącą w fartuszkach przechodzącą właśnie przez wahadłowe drzwi do spiżarni czy kuchni, przy naszym stole zaś – dwóch mężczyzn (jeden z nich to ten w krawacie) rozmawiających z Boonem i panną Rebę. Everbe jednak nie było i przez chwilę, przez sekundę, obezwładniła mnie straszna myśl, że Butch ostatecznie zaczął się i porwał ją siłą, może właśnie na korytarzu, kiedy niosła do naszych drzwi krzesło, na którym złożyła moje uprane ubranie. Ale trwało to tylko sekundę i było zbyt nieprawdopodobne. Jeśli wczoraj wieczorem prała moje ubranie, to może... na pewno nie kładła się jeszcze długo do łóżka i prała własne rzeczy, a może i panny Reby, i dlatego teraz śpi. Podszedłem więc do stołu, a wówczas odezwał się jeden z mężczyzn:

– To ten chłopak będzie na nim jechał? Wygląda, jakbyście obkleili mu ręce plastrami do sparringu.

– Tak – Boon podsunął ku mnie półmisek szynki; usiadłem. Panna Reba podała mi jajka i owsiankę. – Zaciął się wczoraj wieczorem przy łuskaniu grochu.

– Che, che! – zarechotał mężczyzna. – Tak czy inaczej, tym razem dżokej będzie lepszy.

– No pewno – przyznał Boon – chyba że zje wszystkie widelce i noże, jak mu się tak będziecie przyglądać, a może jeszcze chapnie na zakąskę

ruszt z kominka.

– Che, che! – rechotał tamten. – Sądząc po tym, jak ten koń biegł zeszej zimy, trzeba mu będzie czegoś więcej niż lżejszego dżokeja. Ale to pewnie sekret, co?

– No pewno – Boon znowu zabrał się do jedzenia. – Nawet gdybyśmy nie mieli żadnego sekretu, musielibyśmy udawać, że mamy.

– Che, che! – zarechotał tamten i obaj mężczyźni wstali. – No, w każdym razie życzymy szczęścia. Może się tak samo przydać temu koniowi, jak zmniejszona waga.

Potem przyszła służąca i przyniosła mi szklankę mleka i półmisek gorących biskwitów. Była to Minnie, w świeżym fartuszku i czepeczku – panna Reba wypożyczyła czy też wynajęła ją do pomocy w hotelu. Miała wciąż ten sam nieprześlągany wyraz twarzy jak osoba, na której dokonano gwałtu, ale była teraz spokojna i cicha. Wyraźnie wypoczęła, nawet musiała trochę spać, choć jeszcze nikomu nie przebaczyła. Obaj nieznanymi odeszli.

– Widzisz? – odezwała się panna Reba, nie zwracając się specjalnie do nikogo. – Trzeba tylko wiedzieć, który koń wygra, i mieć milion do postawienia.

– Słyszała pani, co mówił Ned w niedzielę wieczór – powiedział Boon. – To pani mu uwierzyła. Znaczą, pani zdecydowała, żeby mu wierzyć. Ze mną było co innego. Kiedy ten przeklęty automobil zniknął i mieliśmy tylko konia, musiałem mu uwierzyć.

– No już dobrze – uspokajała go panna Reba. – Nie wpadaj w panikę.

– A ty też przestań się martwić – zwrócił się do mnie.

– Poszła tylko na stację, na wypadek, gdyby go te psy jeszcze raz wczoraj wytropiły i gdyby Ned przyprowadził go na pociąg. Tak w każdym razie mówiła...

– Czy Ned go znalazł? – spytałem.

– Nie, Ned jest w kuchni. Możesz go sam spytać – tak przynajmniej mówiła. Aha. Jednak masz jakiś powód do zmartwienia. Panna Reba załatwiła ci tego tłumoka z gwiazdą, ale ten drugi... jak to on się nazywa – Caldwell – jechał rannym pociągiem.

– O czymże wy teraz mówicie? – zdumiała się panna Reba.

– O niczym – odparł Boon. – Ja tam już nie mam o czym mówić. Ja się wycofuję. Teraz Lucius ma dwóch rywali, tego z gwiazdą i tego w kolejarskiej czapce. – Ale ja już wstawałem od stołu, bo wiedziałem, gdzie ona jest.

– Nie będziesz nic więcej jadł? – zdziwiła się panna Reba.

– Niech mu pani da spokój – powiedział Boon. – On jest zakochany. – Przeszedłem przez hali. Może Ned miał rację, że do wyścigów konnych potrzebne są tylko dwa konie znajdujące się w odległości dziesięciu mil i mające czas na gonitwy, a wtedy już samo powietrze niesie wieści. Ale nie za próg saloniku dla dam. Pewno uważałem, że płacz pasuje do Everbe dlatego, że była dostatecznie duża, by móc płakać tyle, ile musiała, a lzy mimo to znajdowały sobie na jej twarzy dość miejsca, by obsychać, a nie cieknąć. Siedziała sama w damskim saloniku i płakała znowu – po raz trzeci, nie, czwarty, licząc te dwa razy w niedzielę wieczór. Aż wreszcie człowiek zaczynał się zastanawiać, dlaczego. Rozumiesz, nikt jej przecież nie zmuszał, by przyjeżdżała tu z nami, mogła wrócić do Memphis pierwszym lepszym pociągiem. Ale jednak była tu, a więc tu musiało być miejsce, w którym chciała być. Lecz odkąd przyjechała do Parsham, płakała już po raz drugi. Rozumiesz, moim zdaniem, nawet jeśli się miało w zapasie tyle łez co ona, nie powinno się ich marnować na Otisa. Powiedziałem:

– Na pewno nic mu nie jest. Ned go dzisiaj znajdzie. Bardzo dziękuję za upranie moich rzeczy. Gdzie jest pan Sam? Myślałem, że przyjedzie tym pociągiem.

– Musiał pojechać dalej, do Memphis, i przebrać się – odparła.
– Nie może iść na wyścigi konne w uniformie kolejowym. Przyjedzie towarowym, w południe. Nie wiem, gdzie mi się podziała chusteczka.

Znalazłem chusteczkę. – Może powinna pani umyć twarz. Jak Ned go znajdzie, to zdobędzie również ten ząb.

– Nie o ząb mi idzie – szlochała. – Kupię Minnie drugi. To o to...
On nigdy nie miał żadnych możliwości. On... Czy ty przyrzekłeś swojej matce również i to, że nigdy nie będziesz brał cudzych rzeczy?

– Tego nie trzeba nikomu przyrzekać – odparłem.

– Nie bierze się cudzych rzeczy.

– Ale przyrzekłbyś, gdyby cię o to poprosiła?

– Ona by mnie nigdy o to nie prosiła. Nie bierze się cudzych rzeczy.

– Tak – powiedziała. A potem: – Nie zostanę w Memphis. Rozmawiałam dzisiaj z Samem na stacji i on też powiada, że to dobry pomysł. Poszuka mi pracy w Chattanooga albo gdzie indziej. Ale ty będziesz dalej mieszkał w Jefferson, więc może mogłabym ci napisać kartkę, gdzie jestem, i wtedy, gdybyś miał ochotę...

– Tak – obiecałem. – Napiszę do pani. Chodźmy. Oni jedzą śniadanie.

– Jest jeszcze coś, czego nie wiesz o mnie. Nawet nie potrafiłbyś zgadnąć.

– Wiem. Everbe Corinthia. Od dwóch czy trzech dni tak panią nazywam. Owszem. Wiem to od Otisa. Ale ja nikomu nie powtórzę. Tylko nie rozumiem, dlaczego.

– Dlaczego? Takie staroświeckie imię! Możesz sobie wyobrazić, żeby ktoś tam u Reby mówił: przyślijcie tu Everbe Corinthię? Wstydziłiby się. Umarliby ze śmiechu. Więc myślałam, że je zmienię na Wonne czy Billie, czy Ken. Ale Reba powiedziała, że Corrie wystarczy.

– Bzdura – oświadczyłem.

– Uważasz, że to dobre imię? Powiedz je głośno. – Powiedziałem.

Słuchała. Potem nasłuchiwała dalej, jakby czekała na echo. – Tak – oświadczyła. – Tak się teraz mogą nazywać.

– Więc niech pani pójdzie i zje śniadanie. Ned na mnie czeka, muszę już iść. – Ale Boon wszedł pierwszy.

– Za dużo ludzi sterczy tam, pod drzwiami. Może nie powinienem był mówić tamtemu durniowi, że będziesz dzisiaj jechał na tym koniu. – Spojrzał na mnie. – Może nie powinienem był w ogóle pozwolić ci wyjeżdżać z Jefferson. – W głębi pokoju znajdowały się małe drzwiczki za zasłoną. – Chodź – powiedział Boon. Dalej był jeszcze jeden korytarz, a potem znaleźliśmy się w kuchni. Gruba kucharka stała znowu przy zlewie. Ned siedział przy stole i kończył śniadanie, ale przede wszystkim perorował:

– Ja tam nie gadam komplementów po próżnicy, bo za to moje gadanie można sobie coś kupić... – tu przerwał i natychmiast wstał. Zwrócił się do mnie: – Gotów jesteś? Czas, żebyśmy już jechali na wieś. Za dużo ludzi tu się kręci. Gdyby oni wszyscy mieli pieniądze i chcieli je postawić, i gdyby je postawili na tego konia, który przegra, i gdybyśmy my mieli pieniądze, żeby pokryć ich stawki, i wiedzieli, na którego konia stawiać, to zabieralibyśmy dziś wieczór do Jefferson nie tylko samochód, ale i całe Possum, żeby jakoś zmiękczyć serce Szefa. On jeszcze nigdy nie miał na własność całego miasta, może by mu to przypadło do gustu.

– Zaczekaj no – powstrzymał go Boon. – Nie będziemy obmyślać żadnych planów?

– Jedyń, który powinien myśleć o planach, to Grom – odpowiedział Ned. – A jedyny plan, jakiego mu trzeba, to jak wyprzedzić tamtego konia i lecieć przed nim, póki ktoś nie powie: stać. Ale wiem, o co panu chodzi. Wyścigi będą na torze pułkownika Linscomba. Pierwsza gonitwa zacznie się o drugiej. To cztery mile stąd. Ja, Grom i Lucius pokazemy się tam na dwie minuty przed startem. Pan powinien być wcześniej. Najlepiej

niech pan stąd ruszy zaraz, jak tylko pan Sam przyjedzie tym towarowym pociągami. To już jest pana i jego plan: przyjść na tor na czas, by postawić pieniądze, no i mieć te pieniądze, kiedy się tam przyjdzie.

– Zaczekaj – protestował Boon. – A samochód? Co nam przyjdzie z pieniędzy, jeśli będziemy musieli wracać do domu bez...

– Niech pan przestanie martwić się o samochód – uspokajał go Ned.
– Nie mówiłem panu, że tamci chłopcy muszą też wrócić do domu nie później niż dzisiaj wieczór?

– Jacy chłopcy? – zdumiał się Boon.

– Oj, proszę pana – powiedział Ned – cały kłopot z Bożym Narodzeniem to Nowy Rok. W tym sęk.

– Weszła Minnie z tacą brudnych talerzy – ciemna, spokojna, tragicznie drapieżna i niepocieszona maska.

– Chodź no tu, mała – zwrócił się do niej Ned. – Uśmiechnij się do mnie jeszcze raz, żebym dobrze zapamiętał wymiary i potrafił wpasować ten ząb, jak ci go wieczorem przyniosę.

– Nie daj się nabrać, dziewczyno – wtrąciła się gruba kucharka. – Może te pochlebstwa z Missisipi są coś warte tam, u niego, ale nie tu, w Tennessee. A w każdym razie nie w tej kuchni.

– Ale, czekaj... – mówił Boon.

– Niech pan tu czeka na pana Sama – prosił Ned. – On panu wszystko powie. A właściwie, kiedy ja i Lucius będziemy wygrywali te wyścigi, to pan mógłby z panem Samem wyszukać pomiędzy ludźmi Przyjemniaczka i ten ząb. – Tym razem przyjechał bryczką wuja Parshama zaprzęzoną w muła. Miał rację: malutkie osiedle zmieniło się w ciągu jednej nocy. I nie tyle pod względem liczby ludzi, których napotykał wzrok, bo nie przybyło ich od wczoraj. Zmiana zaszła w atmosferze – panowało teraz niemal ożywienie; po raz pierwszy naprawdę zdałem sobie sprawę, że za kilka godzin wezmę udział w wyścigach konnych, i nagle poczułem ostry

smak śliny na języku.

– Mówiłeś, zdaje się, wczoraj wieczorem, że Otis na pewno zwieje, nim wrócisz z miasta – zwróciłem się do Neda.

– I zwiął. Ale niedaleko. Przecież on nie ma dokąd iść. Psy ujadają tej nocy dwa razy gdzieś koło stodoły. Te psy znieubiły go tak samo szybko jak ludzie. Bardzo możliwe, że teraz, po moim wyjeździe do miasta, przyszedł do domu na śniadanie.

– Ale jeśli on sprzedaje ząb, nim go złapiemy?

– Już o tym pomyślałem – uspokoił mnie Ned. – Nie sprzedaje. Nie znajdzie nikogo, kto by kupił. Jeśli nie wróci do domu na śniadanie, Likurg ma wziąć psy, znowu zapędzić go na jakie drzewo i powiedzieć mu, że jak wczoraj wieczorem wróciłem z Parsham, to mówiłem, że pewien człowiek w Memphis ofiarowywał tej dziewczynie dwadzieścia osiem dolarów gotówką za ten ząb. On w to uwierzy. Gdybym powiedział sto dolarów czy nawet pięćdziesiąt, toby nie uwierzył. Ale w taką dziwną sumę jak dwadzieścia osiem dolarów to uwierzy, przede wszystkim dlatego, że na jego gust to będzie za mało i będzie uważał, że ten człowiek w Memphis chciał oszukać Minnie. A jak spróbuje dziś wieczór sprzedać ząb na torze wyścigowym, to nikt mu nie da nawet tyle, więc nie pozostanie mu nic innego, tylko czekać, aż będzie mógł dostać się z nim do Memphis. Przestań więc myśleć o zębie i zacznij myśleć o wyścigach. A raczej o dwóch ostatnich gonitwach. Pierwszą i tak przegramy, więc nie masz z głowy.

– Co? – zdumiałem się. – Dlaczego?

– A dlaczego nie? – wzruszył ramionami Ned. – My musimy wygrać tylko dwie gonitwy.

– Ale czemu przegrywać pierwszą? Czemu jej nie wygrać, nie wysforować się naprzód, ile tylko się da?... – Ned jechał może z pół minuty w milczeniu.

– Widzisz, cały kłopot z tymi wyścigami polega na tym, że za dużo w nich jest rozmaitych pomieszanych rzeczy.

– Za dużo czego?

– Za dużo wszystkiego – odparł. – Za dużo ludzi. Ale przede wszystkim za dużo gonitw. Gdybyśmy mieli tylko jedną, gdzieś tam, na uboczu, w jakich krzakach, bez żadnych tłumów, tylko ja, ty, Grom i ten drugi koń ze swoim jeźdźcem, wtedy byłoby w porządku. Bo stwierdziliśmy wczoraj, że raz możemy zmusić Groma do biegu. Ale dzisiaj on musi polecieć trzy razy.

– Przecież robiłeś tak, że tamten muł biegał za każdym razem?

– Ten koń to nie tamten muł – odparł Ned. – Żaden koń na świecie nie może się równać z tamtym mułem czy jakimkolwiek innym mułem. A ten koń, od którego dziś zależy, nie ma nawet tyle rozumu, co niektóre inne konie. Więc sam widzisz, w cośmy się wpakowali. Wiemy, że mogę zmusić tego konia, żeby biegł raz, i mamy nadzieję, że zmuszę go drugi raz. Ale to wszystko. Mamy tylko nadzieję. Dlatego nie możemy ryzykować tego jednego razu, co do którego jesteśmy pewni, póki nie przyjdzie mus. Więc w najlepszym wypadku możemy mieć tylko te dwa razy. A ponieważ jedną gonitwę musimy i tak przegrać, wszystko jedno którą, to lepiej niech to będzie ta, z której będziemy mogli wyciągnąć naukę na następną, czyli to musi być pierwsza gonitwa.

– Powiedziałeś o tym Boonowi? Zęby nie...

– Niech tam przegra na pierwszej gonitwie, byle tylko nie postawił na nią wszystkich pieniędzy, jakie dla niego wyskrobiał te panie. Ale tego, o ile zdążyłem poznać pannę Rebę, nie zrobi. A przez to szansę na dwie następne gonitwy będą większe. Poza tym możemy mu to wszystko, co powinien usłyszeć, powiedzieć we właściwym czasie. Więc tylko ty...

– Ale mnie nie o to chodziło – przerwałem – tylko o szef owy...

– Nie powiedziałem ci już, że ja się tym zajmuję? Daj sobie z tym

spokój. Nie mówię, daj sobie spokój z myśleniem o wyścigach, bo to jest nie do zrobienia, ale daj sobie spokój z myśleniem, jak je wygrać. Myśl tylko o tym, czego cię Grom wczoraj nauczył i jak na nim jeździć. To całe twoje zajęcie. Ja już dopilnuję reszty. Masz tę swoją skarpetkę?

– Tak – odparłem. Ale wcale nie jechaliśmy z powrotem do wuja Parshama, nawet nie w tym kierunku.

– Mamy własną, prywatną stajnię na czas wyścigów – oświadczył Ned. – Nad strumieniem w kotlinie; to własność jednego z członków kościoła Possum. Leży o niecałe pół ćwierci mili od toru, a nikt nas tam nie znajdzie i nie będzie nam zawracał głowy, chyba że sami kogo poprosimy. Likurg i wuj Possum poszli tam z Gromem zaraz po śniadaniu.

– Tor – powiedziałem. Oczywiście, musi być tor. Jakoś mi to dotąd nie przyszło do głowy. Jeśli w ogóle o tym myślałem, to chyba wyobrażałem sobie, że ktoś przyjedzie czy przyprowadzi tego drugiego konia i będziemy się ścigać tam, na pastwisku wuja Parshama.

– Tak, tak – przyznał Ned. – Regularny tor, jak na wyścigach, tylko że pół mili długi i nie ma przy nim trybun ani kiosków z piwem i whisky, które powinny być, jeśli kto chce u siebie urządzać wyścigi. To na pastwiskach pułkownika Linscomba, właściciela tego drugiego konia. Byliśmy tam wczoraj wieczorem z Likurgiem i obejrzelśmy sobie. To znaczy tor, a nie konia. Konia jeszcze nie oglądałem. Ale będziemy go mogli dzisiaj zobaczyć, w najgorszym razie jego ogon. Tylko chcemy tak zrobić, żeby przez co najmniej drugie połowy tych dwóch gonitw tamten oglądał ogon Groma. Muszę więc porozmawiać z chłopakiem, który będzie jechał na tamtym. To czarny chłopak, Likurg go zna. Chcę z nim tak porozmawiać, żeby się dopiero po wyścigach połapał, że ze mną gadał.

– Aha – mruknąłem. – Tylko jak?

– Najpierw tam dojedźmy – odparł Ned. Jechaliśmy dalej. Nie znałem tej okolicy, rzecz jasna, ale przejeżdżaliśmy na pewno przez plantację

pułkownika Linscomba czy też czyją inną – rozległe, zadbane pola młodej bawełny i kukurydzy, pastwiska solidnie grodzone, domki dzierżawców i składy bawełny na skrajach pól. Teraz mogłem już dojrzeć stajnie i stodoły i, tak naprawdę, zgrabny biały owal małego toru wyścigowego. Skręciliśmy teraz – a właściwie Ned skręcił – na mało wyjeżdżoną drogę, prowadzącą w odludny i bezpieczny, nawet tajemniczy, jeśliby i to nam było potrzebne, bukowy lasek nad rzeczką, a tam stał Grom i trzymający go przy pysku Likurg; koń był wyczyszczony, wyszczotkowany i nawet połykiwał lekko w przesianych przez liście blaskach słońca. Dalej stał uwiązany muł, na siodle zaś, które Likurg wsparł o drzewo tworząc zeń coś w rodzaju fotela, siedział wuj Parsham, dramatyczny w czerni i bieli, nawet królewski, księżę i służbista w aureoli godności swych dostatnich emerytalnych lat. I w następnej chwili już wiedziałem, co mnie niepokoi: oni wszyscy czekali na mnie. To była ta właśnie chwila, kiedy znalazłem się z Gromem w tym samym powietrzu (nie mówiąc już o wdychaniu go) o niecałe tysiąc stóp od toru wyścigowego i niewiele więcej, licząc w minutach, niż dziesiątą część tej liczby, od wyścigu – kiedy zdałem sobie sprawę nie tylko z tego, że los mój i Groma splotły się w jedno, ale że my dwaj dźwigamy na sobie również ciężar losów pozostałych, Boona i Neda, od nas bowiem zależy, na jakich warunkach oni będą mogli wrócić do domu, a właściwie, czy w ogóle będą mogli wrócić – był to mistyczny ciężar, którego nie powinno się składać na barki jedenastoletniego zaledwie chłopca. Pewno dlatego nie zauważyłem nic, a w każdym razie nie zdawałem sobie sprawy, że cokolwiek widzę oprócz Likurga, który podał powróz Groma wujowi Parshamowi, podszedł i wziął nasze cugle, a Ned zapytał: – Przekazałeś mu tę wiadomość? – i Likurg odparł: – Tak, proszę pana – a na to Ned do mnie: – Idź no i weź Groma od wuja Possuma, żeby nie musiał wstawać. – Zrobiłem, jak kazał, zostawiając Neda i Likurga stojących obok siebie przy bryczce; w chwilę później Ned

podszedł do nas, a Likurg wyprzągnął muła, podwiązał sznury i postronki uprzęży, przywiązał muła przy tamtym, który już stał, i przyłączył się do nas. Ned przykucnął koło wuja Parshama mówiąc: – Niech pan nam powie jeszcze raz o tych wyścigach zeszłej zimy. Mówił pan, że nic się wtedy nie stało. Jak wyglądało to nic?

– No, cóż – zaczął wuj Parsham. – To był wyścig z trzema gonitwami, taki jak dzisiejszy, ale odbyły się tylko dwie. Niepotrzebna już była trzecia, a może ktoś się zmęczył.

– Zmęczyło go sięganie do portfela – podsunął Ned.

– Być może – odparł wuj Parsham. – Za pierwszym razem wasz koń zaczął biec za wcześnie, za drugim za późno. A może dostał batem pierwszy raz za wcześnie, a drugi – za późno. Tak czy inaczej, za pierwszym uderzeniem wasz koń wyskoczył dobrze naprzód i szedł tak przez całe pierwsze okrążenie, nawet kiedy już bat przestał działać, bo z koniem bywa tak samo, jak z człowiekiem: może przyjąć tylko określoną ilość bicia, potem to już tylko tak, jakby kto na niego słuwał. Kiedy weszli na ostatnią prostą, można by pomyśleć, że wasz koń zobaczył przed sobą pusty tor, powiedział sobie: „Zachowuję się niegrzecznie, przecież jestem tu gościem”, zwolnił na tyle, żeby trzymać łeb mniej więcej przy kolanie chłopaka pułkownika Linscomba, i tak już szedł, dopóki ktoś nie powiedział mu, że może stanąć. A za następnym razem wasz koń ruszył tak, jakby wciąż uważał, że pierwszy bieg jeszcze się nie skończył; przez cały czas uprzejmie i grzecznie trzymał łeb przy kolanie chłopaka pułkownika Linscomba aż do drugiego zakrętu ostatniego okrążenia, a wtedy ten jeździec z Memphis zaciął go pierwszy raz, tym razem nie dość późno, bo cały ten ogromny sus naprzód pozwolił mu tylko zobaczyć znowu przed sobą pusty tor.

– Ale nie za późno, żeby przestraszyć McWilliego – wtrącił się Likurg.

– Bardzo go przestraszył? – zainteresował się Ned.

– Wystarczająco – odparł Likurg. Ned siedział dalej przykucnięty. Musiał się nieco przespać ostatniej nocy, mimo tych psów, co zapędzają od czasu do czasu Otisa na drzewo. Ale wyglądał mizernie.

– No, dobra – zwrócił się do mnie. – Przejdiesz się teraz na chwilę z Likurgiem do tej stajni. Masz tylko przyjrzeć się koniowi, z którym będziesz się ścigał po południu. Jeśli chodzi o resztę, to Likurg będzie gadał, a ty się tylko nie oglądaj w powrotnej drodze. – Nie pytałem go nawet, dlaczego. I tak by mi nie powiedział. Stajnia była niedaleko; przeszliśmy koło schludnego półmilogego toru o białą malowaną barierze, takiego, co to widząc go człowiek myśli, że przyjemnie być bogatym, i doszliśmy do stodół i stajen. Gdyby kuzyn Zack miał takie u siebie na plantacji, pewno kuzynka Luiza przeprowadziłaby się do nich. Wokół ani żywej duszy. Właściwie nie wiem, czego oczekiwałem; może następnych wyścigowych kibiców, siedzących w kombinezonach i bez krawatów w kucki pod ścianą i żujących tytoń, tak samo jak w jadalni hotelowej przy śniadaniu. A może było jeszcze na to za wcześnie. Po chwili zdałem sobie sprawę, że pewno właśnie dlatego Ned nas tu przysłał. Likurg leniwym krokiem wszedł na korytarz. Stajnia była równie wielka jak nasza, założona w skromnych celach zarobkowych stajnia cugowa w Jefferson, i o wiele czystsza; po jednej stronie składziki z uprzężą, po drugiej coś, co musiało być kantorem, jak u nas. Stajenny Murzyn czyścił w głębi boks, a chłopak, który, jeśli idzie o wiek i kolor skóry, mógł być bliźniakiem Likurga, wylegiwał się na beli siana pod ścianą. – Jak się masz – powitał Likurga.

– Szukasz konia?

– Jak się masz – odparł Likurg. – Szukam dwóch koni. Myśleliśmy, że może tego drugiego też tu znajdziemy.

– To mówisz, że pan van Tosch jeszcze nie przyjechał?

– Pan van Tosch w ogóle nie przyjedzie – odparł Likurg. – Tym

razem kto inny zgłasza Miedziaka. Pewien biały nazwiskiem pan Boon Hogganbeck. Ten biały chłopak pojedzie na Miedziaku. To jest McWillie – zwrócił się do mnie. McWillie przyglądał mi się przez długą chwilę, potem podszedł do drzwi kantorka, otworzył je, powiedział coś, po czym cofnął się, a jakiś biały mężczyzna (- Trener – szepnął mi Likurg. – Nazywa się pan Walter) wyszedł mówiąc:

– Dzień dobry, Likurg. Gdzie wy ukrywacie tego konia? Chyba nie chcecie nas zaskoczyć jakimś fuksem?

– Nie, proszę pana – powiedział Likurg. – Pewno nie przyprowadzili go jeszcze z miasta. Myśleliśmy, że może go tutaj przyślą.

– Przyszliście piechotą od Possuma?

– Nie, proszę pana, przyjechaliśmy na mułach.

– A gdzieście je przywiązali? Jakoś ich nie widzę. Może pomalowaliście je tą samą farbą-niewidką, co waszego konia, jak wyszedł wczoraj rano z wagonu towarowego?

– Nie, proszę pana – wyjaśnił Likurg. – Dojechaliśmy do pastwiska i tam puściliśmy je luzem. Resztę drogi przeszliśmy piechotą.

– No cóż, jak przyszliście obejrzyć konia, to przecież nie pozwolimy wam odejść z niczym. Wyprowadź go, McWillie, niech zobaczą.

– Obejrzyjcie jego łeb dla odmiany – szydził McWillie. – Ci, co jeżdżą na Miedziaku, całą zimę oglądali tylko ogon Akrona. Jeszcze żaden nie widział jego łba.

– Ten chłopiec przynajmniej zacznie od obejrzenia naszego konia od frontu. Jak się nazywasz, chłopcze? – zwrócił się do mnie. Odpowiedziałem. – Jesteś nietutejszy?

– Tak, proszę pana. Jestem z Jefferson, w Missisipi.

– On podróżuje z panem Hogganbeckiem, który teraz zgłasza Miedziaka – tłumaczył Likurg.

– Aha. Pan Hogganbeck go kupił?

– Nie wiem, proszę pana – mówił Likurg. – Pan Hogganbeck go zgłasza.

McWillie wyprowadził konia i razem z panem Walterem ściągnął z niego derkę. Był to kary koń, wyższy od Miedziaka, ale bardzo nerwowy; wychodząc pokazywał białka oczu; za każdym razem, gdy ktoś ruszył się koło niego czy coś powiedział, koń tulił uszy, a jedno zadnie kopyto trzymał ledwo wsparte o ziemię, gotów w każdej chwili kopnąć. Pan Walter i McWillie przemawiali, szeptali do niego, lecz jednocześnie wciąż obserwowali go bacznie.

– No, dobrze – powiedział pan Walter. – Daj mu pić i wprowadź do stajni. – Poszliśmy za nim. – Niech cię nie zniechęci jego widok – zwrócił się do mnie. – Bądź co bądź, to są tylko wyścigi!

– Pewno, proszę pana – przytaknęła Likurg. – Tak powiadają. Bardzo dziękujemy za pokazanie nam konia.

– Dziękuję panu – przyłączyłem się do Likurga.

– Do widzenia – pożegnał nas pan Walter. – Żeby te muły za długo na was nie czekały. Zobaczymy się po południu, na starcie.

– Tak jest, proszę pana – powiedział Likurg.

– Tak, proszę pana – odparłem. Poszliśmy dalej, wzdłuż stajni i znowu koło toru.

– Pamiętaj, co nam przykazał pan McCaslin – przypomniał mi Likurg.

– Pan McCaslin? – zdziwiłem się. – Och, oczywiście.

– Tym razem również nie zapytałem: – Co? – Myślę, że już wiedziałem. A może nie chciałem uwierzyć w to, że wiem; nawet wówczas nie chciałem wierzyć, że mając zaledwie jedenaście lat można tak dalece wyzbyć się złudzeń. Może gdybym się zapytał: Co? – tym samym przyznałbym się do ich braku. – To zły koń – powiedziałem.

– Płochliwy – odparł Likurg. – Pan McCaslin tak mówił wczoraj wieczorem.

– Wczoraj wieczorem? – zdumiałem się. – Myślałem, że poszłicie obejrzeć tor?

– A po co miałyby oglądać tor? Tor się nie rusza. Poszedł obejrzeć konia.

– Po ciemku? Czy oni nie mają stróża, nie zamykają stajni?

– Jak pan McCaslin postanawia, że coś robi, to robi – powiedział Likurg. – Jeszcze tego nie wiesz? – Tak więc my – a właściwie ja nie obejrzałem się. Poszliśmy prosto do naszego sanktuarium, gdzie Grom – to znaczy Miedziak – i dwa muły przes tępo wały z nogi na nogę i oganiały muchy w cętkowanym cieniu, a Ned siedział przykucnięty koło siodła wuja Parshama. Jakiś inny mężczyzna przysiadł na piętach po drugiej stronie strumienia – to był Murzyn; jeszcze nim się Ned odezwał, wiedziałem, że go skądś znam, gdzieś spotkałem, coś w każdym razie...

– To Bobo – powiedział Ned. I natychmiast wszystko stało się jasne. To jeszcze jeden McCaslin, Bobo Beauchamp, kuzyn Lucasa – Lucasa Quintusa Carothersa McCaslina Beauchampa, tego, o którym babcia mówiła, że wygląda (a również i zachowuje się: tak samo arogancko, uparcie i nietolerancyjnie) dokładnie jak stary Lucius, z wyjątkiem koloru skóry (bo matka babci opowiadała jej, jak wyglądał stary Lucius). Bobo był jeszcze jednym Beauchampowym dzieckiem bez matki, które ciotka Tennie chowała tak długo, póki zew wielkiego świata nie okazał się dlań zbyt silny i Bobo nie wyjechał trzy lata temu do Memphis. – Bobo pracował u tego człowieka, który był kiedyś właścicielem Groma – wyjaśniał Ned.

– Przyszedł zobaczyć, jak Grom będzie biegł. – Teraz już wszystko było w porządku z tą ostatnią sprawą, która nas – a właściwie mnie – dręczyła: Bobo z pewnością wie, gdzie jest automobil. A właściwie może on go nawet i ma. Ale nie, to niemożliwe, bo wówczas Boon i Ned zwyczajnie zabraliby mu go. I nagle zdałem sobie sprawę, że to

niemożliwe tylko dlatego, że ja tego nie chcę; gdybyśmy mogli odzyskać samochód w tak prosty sposób, jak rozkazując, żeby Bobo go zaraz tu sprowadził, to cóż byśmy tu robili? Na co by nam się zdały te wszystkie kłopoty i niepokoje? Na co ta cała maskarada z Gromem, przeprowadzanie go chyłkiem o północy na stację przez dzielnicę występku w Memphis? Na co drakońskie stosowanie kombinacji pantoflarstwa i nepotyzmu, by wyrwać z całego systemu kolejnictwa wagon bagażowy i przewieźć konia do Parsham? Nie mówiąc już o reszcie; o tym, że musieliśmy sobie radzić z Butchem i zębem Minnie, że naszliśmy i znieważyliśmy dom wuja Parshama, nie mówiąc o niespaniu i (tak, owszem) tęsknocie za domem, i (tu znowu ja) braku zmiany bielizny; po co te wszystkie wysiłki i starania, i oszustwa, żeby zgłosić do wyścigu konia, który wcale nie był nasz, w celu odzyskania samochodu, do którego właściwie nigdy nie mieliśmy żadnych praw – po co to wszystko, jeśli, aby ten samochód odzyskać, wystarczy tylko wysłać jednego z naszych czarnych chłopaków, a on go zaraz sprowadzi? Rozumiesz, o co mi chodzi? Jeśli wygranie wyścigu tego dnia po południu nie było rzeczą istotną, jeśli ja i Grom nie stanowiliśmy ostatniej rozpaczliwej zapory pomiędzy Boonem i Nedom a dziadkowym gniewem lub nawet wysłaną przezeń policją; jeśli bez wygrania tego wyścigu, a przynajmniej konieczności wzięcia w nim udziału Ned z Boonem mogliby i tak wrócić do Jefferson (które było jedynym domem, jaki znał Ned, i jedynym środowiskiem, w którym Boon mógł przetrwać) jakby nigdy nic i stanąć do swojej pracy, jakby w ogóle nie wyjeżdżali z miasta, to w takim razie my wszyscy braliśmy tutaj udział w jakiejś maskaradzie, nie innej niż chłopięca zabawa w złodziei i policjantów. Ale Bobo mógł wiedzieć, gdzie się samochód znajduje; to było do przyjęcia, to było w porządku; no i Bobo był jednym z nas. Powiedziałem to Nedowi. – Zdaje się, mówiłem ci już, żebyś się przestał martwić o ten samochód – obruszył się Ned. – Przecież ci obiecałem, że

dopilnuję tej sprawy, jak przyjdzie czas. Masz tyle innych powodów do zmartwienia – masz wyścigi. To ci nie wystarczy? – A potem zwrócił się do Likurga: – W porządku?

– Chyba tak – odparł Likurg. – Nie obejrzeliliśmy się ani razu, żeby sprawdzić.

– No to może, może... – powiedział Ned. Bobo zniknął. Nie widziałem ani nie słyszałem, jak odchodził – po prostu zniknął. – Przynies wiaderko – zwrócił się Ned do Likurga. – Czas coś przekąsić, póki jeszcze tu cisza i spokój.

Likurg przyniósł blaszane wiaderko po smalcu przykryte czystą serwetką; w środku były kromki chleba kukurydzianego przekładane boczkiem. W źródleku chłodziło się drugie wiaderko z maślanką.

– Jadłeś śniadanie? – spytał mnie wuj Parsham.

– Tak, proszę pana.

– Wobec tego nie jedz nic więcej – powiedział. – Przegryź tylko kawałek chleba i popij wodą.

– Tak, tak – poparł go Ned. – Lepiej będzie ci się jechało z pustym żołądkiem.

Dał mi więc kawałek chleba, po czym wszyscy przykucnęliśmy wokół siodła wuja Parshama, ustawivszy pośrodku oba wiadra; po chwili usłyszeliśmy za sobą, od źródleka, czyjeś kroki, a potem głos McWilliego:

– Uszanowanie, wuju Possum, uszanowanie przewielebny – (to ostatnie do Neda) chłopak zbliżył się od źródleka, przypatrując się już – a może jeszcze – Miedziakowi. – Tak, to Miedziak, nie ma dwóch zdań. Ci chłopcy napędzili dziś strachu panu Walterowi. Myślał, że może chcecie go zaskoczyć jakimś innym koniem. To pan go zgłasza, przewielebny?

– Mów do niego panie McCaslin – powiedział wuj Parsham.

– Dobrze, proszę pana. Czy pan go zgłasza, panie McCaslin?

– Pewien biały nazwiskiem Boon Hogganbeck – odparł Ned. –

Czekamy teraz na niego.

– Szkoda, że nie macie tu innego konia oprócz Miedziaka, wtedy dopiero Akron poczułby, że to wyścigi.

– Sam to mówiłem panu Hogganbeckowi – powiedział Ned. Przełknął ślinę. Wolniutko podniósł wiaderko z maślanką i napił się, również bez pośpiechu. McWillie przypatrywał mu się bacznie. Ned odstawił wiaderko.

– Usiądź no i przegryź coś z nami.

– Bardzo dziękuję – odparł McWillie. – Już jadłem. Może dlatego właśnie pan Hogganbeck się spóźnia? Może czeka, żeby przyprowadzić tego drugiego konia?

– Teraz już nie ma czasu – oświadczył Ned. – Teraz będzie musiał wystawić tego. Cały kłopot w tym, że jedyny człowiek, który się poznał na tym koniu, jest za mądry, żeby mu pozwolić biec w tyle. Ten koń nie lubi być na przedzie. On chce biec tuż za pierwszym, dopóki nie zobaczy celownika i nie będzie miał do czego lecieć. Nie oglądałem go jeszcze na wyścigach, ale mógłbym się założyć, że im wolniej idzie koń przed nim, tym bardziej on się stara, żeby nie wyjść na czoło, i nie zostać bez towarzystwa – dopóki nie zobaczy celownika, nie zrozumie, że to wyścigi, i nie zacznie gnać. Ten, kto chce z nim wygrać, musi tylko się starać całkiem go uspokoić, żeby już było za późno, kiedy koń zrozumie, że to wyścigi. Pewnego dnia ktoś zostawi tego kasztana tak daleko w tyle, że on się przestraszy, a wtedy – ho, ho! Ale nie dzisiaj. Kłopot w tym, że jedyny człowiek, który o tym wie, to niewłaściwy człowiek.

– A któż to taki? – zapytał McWillie.

Ned ugryzł jeszcze jeden kęs. – Ten, kto będzie dzisiaj jechał na tym drugim koniu.

– To ja – wyjaśnił McWillie. – Przecież wuj Possum i Likurg musieli to już panu mówić!

– Wobec tego to ty powinieneś gadać – stwierdził Ned.

– Siadaj i jedz. Wuj Possum ma dość, wystarczy dla wszystkich.

– Dziękuję bardzo – powtórzył McWillie. – No, cóż. Pan Walter rad się dowie, że to nie inny koń, tylko Miedziak. Baliśmy się, że trzeba będzie układać jakiego nowego. Do zobaczenia na torze. – I już go nie było. Ale ja odczekałem jeszcze minutę.

– Po co? – spytałem.

– Nie wiem – odparł Ned. – Może nam to się na nic nie przydać. Ale jeśli okaże się potrzebne, to zrobiliśmy, co trzeba. Pamiętasz, co ci mówiłem dzisiaj rano: cały kłopot z naszymi wyścigami w tym, że za dużo pomieszało się w nich różnych rzeczy. Ani to nasz tor, ani nasz okręg, ani nawet nasz koń, chyba że taki, jakby tu powiedzieć... pożyczony i nie możemy nic z tego odjąć. Więc pozostaje nam tylko dodać coś na własny rachunek. I to właśnie zrobiliśmy. Ten koń, którego oni tam mają, to przecież pełnej krwi koń z wszystkimi papierami jak należy. Dlaczego on nie biega na wyścigach w Memphis albo w Luisville czy Chicago, tylko tutaj, na zabitej wsi, na domowym torze zrobionym na pastwisku, przeciwko jakiemukolwiek koniowi, którego ktoś chyłkiem postawi, tak jak my? Wiesz dlaczego? Macałem go wczoraj w nocy – on jest słaby, przerośnięty, to koń, którego nic nie zgoni na trzy ćwierci mili, ale jeszcze pięćdziesiąt stóp i złoży się pod tobą, ani się obejrzy. A dotychczas ten chłopak...

– McWillie – podsunąłem.

– ...McWillie martwił się tylko o to, żeby na nim usiedzieć i utrzymać mu łeb we właściwym kierunku. Wygrał już dwa razy i pewno myśli, że gdyby tylko nadarzyła się okazja, toby wysłał na grzybki i Earla Sande'a, i Dana Patcha, tak żeby przestali się liczyć w końskich interesach. Teraz daliśmy mu coś dodatkowo do myślenia i ma w głowie dwie rzeczy, które jakoś nie bardzo do siebie pasują. No cóż, poczekamy, zobaczymy. A jak

będziemy czekać, to przez ten czas ty pójdz sobie o, tam, w te krzaki, połóż się i odpocznij. Wiadomości już się rozeszły i ludzie zaczną się tu kręcić, będą próbowali wywąchać to i owo, a tam, za krzakami, będziesz miał spokój.

Poszedłem za jego radą. Spałem jednak nerwowo, z przerwami; słyszałem głosy; nie potrzebowałem spoglądać na tych ludzi, wiem, że gdybym otworzył jedno oko, wsparł się na łokciu i wyjrzał zza krzaka, zobaczyłbym te same kombinezony, przepocone kapelusze, kołnierzyki bez krawatów, szczęki żujące tytoń, przykucnięte, leniwe, milczące na ogół postacie, wpatrujące się niezbadanym wzrokiem w konia. Jednak nie czuwałem cały czas nieprzerwanie, bo oto stał nade mną Likurg i okazało się, że czas upłynął, nawet światło było już popołudniowe. – Pora ruszać – powiedział. Przy Gromie nie było teraz nikogo, z wyjątkiem Neda i wuja Parshama; jeśli wszyscy pozostali są już na torze, to musi być później, niż myślałem. Spodziewałem się zobaczyć Boona i Sama, nawet Everbe i pannę Rebę. (Ale nie Butcha; o nim nawet nie pomyślałem; może panna Reba naprawdę pozbyła się go na dobre, może wyniósł się do tego Hardwick czy gdzie tam jest to miejsce, które wczoraj wymienił recepcjonista. Zapomniałem o nim; zdałem sobie teraz sprawę, na czym naprawdę polegał spokój tego przedpołudnia). Zwróciłem się do Neda:

– Jeszcze nie przyszli?

– Jeszcze im nikt nie powiedział, gdzie mają przyjść – odparł Ned. – Niepotrzebny nam teraz Boon Hogganbeck. Chodź. Możesz przeprowadzić konia i rozprężyć go trochę po drodze.

Wstałem. Zniszczone, lecz wspaniale utrzymane McClellanowskie siodło i zniszczone, lecz wspaniale utrzymane kawaleryjskie ogłowie stanowiły tę drugą połowę zdobyczy wuja Parshama (czy kogo innego) z wojny o Sprawę; im dłużej żyję, tym mocniejsze mam przekonanie, wbrew opinii twych staropanieńskich ciotek, iż nie my okazaliśmy się w

tej wojnie stroną przegraną.

– Może szukają Otisa? – podsunąłem.

– Może – zgodził się Ned. – To właściwy teren, żeby go szukać, wszystko jedno, czy go znajdują, czy nie. – Ruszyliśmy, wuj Parsham i Ned szli przy łbie końskim, Likurg zaś miał przyprowadzić bryczkę i drugiego muła drogą, założywszy, że znajdzie gdzieś miejsce, by je uwięzić. Teraz bowiem pastwisko wokół toru aż się roilo – wyprzęgano konie, zawracano i przywiązywano je do kołka czy rozpory wozu, a wierzchowce, muły i konie przy bryczkach wiązano nawet do samej bariery ogrodzenia; po chwili mogliśmy już – właściwie ja mogłem – dojrzeć ludzi, czarnych i białych, w koszulach bez krawatów i kombinezonach, gęsto stłoczonych wzdłuż bariery i wokół padoku. Widzisz, to były takie wyścigi domowego chowu, pamiętaj, to była demokracja nie triumfująca, bo triumfujące może być wszystko, czego niewinną kruchość chroni się, strzeże i osłania czule i mocno, lecz demokracja pracująca: pułkownik Linscomb, arystokrata, baron, suweren nie był tu nawet obecny. O ile wiedziałem, nikogo to nic nie obchodziło. Był właścicielem jednego z koni (dotychczas nie wiedziałem, kto jest właścicielem tego, na którym ja siedzę), ziemi, na której mieliśmy się ścigać, otaczającej ją pięknej białej bariery i przyległych pastwisk, upstrzonych teraz po przywiązywanych wozami i brykami, i dalej ogrodzenia, którego całą jedną kwaterę wyrwał teraz i roztrzaskał w drzazgi jakiś krnąbrny czy przestraszony koń – lecz nikt nie wiedział, gdzie ów właściciel jest, i nikogo to nie obchodziło.

Udaliśmy się na padok. O tak, był i padok; było wszystko, co powinno być na prawdziwych wyścigach, z wyjątkiem, jak powiedział Ned, trybun i kiosków z piwem i whisky. Poza tym mieliśmy wszystko, co bywa na innych wyścigach, no i mieliśmy również demokrację; sędziami byli nocny telegrafista kolejowy i pan McDiarmid, kierownik restauracji dworcowej, który, jak głosiła legenda, potrafił tak cienko krajać szynkę, że na zarobku

z jednej sztuki cała jego rodzina zrobiła w lecie wycieczkę do Chicago. Głównym komisarzem toru i mistrzem ceremonii był treser psów, który strzelał przepiórki dla zarobku i teraz przebywał na wolności za kaucją, bo uczestniczył (brał udział czy też po prostu był obecny) w zabójstwie, jakie tu popełniono zeszłej zimy w sąsiedniej destylarni whisky; nie mówiłem ci, że to była wyborcza wolna wola i inicjatywa prywatna w najczystszyim tego słowa znaczeniu? I tam czekali na nas Boon i Sam. – Nie mogę go znaleźć – powiedział Boon. – Nie widzieliście go czasem?

– Kogo? – zapytał Ned. – Zeskakuj – zwrócił się do mnie. Ten drugi koń czekał również, wciąż taki nerwowy, wciąż wyglądający na – ja bym powiedział – złego konia, ale Likurg mówił, że Ned go uważa za płochliwego. – Powiedz, czego cię ten koń...

– Tego przekłętęgo chłopaka – przerwał Boon. – Dzisiaj rano twierdziłeś, że tu będzie.

– Może się gdzieś schował – odparł Ned. Podszedł znowu do mnie. – Czego cię ten koń wczoraj nauczył? Zrobiłeś na nim dwa okrążenia toru. To samo masz zrobić teraz. Czego on cię nauczył? Pomyśl. – Myślałem najintensywniej, jak tylko mogłem. Ale w dalszym ciągu nic mi nie przychodziło do głowy.

– Niczego – odparłem. – Musiałem tylko powstrzymywać go, żeby nie szedł prosto do ciebie za każdym razem, jak tylko cię zobaczył.

– To samo dokładnie masz robić podczas pierwszej gonitwy. Trzymaj go tylko na torze, niech leci, i nie zwracaj mu głowy. Sobie też nie zwracaj niczym głowy, przegramy tę pierwszą gonitwę tak czy inaczej i będziemy z nią mieli spokój...

– Przegracie? – zdumiał się Boon. – Co, do cholery...

– Czy pan chce prowadzić te wyścigi, czy ja mam to robić? – zapytał go Ned.

– No, dobrze – odparł Boon. – Ale, do cholery... – A potem: –

Mówiłeś, że ten przeklęty chłopak...

– To może zapytam inaczej – powiedział Ned. – Czy pan chce prowadzić wyścig, a ja mam szukać tego zęba?

– Już idą – przerwał Sam. – Nie ma czasu. Podaj mi nogę. – Podrzucił mnie na konia. Tak więc nie mieliśmy już czasu ani na to, by Ned dał mi instrukcje, ani też na nic innego. Ale to było zbędne; nasze zwycięstwo w pierwszej gonitwie (nie wygraliśmy jej, przyniosła nam tylko dywidendę, która dała później zyski) nie było zasługą moją czy nawet Groma, ale Neda i McWilliego; ja nawet dobrze nie wiedziałem, co się dzieje, i dopiero później opowiedziano mi wszystko. Ze względu na mój (oczywisty) wzrost oraz mój (bardziej niż oczywisty) brak doświadczenia, nie mówią już o tym, że Acheron stawał się coraz trudniejszy do poskromienia, uzgodniono i ustalono, że zostaniemy podprowadzeni na start przez groomów, którzy nas puszcza na komendę: jazda. Tak też zrobiono. Grom zachowywał się tak, jak zawsze, gdy mógł obwąchiwać rękę idącego przy nim Neda, kurtkę czy dłoń, Acheron zaś zachowywał się tak jak (były to tylko przypuszczenia, widziałem go przecież zaledwie raz) zachowywał się zawsze, kiedy ktoś kręcił mu się koło łba – płoszył się, skakał, szarpał groomem na wszystkie strony, lecz powoli doszedł na start; teraz już zacznie się lada chwila; wydawało mi się, że widzę, jak nasz komisarz-morderca nabiera w płuca powietrza, by krzyknąć: Jazda! – kiedy stało się sam nie wiem co, to znaczy nie wiem, jaka była kolejność zdarzeń; Ned powiedział nagle:

– Siedź mocno – i wtem moja głowa, ramiona, ręce – całe ciało wystrzeliło. Nie wiem, czym on to zrobił: szydłem, kilofem czy też może po prostu paznokciem; skok, sus, głos, który nie krzyczał: Jazda!, bo w ogóle jeszcze tego nie krzyczał, tylko: – Stop, stop! Hola! Hola! – co my – ja i Grom – wykonaliśmy natychmiast, by zobaczyć jeszcze grooma Acherona na kolanach, tam gdzie go koń odrzucił. Acheron i McWillie

pędzili cwałem gdzieś na pierwszym zakręcie, McWillie piłował konia, wykrczał mu całą szyję na bok. Ale koń wziął już na kieł, a nasz komisarz toru i kilku widzów biegło na przełaj, by zatrzymać go na dalszej prostej, chociaż równie dobrze mogliby wrzeszczeć na pociąg Sama pomiędzy dwoma przystankami na żądanie. McWillie przytrzymał go teraz trochę, lecz pozostawał mu tylko wybór: czy objechać tor do końca, czy zawrócić, bo obie odległości były równe; McWillie (a może Acheron) wybrał tę pierwszą ewentualność, a Ned gwałtownie zaszeptał przy moim kolanie:

– Tak czy inaczej przegoniliśmy go dodatkowo pół mili. Tym razem ty sam będziesz musiał to zrobić, bo ci sędziowie... – i rzeczywiście, sędziowie już się zbliżali. Ned powiedział: – Pamiętaj, ta się w ogóle nie liczy... – A potem oni to zrobili. To znaczy zdyskwalifikowali go. Chociaż nic nie widzieli, tyle że puścił Groma, nim jeszcze padło słowo: Jazda. Więc tym razem ktoś z tłumu na ochotnika trzymał mojego konia, McWillie spoglądał na mnie wściekłym wzrokiem, Acheron zaś płoszył się i rzucał pod nim, podczas gdy groom powoli ustawiał go na pozycji startowej. Tym razem pierwszeństwo przypadło McWilliemu. Rozumiesz, o co mi chodzi? Nawet jeśli Nie-Cnota nie zna się na wiejskich wyścigach, to i tak da sobie radę: wystarczy, że sprowadzi Sama, by człowiek zdobył dodatkową pomoc w czynieniu zła drogą jakiegoś pierwotnego, nieożywionego procesu, takiego jak osmoza, a może po prostu w wyniku bezpośredniego sąsiedztwa. Nie czekałem, aż Grom napnie wodze, nie wiem nawet, czemu sam je skróciłem i (z niemałą, a właściwie z dużą pomocą ochotnika, który był indywidualnym starterem moim i Groma) trzymałem go tak, w miejscu. I naprawdę, widziałem podeszwy butów grooma Acherona i samego Acherona o dwa fule dalej, na ponownym okrążeniu toru, podczas gdy ja i Grom staliśmy jak wmurowani. Lecz tym razem McWillie opanował konia jeszcze przed wejściem w łuk

tak, że ekipa ratownicza nie tylko pierwsza dobiegła do dalszej prostej, ale zatrzymała i złapała Acherona, i przyprowadziła go z powrotem. Tak więc nasz – Neda i mój – zysk wynosił trzy ćwierci mili, w tym ostatnie pół ćwierci wątpliwe. Największym jednak naszym zyskiem był McWillie; nie tylko wściekły teraz, ale i przerażony; spoglądał na mnie wzrokiem, w którym było coś więcej niż złość. Dwaj groomowie trzymali teraz Acherona wystarczająco długo, byśmy się mogli ustawić. Ja z Gromem staliśmy dobrze na zewnętrznej, by dać im miejsce, kiedy padnie komenda: Jazda!

I to wszystko. Ruszyliśmy. Grom mocny i chętny, posiadający wszystko, czego można żądać, z wyjątkiem zapалу, mózg jego jeszcze nie odkrył, że to wyścigi; McWillie przytrzymał Acherona w tyle, tak że my nadawaliśmy tempo, i w ten sposób zrobiliśmy pierwsze okrążenie; Grom biegł coraz wolniej i wolniej w obliczu tej samotności, aż wreszcie Acheron zebrał się i wyszedł przed nas pomimo wszystkich wysiłków McWilliego, na co Grom też przyspieszył mając teraz towarzystwo i na drugim okrążeniu naprawdę szedł przyzwoicie, Acheron zaś o szyję przed nim. Tłum zaczął teraz wrzeszczeć, jakby chciał przynajmniej w ten sposób odbić sobie swoje pieniądze, przed nami ujrzelśmy celownik, McWillie zaciął straszliwie pejcem Acherona, równie dobrze mógłby zaciąć i Groma; jeszcze dwadzieścia stóp i minęlibyśmy McWilliego z samego rozpędu. Ale tych dwudziestu stóp zabrakło. McWillie rzucił mi przez ramię ostatnie spojrzenie pełne wściekłości, strachu, ale teraz również i triumfu, ja zaś ściągałem Groma, zawracałem i wtedy właśnie zobaczyłem tamto: nie walkę, lecz raczej kotłowanie, kipiel głów, ramion i pleców pośrodku tłumu zebranego wokół podium sędziowskiego, z której wynurzył się nagle Boon, jak młoda jodła spośród drzewek śliwkowych, z połową koszuli oddartą i jedną ręką ciężką od przyczepionych do niej mężczyzn, młócającą niby młockarnia; widziałem, że ryczy. Potem Boon

zniknął i zobaczyłem Neda biegnącego ku mnie po torze. Wreszcie z tłumu wyszedł ku nam Butch i jeszcze jakiś mężczyzna. – Co? – pytałem Neda. – Mniejsza z tym – jedną ręką ujął konia przy pysku, drugą zaś już sięgał do kieszeni. – To znowu ten Butch. Nieważne, o co. Masz. – Wyciągnął ku mnie rękę. Nie był jakiś zapędzony, zadyszany, był tylko gwałtowny. – Weź to. Ciebie nie będą ruszać. – Był to płócienny woreczek od tytoniu, a w nim coś twardego rozmiarów pekana. – Schowaj to i trzymaj. Nie zgub. Pamiętaj tylko, kto ci to dał: Ned William McCaslin. Będziesz pamiętał? Ned William McCaslin Jefferson Missisipi.

– Tak – powiedziałem chowając to do kieszeni. – Ale co... – Nie pozwolił mi skończyć.

– Jak tylko będziesz mógł, znajdź zaraz wuja Possuma i zostań u niego. Mniejsza o Boona i resztę. Jeśli mają jego, to mają i tamtych. Idź prosto do wuja Possuma i zostań z nim. On będzie wiedział, co robić.

– Tak – powiedziałem. Butch i ten drugi doszli teraz do furtki prowadzącej na tor: koszula Butcha była też w strzępach. Obaj spoglądali na nas.

– To ten? – zapytał mężczyzna.

– Tak – odparł Butch.

– Przyrowadź no tu tego konia, chłopcze – zwrócił się mężczyzna do Neda. – Potrzebny mi jest.

– Siedź spokojnie – rozkazał Ned. Podprowadził do nich konia.

– Zeskakuj, synu – zwrócił się do mnie całkiem łagodnie ten drugi mężczyzna. – Ciebie nie potrzebuję. – Zeskoczyłem. – Oddaj mi wodze – powiedział do Neda. Ned posłuchał. – Zabiorę cię na oklep. Jesteś aresztowany.

XI

Za chwilę otoczy nas cały tłum. Staliśmy tak twarzą w twarz z Butchem i tym drugim, który trzymał teraz Groma. – O co chodzi, panowie biali? – zapytał Ned.

– O więzienie, synu – powiedział ten drugi. – Tak to się u nas nazywa. Nie wiem, jak to nazywacie tam, skąd przyjechałeś.

– Owszem, proszę pana – odparł Ned. – U nas to też się nazywa więzienie. Tylko u nas mówią, za co w nim zamykają, nawet Murzynom.

– Proszę, jaki mi adwokat! – szydził Butch. – On chce obejrzeć dokument. Pokaż mu... zresztą sam mu pokażę.

– Wyciągnął coś z kieszeni – był to list w zaplamionej kopercie. Ned wziął go. Stał spokojnie, trzymając list w ręce. – Co o tym myślisz? – pytał Butch. – Facet, który nie umie czytać, chce zobaczyć dokument. Powąchaj go, może pachnie jak należy.

– Tak, proszę pana – odparł Ned. – Ten papier jest jak należy.

– Nie powiadaj, że ci wystarcza, jeśli ci nie wystarcza – ciągnął Butch.

– Tak, proszę pana, papier jest jak należy – powtórzył Ned. Teraz już tłum nas otoczył. Butch odebrał kopertę z rąk Neda, wsadził ją z powrotem do kieszeni i zwrócił się do ludzi: – Wszystko w porządku, chłopcy, mamy tutaj tylko mały problem prawny co do tego, czyją własność stanowi koń. Wyścigi nie zostają odwołane, pierwsza gonitwa jest ważna, następne są tylko odłożone do jutra. Słyszycie mnie tam, w tyle?

– Nie bardzo możemy dosłyszeć, jeśli i zakłady są unieważnione – powiedział jakiś głos. Tu i tam rozległ się ryk śmiechu.

– No cóż, nie wiem – mówił Butch. – Każdy, kto widział, jak ten koń

z Memphis ścigał się z Akronem podczas dwóch gonitw zeszłej zimy i mimo to stawiał na niego, unieważnił i tak swoje pieniądze, jeszcze nim je postawił. – Zaczekał, ale tym razem nikt się nie roześmiał; potem ten sam, a może inny głos, krzyknął:

– Czy Walter Clapp myśli tak samo? Jeszcze dziesięć stóp, a ten kasztan przegoniłby dzisiaj karego.

– No dobra, dobra – machnął ręką Butch. – Jutro się wszystko rozstrzygnie. Nic się nie zmieniło, tylko dwie ostatnie gonitwy zostały odłożone do jutra. Nie odwołuje się gonitw o pięćdziesiąt dolarów, a koń pułkownika Linscomba wygrał tylko jedną. Chodźcie no teraz, musimy zaprowadzić tego konia i świadków z powrotem do miasta, gdzie się wszystko wyjaśni i będzie można stanąć do jutrzejszych wyścigów. Niech tam który zawoła, żeby podprowadzili tu moją bryczkę. – A potem zobaczyłem Boona, o głowę nad nimi. Twarz miał już całkiem spokojną, oblaną krwią; ktoś obwiązał mu szyję rękawami podartej koszuli, by nie świecił golizną; spodziewałem się, że go zakują w kajdanki, ale nie zakuli; byliśmy w dalszym ciągu demokracją, on w dalszym ciągu był mniejszością, a nie herezją. Potem zobaczyłem również Sama; trochę pokiereszowany pierwszy się do nas przepchnął. – A, Sam – zwrócił się doń Butch. – Od pół godziny próbujemy cię zająć, ale się nie dajesz...

– Pewno, że się nie daje! – wrzasnął Sam. – Pytam cię raz jeszcze i po raz ostatni: czy jesteście aresztowani?

– Czy kto jest aresztowany? – spytał Butch.

– Hogganbeck. Ja. Ten Murzyn.

– Ot, proszę, drugi adwokat – zwrócił się Butch do tamtego. Bardzo szybko zorientowałem się, że to on właśnie jest przedstawicielem Prawa w Parsham; ten, o którym mówiła nam zeszłego wieczoru panna Reba: wybrany większością głosów konstabl podokręgu, w którym Butch, mimo wszystkich swoich gwiazdek i pistoletów, był niczym więcej jak jednym z

gości, tak jak my, był on (mówię o Butchu) bowiem tylko jednym z wielu tymczasowych nominatów z kumoterskich rejestrów okręgowego urzędu szeryfa, znajdującego się w siedzibie okręgu, w Hardwick, o trzynaście mil stąd. – Może on też chce obejrzeć dokument?

– Nie – powiedział ten drugi, ten konstabl, i zwrócił się do Sama. – Może pan iść, gdzie pan chce.

– Wobec tego jadę do Memphis, żeby znaleźć jakichś przedstawicieli prawa, i to takich, do których człowiek może przystąpić bez narażania się na podarcie spodni i bielizny. Jeśli nie wrócę dziś wieczór, to wrócę jutro wczesnym rankiem. – Zobaczył mnie teraz i mówił dalej do mnie: – Chodź. Pojedziesz ze mną.

– Nie – odparłem. – Ja tu zostaję. – Teraz konstabl patrzył na mnie.

– Możesz z nim jechać, jeśli chcesz – powiedział.

– Nie, proszę pana. Ja zostanę tutaj.

– Czyj to chłopiec? – zapytał konstabl.

– Jest tutaj ze mną – wyjaśnił Ned. Konstabl pytał dalej, tak jakby Ned wcale się nie był odezwał, jakby nawet nie rozległ się żaden głos:

– Kto go tutaj przywiózł?

– Ja – odparł Boon. – Pracuję u jego ojca.

– Ja pracuję u jego dziadka – oświadczył Ned. – Myśmy już załatwili mu opiekę.

– Trzymaj się, chłopcze – powiedział Sam. – Postaram się wrócić dziś wieczór. Wtedy będziemy się mogli wszystkim zająć.

– A jak przyjedziesz – zwrócił się do niego konstabl – to pamiętaj, że nie jesteś w Memphis ani Nashville, że nie jesteś nawet w okręgu Hardwick – chyba tylko w teorii. W tej chwili i za każdym razem, kiedy wysiądziesz z pociągu na naszej stacji, będziesz w Podokręgu Czwartym.

– Dobrze powiedziane, sędzio – ucieszył się Butch.

– Wolny stan Possum w Tennessee.

– Mówiłem to również i do ciebie – odpowiedział mu konstabl.
– I może ty powinieś to sobie najmocniej wbić w głowę. – Bryczka podjechała do miejsca, gdzie trzymali Boona. Konstabl ruchem ręki kazał Nedowi też tam iść. Nagle Boon zaczął się szarpać, Ned coś mu tłumaczył. Konstabl odwrócił się do mnie: – Ten Murzyn powiada, że jedziesz do domu starego Possuma Hooda.

– Tak, proszę pana.

– Jakoś mi się to nie podoba, żeby biały chłopiec mieszkał z rodziną czarnych. Pojedziesz ze mną do domu.

– Nie, proszę pana – odparłem.

– Tak – nie ustępował tamten, lecz mówił wciąż jeszcze łagodnie. – Chodź no. Nie mam czasu.

– Jest punkt, w którym to się kończy – powiedział Ned. Konstabl znieruchomiał zupełnie w pół obrotu.

– Coś ty powiedział? – zapytał.

– Jest taki punkt, gdzie kończy się prawo, a zaczynają ludzie – wyjaśnił Ned. I znowu konstabl nie ruszał się przez chwilę – człowiek starszy, niżby się to na pierwszy rzut oka wydawało, czerstwy, ale jednak starszawy człowiek, który nie nosił pistoletu w kieszeni ani w ogóle, a jeśli miał gwiazdę, to nie było jej widać.

– Masz rację – powiedział. A potem do mnie: – Czy tam właśnie chcesz zostać? U starego Possuma?

– Tak, proszę pana – odparłem.

– Dobrze – powiedział. Obrócił się. – Wsiadajcie, chłopcy.

– Co pan chce zrobić z tym czarnuchem? – zapytał Butch. Wziął teraz cugle z rąk człowieka, który podprowadził bryczkę, i podnosił nogę, by wdrapać się na kozioł. Boon i Sam siedzieli już z tyłu. – Czy ma jechać na pańskim koniu?

– Ty pojedziesz na moim koniu – oświadczył konstabl. – Wskakuj

tu, synu – zwrócił się do Neda. – Ty tutaj jesteś koński specjalista. – Ned wziął cugle od Butcha, wsiadł i zablokował koło, tak żeby konstabl mógł sięść koło niego. Boon wciąż spoglądał z góry na mnie; twarz miał posiniaczoną i potłuczoną, lecz spokojną teraz pod zasychającą krwią.

– Jedź z Samem – powiedział.

– Nie martw się o mnie.

– Nie – mówił Boon – nie mogę...

– Znam Possuma Hooda – wtrącił się konstabl. – Jeśli się będę niepokoił o chłopaka, to wrócę wieczorem i zabiorę go stamtąd. Ruszaj, synu! – Ruszyli. Odjechali. Zostałem sam. Rozumiesz, gdyby mnie zostawiono tak, jak się zostawia myśliwego, który rozdzieliwszy się z drugim na polach czy w lesie, ma się z nim jednak później spotkać, nawet całkiem późno wieczorem, w obozie, to wtedy nie byłbym sam. Ale ja byłem teraz zupełnie samotny. Byłem wyspą w morzu przepoconych kapeluszy, koszul bez krawatów, kombinezonów, obcych, bezimiennych twarzy odwracających się już ode mnie, gdy wodziłem po nich wzrokiem... i ani jednego słowa do mnie, jakiego bądź; tak lub nie, idź lub zostań – pozostawiono mnie powtórnie samego, mnie, który już raz zostałem porzucony; a jak się ma zaledwie jedenaście lat, to się jeszcze naprawdę nie jest wystarczająco dużym, żeby zasłużyć na tyle porzucania; to może człowieka zniszczyć, rozpuścić, unicestwić, zamienić w obłok pary. Aż wreszcie jeden z nich powiedział:

– Szukasz Possuma Hooda? On chyba jest tam, koło swojej bryczki, i czeka na ciebie. – I naprawdę był. Wozy i bryczki właśnie odjeżdżały, zresztą większość ich i wszystkie konie pod siodłem i muły już zniknęły. Podeszedłem do bryczki i stanąłem. Nie wiem, dlaczego, po prostu stanąłem. Może nie miałem gdzie iść. To znaczy, może nie było miejsca na następny krok, póki ktoś nie ruszył bryczki.

– Wsiadaj – odezwał się wuj Parsham. – Pojedziemy do domu i

zaczekamy na Likurga.

– Likurga – powtórzyłem, jakbym jeszcze nigdy w życiu nie słyszał tego imienia.

– Pojechał do miasta na mule. Dowie się, o co to poszło, wróci i wszystko nam powie. Dowie się również, o której odchodzi dziś wieczór pociąg do Jefferson.

– Do Jefferson?

– Żebyś mógł wrócić do domu. – Nie patrzył wprost na mnie. – Jeśli chcesz jechać.

– Nie mogę jeszcze wrócić do domu – zaprotestowałem. – Muszę poczekać na Boona.

– Powiedziałem: Jeśli chcesz jechać – powtórzył wuj Parsham. – Wsiadaj. – Wsiadłem. Przejechał przez pastwisko i znaleźliśmy się na drodze. – Załóż żerdź od ogrodzenia – polecił wuj Parsham. – Czas, żeby ktoś o tym pomyślał. – Zamknąłem ogrodzenie pastwiska i wróciłem do bryczki. – Powoziłeś kiedy mułem w bryczce?

– Nie, proszę pana. – Podał mi cugle. – Nie wiem, jak się to robi.

– Możesz się teraz nauczyć. Muł to co innego niż koń. Jak koń wbije sobie w głowę nieodpowiednią myśl, to musisz mu ją tylko wymienić na jakąś inną. Niemal wszystko się do tego nadaje: bat, ostroga, wystarczy nawet krzyk. Muł jest zupełnie inny. Może mieć w głowie dwie myśli naraz, a jeśli chcesz jedną z nich wymienić, musisz to robić tak, jakbyś wierzył, że on sam tego chciał, i to wcześniej niż ty. Muł będzie wiedział, że to nieprawda, bo muł ma rozum. Ale muł to również dżentelmen i jeśli zachowasz się w stosunku do niego grzecznie i z szacunkiem, jeśli nie będziesz usiłował go przestraszyć czy przekupić, on odpowie ci tym samym – jak długo nie będziesz próbował przekroczyć ustalonych przez niego granic. Dlatego nie pieści się muła tak jak konia. Muł wie, że ty go wcale nie kochasz, że tylko próbujesz oszustwem przymusić go do

zrobienia czegoś, na co on nie ma wcale ochoty – a to go obraża. Trzymaj go, ot, tak. On zna drogę do domu i będzie wiedział, że to nie ja powożę. Musisz powiedzieć mu tymi cugłami, że również znasz drogę, ale jesteś tylko małym chłopcem, więc wolałbyś, żeby on, jako tutejszy, prowadził.

Jechaliśmy dalej całkiem rażno i żwawo; muł, zręczny i zwinny, wznosił o połowę mniej kurzu, niżby to robił koń; wyczuwałem teraz, co miał na myśli wuj Parsham: płynęła do mnie po tych cugłach nie tyle siła, ile inteligencja, bystrość; nie tylko umiejętność, ale i ochota, by kiedy zajdzie potrzeba, wybierać spomiędzy dwóch możliwości i dokonywać bez wahania właściwego wyboru.

– A co ty robisz w domu? – zapytał wuj Parsham.

– Pracuję w soboty – odparłem.

– Wobec tego odkładasz trochę pieniędzy. A co masz zamiar za nie kupić? – I tak ni stąd, ni zowąd zacząłem mówić, opowiadać mu o psach gończych; że chciałbym być myśliwym i polować na lisa, podobnie jak kuzyn Zack, i jak to on powiedział, że najlepiej się nauczyć polowania ze sforą psów gończych na króliki, i jak to ojciec płaci mi dziesięć centów co sobota i jak obiecał mi dołożyć drugie tyle, co zaoszczędzę, kiedy będę już mógł kupić pierwszą parę psów, na zapoczątkowanie tej sfory, co będzie kosztowało dwanaście dolarów, a ja mam już osiem dolarów i dziesięć centów i nagle zacząłem płakać, ryczeć. Byłem zmęczony, nie miłowają jazdą na wyścigach, bo kiedyś przejechałem o wiele dłuższą trasę, chociaż nie na prawdziwych wyścigach; byłem może zmęczony tym, że tak wcześnie wstałem i musiałem uganiać się po polach bez obiadu, tylko o kawałku chleba kukurydzianego. Może to przez to: po prostu byłem głodny. Tak czy inaczej, siedziałem i ryczałem jak niemowlak, gorzej niż Aleksander albo nawet Maury, w koszulę wuja Parshama, a on objął mnie jedną ręką, drugą zabrał mi lejce i nic nie mówił, dopiero po pewnym czasie powiedział: – Teraz już lepiej przestań. Dojeżdżamy do domu, nim

wejdziemy, musisz zdążyć obmyć twarz w poidle. Przecież nie chcesz, żeby cię kobiety takiego oglądały!

No więc przestałem. Ale najpierw wyprzęgliśmy muła, a po napojeniu i wytarciu postawiliśmy go w stajni i nakarmiliśmy, powiesiliśmy uprząż i wtoczyliśmy bryczkę do komórki, a wówczas ja rozmazałem sobie wodę z poidła na twarzy i wytarłem ją (jako tako) moją jeździecką skarpetką. Potem weszliśmy do domu. Wieczorny posiłek był już gotów, choć zaledwie dochodziła piąta, bo ludzie na wsi, farmerzy, o tej porze jadali kolację. Usiedliśmy do stołu: wuj Parsham, jego córka i ja, Likurg bowiem nie wrócił jeszcze z miasta. Wuj Parsham zapytał: – Odmawiacie u was modlitwę dziękczynną? – a ja odparłem:

– Tak, proszę pana. – A on wtedy: – Pochylcie głowy.

– Pochyliliśmy głowy i on odmówił modlitwę dziękczynną, krótką, grzeczną, ale pełną godności, bez żadnego tam płaszczenia się i służalstwa; jeden przyzwoity, inteligentny człowiek mówił do drugiego; zawiadamiał Niebiosa, że zaraz zaczniemy jeść, i dziękował za tę łaskę, ale przypominał jednocześnie, że Niebiosa otrzymały również pewną pomoc: że gdyby ktoś, nazwiskiem Hood albo Briggins (a więc tak brzmiało nazwisko Likurga i jego matki) nie napocił się, to owo podziękowanie zdołoby tylko puste talerze, i powiedział: Amen, rozwinął swoją serwetkę, wsadził jej rozek za kołnierzyk, dokładnie tak samo jak dziadek, i wszyscy zaczęliśmy jeść. Na stole stały półmiski zimnych jarzyn, które powinny były być zjedzone na gorąco o godzinie jedenastej na wsi, ale były również gorące biskwity, trzy rodzaje przetworów i maślanka. I wciąż jeszcze słońce nie zachodziło: długi zmrok przejdzie w długi wieczór, potem w długą noc i nie wiedziałem nawet, gdzie ja będę spał ani też na czym, a wuj Parsham wciąż dłużał w zębach złotą wykałaczką zupełnie tak samo jak dziadek i czytał w moich myślach, jakby oglądał obraz rzucony przez latarnię magiczną. – Czy chciałbyś pójść na ryby? – zapytał. Tak

naprawdę to nie chciałem. Nie mogłem jednak sprawiać wrażenia, że będę się starał chcieć – lub że będę chciał się starać – nie mogłem długo czekać. Odpowiedziałem szybko:

– Tak, proszę pana.

– Więc chodź. Do tego czasu Likurg wróci.

Na dwóch gwoździach na ganku kuchennym wisały trzy trzciniowe wędziska, z żyłkami, ciężarkami, pływakami, haczykami i wszystkim, co trzeba. Wuj Parsham zdjął dwa. – Chodź ze mną – powiedział. W składziku na narzędzia stało blaszane wiaderko z dziurami wybitymi w pokrywie gwoździem. – To wiaderko Likurga na koniki polne. Ja tąpę na robaki. – Robaki wily się na płytkiej drewnianej tacy z ziemią. Wuj Parsham powiedział, nie, ja powiedziałem:

– Niech pan da, ja to zrobię – wziąłem od niego złamany widelec, wyciągnąłem z ziemi długie, przerażone glisty i włożyłem do blaszanej puszki.

– Idziemy – założył swoją wędkę na ramię i ruszyliśmy; tuż za stajnią skręciliśmy ostro w dół, do łożyska rzeczki, niedaleko; poprzez pobliskie gąszcz czarnych porzeczek prowadziła twarda, dobrze wydeptana ścieżka; potem były wierzby, potem rzeczka, która jakby łagodnie zbierała gasnące światło i tak samo łagodnie oddawała je z powrotem; zobaczyłem nawet przewróconą kłodę, na której można było przysiąc. – Tutaj moja córka łowi ryby – wyjaśnił. – Nazywamy to łowiskiem Mary. Ale możesz tu łowić. Ja pójdę trochę dalej, wzdłuż brzegu. – I poszedł. Mrok gęstniał coraz bardziej, zaraz nadejdzie noc. Siedziałem na kłodzie pośród delikatnego brzęczenia komarów. Może nie byłoby trudno powtarzać sobie za każdym razem, kiedy zaszła tego potrzeba: *nie będę myślał*. Po chwili doszedłem do wniosku, że jak wrzucę haczyk do wody, to będę mógł sobie obliczać, za ile czasu spławik pograży się w ciemnościach, kiedy to ostatecznie zapadnie noc. Potem przyszło mi nawet do głowy,

żeby założyć na haczyk jednego z koników polnych Likurga, ale koniki niełatwo się łapie, a Likurg mieszka nad rzeką i ma więcej czasu na łowienie ryb, to będzie tych koników potrzebował. Więc postanowiłem sobie tylko: *nie będę myślał*. Widziałem teraz spławik wyraźniej, kiedy znajdował się na wodzie; na pewno okaże się ostatnim przedmiotem, jaki mi zniknie w ciemnościach, bo woda będzie przedostatnia. Nie widziałem ani nie słyszałem wuja Parshama, nie miałem pojęcia, jak daleko poszedł brzegiem rzeki; teraz więc nadeszła odpowiednia chwila, żeby się zachować jak dziecko, tylko co przyjdzie z takiego zachowania, to czyste marnotrawstwo, kiedy nie ma żadnego świadka, który by mógł mi okazać współczucie – jeśli w ogóle potrzebne mi współczucie czy też, w gruncie rzeczy, to, żebym wrócił do domu – bo przecież tak naprawdę ważne było po prostu własne miękkie łóżko, w którym mógłbym się znowu przespać dla odmiany, położyć i przespać; teraz odezwały się lelki i gdzieś dalej, w głębi, za rzeką pohukiwała sowa, duża, sądząc po głosie; może tam są jakieś wielkie lasy, a jeśli psy Likurga (a może to są psy wuja Parshama) tak zręcznie wytropiły wczoraj wieczór Otisa, to powinny być równie dobre na króliki albo szopy czy oposy. Spytałem go więc. Od pewnego czasu panowały już ciemności. Odezwał się gdzieś zza mnie, bardzo spokojnie, nie słyszałem go dotąd, dopiero teraz:

– Brała ci?

– Ze mnie żaden rybak – odparłem. – Czy twoje psy dobrze tropią zwierzynę?

– Dobrze – odpowiedział. Nie podniósł nawet głosu. – Dziadku. – Biała koszula wuja Parshama również zatrzymała na sobie światło; zbliżyła się do nas, Likurg wziął obie wędkę i my dwaj poszliśmy za nim z powrotem tą samą ścieżką, na której przywitały nas psy, i dalej, do domu, w krąg światła lampy, gdzie czekał na Likurga nakryty serwetką talerz z kolacją.

– Usiądź – rozkazał wuj Parsham. – Możesz mówić przy jedzeniu.

– Oni tam jeszcze są – powiedział Likurg.

– Nie przewieźli ich do Hardwick? W Possum nie ma więzienia – wyjaśnił mi. – Zamykają ludzi w drewnitni, przy szkole, dopóki ich nie przewiozą do więzienia w Hardwick. To znaczy mężczyzn. Nigdy jeszcze nie aresztowano kobiet.

– Nie – tłumaczył Likurg. – Panie są dalej w hotelu, mają tylko straż przy drzwiach. Jedyne pan Hogganbeck siedzi w szopie. Pan Caldwell pojechał z powrotem do Memphis trzydziestym pierwszym. Zabrał ze sobą tamtego chłopca.

– Otisa? – zdumiałem się. – Czy odebrali mu ząb?

– Nic nie mówili – odparł Likurg jedząc. Rzucił na mnie szybkie spojrzenie. – Z koniem też wszystko w porządku, poszedłem go zobaczyć. Stoi w stajni hotelowej. Pan Caldwell przed wyjazdem złożył kaucję za pana McCaslina, żeby mógł pilnować konia. – Jadł. – Pociąg do Jefferson odchodzi o dziewiętej czterdzieści. Moglibyśmy zdążyć, gdybyśmy się pospieszyli. – Wuj Parsham wyjął srebrny zegarek z kieszonki i sprawdził godzinę.

– Moglibyśmy zdążyć – powtórzył Likurg.

– Nie mogę – powiedziałem. – Ja muszę czekać. – Wuj Parsham schował zegarek. Wstał. Zawołał, ale nie głośno:

– Mary! – Była w pokoju od frontu; nie dochodził stamtąd żaden dźwięk. Podeszła do drzwi.

– Już to zrobiłam – odparła, a potem zwróciła się do Likurga: – Masz posłanie przygotowane na podłodze w sieni. – A potem do mnie: – Ty będziesz spał w łóżku Likurga, tam gdzie wczoraj.

– Nie będę zabierał łóżka Likurgowi – zaoponowałem. – Mogę spać z wujem Parshamem. Mnie to nie przeszkadza.

– Spojrzeli na mnie, bez słowa, jednakowo. – Bardzo często sypiam z

Szefem – mówiłem. – On też chrapie. Mnie to nie przeszkadza.

– Szefem? – spytał wuj Parsham.

– My tak nazywamy mojego dziadka – tłumaczyłem.

– On też chrapie. Mnie to nie przeszkadza.

– Dobrze – powiedział wuj Parsham. Poszliśmy do jego pokoju. Porcelanowy klosz jego lampy malowany był w kwiaty, a w kącie pokoju na złotych sztalugach stał wielki portret w złotej ramie; portret kobiety, nie bardzo starej, ale w staroświeckiej sukni. Na łóżku leżała jasna, zszywana z kwadratów kołdra, tak jak u Likurga, i nawet teraz, w maju, na kominku żarzył się ogień. Był też i fotel na biegunach, ale ja nie usiadłem. Stałem bez ruchu. Potem wuj Parsham wszedł znowu. Miał na sobie koszulę nocną i nakręcał srebrny zegarek. – Rozbierz się – rozkazał. Posłuchałem. – Czy matka pozwala ci tak sypiać w domu?

– Nie, proszę pana.

– Nie masz nic ze sobą, prawda?

– Nie, proszę pana.

Położył zegarek na kominku, podszedł do drzwi i zawołał:

– Mary! – Odpowiedziała mu z głębi domu. – Przynieś tu czystą koszulę nocną Likurga.

Po chwili wsunęła przez uchylone drzwi rękę z koszulą. Wziął ją. – Masz. – Podszedłem i włożyłem koszulę.

– Czy odmawiasz „Aniele Boży” w łóżku, czy klęcząc przy łóżku?

– Klęcząc przy łóżku.

– Więc odmów. – Uklęknąłem na podłodze i odmówiłem pacierze. Łóżko było już przygotowane do snu. Położyłem się, a on zdmuchnął lampę i znowu usłyszałem skrzypienie łóżka, a potem – w pokoju było dość światła, chociaż tej nocy księżyc wzeszedł bardzo późno – więc potem widziałem go w mroku leżącego na plecach z rękami złożonymi na piersiach, całego z czerni i bieli na tle białej poduszki... i te białe

wąsy i broda. – Jutro rano zabiorę cię do miasta, zobaczymy się z panem Hogganbeckiem. Jeśli ci powie, że zrobiłeś tu wszystko, co mogłeś zrobić, i każe ci jechać do domu, czy pojedziesz?

– Tak, proszę pana.

– Teraz śpij. – Ale jeszcze nim to powiedział, zdałem sobie sprawę, że tego właśnie pragnąłem i to pewno jeszcze od wczoraj: wracać do domu. Bo, rozumiesz, nikt nie lubi dostawać łupnia, ale pewno czasem nie ma na to rady, a wtedy pozostaje tylko jedno: nie dać za wygraną. Boon i Ned nie dali za wygraną i dlatego teraz są tam, gdzie są. I może nie nazwą tego rejteradą, jeśli sami każą mi wracać do domu. Może ja jestem po prostu za mały, za młody, może ja nie jestem zdolny uporać się z tym, co mi przypadło w udziale, i może gdyby zamiast mnie mieli kogoś innego, większego czy starszego albo choćby sprytniejszego, to nie zostalibyśmy zwyciężeni? Rozumiesz? Więc tak: na pozór jestem uczciwy i rozsądny, nieomal bez skazy, a tak naprawdę to chcę wracać do domu, tylko brak mi odwagi, żeby się do tego przyznać, a co dopiero – wykonać. Teraz więc, przyznawszy wreszcie, że jestem nie tylko niedorajda, ale i tchórz, powinienem ze spokojem w duszy usnąć jak dziecko; wuj Parsham już spał, chrapiąc lekko (lekko dla kogoś, kto słyszał chrapanie dziadka). Ale i to nie miało znaczenia, bo przecież jutro będę w domu bez niczego – bez kradzionych koni, bez nawróconych na cnotę prostytutek, bez błędnych rycerzy w kolejarskich uniformach, bez Neda i Boona w naturalnym wydaniu, kiedy urwał się z tatusiowej smyczy – bez niczego, co mogłoby mi mącić sen – i usłyszałem głos, kilkakrotnie usłyszałem ryk, nim usiadłem z trudem na łóżku, spoglądając wienne, słoneczne światło; łóżko po stronie wuja Parshama było puste; znowu usłyszałem ryk przed domem:

– Halo! Halo! Likurg! Likurg! – i skoczyłem, rzuciłem się z tego łóżka biegiem przez pokój do okna, z którego mogłem wyjrzeć na trawnik od

frontu. Tak, to Ned. Miał ze sobą konia.

XII

Tak więc po raz wtóry o godzinie drugiej po południu ja i McWillie siedzieliśmy na naszych niesfornych wierzchowcach (jego w każdym razie był niesforny) – wczoraj tak wystraszyliśmy pana Clappa, że dzisiaj kazał nam losować tory i McWillie wyciągnął tor wewnętrzny – siedzieliśmy więc na koniach, wyczekując chwili, gdy nasz komisarz toru, mistrz ceremonii i starter (jak również treser psów, myśliwy-zawodowiec, morderca), krzyknie: Jazda!

Ale przedtem wydarzyło się jeszcze to i owo. Przede wszystkim wrócił Ned. Wyglądał źle. Wyglądał strasznie. Nie tylko z braku snu; wszyscy byliśmy niewyspani. Ale Boon i ja spędziliśmy co najmniej cztery nocne godziny w łóżku od chwili wyjazdu z Jefferson, tymczasem Ned przespał najwyżej dwie: jedną w wagonie razem z koniem, a drugą również z koniem, w stajni, obie w najlepszym wypadku na sianie. Okropne wrażenie robiła również jego odzież: koszulę miał brudną jak ścierka i czarne spodnie nie lepsze. Everbe przynajmniej zmyła przedwczoraj wieczorem trochę mojego brudu, ale Ned do tej chwili nie zdjął ubrania ani razu. Siedział teraz w czystym spłowiełym swetrze i kombinezonie wuja Parshama, podczas gdy Mary prała mu koszulę i próbowała ratować spodnie.

Zajadaliśmy wspólnie śniadanie przy kuchennym stole, a wuj Parsham siedział i słuchał.

Ned opowiadał, jak to trochę przed świtem jeden z białych – ale nie konstabl, nie pan Poleymus – zbudził go ze snu na sianie, kazał mu zabierać konia i wynosić się razem z nim z miasta.

– Tylko ty i Grom, a Boon i reszta? – pytałem.

– Gdzie oni są?

– Gdzie ich tamci biali wsadzili – odparł Ned. – Więc powiedziałem: „Bardzo dziękuję, panowie biali”, wziąłem Groma i...

– Dlaczego? – zapytałem.

– Ale co cię to obchodzi? My musimy tylko stanąć dzisiaj o drugiej na starcie, wygrać te dwie gonitwy, odebrać samochód Szefa i wracać do Jefferson, z którego w ogóle nie powinniśmy byli nigdy wyjeżdżać...

– Nie możemy wracać bez Boona. Jeśli wypuścili ciebie i Groma, to dlaczego nie wypuścili jego?

– Słuchaj no – zwrócił się do mnie Ned. – Ty i ja mamy teraz dość na głowie z tymi wyścigami. Lepiej zjedz śniadanie, połóż się i odpocznij, póki cię nie zawołam, jak przyjdzie pora.

– Przestań mu kłamać – odezwał się nagle wuj Parsham. Ned jadł, trzymając głowę spuszczoną nad talerzem, jadł szybko. Był zmęczony – białka jego oczu nie były już nawet różowe, lecz czerwone.

– Pan Boon Hogganbeck nigdzie nie pojedzie przez pewien czas. Siedzi teraz na dobre. Mają go dzisiaj przewieźć do Hardwick i zamknąć na fest. Ale nie myśl o tym. Ty i ja mamy teraz przed sobą...

– Powiedz mu – zabrzmiał znowu głos wuja Parshama.

– Wytrzymał dotąd wszystko, w co wplątaliście go wy dwaj, odkąd tu z wami przyjechał. Dlaczego przypuszczasz, że nie wytrzyma i reszty, póki nie uda się wam jakoś wybrnąć z tego i zawieźć go z powrotem do domu? Czy nie musiał patrzeć tu, na moim podwórzu i w moim domu, i tam również, na pastwisku – nie mówiąc już o rzeczach, które mógł przedtem zobaczyć w mieście – czy nie musiał patrzeć na tego rozbuchanego mężczyznę lecącego na dziewczynę i na nią, która się przed nim broniła i mogła się uciekać tylko do pomocy tego jedenastoletniego chłopca? Nie do Boona Hogganbecka, nie do prawa, nie mogła liczyć, nie mogła mieć

nadziei na pomoc nikogo z dorosłych białych ludzi, tylko jego jednego? Powiedz mu. – A coś we mnie już teraz mówiło: Nie, nie pytaj, zostaw to, zostaw. – Zapytałem:

– Co takiego zrobił Boon? – Ned przeżuwał nad talerzem i mrugał czerwonymi oczyma, jakby miał w nich pełno piasku.

– Wygarbował skórę temu od prawa. Temu Butchowi. Omal go nie zatłukł na śmierć. Wypuścili pana Hogganbecka jeszcze przede mną i Gromem. Nawet się nie zatrzymał. Poszedł prosto do tej dziewczyny...

– To była panna Reba – powiedziałem. – To była panna Reba.

– Nie – odparł Ned. – To była ta druga. Ta duża. Nigdy nie słyszałem, żeby przy mnie mówili jej imię. No i wygrzmocił ją i zawrócił...

– Uderzył ją? – zawołałem. – Boon uderzył Everbe... pannę Corrie?

– Tak się nazywa? Owszem... i zawrócił, i poszedł z powrotem, aż znalazł tego tam od prawa i wymłócił go, jak się patrzy, razem z tym pistoletem i wszystkim, aż musieli odciągać pana Hogganbecka siłą...

– Boon ją uderzył... – powtórzyłem. – Boon ją uderzył...

– No tak – tłumaczył Ned. – Bo to dzięki niej ja i Grom jesteśmy na wolności. Ten Butch zobaczył, że nie może się w żaden inny sposób do niej dostać, a jak się zorientował, że ty, ja i Boon nie odważymy się wrócić do domu, jeśli nie wygramy tego wyścigu, a możemy go wygrać tylko mając Groma, to wziął go i zamknął. No i tak się to stało. Nic więcej. Wuj Possum właśnie ci powiedział, że już od poniedziałku rozumiał, do czego wszystko zmierza, i pewno ja też powinienem być to przewidzieć i może bym nawet przewidział, gdybym nie był tak zajęty Gromem albo może gdybym lepiej znał tego Butcha...

– Nie wierzę... – powiedziałem.

– Tak – mówił Ned. – Tak się stało. Po prostu zły traf. Taki zły traf, jakiego nie można przewidzieć w obliczeniach. Ot, pewno ten Butch zobaczył ją w poniedziałek zupełnie przypadkiem i pomyślał, że

wystarczy mu gwiazda i pistolet, bo pewno przywykł, że tutaj mu zawsze wystarczały. Tyle że tym razem nie wystarczyły, więc musiał się rozejrzeć za czym innym, a wtedy zobaczył Groma, od którego zależało, czy wygramy te wyścigi i dostaniemy z powrotem automobil Szefa i może wrócimy do domu...

– Nie! – powtarzałem. – Nie! To nie była ona! Jej w ogóle tu nie ma. Wróciła wczoraj wieczorem do Memphis z Samem. Tak ci tylko mówili. To był kto inny. To była jakaś inna!

– Nie – tłumaczył Ned. – To była ona. Widziałeś przecież, co się tu działo w poniedziałek. – Och, tak, widziałem i tu, i w bryczce po drodze do miasta, i u doktora, i wieczorem w hotelu, dopóki go panna Reba nie przepłoszyła tak, że my – ja przynajmniej – myśleliśmy, że już się wyniosł na dobre. Ale panna Reba to też tylko kobieta.

– Czemu jej nikt nie pomógł? Jakiś mężczyzna... ten człowiek, ten człowiek, który zabrał ciebie i Groma, ten, co powiedział Samowi i Butchowi, że mogą robić, co chcą, w Memphis czy Nashville, czy nawet Hardwick, ale że tu, w Possum, on jest tym... – mówiłem, krzyczałem: – Nie wierzę!!!

– Tak – powiedział Ned. – To ona wykupiła Groma, żeby mógł dzisiaj biec. Nie chodziło o mnie, Boona i resztę. Butch nic do nas nie miał, może tylko chciał, żeby Boon zszedł mu z drogi do dzisiejszego rana. Potrzebny mu był tylko Grom, ale musiał dorzucić mnie, Boona i innych, żeby pan Poleymus mu uwierzył. Bo Butch i jego oszukiwał, wykorzystał, póki się coś tam dzisiaj rano nie wydarzyło. Albo ten Butch, jak wziął, co chciał, to powiedział, że się pomylił i że to nie ten koń, albo do tego czasu pan Poleymus sam dodał jedno do drugiego i poczuł smród, i kazał wszystkich wypuścić, a nim zdążył się obejrzeć, Boon poszedł i stłukł tę dziewczynę, a potem zaraz wrócił, nawet chwili nie czekał, i próbował gołymi rękami ukręcić łeb temu Butchowi, chociaż on miał

pistolet i wszystko, a wtedy pan Poleymus poczuł już smród na dobre. I może ten pan Poleymus jest nieduży i może stary, ale to jest, powiadam ci, mężczyzna. Mówili mi, że zeszłego roku jego żona dostała takiego, jak to nazywają, porażenia i teraz nie może się w ogóle ruszać, a wszystkie ich dzieci już się pożeniły i wyszły z domu, więc on ją teraz musi myć, karmić, podnosić i znosić z łóżka, w dzień i w nocy, musi gotować i robić wszystko w domu, chyba że jaka sąsiadka przyjdzie i pomoże. Ale nikt by się tego nie domyślił, kto by zobaczył, jak on się bierze do roboty. Przyszedł tam – ja tego nie oglądałem, ale opowiadali mi ci, co widzieli – kilku trzymało Boona, a jeden próbował nie pozwolić, żeby ten Butch rzucił się z pistoletem na Boona, kiedy nie mógł się bronić – i podszedł do Butcha, wyrwał mu pistolet z ręki, złapał i zdarł mu gwiazdę razem z połową koszuli i zatelefonował do Hardwick, żeby przysłali automobil i zabrali ich wszystkich do więzienia, kobiety też. Bo jak są kobiety, to się to nazywa wywłokostwo.

– Włóczęgostwo – poprawił wuj Parsham.

– A co ja powiedziałem? – obruszył się Ned. – Nazywajcie to sobie, jak chcecie. Ja to nazywam areszt.

– Nie wierzę – powtarzałem. – Ona z tym skończyła.

– Powinniśmy jej wobec tego bardzo podziękować, że zaczęła – oświadczył Ned – bo inaczej ja i Grom...

– Skończyła – powtórzyłem. – Obiecała mi.

– Słuchaj, przecież dostaliśmy z powrotem Groma, no nie? – mówił Ned. – I teraz mamy tylko stanąć do tych wyścigów. Pan Sam powiedział, że dzisiaj wróci, a wtedy już się dowiemy, co robić, zresztą wtedy i ty, i Boon, i ja będziemy prawie tak jak w domu.

Siedziałem bez słowa. Było jeszcze wcześniej. To znaczy, choć tyle się wydarzyło, minęła dopiero ósma. Zanosilo się na upalny dzień, pierwszy upalny dzień, zapowiedź lata. Bo rozumiesz, powtarzanie sobie: „Nie

wierzę” wystarczało tylko na trochę, i kiedy dźwięk słów zamierał, zaraz wracało tamto: udręka, gniew, wściekłość, ból, to wszystko, co tam było, takie samo. – Muszę zaraz jechać do miasta – zwróciłem się do wuja Parshama. – Jeżeli mi pan pozwoli wziąć jednego ze swoich mułów, to przysyłę panu pieniądze natychmiast po powrocie do domu. – Wstał od razu.

– Chodź – powiedział.

– Zaczekajcie – oponował Ned. – Już za późno. Pan Poleymus posłał po automobil. Na pewno już wyjechali.

– Może im przeciąć drogę – powiedział wuj Parsham.

– Stąd tylko pół mili do gościńca, którym będą jechać.

– Muszę się przespać – upierał się Ned.

– Wiem – uciął wuj Parsham. – Ja z nim pojedę. Obiecałem mu to wczoraj wieczorem.

– Ja jeszcze nie wracam do domu – oświadczyłem.

– Jadę tylko na chwilę do miasta. Potem tutaj wrócę.

– No, dobrze – zgodził się Ned. – Tylko daj mi skończyć kawę. – Ale nie czekaliśmy na niego. Jednego muła nie było, pewno Likurg zabrał go w pole. Był za to drugi. Ned wyszedł, nim skończyliśmy zaprzęgać. Wuj Parsham pokazał nam drogę na skrót do gościńca prowadzącego do Hardwick, ale mnie to nic nie obchodziło. To znaczy, nie obchodziło mnie to, gdzie go spotkam. Gdyby mnie nie wykończyły wyścigi, kobiety, zastępcy szeryfów i wszyscy, co nie siedzieli w swoich domach tak, jak Pan Bóg przykazał, to może wolałbym, ze względu na nas obu, odbyć to spotkanie z Boonem w jakimś cichym, odludnym miejscu. Ale teraz to nieważne; niech sobie będzie na środku szerokiego gościńca albo i na środku Rynku, jeśli idzie o mnie, mogą się nawet temu przyglądać wszyscy w samochodzie. Nie spotkaliśmy jednak samochodu; to dowód, iż opieka nade mną trwa; byłoby nie do zniesienia, gdybym to musiał

zrobić publicznie, niezasłużenie przykre dla kogoś, kto przez cztery dni tak wiernie służył Nie-Cnocie i tak niewiele żądał w zamian. To znaczy, żebym nie musiał oglądać ich więcej, niż to konieczne. I to mi zostało dane. Kiedy dojechaliśmy do hotelu, automobil stał na ulicy pusty, bo dopiero przed chwilą przyjechał (był to stanley steamer siedmioosobowy; dosyć miejsca na bagaże dwóch – nie, trzech, bo i Minnie – kobiet, które przyjechały na dwudniową wycieczkę z Memphis do Parsham, pewno tam na górze pakują teraz walizki), najwidoczniej więc Nie-Cnota koniokradzenia troszczy się o swoich adeptów. Ned zablokował koło, żebym mógł wysiąść. – Wciąż nie chcesz powiedzieć, po co tu przyjechałeś?

– Nie – odparłem. Wszystkie krzesła stojące długim rzędem na ganku były puste, Cezar mógłby odbywać tutaj swój wjazd triumfalny, a przywitałaby go tylko pustka i cisza, jakich wymagała nowa sytuacja Boona i Butcha; hali też był pusty i pan Poleymus mógł tam czekać. Ale to był, powiadam ci, mężczyzna, czekał w saloniku dla dam – on, kierowca samochodu (był to również zastępca szeryfa, w każdym razie nosił gwiazdę), Boon i Butch ze świeżymi śladami walki. Ale ja widziałem tam tylko Boona, który czytał w mojej twarzy, a może we własnym sercu czy tam sumieniu, bo powiedział szybko:

– Uważaj, Lucius, uważaj – i wstając, wyrzucał już w górę jedno ramię i dawał krok do tyłu, cofał się, a ja podchodziłem do niego, szedłem na niego, ja, co nie sięgałem mu nawet do pasa i nie miałem nic, żadnego stołka, na który mógłbym się wspiąć (co za śmieszny, groteskowy kontrast), więc musiałem sięgać, podskakiwać nawet, wyciągać się, jak mogłem, by go uderzyć w twarz, i o, tak, płakałem teraz, ryczałem znowu; nie widziałem go przez te łyzy, tylko waliłem, najwyżej jak mogłem, musiałem do tego skakać nań, na te wszystkie jego jak Alpy twarde i jak Alpy wysokie turnie i stromizny. Usłyszałem, jak pan Poleymus mówi za

mną:

– Daj mu jeszcze raz. Uderzył kobietę, wszystko jedno, kto ona – i przytrzymał mnie (a może to nie on), aż się wreszcie wyrwałem, wyszarpnąłem i zawróciłem, wciąż oślepiiony, ku drzwiom albo tam, gdzie mi się wydawało, że są drzwi, a ta ręka prowadziła mnie teraz.

– Zaczekaj – powiedział Boon. – Czy nie chcesz jej zobaczyć? – Widzisz, byłem zmęczony i nogi mnie bolały. Byłem już niemal wykończony i potrzebowałem snu. Więcej: byłem brudny. Pragnąłem świeżej odzieży. Ona mi wszystko uprała w poniedziałek wieczór, ale ja nie chciałem przepanych rzeczy, chciałem zmiany ubrania, które zdążyłoby się trochę odleżeć, tak jak w domu, i pachniałoby wypoczynkiem i spokojnymi szufladami, i krochmalem, i farbką; ale najważniejsze były nogi: pragnąłem świeżych skarpetek i innych butów.

– Nie chcę nikogo oglądać – odparłem. – Chcę jechać do domu.

– Dobrze – zgodził się Boon. – Hej, panowie, czy ktoś nie wsadziłby go teraz do rannego pociągu. Mam pieniądze, mogę mieć...

– Zamknij się – powiedziałem. – Jeszcze nigdzie nie jadę. – Wciąż ślepy szedłem dalej, a raczej ta ręka mnie prowadziła.

– Zaczekaj – mówił Boon. – Zaczekaj, Lucius.

– Zamknij się. – Ręka kazała mi się obrócić; przede mną była teraz ściana.

– Wytrzyj twarz – powiedział pan Poleymus. Wyciągnął bandanową chustkę, ale ja jej nie wziąłem; mój bandaż wytrze to równie dobrze. Wytarła skarpetka. Przywykła już do tego, by w nią płakać. Kto wie? Jeśli pozostanie ze mną odpowiednio długo, może nawet wygra wyścigi konne? Teraz mogłem już patrzeć na oczy; staliśmy w hallu. Chciałem skręcić, ale on mnie przytrzymał. – Zaczekaj chwilę – powiedział – jeśli nadal nie chcesz nikogo oglądać. – Bo właśnie panna Reba i Everbe schodziły ze schodów, niosąc walizki, ale Minnie wciąż nie było widać.

Czekał na nie zastępcę szeryfa, ten kierowca samochodu. Zabrał ich walizki i ruszyli. Nie spojrzali w naszym kierunku. Panna Reba miała twarz wściekłą, zaciętą, głowę wysoko podniesioną do góry; gdyby ten przed nią nie ruszał się dostatecznie szybko, przeszłaby po nim i po tych walizkach. Wyszli. – Kupię ci bilet do domu – powiedział pan Poleymus. – Pojedź tym pociągami.

– Nie odpowiedziałem: „Zamknij się”. – Wykruszyli ci się towarzysze, więc zostanę z tobą i powiem konduktorowi...

– Zaczekam na Neda – odparłem. – Nie mogę jechać bez niego. Gdyby pan wczoraj wszystkiego nie zepsuł, to już byśmy dawno wyjechali.

– Kto to jest Ned? – zapytał. Wy tłumaczyłem mu.

– Czy to znaczy, że macie jednak zamiar doprowadzić te wyścigi do końca? Ty i Ned, sami? – Odpowiedziałem mu. – Gdzie jest teraz Ned?

– Wyjaśniłem mu. – Chodź – powiedział. – Możemy wyjść bocznymi drzwiami. – Ned tkwił przy łbie muła. Automobil stał tyłem do nas. Minnie nie było w nim w dalszym ciągu. Może wróciła do Memphis z Samem i Otisem? Może teraz, kiedy miała Otisa w ręku, nie chciała go wypuścić, póki nie odzyska swojego zęba? Tak przynajmniej ja bym postąpił.

– A więc pan Poleymus złapał w końcu i ciebie – przywitał mnie Ned.

– Co się stało? Nie ma kajdanków twoich rozmiarów?

– Zamknij się – powiedziałem.

– Kiedy go zabierzesz do domu, synu? – spytał Neda pan Poleymus.

– Mam nadzieję, że dziś wieczór – odparł Ned. Nie grał teraz wuja Remusa ani wszystkowiedzącego cwaniaka. – Jak tylko będę miał te wyścigi z głowy, to zaraz zajmę się wyjazdem.

– Wystarczy ci pieniędzy?

– Tak, proszę pana – powiedział Ned. – Bardzo dziękuję. Damy sobie radę po wyścigach. – Zablokował koło i wsiedliśmy do bryczki. Pan Poleymus stał, trzymając rękę na górnej poprzeczce. – Więc naprawdę

dzisiaj po południu macie zamiar się ścigać z tym koniem Linscomba? – spytał.

– Dzisiaj po południu mamy zamiar wygrać z koniem pana Linscomba – odparł Ned.

– Masz nadzieję? – spytał pan Poleymus.

– Mam pewność – odparł Ned.

– Na ile masz tę pewność?

– Chciałbym mieć własne sto dolarów, żeby na nią postawić – odparł Ned. Przez chwilę patrzyli na siebie; dobrą chwilę. Potem pan Poleymus puścił poprzeczkę i wyciągnął z kieszeni zniszczoną, zatraskiwaną sakiewkę – jak ją zobaczyłem, to myślałem, że mi się dwoi przed oczyma, bo była zupełnie taka sama jak Neda, wytarta, zniszczona i chyba dłuższa od mojej jeździeckiej skarpetki, tak że nie wiadomo było, kto komu płaci i za co – otworzył ją, wyjął dwa jednodolarowe banknoty, zatrzasnął sakiewkę i wręczył banknoty Nedowi.

– Postaw je za mnie – powiedział. – Jeśli się okaże, że masz rację, zatrzymaj połowę dla siebie.

Ned wziął pieniądze.

– Postawię je za pana – odparł. – Ale bardzo dziękuję. Jeszcze dzisiaj przed zmrokiem będę mógł panu pożyczyć połowę trzy albo i cztery razy większej sumy. – Potem odjechaliśmy – to znaczy Ned zawrócił i ruszył. Nie mijaliśmy w ogóle samochodu. – Znowu płakałeś – powiedział Ned. – Dżokej, co jeździ na wyścigach, a jeszcze nie odczytał się płakać.

– Zamknij się – warknąłem. Ale on znowu zawrócił, przejechał przez tory kolejowe i potem wzdłuż czegoś, co mogłoby być drugą stroną rynku, gdyby Parsham było na tyle duże, by mieć rynek. Zatrzymał muła. Staliśmy przed sklepem.

– Potrzymaj go – wysiadł i wszedł do sklepu. Po chwili wrócił, trzymając papierową torbę, wszedł i ruszyliśmy do domu, to znaczy

do wuja Parshama. Wolną ręką wyjął z dużej torby małą torebkę; były tam dropsy miętowe. – Masz. Kupiłem też trochę bananów i jak tylko zaprowadzimy Groma na ten nasz padok nad rzeką, to sobie usiądziemy i najemy się owoców, a potem może uda mi się trochę przespać, nim w ogóle zapomnę, jak to się robi. Tymczasem przestań się martwić o tę dziewczynę, skoro już powiedziałaś Boonowi Hogganbeckowi to, coś mu miał do powiedzenia. Bicie nie boli baby, bo ona się nie uchyla przed pięścią jak mężczyzna. Ona to bicie przyjmuje, a potem, jak się tylko odwrócisz, łapie za żelazko czy nóż kuchenny. I nic się w babie biciem nie przetrąca. Zostaje im tylko jakieś tam podbite oko czy rozcięta warga. A to jest mucha dla baby. Wiesz dlaczego? Bo baba nie może mieć lepszego dowodu na to, że chłop o niej myśli, jak podbite oko czy rozcięta warga.

Tak więc raz jeszcze, ja i McWillie, staliśmy przed startem, przytrzymywani przez dwóch groomów, na naszych niespokojnych wierzchowcach. (Tak, tak, Grom również ploszył się i tańczył, nauczył się – a przynajmniej zapamiętał od wczoraj – że oczekujemy od niego, by znajdował się przynajmniej pierś w pierś z Acheronem na początku gonitwy, choć nie rozumiał jeszcze, że się spodziewamy, liczymy na to, iż pod koniec gonitwy będzie go wyprzedzał).

Tym razem ostatnie instrukcje Neda były proste, jasne i zwięzłe: – Pamiętaj, wiem, że mogę zmusić go do biegu raz, i wierzę, że mogę go zmusić do biegu dwa razy. Tylko my chcemy zachować ten raz, którego jestem pewny, na wtedy, kiedy będzie mus. Więc chcę, żebyś w tym pierwszym biegu zrobił tak: na chwilę przedtem, nim ci sędziowie tam wrzasną: Jazda! – powiesz do siebie: nazywam się Ned William McCaslin, i potem to zrobisz.

– Ale co? – spytałem.

– Sam nie wiem. Ale Akrum to koń, a z koniem nigdy nie wiadomo. A z czarnym dżokejem to dwa razy bardziej nie wiadomo. Musisz tylko

uważać i być gotów, tak żebyś, nim to się stanie, zdążył powiedzieć: Nazywam się Ned William McCaslin. Potem to zrobisz, i zrobisz szybko. I nie martw się. Jak ci się nie uda i nic się nie stanie, to ja będę czekał tam, na finiszu, gdzie zacznę swoje. Bo wiemy, że raz mogę go zmusić do biegu.

A potem głos krzyknął: – Jazda! – nasi groomowie odskoczyli, jakby ich śmierć gonila, i ruszyliśmy (mówiłem ci, że tym razem ciągnęliśmy losy i McWillie wylosował wewnętrzny tor). A właściwie McWillie ruszył. Bo ja już nie pamiętam, czy obmyśliłem to sobie, czy zrobiłem instynktownie, w każdym razie, kiedy McWillie skoczył do przodu, ja napiąłem się cały i pierwszy impet Groma nasadził go na wędzidło, wodze, chorą rękę, mało mi ramion nie powyrywał. Acheron gnał już pełnym galopem o trzy długości przed nami, kiedy wypuściłem Groma, ale wciąż utrzymywałem między nami dystans trzech długości, obaj waliliśmy teraz na całego, tyle że między nami mogłyby iść trzy konie, kiedy zobaczyłem, że McWillie rzuca szybkie, krótkie spojrzenia w bok, przekrzywiając gałki oczne, bez odwracania głowy; spodziewał się, oczywiście, że zobaczy nas koło swojego kolana. Potem przez chwilę jeszcze cwałował dalej, póki zmysł wzroku nie przekazał jego umysłowi wiadomości, że Groma i mnie wcale tam nie ma. Wtedy obrócił się, szarpnął do tyłu głowę, spoglądając za siebie, i dotąd pamiętam białka jego oczu i otwarte usta; widziałem, jak szaleńczo piłuje Acherona, chcąc go przytrzymać; święcie wierzę, że słyszałem nawet, jak wrzeszczy na mnie: – Do diabła, biały chłopaku, jak chcesz się ścigać, to się ścigaj! – i dzieląca nas przestrzeń zaczęła szybko maleć, bo McWillie wykręcał Acheronowi łeb i ustawiał go ukośnie, aż wreszcie koń biegł niemal bokiem, wypełniając sobą prawie cały tor, od bariery zewnętrznej do wewnętrznej, z tym że łeb trzymał ku zewnętrznej stronie i na chwilę, moment, sekundę znieruchomiał, pewny jestem, że w swym spłoszonym umyśle McWillie rozważał możliwość

zawrócenia i galopowania z powrotem, a później ponownego zawrócenia, już z Gromem na przedzie. I bez żadnego powziętego z góry zamiaru powiedziałem wówczas do siebie: *Nazywam się Ned William McCaslin* i zaciąłem Gro ma z całej siły trzymanym w rękę prętem, podrywając mu łeb tak, że kiedy skoczyliśmy ku owej przerwie między wewnętrzną barierą a zadem Acherona, wydawało się pewne, że się o niego otrzemy. Pamiętam, że pomyślałem wtedy: *Zmiażdży mi nogę*, i siedziałem tak, z prętem znowu gotowym do uderzenia, w całkowitym oderwaniu, czekając z ciekawością jedynie na łomot, wstrząs, trzask, rozpryskujące się kości i krew czy co tam będzie. Ale mieliśmy akurat dość miejsca czy dość dużą szybkość, czy może po prostu dość szczęścia: nie moja noga, ale zad Groma otarł się o zad Acherona, i w tym momencie ciąłem prętem po raz drugi tak mocno, jak tylko potrafiłem. Żaden sędzia ani szef komisarzy toru, ani treser psów, żaden myśliwy-zawodowiec ani morderca, żaden purysta czy pedant spośród największych i najbardziej nienaganych skrupulantów nie mógłby stwierdzić, że koń, którego uderzyłem, nie był moim koniem; stanowiliśmy w tym momencie tak całkowitą jedność, że z naszej czwórki tylko Acheron wiedział, kto dostał.

I naprzód. To znaczy Grom i ja. Nie obejrzałem się wówczas – nie mogłem. Musiałem więc czekać, aż mi inni opowiedzą, jak było. Mówili, że Acheron wcale nie chciał przeskoczyć ogrodzenia, on tylko stanął dęba i jakoś tak wypadł przez tę barierę na zewnątrz, w kłębach kurzu i drzazg z rozwalających się białych desek, ale wciąż na nogach, i biegł potem rozszałały, właściwie prosto na pastwisko pośród uskakujących mu sprzed kopyt widzów, aż wreszcie McWillie zawrócił go jakoś; powiedali, że tym razem ustawiał go ukośnie do skoku przez bandę (za późno było wracać do wywalonej uprzednio dziury, bo ja i Grom za bardzo się już wysforowaliśmy naprzód), jakby to był koń myśliwski. Acheron odmówił jednak skoku i biegł w dalszym ciągu cwałem, ale po zewnętrznej stronie

bariery, widzowie zaś wrzeszczeli i odskakiwali jak żaby, kiedy tak torował sobie nową bezprecedensową drogę. Wtedy właśnie posłyszałem go znowu. On, a właściwie oni – McWillie i Acheron – zbliżali się szybko, choć dzieliła nas zewnętrzna banda. Grom miał teraz cały tor dla siebie i biegł tym pięknym, rytmicznym krokiem, długi i potężny, lecz wciąż bez przekonania i świadomości, że trzeba się spieszyć. Wyszedł na drugą prostą, Acheron zaś, który przebiegł dodatkowo co najmniej pięćdziesiąt jardów i miał przed sobą drugie tyle, już nas doganiał po przeciwnej stronie bariery, już wchodził na drugi zakręt pierwszego okrążenia i niemal widziałem, jak McWillie boryka się szaleńczo z decyzją co do dwóch możliwości, z których jedna była coraz mniej realna: czy odsunąć Acherona od ogrodzenia na taką odległość, żeby skręcić i wprowadzić go przez wywaloną przezeń dziurę z powrotem na tor, ryzykując, że koń odmówi skoku przez nieszczęsne rumowisko, czy też nie ryzykować i zostać tam gdzie są, na tym nowym torze oczyszczonym już z wszelkich przeszkód.

Zwyciężył konserwatyzm (tak jak być powinno i jak bywa); znowu dalsza prosta – teraz już na drugim okrążeniu; znowu drugi zakręt (również na drugim okrążeniu) i już tam, na swojej zewnętrznej, dłuższej krzywej wysforowali się przed nas; potem celownik, Acheron co najmniej o jedną długość przed nami; przez chwilę miałem ochotę chwycić bat, ot, żeby lepiej wyglądało, i naprzód; tłum wrzeszczał teraz, cóż zresztą dziwnego? Niewielu, a może i nikt nie oglądał takiego jak ten wyścigu dwóch koni biegnących po dwóch stronach bariery; i naprzód, Acheron wciąż w cwałach po swojej pustej ścieżce stojącej mu otworem jak ścieżka do nieba, o dwie długości przed nami, kiedy my – Grom – minęliśmy celownik. Tamten (najwidoczniej spodobało mu się to galopowanie na zewnątrz) zaczął już trzecie okrążenie, kiedy McWillie ściągnął go siłą w bok i na pastwisko, gdzie zacisnął się wokół nich krąg, bariera, z którą nawet on

musiał się liczyć. A za nami podniosła się teraz wrzawa, ryki: „Faul, faul, nie, nie, tak, gonitwa nieważna, nieważna, owszem, ważna, nie, nieważna, zapytajcie sędziego, zapytajcie Eda, Ed, czy ważna gonitwa?” – to była ta część tłumu, którą rozproszył Acheron, wyłamując ogrodzenie, a która teraz wlewała się na przez dziurę, by przyłączyć się do tamtych na wewnętrznym polu. Rozglądałem się za Nedem; wydawało mi się, że go widzę, ale to był Likurg spieszący ku mnie po torze. Wziął Groma przy pysku i od razu zawrócił.

– Chodź – powiedział. – Na teraz dość. Koń musi ostygnąć. Pan McCaslin powiedział, żeby go zabrać z toru tam, pod te drzewa świętojańskie, gdzie stoi przywiązana bryczka, tam dadzą mu spokój, a my będziemy go mogli rozetrzeć. – Ale ja próbowałem jednak zatrzymać konia.

– Co się stało? – pytałem. – Czy to się będzie liczyło? Przecież wygraliśmy, no nie? To my minęliśmy celownik. Oni przebiegli obok. Słuchaj, potrzyмай konia, a ja pójdę i sprawdzę...

– Mówiłem ci, że nie – zniecierpliwiał się Likurg. Prowadził teraz konia kłusem. – Pan McCaslin też nie chce, żebyś tam chodził. Powiedział, żebyśmy ty i ja siedzieli z Gromem tam, nie gdzie indziej, i przygotowali go do następnej gonitwy. Zacznie się za niecałe pół godziny i musimy ją wygrać, bo jeśli tę unieważnią, to trzeba wygrać następną, choćby się nie wiem co działo. – Ustałem więc, Likurg podniósł jedną deskę bariery przy końcu toru i wyjechaliśmy na zewnątrz, kierując się na pastwisko ku kępie drzew świętojańskich, o jakieś dwieście jardów dalej; z daleka widziałem już przywiązaną do jednego z nich bryczkę wuja Parshama. Wciąż dochodziły mnie głosy sędziów zebranych na wewnętrznym polu i wciąż mnie korciło, by wrócić i dowiedzieć się, jak jest. Ale Likurg i to uprzedził: miał w bryczce wiadra, gąbki, szmaty i nawet bańkę wody, trzeba więc było rozsiodłać Groma i zabrać się do roboty.

Informacje o tym, co się działo (i toczyło się dalej), otrzymałem więc z drugiej ręki – najpierw dowiedziałem się, co Likurg zdążył zobaczyć, nim Ned wysłał go do mnie, a resztę od innych – wszystko, nim jeszcze nadszedł Ned. Na torze panowała wrzawa, głosy przeciw i głosy za (o, tak, nawet po przegranych dwóch wyścigach czy gonitwach, czy co tam było zeszłej zimy, i pierwszej gonitwie tych wyścigów wczoraj, znaleźli się ludzie, którzy stawiali na Groma. Bo, widzisz, ja miałem dopiero jedenaście lat i nie wiedziałem, że jeszcze nie stał przy celowniku taki koń – założywszy, że doszedł tam na własnych nogach i w dalszym ciągu utrzymywał się na nich – na którego by ktoś nie postawił), owa wrzawa kilka razy nieomal przekształciła się w bitkę. Ned był tego wszystkiego ośrodkiem, w istocie – punktem odniesienia, grzeczny i spokojny, ale uparty i stanowczy, odpierał wszystkie ataki: – To nie była gonitwa. Trzeba przynajmniej dwóch koni, żeby gonitwa była ważna, a tymczasem jeden z tych koni w ogóle nie biegł po torze. – A na to Ned:

– Nie, proszę pana. Przepisy nic nie mówią o ilości koni. Mówią zawsze tylko o jednym koniu: że jeśli ten koń nie zrobi faula, nie przerwie biegu w przód i jego dżokej nie spadnie i jeśli ten koń pierwszy przekroczy linię celownika, to wygrywa. – A na to ktoś inny:

– Wobec tego sam dowiodłeś, że kary wygrał. Nie zrobił żadnego faula, tylko rozbił ze dwadzieścia stóp bariery i na pewno nie przerwał biegu w przód, bo na własne oczy oglądałem, jak stu ludzi zmykało przed nim jak zające, a ty sam widziałeś, jak minął linię celownika co najmniej na dwie długości przed tym kasztanem. – A na to Ned:

– Nie, proszę pana. Linia celownika biegnie tylko w poprzek toru, od zewnętrznej do wewnętrznej bariery. Nie przedłuża się poza nią i nie wpada do Missisipi. Gdyby tak było, to tę linię od samego rana przekraczały dziś różne konie, a myśmy nic o tym nie wiedzieli. Nie, proszę pana. To bardzo przykre z tą kruchą barierką, ale my byliśmy za

bardzo zajęci jazdą na naszym koniu, żeby się zatrzymać i czekać, aż tamten wróci. – I wtedy nagle na scenie – to znaczy w opowieści o tej scenie – pojawiło się trzech obcych przybyszów, a właściwie nie trzech, ponieważ jednym z nich był sam pułkownik Linscomb, którego wszyscy tu znali jako sąsiada. Zapewne opowiadającym chodziło o tych dwóch pozostałych, jego gości; byli to ludzie z miasta, w każdym razie na takich wyglądali, tego samego mniej więcej co pułkownik Linscomb wieku, najwidoczniej zamożni, ubrani tak samo w tużurki, w krawatach. Jeden z nich wziął zapewne sprawę w swoje ręce, bo wszedł w rozwrzeszczany tłum, zbity wokół Neda i znękanym sędziów, mówiąc:

– Panowie, pozwólcie, że wam zaproponuję pewne wyjście. Istotnie, tak jak ten tu człowiek – mówił o Nedzie – powiada, jego koń szedł zgodnie z przepisami i pierwszy przebiegł linię celownika. Ale przecież widzieliśmy wszyscy, że ten drugi koń biegł o wiele szybciej i prowadził na finiszu. Właścicielami tych koni są ci tutaj dwaj panowie stojący koło mnie: pułkownik Linscomb, wasz sąsiad, oraz pan van Tosch z Memphis, które leży na tyle blisko, byście go też po jakimś czasie mogli nazywać sąsiadem. Obaj ci panowie zgodzili się, a sędziowie na pewno na to przystaną, by tę gonitwę, która się przed chwilą odbyła, odłożyć w depozyt – jak to nazywają bankierzy. Wy wszyscy mieliście do czynienia z bankierami, z wolnej woli albo z konieczności – powiadali, że tu nawet przerwał na wybuchy śmiechu i otrzymał je – i wiecie, że już oni mają nazwę na wszystko...

– Nie tylko nazwę, ale i procent – powiedział jakiś głos, za co został również nagrodzony wybuchami śmiechu, do których mówca się przyłączył.

– W tym wypadku depozyt oznaczać będzie zawieszenie. Ta gonitwa nie zostanie unieważniona czy przekreślona, tylko zawieszona. Zakłady dalej są ważne, nikt nie przegrał, nikt nie wygrał. Możecie je podwyższyć,

możecie się asekurować na obie strony, możecie robić, co chcecie.

Stawki na tę ostatnią gonitwę w dalszym ciągu są ważne, a właściciele dodają jeszcze drugie pięćdziesiąt dolarów z boku na następną, bo zwycięzca w ostatniej gonitwie będzie również zwycięzcą tej, która się odbyła przed chwilą. Ten, kto wygra następną gonitwę, zwycięży w wyścigach. Co wy na to?

To właśnie usłyszeliśmy później, ja i Likurg. Teraz nie wiedzieliśmy jeszcze nic, tylko czekaliśmy na Neda lub kogoś, kto po nas przyjdzie czy przyśle. Grom był już oczyszczony i okryty derką, Likurg przeprowadzał go tam i z powrotem, utrzymywał w ruchu, ja zaś siedziałem pod drzewem, zdjawszy skarpetkę z ręki, by wysuszyć bandaż. Wydawało mi się, że mijają godziny długie jak wieczność, a z następną myślą wszystko się kurczyło, gęstniało, skracało. Potem nadszedł Ned szybkim krokiem. Mówiłem ci, że tego ranka wyglądał strasznie, ale na to wrażenie składała się częściowo jego ubranie. Teraz miał koszulę białą (lub prawie białą) i czyste spodnie. Ale nawet gdyby miał wciąż brudną odzież, tym razem nie ona sprawiałaby to straszne wrażenie. Teraz przerażała jego twarz. Nie wyglądał tak, jakby zobaczył zwykłego niewinnego ducha; wyglądał tak, jakby nagle, bez uprzedzenia, stanął przed Sądem Ostatecznym, tylko że Najwyższy Sędzia powiedział mu: – Uspokój się. Będziesz mi potrzebny dopiero za trzydzieści lub czterdzieści minut. Bądź wówczas gotów, ale teraz jeszcze się nie martw i wróć do swoich spraw. – Ned nie dał nam ani chwili czasu. Podszedł do bryczki, wziął swoją czarną kurtkę i nałożył ją mówiąc:

– Odłożyli tę gonitwę do czegoś, co się nazywa depozyt. To znaczy, że ten, kto przegra następną gonitwę, przegrywa wszystko. Siodłajcie go. – Likurg zdążył już zdjąć derkę z konia; siodłanie nie zabrało nam wiele czasu. Po chwili siedziałem na Gromie, Ned trzymał go przy pysku jedną ręką, drugą szukał czegoś w kieszeni kurtki. – Ta gonitwa będzie dla ciebie

łatwa. Wczoraj nastraszyliśmy trochę tamtego chłopaka, dziś całkiem go wyprowadziliśmy w pole. Więc teraz już go nie okpisz. Ale to nic. Teraz nam to niepotrzebne. Ja sam zajmę się tą gonitwą. Ty musisz tylko siedzieć na koniu podczas finiszu. Żebyś mi nie spadł. To jedno musisz zrobić: utrzymać go do samego końca między wewnętrzną i zewnętrzną bandą i nie spaść. Pamiętaj, czegoś się od niego nauczył w poniedziałek. Kiedy będziesz na pierwszym okrążeniu, tuż przed miejscem, w którym on się zacznie zastanawiać, gdzie to ja w poniedziałek stałem, zatnij go. Niech leci, nie zwracaj sobie głowy tamtym koniem, niech robi, co chce i gdzie chce, pilnuj tylko swojego. Będziesz pamiętał?

- Tak.

- To dobrze. A teraz jeszcze jedna rzecz, którą musisz zrobić. Na drugim zakręcie drugiego okrążenia, kiedy będziesz wchodził na ostatnią prostą, ku celownikowi, musisz wiedzieć, nie przypuszczać, ale mieć zupełną pewność, że Grom widzi cały tor przed sobą. Jak tam będziesz, zrozumiesz dlaczego. Ale do tego czasu, żebyś sobie nie wyobrażał, że on widzi albo że powinien widzieć, ale żebyś miał pewność, że on widzi cały tor aż do samego celownika i dalej. Jeśli ten drugi koń będzie biegł przed tobą, ściągnij Groma w poprzek toru do zewnętrznej bandy, jeśli będzie trzeba, tak żeby nic nie stało na przeszkodzie, by widział linię celownika i dalej. Nic się nie martw, że stracisz na odległości. Ustaw tylko Groma tak, by mógł widzieć wszystko przed sobą. – Wyjął teraz drugą rękę z kieszeni, Grom znowu zanurzył mu chrapy w dłoni i znowu poczułem ten sam słaby zapach, który czułem w poniedziałek na pastwiskach wuja Parshama, zapach, który ja i każdy powinien natychmiast rozpoznać i który ja rozpoznałbym od razu, gdybym go wciągnął w nozdrza i miał trochę czasu. – Czy będziesz o tym pamiętał?

- Tak – odparłem.

- Wobec tego naprzód – powiedział. – Prowadź go, Likurg.

– Nie idziesz z nami? – zdziwiłem się. Likurg pociągnął konia, trzeba było siłą wyrwać pysk Groma z ręki Neda, wreszcie Ned musiał z powrotem włożyć rękę do kieszeni.

– Naprzód – powtórzył. – Wiesz, co masz robić. – Likurg prowadził, musiał go kawałek poprowadzić, bo Grom próbował się nawet wykrecić do tyłu i trzeba go było przytrzymać.

– Uderz go lekko – powiedział Likurg. – Niech się znowu zajmie tym, co do niego należy. – Posłuchałem. Potem po raz trzeci McWillie i ja przytrzymywaliśmy nasze gotowe do biegu błyskawice przed linią startu. Groom McWilliego odrzucił ewentualność wytarzania się w pyłe po raz trzeci, a ponieważ na jego miejsce nie zgłosił się nikt inny i nie zgodzono się na pobór, więc rozciągnięto kawał skręconej juty pomiędzy zewnętrzną a wewnętrzną barierą, który to sznur trzymało dwóch demokratów patrzących sobie w oczy poprzez tor. Był to chyba najlepszy z dotychczasowych startów. Acheron, dla którego rozwalenie sześciocalowej deski było drobiazgiem, nie chciał się oczywiście zbliżyć do powroza na mniejszą odległość niż sześć stóp, Grom zaś, prawie dotykając szmaty nosem, stał nieruchomo jak krowa, przeglądając, jak przypuszczam, tłum w poszukiwaniu Neda, kiedy starter zakrzyknął: Jazda!, sznur opadł i w tej samej chwili Acheron i McWillie wystrzelili przed nas, a McWillie wrzasnął mi niemal w samo ucho:

– Nauczę cię teraz, ty biały chłopaku! – i pognali, ale zdążyli wyjść zaledwie na jedną długość, kiedy Grom podciągnął posłusznie do kolana McWilliego – siła, rytm, właściwie wszystko, co trzeba, ale nic jeszcze nie przemówiło do tego łba i nie wytłumaczyło mu, że to wyścigi. A prawdę mówiąc, po raz pierwszy, odkąd ja brałem w nich udział, odkąd byłem tu jednym z czynników składowych, wszystko zaczęło przypominać wyścigi: dwa konie szły jakby sprzężone ze sobą, tylko z pewnym luzem, naprzód na dalszą prostą pierwszego okrążenia, nasze wzajemne pozycje

w stosunku do ruchu w przód zmieniały się i przesuwały z jakimś niemal sennym bezwładem, Acheron ciągnął, aż zaczynało się wydawać, jakby naprawdę miał się od nas oderwać, wtedy Grom zauważał powstającą przerwę i natychmiast ją zamykał, dołączając do Acherona; słyszałem przy barierze głosy tych, którzy jeszcze Groma nie znali, mówiące, że on po prostu nie chce zostawać sam tak daleko w tyle; potem drugi zakręt i powrotna prosta pierwszego okrążenia i daję ci słowo, że Grom wchodził na tę prostą już od początku rozglądając się za Nedom. Daję ci słowo, że zarżał. Biegając pełnym cwałem zarżał. Pierwszy raz w życiu słyszałem, żeby koń rżał w biegu. Nie przypuszczałem, że to w ogóle możliwe.

Zaciąłem go tak mocno, jak tylko mogłem. Skoczył, zadrżał, rzucił się do przodu: zrobiliśmy już McWilliemu prezent z dwóch długości, więc zaciąłem konia ponownie; wchodziliśmy na drugie okrążenie, mając ciągle taki sam odstęp między nami, więc pracowałem teraz odartym ze skórki prętem, aż wreszcie odległość dzieląca nas od Acherona zajęła miejsce Neda w tym, co Grom uważał za swój rozum; zamknął więc przerwę i znowu przyłożył łeb do kolana McWilliego, w całkowitym posłuszeństwie, ale ani cala dalej – ten cudownie wyposażony i skonstruowany mechanizm, którego muskuły nigdy nie otrzymały informacji z mózgu czy też którego mózg nigdy nie otrzymał od swoich zewnętrznych posterunków obserwacyjnych i doświadczalnych informacji, iż jedynym celem i powodem tego szalonego wysiłku było, by przyjść gdzieś jako pierwszy. McWillie bił teraz swojego konia, więc ja nie potrzebowałem używać pręta: tak samo nie mógł oderwać się od Groma, jak nie mógł zostać za nami w tyle, znowu wchodziliśmy na dalszą prostą, potem na drugi zakręt, ja wciąż na grzbiecie Groma, a Grom wciąż pomiędzy zewnętrzną a wewnętrzną bandą, więc teraz pozostawały mi tylko ostatnie instrukcje Neda: ściągnąć konia, zwolnić, dając McWilliemu w prezencie niemal jeszcze jedną długość, tak aby nic nie przesłaniało Gromowi widoku

toru przed nami, linii celownika i dalej. Grom pierwszy zobaczył Neda. Poczułem najpierw ten karkołomny sus, ten skok, jakby koń przerwał jakąś niewidzialną zaporę czy jarzmo. Potem dojrzałem Neda stojącego może czterdzieści jardów za celownikiem, małego, samotnego i drobnego na tym pustym torze, a tymczasem Acheron i siekące ramię McWilliego mignęły mi tylko; przez ułamek sekundy widziałem wykrzywioną twarz czarnego dżokeja, potem już nic, lina mety przeleciała nad nami. – Chodź no tu, synku – powiedział Ned.

– Mam to dla ciebie.

Grom omal mnie nie zwałił, zatrzymując się i zawracając po torze (Acheron był gdzieś tuż za nami i usiłował – mam nadzieję – również się zatrzymać), dobiegł do Neda tym samym szalonym cwałem, nie zwracając uwagi na wędzidło i wszystko inne i przestał biec, wsunąwszy po prostu nozdrza w rękę Neda, a ja siedziałem mu niemal na uszach, chwytając się wszystkiego, co było w pobliżu, chorą i zdrową dłonią. – Udało się! – mówiłem, krzyczałem. – Udało się! Wygraliśmy!

– Ta część się udała – powiedział Ned. – Proś swoją gwiazdę, żeby to było wszystko. – Ale ja, widzisz, przed chwilą skończyłem i wygrałem swój pierwszy wyścig. Taki prawdziwy wyścig, na którym byli ludzie dorośli; nigdy jeszcze nie widziałem tylu naraz; przyglądali się, jak wygrywałem ten wyścig, i (przynajmniej niektórzy z nich) stawiali pieniądze w zakład, że ja wygram. Poza tym nie miałem czasu, by zauważyć cokolwiek w twarzy, głosie czy słowach Neda, bo ludzie przechodzili już przez ogrodzenie, włączili na tor, szli ku nam: rojny tłum przepoconych kapeluszy, koszul bez krawatów i rozdziawionych, krzyczących gąb. – Patrz teraz dobrze – powiedział Ned, a ja wciąż jeszcze nic: tylko te twarze i głosy jak morze.

– To była jazda, chłopcze! To był finisz!!! – ale myśmy się nie zatrzymywali, Ned prowadził dalej Groma mówiąc:

– Przepuście nas, panowie biali, przepuście nas, panowie biali – aż rozstąpili się na tyle, byśmy się mogli przecisnąć, ale szli z nami jak fala, aż dotarliśmy do furtki prowadzącej na wewnętrzne pole, tam gdzie czekali sędziowie i Ned powtórzył: – Patrz teraz dobrze – i już nic nie pamiętam: tylko ten zatrzymujący się koń i Ned jak skamieniały przy jego pysku i ja spoglądający między uszami konia na dziadka, który stał wsparty na lasce (tej ze złotą gałką), i dwoje ludzi za nim, których znałem kiedyś, bardzo, bardzo dawno.

– Szefie – powiedziałem.

– Co sobie zrobiłeś w rękę?

– Słucham, Szefie...

– Jesteś teraz zajęty – stwierdził. – Ja również. – Brzmiało to całkiem uprzejmie, całkiem chłodno. Nie, to brzmiało nijako. – Zaczekamy do powrotu do domu – oświadczył. I zniknął. Potem okazało się, że tych dwoje ludzi to Sam i Minnie ze spokojną, ponurą, niepocieszoną twarzą patrzącą ku mnie, jak mi się wydawało, bardzo długo, podczas gdy Ned trącał mnie w nogę.

– Gdzie jest ten woreczek od tytoniu, który ci dałem wczoraj do schowania? – pytał. – Chyba go nie zgubiłeś?

– Tu jest – odparłem, wyciągając go z kieszeni.

XIII

– Pokaż im – zwróciła się panna Reba do Minnie. Siedzieli w naszym – to znaczy Boonowym – nie, właściwie dziadkowym automobilu: Everbe, panna Reba, Minnie, Sam i szofer pułkownika Linscomba; był to ojciec McWilliego. Pułkownik Linscomb też miał samochód. Oni – to znaczy szofer, Sam i Minnie – pojechali do Hardwick, żeby przywieźć pannę Rebę, Everbe i Boona z powrotem do Parsham, skąd panna Reba, Minnie i Sam mogliby wrócić pociągiem do Memphis. Tylko że Boon nie przyjechał z nimi. Zamknięto go znowu w więzieniu, po raz trzeci, więc zajechali do pułkownika Linscomba, by zawiadomić o wszystkim dziadka. Panna Reba opowiadała, siedząc w samochodzie, a dziadek, pułkownik Linscomb i ja staliśmy naokoło, bo panna Reba nie chciała wysiąść; mówiła o Boonie i Butchu.

– Już w samochodzie podczas jazdy do Hardwick było źle. Ale tam przynajmniej siedział z nami jeden zastępca szeryfa, nie mówiąc o tym starym małym konstablu, co to na pierwszy rzut oka wygląda, jakby do trzech nie umiał zliczyć, jednak na mój gust wcale nie da się łatwo wystawić do wiatru. W Hardwick mieli przynajmniej tyle rozumu, żeby ich zamknąć w osobnych celach, ale kłopot w tym, że nie potrafili zamknąć gęby temu nowemu przyjacielowi Corrie... – tu przerwała; ja również nie chciałem patrzeć teraz na Everbe: duża dziewczyna, za duża na to, żeby jej się miały przytrafić drobne rzeczy, jak podbite oko albo rozcięta warga, co by tam wołała, chyba żeby nie potrafiła, nie mogła zadowolić się jednym tylko; siedziała tak, musiała siedzieć, nie miała dokąd iść, nie mogła nawet wysiąść, a stamtąd, gdzie stałem, widziałem,

jak krew uderza jej powoli, boleśnie do twarzy. – Przepraszam cię, mała, zapomnij, że to mówiłam – zwróciła się do niej panna Reba. – Gdzie to ja przerwałam?

– Opowiadała pani, co Boon zrobił tym razem – podpowiedział jej dziadek.

– Aha. No więc zamknęli ich w oddzielnych celach po przeciwnych stronach korytarza i zabierali właśnie mnie i Corrie – bardzo nas przyzwoicie traktowali, całkiem jak damy – do pokoju żony dozorczy więzienia, gdzie miałyśmy zostać, kiedy ten – jak on się tam nazywa – Butch zaczyna w te słowa: „No cóż, jedno jest pewne – chociaż ja i Lubus straciliśmy przy tej okazji trochę krwi, skóry i ubrania, to przynajmniej przegnaliśmy te, przepraszam za wyrażenie – powiedziała panna Reba – te memphickie kurwy z ulicy”. No i na to Boon zaczął zaraz znowu walić w te stalowe drzwi, ale tamci pamiętali, żeby je przedtem zamknąć, więc każdy by myślał, że Boon się uspokoi. No wie pan, jak tak musiał siedzieć i patrzeć w te drzwi... W każdym razie tak sądziliśmy. A potem, kiedy Sam przyszedł z papierami, dokumentami, czy co to tam było. Bardzo panu za nie dziękuję – zwróciła się do dziadka.

– Nie wiem, ile pan musiał wyłożyć, ale jeśli pan będzie łaskaw przysłać mi rachunek do domu, to ja go już na pewno dopilnuję. Boon zna mój adres i zna mnie.

– Dobrze – odparł dziadek. – Jeśli będą jakieś koszty, zawiadomię panią. Ale co się stało Boonowi? Nie powiedziała mi pani jeszcze.

– Aha, prawda. No więc, otworzyli najpierw drzwi temu, jak on się tam nazywa, i to był błąd, bo ledwie zdążyli wyciągnąć klucz z zamka Boona, ten wyskoczył z celi i siedział na...

– Butchu – powiedziałem.

– ...na Butchu – ciągnęła panna Reba. – Dał mu w zęby, zwałił na ziemię i nim tamci zdążyli się ocknąć, już na nim siedział. No więc, nie

dali się Boonowi nawet na chwilę zatrzymać, całe jego wyjście to była ta przechadzka przez korytarz i z powrotem do celi, którą zaraz zamknęli, bo nie zdążyli jeszcze wyjąć klucza z zamka. Ale w każdym razie chłop zasługuje na podziw... – tu zatrzymała się.

– Za co? – spytałem.

– Coś ty powiedział?

– Co on takiego zrobił, żeby go podziwiać? Nie powiedziała nam tego pani. Co on takiego zrobił?

– Twoim zdaniem to, że chciał jednak ukręcić łeb temu...

– Butchowi – powiedziałem.

– ...Butchowi natychmiast po wyjściu z celi to nic?

– zapytała panna Reba.

– On to musiał zrobić – powiedziałem.

– A niech mnie piorun strzeli! – zawołała panna Reba.

– Ruszajmy już, musimy zdążyć na pociąg. Nie zapomni pan wysłać tego rachunku? – przypomniała dziadkowi.

– Wsiądźcie i wejdźcie do domu – poprosił pułkownik Linscomb. – Zaraz podadzą kolację. Możecie jechać pociągiem o północy.

– Bardzo dziękuję, ale nie – odparła panna Reba.

– Choćby pańska żona najdłużej przebywała w Monteagle, kiedyś jednak wróci, i wtedy będzie się pan musiał tłumaczyć.

– Nonsens – obruszył się pułkownik Linscomb. – Jestem panem we własnym domu.

– Mam nadzieję, że będzie pan w dalszym ciągu – powiedziała panna Reba. – Och, byłabym zapomniała – to do Minnie. – Pokaż im. – Minnie nie uśmiechnęła się do nas, ona uśmiechnęła się do mnie. Piękne to było; te równiutkie, dobrane, nieporównane, nieskazitelne kawałeczki porcelany, maszerujące, zataczające ku przodowi łuk, by objąć, namiętnie niemal, odzyskany złoty ząb, który wydawał się większy niż trzy naturalne razem

wzięte. Potem przymknęła znów wargi, pogodna, spokojna, ponownie odporna, ponownie niedostępna ciosom w takim stopniu, w jakim krucha materia marnych kości, ciała oraz przypadku może sobie rościć pretensje czy prawo do niedostępności ciosom. – Jedziemy – powiedziała panna Reba. Ojciec McWilliego zakręcił korbą i wszedł; samochód ruszył. Dziadek i pułkownik Linscomb zawrócili ku domowi, a ja ruszyłem tam również, kiedy trąbka samochodowa zatrąbiła, nawet nie głośno, jeden raz, więc obejrzałem się. Samochód stanął, Sam wysiadł z niego i kiwał na mnie ręką.

– Chodź no tu! – wołał. – Panna Reba chce z tobą chwilę pomówić. – Patrzył na mnie, gdy podchodziłem. – Czemu ty i Ned nie powiedzieliście mi, że ten koń będzie naprawdę biegł? – zapytał.

– Myślałem, że pan wie. Przecież dlatego tu przyjechaliśmy.

– No tak, tak. Ned mi to mówił. Ty mi to mówiłeś. Wszyscy mi to mówili. Tylko dlaczego nikt mnie nie zmusił, żebym w to uwierzył? Och, oczywiście, nigdy nie był ze mnie ryzykant. Ale gdybym miał ducha panny Reby, to może bym postawił dzisiaj cały ten wagon bagażowy. Masz – tu wręczył mi twardy zwitek pieniędzy, banknotów. – To Neda. Powiedz mu, że jak za następnym razem znajdzie konia, który nie chce biegać, to niech nie traci czasu i nie przyjeżdża po mnie. Niech tylko zatelegrafuje. – Panna Reba wychylała się z samochodu, twarda, ładna. Everbe siedziała po drugiej stronie, wciąż bez ruchu, ale za duża, żeby jej można było nie zauważyć. Panna Reba powiedziała:

– Nie spodziewałam się, że wyląduję tu w więzieniu. Ale z drugiej strony, chyba nie miałam również pewności, że tak się nie skończy. W każdym razie Sam postawił pieniądze również i w moim imieniu. Postawiłam pięćdziesiąt dla pana Binforda i pięć dla Minnie. Sam dostał trzy dolary za dwa. Ja... to znaczy... my... chcielibyśmy się z tobą podzielić po połowie. Nie mam przy sobie tyle gotówki, bo ta

nieprzewidziana dodatkowa wizyta dzisiaj...

– Nie chcę tych pieniędzy – powiedziałem.

– Przypuszczałam, że tak powiesz – odparła. – Kazałam więc Samowi postawić jeszcze pięć dolarów w twoim imieniu. Masz za to siedem pięćdziesiąt. Trzymaj – wyciągnęła rękę.

– Nie chcę tych pieniędzy – powtórzyłem.

– Nie mówiłem pani? – wtrącił Sam.

– Dlatego, że to był hazard? – spytała. – Czy i to obiecałeś? – Nie, nie obiecywałem. Matce hazard nie przyszedł jeszcze do głowy. Ale ja nie potrzebowałem nic nikomu przyrzekać. Tylko nie wiedziałem, jak jej wytłumaczyć to, co dla mnie samego nie było całkiem jasne: tyle że ja tego nie robiłem dla pieniędzy; że pieniądze byłyby ostatnią rzeczą... że jak już raz zaczęliśmy, to musieliśmy iść dalej i skończyć, ja i Ned, choćby wszyscy inni dali za wygraną; tak jakbyśmy przez zmuszenie Groma do biegu i do wygrania wyścigu mogli usprawiedliwić (nie uniknąć konsekwencji, tylko usprawiedliwić) wszystko, co się przedtem stało. Nie... nie, chodziło o to, bym miał wierzyć, iż przez to początek naszej wyprawy nabierze cnotliwego charakteru – że wszystko, co Boon i ja musieliśmy rozmyślnie i z nieprzymuszonej woli zrobić tam w Jefferson cztery dni temu, stanie się mniej nieuczciwe – ale chodziło o to, żeby przynajmniej nie kurczyć się, nie cofać, żeby przynajmniej skończyć to, co sami zaczęliśmy. Ale nie wiedziałem, jak jej to powiedzieć. Więc odparłem tylko:

– Nie. Nie chcę tych pieniędzy.

– Dalej – wtrącił się Sam – bierz je, żebyśmy już mogli jechać. Musimy złapać ten pociąg. Daj je Nedowi albo może temu starszukowi, który się tobą wczoraj zaopiekował. Oni już będą wiedzieli, co z tym zrobić. – Więc wziąłem te pieniądze; miałem teraz dwa zwitki, duże i małe. I wciąż Everbe siedziała nieporuszona, z rękami na podołku, duża, za duża, żeby

jej się mogły przytrafiać drobne rzeczy. – Chociaż ją pogłaszcz po głowie – szepnął Sam. – Chyba Ned cię nie uczył, że można kopać psa?

– On by i tak nie kopał – powiedziała panna Reba. – Spójrzcie tylko na niego! Chryste, ci mężczyźni! I ten ma dopiero jedenaście lat! Powiedz mi, czy to w ogóle coś znaczy: jeden więcej? Czy nie dawała wam od niedzieli dowodów, że już z tym skończyła? Gdybyś piłował drzewo tak długo jak ona, co by ci, u diabła, szkodziło przepiłować jeszcze jedną kłodę, kiedy już zlikwidowałeś interes i nawet zdjąłeś szylld? – Obszedłem więc samochód dookoła. Ale ona wciąż się nie ruszała, za duża, żeby jej się mogły przytrafiać drobne rzeczy, za duża, by mogła być podmiotem zdarzeń drobnych i błahych – jak ptasie odchody na tablicy ogłoszeniowej albo na wielkim bębnie. Siedziała tak, za duża nawet, by się skulić, zawstydzona (Ned miał rację), z ustami opuchniętymi nieco, ale przede wszystkim z podbitym okiem; na niej nawet zwykły siniak nie mógł być zadowolony, jeśli nie wydawał się większy, bardziej okazały, bardziej nie do ukrycia niż na kimkolwiek innym.

– Wszystko w porządku – powiedziałem.

– Wydawało mi się, że muszę – odparła. – Nie widziałam innego wyjścia.

– Rozumiesz? – zapytała panna Reba. – Rozumiesz, jakie to łatwe? Nie potrzebujesz nic więcej mówić; wierzymy. Każdy cherlawy i wypluty skurwysyn poniżej siedemdziesiątki potrafi wmówić kobiecie, że nie było innego wyjścia.

– Musiała pani to zrobić – powiedziałem. – Oddali nam Groma na czas, żeby stanąć do wyścigów. Teraz to już nieważne. Niech panie lepiej jadą, żeby się nie spóźnić na pociąg.

– No, pewno – zgodziła się panna Reba. – A ona ma w dodatku ugotować kolację. Jeszcze o tym nie wiesz: ot, niespodzianka! Ona wcale nie wraca do Memphis. Nie tylko rzuca dom pokusy, ale i samą pokusę,

jeśli prawdą jest to, co mówią: że w takim miejscu jak Parsham jedyną pokusą są własne wrodzone ambicje i apetyty. Dostała pracę w Parsham, będzie prała, gotowała, dźwigała z łóżka i myła żonę tego konstabla. Odpada jej więc konieczność dzielenia się zarobkami i tym, co sam wiesz, z pierwszą lepszą blaszaną gwiazdą, jaka się napatoczy, bo teraz wystarczy jej tylko zasłonić się imbrykiem czy wysmolonym garnkiem. Chodź – zwróciła się do Sama. – Nawet na twój rozkaz pociąg nie będzie na nas czekał.

No i pojechali. Zawróciłem ku domowi. Był to wielki dom z kolumnami i portykami, pięknie utrzymanym ogrodem, stajniami (w jednej z nich stał Grom), wozownią i czymś, co się kiedyś nazywało kwaterami niewolników – jednym słowem było to (i jest) stare, prawdziwe Parsham, wszystko, co pozostało z plantacji, człowieka, rodziny, która imię swoje dała miastu, okolicy, a również niektórym ludziom, jak wuj Parsham Hood. Słońce już zaszło, wkrótce skończy się dzień. I wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że już po wszystkim, że już się skończyło – te cztery dni szarpaniny, walki, podstępów, kłamstwa i niepokoju; wszystko się skończyło, pozostał tylko rachunek. Dziadek, pułkownik Linscomb i pan van Tosch są teraz zapewne gdzieś w domu, wychylają kieliszeczek przed kolacją; pewno minie jeszcze z pół godziny, nim dzwonek wezwie nas do stołu, skręciłem więc i przeszedłem przez rozarium na podwórze od kuchni. No i oczywiście na kuchennych schodkach siedział Ned.

– Masz – wręczyłem mu duży zwitek pieniędzy. – Sam powiedział, że to twoje. – Ned wziął pieniądze. – Nie przeliczysz? – zdziwiłem się.

– Myślę, że on już je przeliczył – odparł Ned. Wyciągnąłem mały zwitek z kieszeni. Ned podniósł wzrok. – Czy dał ci jeszcze i to?

– Panna Reba. Postawiła w moim imieniu.

– To pieniądze z hazardu – oburzył się Ned. – Za młody jesteś, żeby mieć z nimi coś wspólnego. Nikt nigdy nie jest dosyć dorosły na takie

pieniądze, a już ty na pewno. – Jemu też nie mogłem tego wytłumaczyć. Zdałem sobie sprawę, że oczekiwałem, iż on przynajmniej będzie wiedział bez tłumaczenia. Oczywiście wiedział: – Bo przecież myśmy tego nie robili dla pieniędzy – dodał tym samym tchem.

– Swoich też nie zatrzymasz? – spytałem.

– Zatrzymam. Na mnie już za późno. Ale nie na ciebie. Chcę ci dać szansę, nawet jeśli to będzie tylko odbieranie ci szansy.

– Sam mówił, że mógłbym je oddać wujowi Parshamowi. Ale on też nie weźmie pieniędzy wygranych na wyścigach, prawda?

– Czy naprawdę chciałbyś dać wujowi Parshamowi te pieniądze?

– Tak.

– Dobrze. – Wziął więc i mały zwitek, wyciągnął swą sakiewkę i wsadził do niej banknoty; było teraz już niemal ciemno, ale przecież powinien tutaj mnie dojść dzwonek na kolację.

– W jaki sposób wyciągnąłeś od niego ten ząb? – spytałem.

– To nie ja. To Likurg. Wtedy, pierwszego ranka, kiedy pojechałem po ciebie do hotelu. Poszło całkiem łatwo. Psy już raz zagnały go na drzewo i Likurg powiadał, że z początku chciał to powtórzyć, zapędzić go znowu na gumowca i nie odwoływać psów, póki Przyjemniaczek nie włoży zęba w czapkę czy coś i nie zrzuci na dół. Ale Likurg powiadał, że ciągle mu nie dawały spokoju te parszywe wyobrażenia Przyjemniaczka o koniach, zwłaszcza o Gromie. Ale Grom miał tego dnia biegać na wyścigach i musiał odpocząć, więc Likurg zdecydował się na jednego z mułów. Opowiadał, jak Przyjemniaczek wyciągnął na niego mały, stary kozik, ale Likurg go zabrał i zatrzymał, potem komuś odda. – Przerwał. W dalszym ciągu wyglądał źle. Dotąd nie spał. Ale może to i ulga stanąć wreszcie przed Sądem Ostatecznym, który określił moment, kiedy trzeba się zacząć martwić.

– No... – ponaglałem go. – No i co?

– Przecież ci już powiedziałem. Muła to załatwił.

– Ale jak?

– Likurg wsadził na niego Przyjemniaczka bez uzdy i siodła, związał mu nogi pod brzuchem muła i powiedział, że jak się zdecyduje wyjąć ten ząb, włożyć go do czapki i rzucić czapkę na ziemię, to zaraz muła zatrzyma. Potem Likurg zaciął trochę muła i mniej więcej w połowie pierwszego okrążenia posesji Przyjemniaczek rzucił czapkę, tylko że pustą. Więc Likurg oddał mu ją i zaciął muła jeszcze raz, ale zapomniał, że on przeskakuje płoty, a przypomniał sobie dopiero wtedy, jak muła przeskoczył wysokie na cztery stopy ogrodzenie z drutu kolczastego i wydawało się, że chce zabrać Przyjemniaczka do Possum. Ale nie pobiegł bardzo daleko, zawrócił i przeskoczył z powrotem przez ogrodzenie, tak że jak Przyjemniaczek drugi raz rzucił czapkę, ząb w niej już był. Tylko że jeśli idzie o mój zysk na tym interesie, to mógł tego zęba nie oddawać. Ona też pojechała do Memphis, co?

– Pojechała.

– Tak i myślałem. Pewno wie równie dobrze jak ja, że dużo czasu upłynie, nim Memphis zobaczy mnie albo Boona Hogganbecka. A jeśli Boon jest znowu w więzieniu, to myślę, że i Jefferson w Missisipi dzisiaj nas nie zobaczy.

Ja też tego nie wiedziałem i nagle zdałem sobie sprawę, że wcale nie pragnę wiedzieć. Nie tylko nie chciałem stawać przed koniecznością dokonywania nowych wyborów, podejmowania decyzji, ale nie chciałem nawet wiedzieć, jakie decyzje podejmuje się za mnie, póki nie stanę wobec ich konsekwencji. Potem w drzwiach za nami ukazał się ojciec McWilliego, w białej marynarce – był również służącym. Ja naprawdę nie słyszałem dzwonka. Byłem już umyty (i przebrany; dziadek przywiózł mi walizkę i nawet buty na zmianę), tak że służący poprowadził mnie wprost do jadalni. Potem wszedł dziadek i pan van Tosch, i pułkownik Linscomb,

a przy jego nodze kroczył stary, tłusty seter angielski i staliśmy wszyscy, a pułkownik Linscomb odmawiał modlitwę. Potem usiedliśmy, stary seter koło krzesła pułkownika Linscomba, i jedliśmy, a do stołu usługiwała prócz ojca McWilliego pokojówka w fartuszkach, która zmieniała talerze. Ja już się wycofałem z gry; nie podejmowałem żadnych decyzji, nie dokonywałem wyborów. Niemal zasypiałem nad talerzem aż do samego deseru, kiedy dziadek powiedział:

– No cóż, panowie, czy strażę dają pierwszy strzał?

– Przejdźmy do gabinetu – zaproponował pułkownik Linscomb. Był to najlepszy pokój, jaki widziałem w życiu. Chciałbym, żeby dziadek miał podobny. Pułkownik Linscomb był również prawnikiem, stały tam więc półki pełne prawniczych ksiąg, a także pism dotyczących gospodarki i koni, była oszklona gablota, a w niej składane wędki i strzelby, były fotele i sofa, i specjalny dywanik dla starego setera, żeby mógł się wylegiwać przy kominku, i rysunki koni i dżokejów na ścianach w girlandach z róż i z datami zwycięstw, i figurka Manassas z brązu (dopiero wtedy się dowiedziałem, że pułkownik Linscomb był właścicielem Manassas) na kominku, i specjalny stolik na księgę, która była księgą rodowodową jego stadniny, i inny stolik z pudełkiem cygar, karafką, dzbankiem na wodę, cukierniczką i przygotowanymi szklaneczkami, i okno francuskie wychodzące na werandę, a za nią rozarium, tak że nawet w domu można było wdychać zapach róż i kapryfolium i słyszeć gdzieś w dali śpiew urąga przedrzeźniacza.

Potem służący wprowadził Neda i ustawił dla niego krzesło w kącie przy kominku, no i oni... my usiedliśmy: pułkownik Linscomb w białym płóciennym ubraniu, a pan van Tosch w ubraniu, jakie się nosi w Chicago (bo pochodził z Chicago i mieszkał tam, dopóki nie przyjechał po raz pierwszy do Memphis, gdzie mu się tak spodobało, że kupił stadninę i hodował, i trenował konie wyścigowe, i jakie pięć czy sześć lat temu

przyjął do pracy Bobo Beauchampa), i dziadek w szarobłękitnym surducie konfederackim, który odziedziczył (to znaczy nie surdut, ale konfederackie barwy, bo dziadek nie brał udziału w wojnie; miał wtedy zaledwie czternaście lat, mieszkał w Karolinie, był jedynakiem, więc musiał zostać przy matce, podczas gdy jego ojciec służył jako chorąży u Wade'a Hamptona do chwili, kiedy pikietą Fitz-Johna Portera zastrzeliła go w siodle podczas przeprawy przez bród na rzece Chickahominy następnego ranka po bitwie pod Gaines's Mili, no więc dziadek został przy matce aż do jej śmierci w 1864 roku i potem też jeszcze nie wyjechał, aż wreszcie generał Sherman usunął go ostatecznie z Karoliny w roku 1865 i dziadek przyjechał do Missisipi, by odszukać potomków dalekiego swego kuzyna nazwiskiem McCaslin – on i ten kuzyn nosili nawet te same imiona: Lucius Quintus Carothers – i znalazł to, czego szukał, w osobie prawnuczki owego kuzyna, Sary Edmonds, i w 1869 roku poślubił ją).

– A teraz – zwrócił się dziadek do Neda – mów od początku.

– Chwileczkę – przerwał pułkownik Linscomb. Nachylił się, nalał whisky do szklaneczki i podał ją Nedowi. – Masz – powiedział.

– Dziękuję bardzo uprzejmie – odparł Ned, ale nie wypił. Postawił szklaneczkę na kominku i znowu usiadł. Ani razu dotąd nie spojrzął na dziadka i teraz nań też nie patrzył: czekał tylko.

– Zaczynaj – powtórzył dziadek.

– Wypij – zwrócił się do Neda pułkownik Linscomb.

– To ci się może bardzo przydać. – Wobec tego Ned wziął whisky, wychylił ją jednym haustem i siedział, trzymając pustą szklaneczkę i wciąż nie patrząc na dziadka.

– Teraz – powiedział dziadek – zaczynaj...

– Chwileczkę – przerwał pan van Tosch. – W jaki sposób zmusiłeś tego konia do biegu?

Ned siedział nadal nieporuszony, trzymając nieruchomo pustą

szklaneczkę w rękę, a my spoglądaliśmy nań wyczekująco. Wreszcie przemówi! zwracając się po raz pierwszy do dziadka: – Czy ci biali panowie pozwolą, jeśli pomówię z panem na osobności?

– O czym? – zapytał dziadek.

– Zobacz pan. Jeśli pan uzna, że ci panowie również powinni to wiedzieć, to pan im powie.

Dziadek wstał. – Wybaczą nam panowie? – spytał, kierując się ku drzwiom hallu.

– Lepiej na werandę – podsunął pułkownik Linscomb.

– Ciemno tam teraz, co jest bardziej odpowiednie i na konspirację, i na spowiedź. – Wyszliśmy więc na werandę. Bo, widzisz, ja również wstałem. Dziadek zatrzymał się znowu. Zwrócił się do Neda:

– Co z Luciušem?

– On też z tego skorzystał – odparł Ned. – Każdy ma prawo wiedzieć, w czym jego zysk. – Wyszliśmy więc na werandę, w ciemność, w zapach róż i kapryfolium, a i urąg przedrzeźniacz znalazł się na gałęzi, nieopodal zaś wołały dwa lelki, no i, tak samo jak zawsze wieczorem w Missisipi – więc Tennessee nie takie znowu inne – gdzieś daleko szczekał pies. – To była sardynka – wyznał cicho Ned.

– Nie kłam – obruszył się dziadek. – Konie nie jadają sardynek.

– Ten jada. Przecież pan tam był i widział. Wypróbowaliśmy go przedtem z Luciušem. Ale ja nie potrzebowałem nawet próbować. Od razu, jak go pierwszy raz zobaczyłem zeszłej niedzieli, to wiedziałem, że on ma rozum tego samego gatunku co mój muł.

– Aha – powiedział dziadek. – Więc ty i pan Maury dawaliście tamtemu mułowi sardynki?

– Nie, proszę pana. Pan Maury nie wiedział, że ja daję. Nikt tego nie wiedział, tylko ja i muł. A z tym koniem było to samo. Jak robił ostatnie okrążenie, to ja czekałem na niego z sardynką i on o tym wiedział.

Wróciliśmy do pokoju. Wszyscy na nas patrzyli. – Tak – zaczął dziadek. – Ale to sekret rodzinny. Nie zachowam go, jeśli się to okaże konieczne. Ale czy pozwolą mi panowie, że w tych warunkach sam będę sędzią w tej sprawie? Oczywiście van Tosch ma prawo pierwszeństwa do tego sekretu.

– W tej sytuacji będę musiał albo kupić Neda, albo sprzedać panu Miedziaka – oświadczył pan van Tosch.

– Tylko czy nie należałoby zaczekać z tym wszystkim, póki nie przyjdzie tu również pański człowiek, Hogganbeck?

– Pan go jeszcze nie zna – odpowiedział dziadek. – Ten człowiek przyjechał moim automobilem do Memphis. Jutro, kiedy wyciągnę go z więzienia, poprowadzi automobil z powrotem do Jefferson. W okresie pomiędzy tymi dwoma wydarzeniami nie zauważałoby się jego obecności. – Tym razem nie potrzebował już nawet rozkazywać Nedowi, by mówił.

– Bobo zaczął się zadawać z pewnym białym – powiedział Ned i teraz panu van Toschowi wyrwało się: „Aaa...” I w ten sposób zaczęliśmy się wszystkiego dowiadywać – od Neda i od pana van Toscha. Bo pan van Tosch był człowiekiem obcym, cudzoziemcem, który jeszcze nie dość długo żył w naszym kraju, by wiedzieć, jak straszne może się okazać towarzystwo białego nicponia dla młodego, wychowanego na wsi Murzyna, co nigdy w życiu nie wyjeżdżał z domu, a teraz przyjechał do wielkiego miasta, pragnąc mieć więcej pieniędzy i przyjemności w zamian za pracę, jaką zamierzał wykonywać. Musiał to być jakiś hazard, w każdym razie tak się zaczęło: najbardziej prawdopodobne, że spotkali się na takim terenie. Ale potem doszło tam coś więcej, coś innego niż hazard; wydawało się, że nawet Ned nie wie dokładnie, co – a może Ned wiedział, tylko że to należało do świata białych ludzi. Tak czy inaczej, według Neda sprawy zaszyły bardzo daleko – suma, o którą chodziło, wynosiła sto dwadzieścia osiem dolarów – a ów biały człowiek przekonał

Bobo, iż gdyby się władze dowiedziały o wszystkim, to utrata pracy u pana van Toscha byłaby najmniejszym z jego problemów; właściwie wytłumaczył Bobo, że jego największe kłopoty zaczną się wówczas, gdy nie będzie miał białego, który by go osłaniał. Wreszcie sytuacja stała się rozpaczliwa, krytyczna, groźba zaś tak przerażająca, że Bobo poszedł do pana van Toscha i poprosił o sto dwadzieścia osiem dolarów, na co otrzymał odpowiedź, jakiej się prawdopodobnie spodziewał od człowieka, który był nie tylko białym i cudzoziemcem, ale i w dojrzałym wieku, człowieka, który wyszedł już z lat, kiedy się pamięta młodzieńcze namiętności i kłopoty – odpowiedź: Nie. To było zeszłej jesieni...

– Przypominam sobie – mówił pan van Tosch. – Powiedziałem temu chłopakowi, żeby mi się więcej nie pokazywał na oczy. Przypuszczałem, że się wyniosł. – Rozumiesz, o co mi chodzi? On, pan van Tosch, był przyzwoitym człowiekiem. Ale to był obcy. No i wtedy Bobo utracił resztki nadziei, i tak niezbyt wielkiej, „zdobył”, jak to określił (Ned i w tym wypadku nie wiedział jak, a może i wiedział, a może Bobo je zdobył w taki sposób, że nie chciał tego wyjawiać nawet człowiekowi tego samego co on koloru skóry, nawet swojemu krewniakowi), więc Bobo zdobył piętnaście dolarów i dał je temu białemu, za co otrzymał to, co można było z góry przewidzieć i co może nawet sam Bobo przewidywał. Ale cóż innego mógł zrobić? Do kogo się udać? Teraz, kiedy dowiedział, że odpowiednio przyciśnięty do muru potrafi zdobyć pieniądze, zaczęły się nowe groźby, nowe naciski. – Ale dlaczego nie przyszedł do mnie? – zawołał pan van Tosch.

– Przyszedł – odparł Ned. – Pan mu odpowiedział: Nie. – Przez chwilę panowała cisza. – Pan jest biały – łagodnie perswadował Ned. – Bobo był czarnym chłopcem.

– Więc dlaczego nie zwrócił się do mnie? – pytał dziadek. – Dlaczego nie przyszedł z powrotem tam, skąd po pierwsze nie powinien był nigdy

wyjeżdżać? Dlaczego nie przyszedł tam, zamiast kraść konia?

– Co by pan zrobił – odparł Ned – gdyby przyjechał zadyszany z Memphis i powiedział panu: „Proszę, niech mi pan nie zadaje żadnych pytań. Niech mi pan tylko da sto i jeszcze kilka dolarów, a ja wracam do Memphis i zaczynam panu spłacać dług od pierwszej soboty po powrocie”?

– Mógłby mi wszystko wytłumaczyć – oponował dziadek. – Ja też jestem McCaslin.

– Pan jest również biały – powiedział Ned.

– Mów dalej – rozkazał dziadek.

No więc, Bobo stwierdził, że te piętnaście dolarów, w których widział ratunek, przyniosło mu tylko ruinę. Teraz zgodnie z opowieścią Neda, demon Bobo nie dawał mu ani chwili odpoczynku. A może biały zaczął się obawiać Bobo – że takie powolne ciurkanie, po parę dolarów, będzie trwało w nieskończoność; albo że Bobo powodowany strachem i rozpaczą, a także tym, co biały niewątpliwie uważał za wrodzoną murzyńską głupotę, popełni jakiś błąd lub nawet zbrodnię, która przekreśli wszystko. Tak czy inaczej właśnie wtedy ów biały zaczął namawiać Bobo na jakieś jednorazowe uderzenie, które uwolniłoby go od długu, wierzyciela, zmartwień i wszystkiego. Najpierw chciał, żeby Bobo okradł magazyn pana van Toscha, załadował na bryczkę, wóz czy co tam będzie, siodła, ogłowi i uprzęży, ile się tylko zmieści, i uciekł. Na Bobo, oczywiście, padłyby pierwsze podejrzenia, ale biały w owym czasie zdążyłby się już bezpiecznie ukryć. Jeśli zaś Bobo potrafi się żwawo ruszać, a przecież nawet on powinien mieć na to dość sprytu, to ma na wyszukanie sobie kryjówki i nowej pracy całe Stany Zjednoczone. Ale (jak mówił Ned) nawet ów biały zarzucił ten pomysł: zrozumiał, że nie tylko będzie miał nad ranem bryczkę czy wóz wypełniony samą uprzężą, bez koni, ale że upłynie wiele dni, nim będzie mógł spieniężyć zdobycz, sztuka po sztuce,

jeśli owe dni w ogóle zostaną mu dane. Wobec tego przyszedł im na myśl koń: chcieli wymienić ów wóz czy bryczkę pełną poszczególnych skórzanych fragmentów na coś w jednym kawałku, co można by sprzedać od ręki, i to – jeśli by ów biały działał dostatecznie sprawnie i nie targował się zbyt – jak najszybciej. To znaczy, ów biały człowiek, a nie Bobo, chciał, by Bobo ukradł dla niego konia. Bobo zaś wiedział, że jeśli tego nie zrobi, to z nadejściem najbliższego poniedziałku przyjdzie nań koniec: kres pracy, wolności, wszystkiego, bo kryzys osiągnął swój punkt szczytowy w zeszłą sobotę, tę samą, kiedy to Boon, ja i Ned opuszczaliśmy Jefferson samochodem. Przyczyną zaś tego nabrzmienia kryzysu był fakt, że u pana Toscha znajdował się koń, którego tak niezwykle łatwo było ukraść, jakby go kto specjalnie w tym celu postawił. Tym koniem był oczywiście Grom (to znaczy Miedziak), który stał o niecałe pół mili dalej w stajniach z końmi na sprzedaż, gdzie Bobo, znany jako groom pana van Toscha (Bobo sam pierwotnie przyprowadził konia do owej stajni), mógł w każdej chwili wejść i wyprowadzić go bez najmniejszego kłopotu, musiałyby tylko nałożyć kantar. Co samo w sobie byłoby jeszcze do zniesienia. Problem tkwił w tym, że ów biały wiedział wszystko: że to koń chowany i trenowany na wyścigi, koń, który nie chce biegać i który w rezultacie ma tak złą markę u pana van Toscha i pana Clappa, trenera, że stoi teraz w stajniach na sprzedaż i czeka na pierwszego kupca, który zaproponuje za niego jakąś sumę, tak więc, gdyby Bobo wyprowadził konia, to pewno nikt nie zawiadomiałby o tym pana van Toscha, chyba żeby on sam przypadkiem o to zapytał; tak więc w konsekwencji Bobo musiał do poniedziałku rano na coś się zdecydować.

Tak się przedstawiała sytuacja, kiedy Ned opuścił nas pod drzwiami panny Reby w niedzielę po południu, ruszył dalej, skręcił na ulicę Beale^[4], wszedł do pierwszej zakamuflowanej i nielegalnej knajpy i znalazł tam

[4] Ulica Beale – główna ulica w dzielnicy murzyńskiej Memphis.

Bobo, który próbował stawić czoło swojej kłęsce za pomocą butelki whisky. Tu odezwał się dziadek:

– Więc to tak! Teraz zacznym rozumieć. Murzyńska sobota. Bobo już pijany, a ty z językiem wywieszonym od wyjazdu z Jefferson włączysz do pierwszej napotkanej knajpy... – tu przerwał i powiedział, niemal skoczył: – Czekaj! Jeszcze inaczej! To nawet nie była sobota! Przyjechaliście do Memphis w niedzielę wieczór! – A Ned siedział bez słowa, trzymając w ręku pustą szklanę. Wreszcie powiedział:

– Dla nas, czarnych, sobotni wieczór przechodzi w niedzielę.

– A potem w poniedziałek rano – wtrącił pułkownik Linscomb. – Budzicie się w poniedziałek rano z torsjami, kacem, brudni, w śmierdzącym więzieniu i leżycie tam, dopóki jakiś biały nie przyjdzie, nie zapłaci za was kaucji, nie zabierze prosto na pole bawełny czy gdzie indziej i nie zapędzi was z powrotem do pracy nawet bez śniadania. A wy zaraz to wszystko wypociecie i już przed zachodem słońca nabieracie nadziei, że nie umrzecie, i tak następnego dnia, i znów następnego, i jeszcze następnego, aż wreszcie przychodzi sobota, kiedy możecie odłożyć pług czy motykę i lecieć z powrotem, by znaleźć się w poniedziałek rano w tej śmierdzącej celi więziennej. Czemu to robicie? Nie rozumiem.

– Pan nie może zrozumieć – odparł Ned. – Pan jest niewłaściwego koloru. Gdyby pan mógł być Murzynem przez jedną sobotnią noc, to nigdy w życiu nie chciałby pan być znowu białym.

– No dobrze – przerwał dziadek. – Mów dalej. – Tak więc Bobo opowiedział Nedowi, w jak strasznym jest położeniu: koń stoi o pół mili dalej, praktycznie biorąc naprasza się, żeby go ukraść, a biały człowiek wie o tym i postawił Bobo ultimatum, do upłynięcia zaś terminu brakuje teraz tylko godzin. – No dobrze – przerwał dziadek – a gdzie w tym mój automobil.

– Już do niego doszliśmy – odparł Ned. Poszedł razem z Bobo do

stajni, by obejrzyć konia. – I jak tylko go zobaczyłem, to mi stanął w pamięci ten muł, co go kiedyś miałem. – Bobo, tak samo jak ja, był za młody, by pamiętać owego muła, ale tak samo jak ja wychował się na jego legendzie. – Postanowiliśmy więc pójść do tego białego człowieka i powiedzieć mu, że coś się wydarzyło i że Bobo nie może wyprowadzić mu konia ze stajni, tak jak przedtem chciał, ale że możemy mu dać zamiast tego automobil... Chwileczkę – zwrócił się szybko do dziadka – wiedzieliśmy równie dobrze jak i pan, że samochód będzie całkiem bezpieczny, przynajmniej przez tyle czasu, ile nam trzeba do zakończenia całej sprawy. Może za trzydzieści czy czterdzieści lat będzie pan mógł stanąć na rogu ulicy w Jefferson i naliczyć do zmroku z tuzin samochodów, ale jeszcze nie dzisiaj. Może wówczas będzie pan mógł ukraść automobil i znaleźć kogoś, kto go kupi bez mordowania pana tysiącem pytań: kto, skąd i dlaczego, ale jeszcze nie dzisiaj. Więc dla człowieka, który wyglądał tak, jak go sobie przedstawiałem (nie widziałem go jeszcze na oczy), jeżdżenie automobilem i sprzedanie go cicho i bez świadków byłoby prawie tak trudne, jak sprzedawanie słonia cicho i bez świadków. Przecież pan nie miał żadnych kłopotów ze znalezieniem i odebraniem samochodu, jak już pan się do tego z panem van Toschem zabrał, prawda?

– Mów dalej – powiedział dziadek. Ned ciągnął:

– Wtedy ten biały zapytałby: jaki samochód, a Bobo zostawiłby odpowiedź mnie, wtedy ten biały może by zapytał, czego ja się do tego wtrącam, a Bobo by odpowiedział, że ja chcę mieć tego konia, bo wiem, jak go zmusić do biegu i że mamy już wyścigi przygotowane na wtorek i jeśli ten biały chce, to może też przyjechać i wygrać na tym koniu tyle, że będzie mógł kilka razy spłacić te sto i trzysta dolarów i nie zwracać sobie głowy automobilem, jeśli nie zechce. Bo to już był na pewno taki biały człowiek, który ma dosyć doświadczenia, żeby wiedzieć, co można łatwo sprzedać, a co mu sprawi zakłopotanie, gdyby go tak przyłapali.

I to właśnie chcieliśmy zrobić, tylko pan przyjechał i wszystko popsuł. Chcieliśmy, żeby ten biały przyjrzał się tylko pierwszej gonitwie bez żadnych zakładów, a on by na pewno się przyjrzał i zobaczył, że Grom przegrywa, tak jak przegrywał poprzednio, o czym by się ten biały zdążył już dowiedzieć. Wtedy my byśmy powiedzieli: nic nie szkodzi, zobaczymy, jak pójdzie z drugą gonitwą, a potem założylibyśmy się z nim na tę gonitwę, stawiając konia przeciwko automobilowi i wcale nie potrzebowalibyśmy mu przypominać, że jeżeli Grom znowu przegra, to on będzie miał i jego. – Tamci, dziadek, pułkownik Linscomb i pan van Tosch, wpatrywali się w Neda. Nie próbuję opisać ci wyrazu ich twarzy. Nie potrafię. – A wtedy pan przyjechał i wszystko zepsuł – zakończył Ned.

– Rozumiem – powiedział pan van Tosch. – Wszystko dla ratowania Bobo. Ale założmy, że nie udało ci się zmusić Miedziaka do biegu i że jego również przegrałeś. Co wówczas z Bobo?

– Przecież go zmusiłem do biegu – obruszył się Ned.

– Sam pan widział.

– Ale przypuścmy, ot, w teorii – napierał pan van Tosch.

– To już byłaby sprawa Bobo – odparł Ned. – Nie ja mu radziłem rzucać uprawę bawełny w Missisipi, jechać do Memphis i zabawiać się hazardem.

– Ale pan Priest mówił, zdaje się, że to twój kuzyn?

– zdziwił się pan van Tosch.

– Każdy ma w rodzinie jakiegoś przygłupiego – stwierdził Ned.

– Hmm... – mruknął pan van Tosch.

– Napijmy się – żywo zaproponował pułkownik Linscomb. Wstał, wymieszał trunek i rozlał. – Dla ciebie też tu jest – zwrócił się do Neda. Ned przyniósł swoją szklaneczkę i pułkownik Linscomb nalał. Tym razem, kiedy Ned postawił nie tkniętą szklaneczkę na kominku, nikt nie

powiedział ani słowa.

– Tak – odezwał się pan van Tosch. A potem do dziadka: – No cóż, pan ma swój samochód. A ja mam swojego konia. I może napędziłem temu przekłętemu łajdakowi dość strachu, żeby się w przyszłości trzymał z daleka przynajmniej od mojej służby stajennej. – Siedzieli chwilę w milczeniu. – Co mam zrobić z Bobo? – Siedzieli dalej w milczeniu. – Ciebie pytam – zwrócił się pan van Tosch do Neda.

– Niech pan go zatrzyma – odparł. – Ludzi, a przynajmniej chłopców i młodych mężczyzn, spośród takich jak ja, niełatwo o czymś przekonać.

– Dlaczego mówisz tylko o Murzynach? – zapytał pan van Tosch.

– Może on ma na myśli McCaslinów? – podsunął pułkownik Linscomb.

– Tak – przyznał Ned. – I McCaslinów, i Murzynów. Po jednych i drugich widać, że zadawanie się z obcymi nie wychodzi im na zdrowie. Mówię teraz o młodych, nawet jeśli ten to czarny McCaslin. Może oni nie dosłyszą? W każdym razie muszą poznać na własnej skórze, że łajdactwo nie popłaca. Może Bobo tym razem już się tego nauczył. Czy to nie będzie dla pana łatwiejsze niż przyuczanie kogoś nowego?

– Tak – przyznał pan van Tosch. Siedzieli chwilę w milczeniu. – Tak – powtórzył pan van Tosch. – Wobec tego będę albo musiał kupić Neda, albo sprzedać panu Miedziaka. – Siedzieli chwilę w milczeniu. – Czy możesz go jeszcze raz zmusić do biegu, Ned?

– Wtedy go zmusiłem – powiedział Ned.

– Powiedziałem: jeszcze raz – rzekł pan van Tosch. Siedzieli chwilę w milczeniu, potem pan van Tosch zwrócił się do dziadka: – Czy pan wierzy, że on mógłby to jeszcze raz zrobić?

– Wierzę – odparł dziadek.

– Na ile pan wierzy? – Siedzieli chwilę w milczeniu.

– Czy pan się zwraca do mnie jako do bankiera, czy kogo? – spytał

dziadek.

– Powiedzmy, że jako do zwykłego i normalnego ziemianina z północno-zachodniego Missisipi podczas jego zwykłej i normalnej, danej mu od Boga i chronionej przez prawo chwili wypoczynku spędzanej w dostatkach południowo-zachodniego Tennessee – zaproponował pułkownik Linscomb.

– No więc, dobrze – zdecydował się pan van Tosch.

– Stawiam Miedziaka przeciwko sekretowi Neda, jedna gonitwa na milę. Jeśli Ned jeszcze raz sprawi, że Miedziak pobije tego karego Linscoma, ja otrzymuję sekret, a Miedziak jest pański. Jeśli Miedziak przegra, ja nie potrzebuję waszego sekretu, a pan bierze albo zostawia Miedziaka za pięćset dolarów.

– To znaczy, że jeśli przegra, mogę zabrać Miedziaka za pięćset dolarów, albo jeśli zapłacę panu pięćset dolarów, to mogę go nie zabierać? – zapytał dziadek.

– Tak jest – odparł pan van Tosch. – Ażeby dać panu możliwość asekuracji, założę się, stawiając dwa dolary przeciwko jednemu, że Ned nie zmusi go po raz drugi do biegu. – Siedzieli chwilę w milczeniu.

– Wobec tego będę musiał albo wygrać tego konia, albo go kupić, choćby nie wiem co – zastanawiał się dziadek.

– Może pan nigdy nie był młody? – podsunął pan van Tosch. – Ale niech pan spróbuje wziąć jedno pod uwagę. Jest pan tu pośród przyjaciół. Niech pan przez chwilę postara się nie być bankierem. Niech pan spróbuje.

– Siedzieli chwilę w milczeniu.

– Dwieście pięćdziesiąt – powiedział dziadek.

– Pięć – podbił pan van Tosch.

– Trzysta pięćdziesiąt – powiedział dziadek.

– Pięć – podbił pan van Tosch.

– Czteryście i ćwierć – powiedział dziadek.

- Pięć – podbił pan van Tosch.
- Czterysta pięćdziesiąt – powiedział dziadek.
- Czterysta dziewięćdziesiąt pięć – podbił pan van Tosch.
- Zgoda – powiedział dziadek.

– Zgoda – powiedział pan van Tosch. Tak więc po raz czwarty McWillie na Acheronie i ja na Gromie (to znaczy Miedziaku) staliśmy, przytrzymując nasze niespokojne i niesforne wierzchowce, za owym nędznym, słabym powrozem z juty. McWillie nie odzywał się do mnie; był przerażony i rozwścieczony, speszony i zacięty; wiedział, że wczoraj wydarzyło się coś, co nie powinno było się wydarzyć, co właściwie nie powinno się nikomu wydarzyć, a już na pewno nie dziewiętnastoletniemu chłopcu, który starał się tylko wygrać, jak sądził, zwykły wyścig konny: wszystkie chwytaki, rzecz jasna, dozwolone, ale na pewno wzajemna umowa, że się nie będzie uciekało do czarnej magii. Tym razem nie ciągnęliśmy losów o pozycję. Obu nam – i mnie, i McWilliemu – zaproponowano tę możliwość, ale Ned powiedział szybko: – Dzisiaj wszystko jedno. McWillie powinien po wczorajszym lepiej się poczuć, więc niech jedzie po wewnętrznym torze, gdzie się zaraz dobrze poczuje. – Lecz McWillie, czy to ze złości, czy przez rycerskość, odrzucił tę propozycję stawiając nas w sytuacji, zdawałoby się, bez wyjścia, tylko że sędzia – ten domniemany morderca – znalazł je szybko mówiąc:

– Hej, chłopcy, jeśli chcecie się ścigać, to jazda tam, za ten jutowy sznur, gdzie wasze miejsce. – Ned również nie dokonał swoich wstępnych zaklęć czy tam rytuałów i nie potarł pyska Groma. Nie mówię: zapomniał. Ned nigdy niczego nie zapomina. Najwidoczniej więc nie patrzyłem, nie uważałem dość pilnie; zresztą, tak czy inaczej, było już za późno. Nie dał mi również tym razem instrukcji udzielanych zawsze w ostatniej chwili. Ale przecież cóż on mi mógł powiedzieć? Zeszłego wieczora pan van Tosch, pułkownik Linscomb i dziadek ustalili wspólnie, że ponieważ ma to

być wyścig prywatny, można by powiedzieć pojedynkę do ostatniej kropli krwi, więc wszyscy zainteresowani i wtajemniczeni winni robić wszelkie wysiłki, by odbył się on w sekrecie. Co w Parsham było równie łatwe, jak zachować jutrzejszą pogodę w sekrecie i wyłącznie na obszarze pastwiska pułkownika Linscomba, ponieważ w społeczności, na którą składał się jeden sezonowy hotel, dwa sklepy, ładownia bydła, stacja, skrzyżowanie torów kolejowych oraz kościoły, szkoły i farmy rozproszone po rozległej okolicy, każda wiadomość, nie mówiąc już o wiadomości o jakimkolwiek wyścigu, a zwłaszcza o powtórnym wyścigu między tymi dwoma końmi, rozchodziła się równie szybko jak pogoda. A więc przyszli tu i dziś, łącznie z sędzią, nocnym telegrafistą, który doprawdy powinien czasami sypiać; nie było ich tylu, co wczoraj, ale o wiele więcej, niż życzyli sobie dziadek i pan van Tosch, sądząc z ich miny – przetłuszczone kapelusze, tytoń, koszule bez krawatów i kombinezony – aż ktoś krzyknął: Jazda! – Ktoś szarpnął jutowy sznur i poszliśmy.

Poszliśmy, McWillie jak zwykle wysunął się o dwa kroki, nim Grom w ogóle zauważył, że zaczęliśmy bieg, po czym dołączył szybko i posłusznie, tak że mógł prawie przyłożyć pysk do kolana McWilliego (jeśliby miał na to ochotę); pierwszy zakręt, dalsza prosta, wzajemne położenie moje i McWilliego zmieniało się – przerwa otwierała się i zamykała na jakiś senny niespieszny sposób zapewne znany ludziom, którzy latają samolotami w ścisłych formacjach; drugi zakręt i druga prosta pierwszego okrążenia, gdzie ja, ze zwykłego rutyniarstwa, uderzyłem Groma mniej więcej na krok przed miejscem, w którym mogło mu przyjść do głowy, by rozglądać się za Nedom. Szybko ogarnąłem wzrokiem twarzę wzdłuż bandy wypatrując Neda, a Grom biegł przez całą prostą, nie patrząc, gdzie idzie, tylko szukając go w gęstwinie twarzy – również na próżno. Znowu pierwszy zakręt, znowu dalsza prosta, drugi zakręt, ostatnia prosta i już ściągałem Groma ku zewnętrznej bandzie (Acheron

może nas wyprzedzić, ale w żadnym wypadku nie będzie nam zasłaniał widoku), gdzie mógłby widzieć cały tor. Ale jeśli zobaczył Neda, to nie dał mi tego poznać. Ja również nie mogłem mu powiedzieć: „Patrz! Patrz tam! Tam stoi!”, bo Neda tam nie było: tylko pusty tor pod naprężoną linią mety wyglądającą tak krucho, jak przefiltrowany albo może rozpuszczony promień księżycy; McWillie smagał teraz szaleńczo swego konia, a Grom odpowiadał na to cudownie; biegł dokładnie o długość szyi za tamtym; gdyby Acheron umiał biec z szybkością sześćdziesięciu mil na godzinę, my bieglibyśmy z tą samą – tylko o jedną szyję za nim; gdyby Acheron postanowił stanąć o dziesięć stóp przed celownikiem, my stanęlibyśmy również – o szyję za nim. Ale on nic takiego nie zrobił. Parliśmy naprzód, wciąż zespoleni, ale tak trochę ukośnie, jakby złączeni rygłem, potem lina mignęła nad nami, a mnie i McWilliemu wrócił z powrotem głos, to znaczy McWillie wrzeszczał teraz ku mnie, do tyłu, wydając jakieś takie kanibalskie krzyki radości: – Yah-yah-yah, yah-yah-yah!

– i zwalniał, ale nie stawał, jechał prosto, pewno do stajni; on i Acheron rzetelnie na to zasłużyli. Zawróciłem Groma i ruszyłem z powrotem. Ned zbliżał się do nas truchtem, dziadek za nim, ale nie truchtem; wczorajsi pochlebcy i wielbiciele opuścili nas; Cezar nie był dzisiaj Cezarem.

– Chodź – powiedział Ned, ujmując konia przy pysku szybko, ale bez zdenerwowania, tylko niecierpliwie, niemal z nieuwagą. – Daj...

– Co się stało? – pytał dziadek. – Co się, u diabła, stało?

– Nic – odparł Ned. – Tym razem nie miałem dla niego sardynki i on o tym wiedział. Nie mówiłem panu, że ten koń ma rozum? – A potem do mnie: – O, tam stoi Bobo i czeka. Oddaj mu tę chabetę, niech ją zabiera do Memphis. My wracamy dzisiaj do domu.

– Ale chwileczkę – mówiłem. – Chwileczkę...

– Wybij sobie tego konia z głowy – zniecierpliwiał się Ned. – Nam on niepotrzebny. Szef ma z powrotem swój automobil i stracił tylko

czterysta dziewięćdziesiąt sześć dolarów, a warto zapłacić czterysta dziewięćdziesiąt sześć dolarów za to, żeby nie mieć tego konia. Bo co byśmy z nim robili, jakby przestali wyrabiać te małe, śmierdzące rybki? Niech go sobie pan van Tosch zabiera. Może Grom powie kiedyś jemu i Bobo, co się tu wczoraj stało.

Ale nie wróciliśmy tego dnia do domu. Po południu znajdowaliśmy się w dalszym ciągu u pułkownika Linscomba i znowu siedzieliśmy po kolacji w jego gabinecie. Boon był potłuczony, oklejony plastrami i bardzo przygaszony, ale dość spokojny. I czysty: ogolił się i nałożył świeżą koszulę. Pewno ją kupił w Hardwick. Siedział teraz na tym samym prostym, twardym krześle, na którym zeszłego wieczora siedział Ned.

– Nie – mówił. – Nie za to tłukłem. Odeszła mi już nawet wściekłość o to. To była jej sprawa. A poza tym nie można tak od razu przeciąć wszystkiego jak nożem. Trzeba... trzeba...

– Odchodzić stopniowo? – podsunął dziadek.

– Nie, proszę pana – mówił Boon. – Nie stopniowo. Człowiek coś rzuca, ale mimo to musi jeszcze uprzątnąć trochę śmiecia, resztek, choćby się skończyło z tym na dobre. Nie o to mi szło. Chciałem mu skrócić kark za to, że nazwał moją żonę kurwą.

– Czy chcesz powiedzieć, że masz zamiar się z nią ożenić? – zapytał dziadek. Ale to nie na dziadka, to na mnie Boon wrzasnęła, niemal skoczyła:

– Do diabła! – krzyknęła. – Jeśli ty mogłeś iść w jej obronie z gołymi rękami na nóż, to dlaczego ja, u pioruna, nie miałbym się z nią ożenić?! Czy to ja gorszy od ciebie, chociaż nie mam jedenastu lat?

No i to niemal koniec. Następnego popołudnia około szóstej wyjechaliśmy na ostatnie wzgórze i zobaczyliśmy górujący nad drzewami na Rynku zegar z Gmachu Sądów. Ned odezwał się: – Hi, hi, hi, hi! – Siedział z przodu, razem z Boonem. Powiedział: – Tak się czuję, jakbym tu nie był dwa lata.

– Jak Delfina skończy wreszcie dzisiaj z tobą, to może zapragniesz, żeby tak było naprawdę – wtrącił dziadek.

– Albo żebym wcale nie wracał – zgodził się Ned. – Ale kobieta ma przez cały dzień tyle rozmaitego sprzątanía, zamiatania i gotowania na głowie, że chyba od czasu do czasu potrzeba jej jakiejś rozmaitości.

No i dojechaliśmy. Samochód stanął. Nie ruszałem się. Dziadek wysiadł, więc ja wysiadłem również. – Pan Ballott ma klucz – powiedział Boon.

– Nie, nie ma – rzekł dziadek. Wyjął klucz z kieszeni i wręczył Boonowi. – Chodź – zwrócił się do mnie. Przeszliśmy przez ulicę do naszego domu. I wiesz, co ja wtedy myślałem? Myślałem: *Ten dom się wcale nie zmienił!* A powinien był. Powinien był się zmienić, choćby odrobinę. To znaczy nie powinien się zmienić sam z siebie, tylko ja, wnosząc doń te zmiany, które się we mnie przez ostatnie cztery dni dokonały, powinienem go zmienić. To znaczy, że jeśli te cztery dni, te kłamstwa, oszustwa, kręactwa, decyzje i niezdecydowania, rzeczy, które robiłem, widziałem, słyszałem i poznawałem, a których moi rodzice nie pozwoliliby mi robić, widzieć, słuchać i poznawać, rzeczy, które musiałem poznać, nie będąc na nie przygotowany, nie mając ich gdzie magazynować ani nawet gdzie odłożyć; jeśli to wszystko nie zmieniło w moim domu nic, jeśli tu było tak, jakby te cztery dni w ogóle nie istniały, jeśli nic nie stało się mniejsze czy większe, czy starsze, czy mądrzejsze, czy bardziej miłosierne – to coś zostało zmarnowane, strwonione; jednym słowem, albo ten tutaj mój świat był fałszywy, zły i w ogóle nie powinien istnieć, albo ja byłem fałszywy czy zły, czy słaby, a w każdym razie niewart go.

– Chodź – powiedział dziadek, ani ciepło, ani zimno, nijako. Myślałem: *Gdyby chociaż ciotka Callie wyszła skądś z Aleksandrem albo bez Aleksandra na rękach i zaczęła na mnie krzyczeć.* Ale nic: po prostu

dom, który poznałem, nim zobaczyłem jakikolwiek inny; dom w majowy wieczór, tuż po szóstej, kiedy ludzie zaczynają już myśleć o kolacji; i matka powinna była mieć przynajmniej kilka siwych włosów, całowała mnie przez długą chwilę, potem patrzyła na mnie; i ojciec, którego zawsze trochę się... bałem – to nie jest to słowo, ale inne mi jakoś nie przychodzi – bałem się, bo gdybym się nie bał, to myślę, że musiałbym się wstydzić za nas obydwu. A potem dziadek powiedział: – Maury.

– Tym razem nie, Szefie – odparł mój ojciec. A potem do mnie: – Załatwmy to od razu.

– Tak, proszę ojca – odrzekłem i poszedłem za nim przez hali i do łazienki, gdzie przystanąłem pod drzwiami, a on zdjął z haczyka ramię do ostrzenia brzytwy, ja zaś cofnąłem się, by go przepuścić, i ruszyliśmy dalej; matka stała u szczytu schodów prowadzących do piwnicy: widziałem jej łzy, ale tym razem tylko łzy; wystarczyłoby, gdyby powiedziała: „Nie, proszę!” albo: „Maury”, albo nawet żeby powiedziała: „Lucius!” Ale nic, więc szedłem za ojcem na dół i zatrzymałem się znowu, a on otworzył drzwi do piwnicy i znaleźliśmy się tam gdzie trzymamy w zimie drzewo na podpałkę, a w lecie wykładane blachą cynkową pudło na lód i gdzie mama i ciotka Callie mają półki na przetwory, galaretki i dżemy, i gdzie stoi stary fotel na biegunach dla mamy i ciotki Callie, żeby mogły odpocząć, kiedy ustawiają słoiki, a w którym ciotka Callie drzemie czasami po obiedzie, chociaż zawsze powiada, że nie spała. A więc znaleźliśmy się tu, dokąd przywiodły mnie cztery dni kręctaw, matactw i szachrajstw. Ta sytuacja była niedobra i my obaj z ojcem wiedzieliśmy o tym. Bo, widzisz, jeśli za te wszystkie kłamstwa, oszustwa, nieposłuszeństwa i zmywy ojciec mógł mnie tylko zbić, to znaczy, że nie był w stanie mi sprostać.

I jeśli faktem jest, że wszystko, co zrobiłem, można zrównoważyć nie czym innym, jak zwykłym skórzanym paskiem, to ten fakt nas obydwu upokarza. Rozumiesz? Znaleźliśmy się w impasie, a wtedy zapukał

dziadek. Drzwi nie były zamknięte na klucz, ale ojciec dziadka nauczył mojego dziadka, a on z kolei nauczył mojego ojca, a mój ojciec nauczył mnie, że do żadnych drzwi niepotrzebny jest klucz: Wystarczy, że są zamknięte, by czekać na zaproszenie z wewnątrz. Ale tym razem dziadek nie czekał.

– Nie – sprzeciwił się mój ojciec. – Dwadzieścia lat temu ojciec zrobiłby ze mną to samo.

– Może od tego czasu zmądrzałem – odpowiedział dziadek. – Wy tłumacz Allison, żeby wróciła na górę i przestała chlipać. – Ojciec wyszedł, drzwi zamknęły się znowu. Dziadek usiadł w fotelu na biegunach; nie był gruby, ale miał brzuch wystarczająco duży, by wypełnić białą kamizelkę i żeby złota dewizka zwisała tak, jak należy.

– Kłamałem – powiedziałem.

– Chodź tutaj.

– Nie mogę. Kłamałem, powiadam dziadkowi.

– Wiem – odparł.

– Więc niech dziadek coś z tym zrobi. Wszystko jedno co, tylko żeby to było coś.

– Nie potrafię – powiedział.

– Więc nic nie można zrobić? Zupełnie nic?

– Tego nie mówiłem – zaprzeczył dziadek. – Powiedziałem, że ja nie potrafię. Ty możesz.

– Co? – zapytałem. – Jak ja to mogę zapamiętać? Niech mi dziadek tylko powie, jak?

– Nie możesz – odparł. – Nigdy się niczego nie zapomina. Nic nigdy nie ginie. Jest na to zbyt cenne.

– Więc cóż mam robić?

– Żyć z tym – oświadczył dziadek.

– Żyć z tym? To znaczy: zawsze? Do końca? Nigdy się tego nie

pozbyć? Nigdy? Nie mogę! Czy dziadek nie widzi, że nie mogę?

– Owszem, możesz – powiedział. – I musisz. Dzentelmen nigdy nie zapomina swojej przeszłości. Dzentelmen potrafi przejść przez wszystko. Stając twarzą w twarz ze wszystkimi. Dzentelmen przyjmuje odpowiedzialność za swoje czyny i niesie ciężar ich konsekwencji, nawet jeśli sam nie był inicjatorem tych czynów, ale poszedł na ustępstwo, nie powiedział: „Nie”, choć wiedział, że powinien był to zrobić. Chodź no tutaj! – I wtedy zacząłem płakać, ryczeć stojąc (nie: klęcząc – byłem już taki wysoki) pomiędzy jego kolanami, a on trzymał mi jedną rękę na plecach, a drugą z tyłu głowy i przyciskał moją twarz do swojego sztywnego kołnierzyka i gorsu; czułem jego zapach – krochmal i płyn po goleniu, i tytoń do żucia, i benzynę tam, gdzie babcia albo Delfina wywabiały jakąś plamkę z jego surduta, i ten zawsze obecny słabutki zapach whisky pozostały, jak zawsze sądziłem, po pierwszej szklaneczce grogu, którą wypijał w łóżku rano, jeszcze nim wstał. Kiedy z nim spałem, to rano najpierw pojawiał się Ned (bez białego surduta, czasami nie miał na sobie ani surduta, ani koszuli i nawet po przeprowadzeniu koni dziadka do naszej stajni cugowej, wciąż jakoś tak robił, że pachniał końmi) z tacą, a na niej karafką, dzbankiem z wodą, cukiernicą, łyżką i szklaneczką, a wówczas dziadek siadał na łóżku, mieszał sobie grog i wypijał, potem zaś wsypywał do resztek trochę cukru, mieszał, dolewał odrobinę wody i dawał mi do wypicia, aż kiedyś babcia wpadła niespodziewanie do pokoju dziadka i położyła temu kres. – No – powiedział wreszcie. – Chyba już się wypłakałeś... A teraz idź i umyj twarz. Dzentelmen też płacze, ale zawsze potem myje twarz.

I to wszystko. Nadeszło poniedziałkowe popołudnie, było po szkole (ojciec nie pozwolił mamie napisać mi usprawiedliwienia, toteż zanotowano tamto jako nieobecność nieusprawiedliwioną, ale panna Rhodes dopilnowała, żebyśmy wszystko uzupełnił) i Ned znowu siedział na

kuchennych schodkach, tym razem babcinych, ale i tym razem w cieniu.

– Gdyby nam przyszło do głowy – odezwałem się – postawić na Gromie te pieniądze od Sama w tej ostatniej gonitwie, to już nie mielibyśmy problemu, co z nimi zrobić.

– Ja tam nie mam żadnych problemów – odparł Ned.

– Dostałem tym razem pięć za trzy. Stary Possum Hood ma teraz dwadzieścia dolarów na swój kościół.

– Ale przecież myśmy przegrali! – zdumiałem się.

– Przegrałeś ty i Grom – odparł Ned. – Ja i te pieniądze obstawialiśmy Akruma.

– Aha! – powiedziałem. A potem: – Ile ich było? – Ned ani drgnął. To znaczy, w ogóle nic nie zrobił. Widzisz, on się nic nie zmienił: wyglądał zupełnie tak samo, jak w przedostatni piątek; całe te cztery dni kręactw, oszustw, konieczności zgadywania dobrze i zgadywania szybko, gdy nie miał marginesu na pomyłkę, nie zostawiły na nim najmniejszego śladu, choć przecież widziałem go raz, kiedy nie tylko było mu okropnie brak snu, ale też i odzieży (widzisz, jak ja uparcie mówię, że to były cztery dni, a przecież opuszczaliśmy z Boonem Jefferson – nie wiedząc o dodatkowym towarzyszu – w sobotę, w piątek zaś dopiero ujrzeliśmy – Boon, ja i Ned – ponownie nasze miasto. Ale dla mnie były to cztery dni między sobotnią nocą u panny Ballenbaugh, kiedy Boon gotów był wrócić następnego ranka do domu, gdybym go o to poprosił, oraz tym momentem, kiedy z grzbietu Groma ujrzałem w środę dziadka i przeszedłem pod jego władzę; te dni, kiedy to Ned dźwigał samotnie cały ciężar, powstrzymywał powódź, umacniał kruchą tamę z pomocą wszystkich narzędzi, jakie miał pod ręką – łącznie ze mną – aż rozsypały mu się w dłoniach. To znaczy – trzeba przyznać, że nie było naszą rzeczą znaleźć się pod tą tamą – ale dżentelmen obstaje przy swoim kłamstwie, czy je powiedział, czy nie). Miałem dopiero jedenaście lat i nie wiem, skąd to wiedziałem, ale

wiedziałem dobrze, że się nigdy nikogo nie pyta, ile wygrał czy przegrał. Powiedziałem więc: – Chodzi mi o to, czy wystarczyłoby, żeby zwrócić Szefowi jego czterysta dziewięćdziesiąt sześć dolarów?

– A Ned siedział tak, zupełnie niezmieniony, więc czemu by matka miała mieć siwe włosy, odkąd ją widziałem po raz ostatni... jeśli ja też pozostaję niezmieniony? Bo teraz już wiedziałem, o co chodziło dziadkowi: że ludzka powłoka to jest coś, w czym się mieszka i śpi, lecz co niewiele ma wspólnego z tym, kim się jest, a jeszcze mniej z tym, jak się postępuje. Wreszcie Ned odpowiedział:

– Dużo nauczyłeś się o ludziach w tej podróży. Dziwię się tylko, żeś się nie nauczył więcej o pieniądzach. Czy chcesz, żeby Szef obraził mnie, czy też, żebym ja obraził Szefa, czy jedno i drugie?

– Nie bardzo rozumiem?

– Jeśli zaproponuję, że spłacę jego długi wyścigowe, czy to nie będzie tak, jakbym mu powiedział prosto w oczy, że nie ma dość rozumu, by obstawiać konie? A kiedy mu powiem, skąd się wzięły pieniądze, czy tego nie dowiodę?

– Ale wciąż jeszcze nie rozumiem, gdzie tu możliwość obrażenia ciebie?

– On mógłby jednak je wziąć – stwierdził Ned. Potem nadszedł ten dzień. Everbe przysłała po mnie, a ja poszedłem przez miasto do malutkiego, niemal lalczynego domku na bocznej uliczce, który Boon spłacał dziadkowi po pięćdziesiąt centów co sobota. Miała pielęgniarkę i powinna leżeć w łóżku. Ale siedziała w szlafroku, czekając na mnie. Przeszła nawet przez pokój do kołyski i stanęła, wspierając się na moim ramieniu, kiedyśmy to oglądali.

– No? – zapytała. – Co myślisz?

Nic w ogóle nie myślałem. Jeszcze jedno niemowlę, już teraz równie paskudne jak Boon, chociaż będzie musiało czekać dwadzieścia lat, żeby

mu dorównać wzrostem. Powiedziałem jej, co sędzę. – Jak chcecie to nazwać?

– Nie to – obruszyła się. – Jego. Nie domyślasz się?

– No jak?

– Nazywa się Lucius Priest Hogganbeck – odparła.

